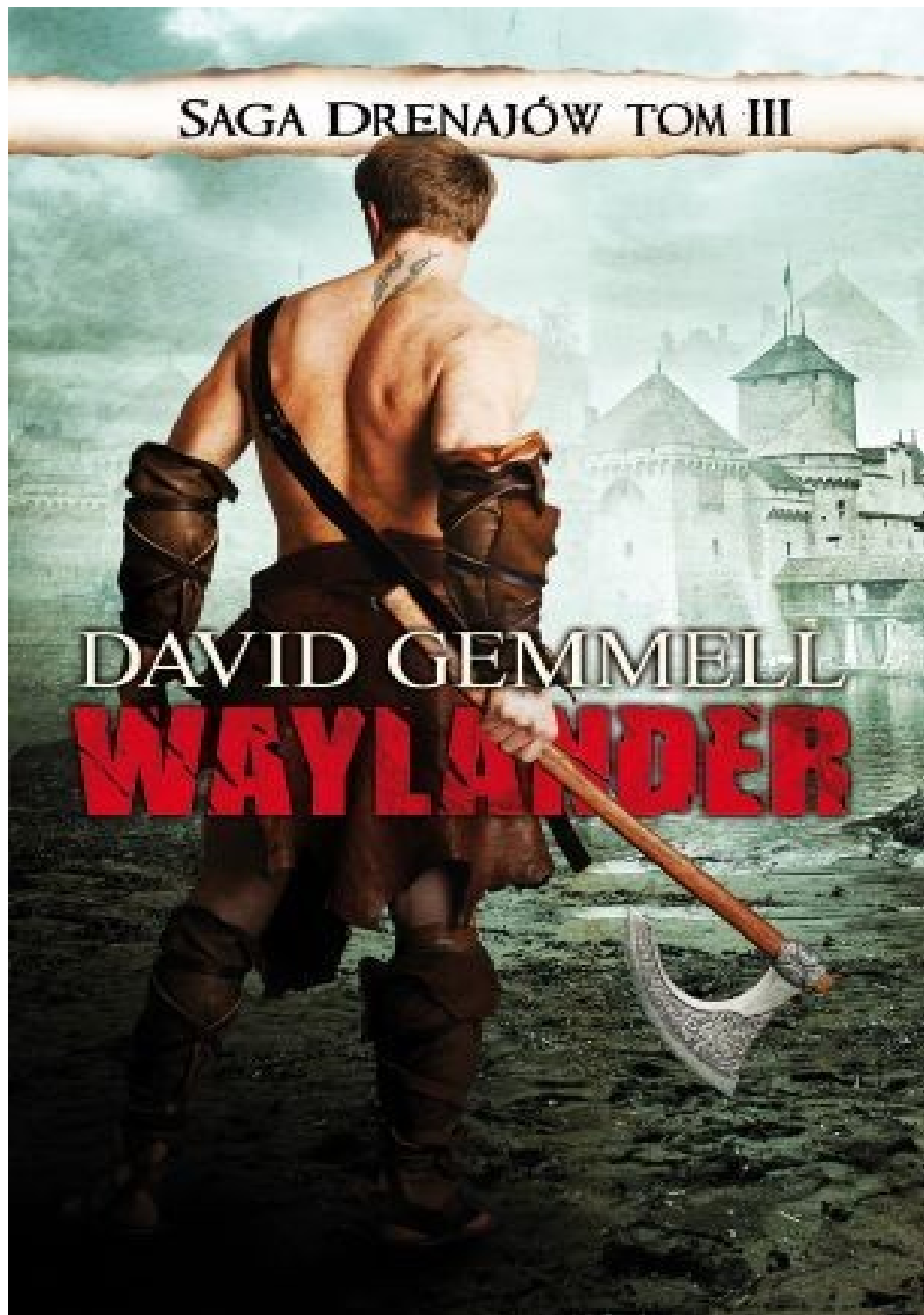


SAGA DRENAJÓW TOM III

DAVID GEMMELL
WAYLANDER



David Gemmell

Waylander

Przełożył Zbigniew A. Królicki

*Tę książkę dedykuję Denisowi i Audrey Ballardom, moim teściom, z podziękowaniami za
dwudziestoletnią przyjaźń.*

A także ich córce Valerie, która zmieniła mój świat 22 grudnia 1965 roku.

Podziękowania

Dziękuję mojemu agentowi literackiemu, Lesliemu Floodowi, którego wsparcie pozwoliło mi przetrwać chude lata; mojemu wydawcy, Rossowi Lempriere'owi, bez którego Waylander nie kroczyłby przez ciemne lasy; Stelli Graham, najlepszej z korekterek, a ponadto Lizie Reeves, Jean Maund, Shane'owi Jarvisowi, Jonathanowi Poore'owi, Stewartowi Dunnowi, Julii Laidlaw i Tomowi Taylorowi.

Specjalne podziękowania składam Robertowi Breare'owi za dobrą zabawę i za utrzymanie fortecy na przekór wszystkiemu.

Prolog

Potwór patrzył z cienia, jak uzbrojeni ludzie, niosąc pochodnie, weszli w ciemności góry. Cofał się przed nadchodzącymi, chowając cielsko za kręgiem światła.

Ludzie dotarli do wykutej w skale komnaty i wetknęli łuczywa w zardzewiałe żelazne kagańce na granitowych ścianach.

W środku dwudziestoosobowej grupy szedł mąż w zbroi z brązu, lśniącej w blasku pochodni i zdającej się jarzyć żywym płomieniem. Zdjął skrzydlaty hełm, a dwaj członkowie świty ustawili przed nim drewnianą ramę. Wojownik umieścił hełm na jej czubku i rozpiął napierśnik. Był mężczyzną w podeszłym wieku, ale wciąż silnym – o przerzedzonych włosach i oczach zmrużonych w migotliwym świetle. Podał gruby napierśnik dworzaninowi, który zawiesił pancerz na ramie i ponownie zapiął sprzączki.

– Jesteś pewny, że ten plan się powiedzie, mój panie? – spytał chudy starzec w niebieskiej szacie.

– Tak pewny jak niczego innego, Derianie. Miewam ten sen już od roku i wierzę weń.

– Zbroja ma tak wielkie znaczenie dla Drenajów...

– Dlatego znalazła się tutaj.

– Czy nie mógłbyś – nawet teraz – rozważyć rzecz ponownie? Niallad jest młody i mógłby zachekać jeszcze co najmniej dwa lata. Wciąż jesteś silny, mój panie.

– Moje oczy słabną, Derianie. Niebawem będę ślepy. Sądzisz, że to miła perspektywa dla króla znanego ze zręczności w boju?

– Nie chcę cię utracić, mój panie – rzekł Derian. – Może jestem zuchwały, ale twój syn...

– Znam jego słabe strony – warknął Król – tak samo jak jego przyszłość. Stajemy w obliczu kresu wszystkiego, o co walczyliśmy. Nie teraz... nie za pięć lat. Jednak wkrótce nadejdą krwawe dni, a wtedy Drenajowie muszą mieć jakąś nadzieję. A tą nadzieją będzie Zbroja.

– Panie mój, przecież ona nie jest magiczna. Ty byłeś jej magią. Ona to tylko metal, który zechciałeś nosić. Mogła być ze srebra, złota czy skóry. To Król Orien stworzył Drenajów. A teraz nas opuszczasz.

Król, odziany w brązową tunikę z jeleniej skóry, położył dłonie na ramionach doradcy.

– W ostatnich latach miałem wiele kłopotów, ale zawsze mogłem polegać na twoich dobrych radach. Ufam ci, Derianie, i wiem, że zajmiesz się Nialladem i pokierujesz nim, najlepiej jak

potrafisz. Kiedy jednak nadejdą krwawe dni, nie zdoła skorzystać z twoich rad. Zaprawdę, czarno widzę naszą przyszłość: straszliwą armię atakującą drenajski lud, nasze wojska rozbite lub w odwrocie – i widzę tę Zbroję lśniąca jak pochodnia, przyciągającą ludzi, dającą im wiarę.

– A czy widzisz zwycięstwo, mój panie?

– Zwycięstwo dla jednych. Śmierć dla innych.

– A jeśli ta wizja nie jest prawdziwa? Jeżeli to tylko podstęp uknuty przez Ducha Chaosu?

– Spójrz na Zbroję, Derianie – rzekł Orien, prowadząc go do stojaka.

Pancerz nadal lśnił w świetle pochodni, lecz teraz przybrał jakiś eteryczny, przedziwny wygląd.

– Wyciągnij rękę i dotknij jej – rozkazał Król. Kiedy Derian zrobił to, jego dłoń przeszła na wylot przez Zbroję. Cofnął się jak użądłony.

– Cóż z nią uczyniłeś, panie?

– Nic, zaczyna się spełniać sen. Tylko Wybrany może dotknąć Zbroi.

– Czy ktoś może złamać zaklęcie i ukraść Zbroję?

– Zaiste, może, Derianie. Spójrz jednak za krąg światła.

Doradca odwrócił się i ujrzał tuziny oczu spoglądające na niego z ciemności. Cofnął się o krok.

– Bogowie! Cóż to takiego?

– Ponoć kiedyś były ludźmi. Jednak plemiona zamieszkujące tę okolicę opowiadają o strumieniu, który czernieje w lecie. Nadal płynie w nim woda, lecz wypita przez ciężarną kobietę staje się trucizną deformującą dziecię w łonie. Nadirowie zostawiają te dzieci w górach, żeby umarły... lecz najwidoczniej nie wszystkie giną.

Derian porwał pochodnię z kagańca i ruszył do przodu, ale Król powstrzymał go.

– Nie patrz, przyjacielu, gdyż ten widok prześladowałby cię po kres twoich dni. Wierz mi, są niezwykle groźne. Trzeba by znacznej siły, żeby zdobyć tę pieczarę, a jeśli ktoś inny prócz Wybranego spróbuje zabrać Zbroję, zostanie rozdarty na strzępy przez bestie zamieszkujące ciemności.

– A co ty teraz poczniesz, mój panie?

– Pożegnam się.

– Dokąd podążysz?

– Tam, gdzie nikt nie pozna we mnie Króla.

Ze łzami w oczach Derian padł na kolana przed Oriem, lecz Król podniósł go z ziemi.

– Zapomnijmy o hierarchii, stary przyjacielu. Rozstańmy się jak towarzysze.

Objęli się.

Rozdział 1

Zaczęli torturować kapłana, kiedy obcy wyszedł z cienia drzew.

– Ukradliście mi konia – rzekł spokojnie. Bandyci błyskawicznie odwrócili się do nadchodzącego. Za ich plecami młody kapłan bezwładnie zwisał na pętających go sznurach i uniósł głowę, by zerknąć podbitymi oczami na przybysza. Mężczyzna był wysoki, barczysty, okryty czarnym skórzanym płaszczem.

– Gdzie mój koń? – zapytał.

– Kto to wie? Koń to koń, a właścicielem jest ten, kto go dosiada – odparł Dectas. W pierwszej chwili, słysząc głos nieznanego, poczuł dreszcz strachu, spodziewając się ujrzyć kilku otaczających ich zbrojnych. Jednak teraz, spojrzawszy na pogrążające się w mroku drzewa, wiedział, że ten człowiek jest sam. Samotny i szalony. Z kapłana nie mieli wielkiego pożytku, bo zaciskał zęby z bólu i nie przeklinał ich ani nie błagał. Natomiast ten będzie długo w noc wyśpiewywał swój ból.

– Przyrowadźcie konia – powiedział mężczyzna lekko znudzonym głosem.

– Brać go! – rozkazał Dectas i miecze zaświszczały w powietrzu, gdy cała piątka runęła do ataku. Przybysz szybko zarzucił opończę na jedno ramię i podniósł rękę. Czarny belt przeszył pierś najbliższego napastnika, drugi wbił się w brzuch krępego wojownika z uniesionym mieczem. Obcy upuścił małą podwójną kuszę i zręcznie odskoczył. Pierwszy napastnik nie żył, a drugi klęczał, trzymając się za brzuch.

Przybysz rozwiązał rzemień przytrzymujący płaszcz, pozwalając mu opaść na ziemię. Z bliźniaczych pochew wyjął dwa noże o czarnych klingach.

– Przyrowadźcie konia! – rozkazał.

Pozostali dwaj zawahali się, zerkając na Dectasa. Czarne ostrza świsnęły w powietrzu i obaj padli, nie wydawszy nawet jęku.

Dectas został sam.

– Możesz wziąć swego konia – powiedział, przygryzając wargę i cofając się w stronę drzew. Mężczyzna potrząsnął głową.

– Za późno – odparł łagodnie.

Dectas odwrócił się i pomknął w kierunku drzew, lecz silne uderzenie w plecy pozbawiło go

równowagi i rzuciło twarzą na ziemię. Podparłszy się rękami, usiłował wstać. Czyżby ten przybysz cisnął w niego kamieniem? Ogarnięty nagłą słabością, osunął się na ziemię... miękką jak puchowe łoże i pachnącą słodko jak lawenda. Konwulsyjnie drgnął nogą.

Przybyły podniósł płaszcz i otrzepał go z kurzu, po czym ponownie zawiązał rzemień na ramieniu. Potem odzyskał swoje trzy noże, ocierając je o szaty zabitych. Na ostatku zabrał oba belty, dobiwszy rannego szybkim cięciem w gardło. Podniósł kuszę i sprawdził, czy ziemia nie zablokowała jej mechanizmu, zanim przypiął ją z powrotem do szerokiego pasa. Nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku koni.

– Czekaj! – zawołał kapłan. – Uwolnij mnie. Proszę!

Mężczyzna odwrócił się.

– Dlaczego? – spytał.

Tak obojętnie zadał to pytanie, że kapłan przez chwilę nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi.

– Umrę, jeśli mnie tak zostawisz – rzekł w końcu.

– To nie jest wystarczający powód – powiedział mężczyzna, wzruszywszy ramionami. Podeszedł do koni, znalazł swego wierzchowca i przekonał się, że jego siodło i juki pozostały nietknięte. Zadowolony, odwiązał konia i wrócił na polankę.

Przez chwilę spoglądał na kapłana, a potem cicho zaklął i przeciął mu więzy. Uwolniony osunął się w jego ramiona. Był ciężko pobity i miał pociętą pierś; skóra wisiała na niej wąskimi paskami, a błękitna szata była poplamiona krwią. Wojownik przetoczył kapłana na plecy, rozerwał mu togę, a potem poszedł do konia i wrócił ze skórzanym bukłakiem. Odkręciwszy zakrętkę, polał rany wodą. Kapłan wił się, ale nawet nie jęknął. Wojownik wprawnie umieścił paski skóry na miejscu.

– Nie ruszaj się przez chwilę – polecił. Z małych juków przy siodle wyjął igłę z nitką, po czym zręcznie pozszywał rozcięcia. – Muszę rozpalić ognisko! – rzekł. – Nic nie widzę w tym przeklętym mroku!

Gdy zapłonął ogień, kapłan obserwował krzątającego się wojownika. Ten mrużył oczy w skupieniu, lecz kapłan zauważył, że były nadzwyczaj ciemne, brązowe jak sobolowe futro, z migoczącymi złotymi plamkami. Był nie ogolony, a szczecina na jego brodzie była usiana siwizną.

Potem kapłan zasnął...

Kiedy się zbudził, jęknął głośno, gdy ból ran jął kąsać go jak warczący pies. Usiadł, krzywiąc

się, czuł bowiem każdy szew na piersi. Jego szaty zniknęły, a obok ujrzał rzeczy najwidoczniej zdjęte z zabitych, ponieważ leżącą wśród nich bluzę znaczyły brunatne plamy krwi.

Wojownik pakował juki i troczył koc do siodła.

– Gdzie moje szaty? – spytał kapłan.

– Spaliłem je.

– Jak śmiałeś! To był święty strój.

– To tylko zwykła niebieska bawełna. Możesz znaleźć inny w każdym mieście czy wiosce. –

Wojownik wrócił do kapłana i przysiadł obok niego. – Przez dwie godziny łątałem twoje miękkie ciało, kapłanie. Byłbym rad, gdybyś pozwolił mu pożyć przez kilka dni, zanim rzucisz się w ogień męczeństwa. W całym kraju twoi bracia są paleni, wieszani lub ćwiartowani. A wszystko dlatego, że brak im odwagi, by zrzucić te przeklęte szaty.

– Nie będziemy się kryć – bronił się kapłan.

– A zatem umrzecie.

– Czy to takie straszne?

– Nie wiem, kapłanie – ty mi powiedz. Zeszłego wieczoru byłeś tego bliski.

– Jednak pojawiłeś się ty.

– Szukałem swojego konia. Nie nadawaj temu nadmiernego znaczenia.

– Czy w dzisiejszych czasach koń jest więcej wart od człowieka?

– Zawsze tak było, kapłanie.

– Nie dla mnie.

– Zatem gdybym to ja był przywiązany do drzewa, ocaliłbyś mnie?

– Próbowałbym.

– I obaj bylibyśmy martwi. A tak, ty żyjesz, a ja – co ważniejsze – odzyskałem konia.

– Znajdę moje szaty.

– Nie wątpię w to. A teraz muszę ruszać. Jeśli chcesz jechać ze mną, bardzo proszę.

– Nie sądzę, bym miał ochotę.

Wojownik wzruszył ramionami i wstał.

– W takim razie żegnaj.

– Czeka! – rzekł kapłan, z trudem podnosząc się z ziemi. – Nie chciałem być niewdzięczny i z całego serca dziękuję ci za pomoc. Po prostu jadąc z tobą, naraziłbym cię na niebezpieczeństwo.

– To niezwykle uprzejmie z twojej strony – odrzekł mężczyzna. – Jak chcesz.

Podszedł do konia, podciągnął popręg i wskoczył w siodło, zagarnąwszy poły płaszcza.

– Jestem Dardalion – zawołał kapłan.

Wojownik pochylił się nad łękiem siodła.

– A ja jestem Waylander – rzekł. Kapłan drgnął, jak uderzony w twarz. – Widzę, że słyszałeś o mnie.

– Nie słyszałem niczego dobrego.

– A więc słyszałeś tylko prawdę. Żegnaj.

– Zaczekaj! Pojadę z tobą.

Waylander ściągnął wodze.

– A co z niebezpieczeństwem? – zapytał.

– Tylko wagryjscy najeźdźcy chcą mojej śmierci, ale przynajmniej mam paru przyjaciół – czego nie można powiedzieć o Waylanderze Zabójcy. Połowa świata zapłaciłaby, żeby napluć na twój grób.

– Zawsze przyjemnie być docenianym – rzekł Waylander. – A teraz, Dardalionie, jeśli jedziesz ze mną, to włóż te szaty, bo musimy ruszać.

Dardalion klęknął obok ubrań i sięgnął po wełnianą koszulę, lecz gdy wziął ją w palce, wzdrygnął się i krew odpłynęła mu z twarzy.

Waylander ześlizgnął się z siodła i podszedł do kapłana.

– Dokuczają ci rany? – zapytał.

Dardalion potrząsnął głową, a kiedy spojrział na Waylandera, ten ze zdziwieniem ujrzał w jego oczach łzy. Zdumiało to wojownika, widział bowiem, jak ten mężczyzna dzielnie znosił tortury. A teraz płakał jak dziecko, choć nikt go nie męczył.

Dardalion głęboko wciągnął powietrze.

– Nie mogę nosić tych ubrań.

– Nie są przecież zawszone i wyczyściłem je z krwi.

– Wiążą się z nimi wspomnienia, Waylanderze... okropne wspomnienia... gwałtów, morderstw, nieopisanych potworności. Samo ich dotknięcie wprawia mnie w przygnębienie... nie mogę ich nosić.

– A zatem jesteś mistykiem?

– Tak. Mistykiem.

Dardalion znów usiadł na kocu, drżąc w porannym słońcu. Waylander poskrobał się po podbródku i wrócił do konia, poczym wydobyl z juków zapasową koszulę, skórznie i parę mokasynów.

– Są czyste, kapłanie. Jednak związane z nimi wspomnienia mogą okazać się równie bolesne – rzekł, rzucając rzeczy Dardalionowi. Młody kapłan z wahaniem sięgnął po wełnianą koszulę. Gdy jej dotknął, nie poczuł zła, tylko przeszła go fala bólu podszytego niepokojem. Zamknął oczy i uspokoił umysł, a potem podniósł głowę i uśmiechnął się.

– Dziękuję, Waylanderze. Te mogę nosić.

Ich oczy spotkały się i wojownik odpowiedział krzywym uśmiechem.

– Teraz pewnie znasz już wszystkie moje sekrety?

– Nie. Tylko ból.

– Ból jest rzeczą względną.

Przez cały ranek jechali przez doliny i pagórki rozdierane szponami wojny. Na wschodzie słupy dymu unosiły się spiralami i łączyły z chmurami. Płonęły miasta, dusze odchodziły w Otchłań. Wszędzie wokół, na polach i w lasach, leżały porzucane trupy, wiele obdartych już ze zbroi i oręża, a w górze krążyły stada czarnoskrzydłych wron, pożądlwym okiem mierząc żywną ziemię w dole. Śmierć zbierała obfite żniwo.

W każdej dolinie napotykali spalone wioski i na twarzy Dardaliona zagościła udręka. Waylander ignorował ślady wojny, tylko jechał ostrożnie, wciąż przystając, by obejrzeć się za siebie, i czujnie spoglądając na odległe wzgórza na południu.

– Jesteś tropiony? – spytał Dardalion.

– Zawsze – padła ponura odpowiedź.

Dardalion ostatni raz jechał konno pięć lat temu, kiedy opuścił ojcowski dom na szczycie urwiska, żeby udać się do odległej o pięć mil świątyni w Sardii. Teraz, czując narastający ból ran i drętwienie nóg ściskających końskie boki, zmagął się z cierpieniem. Zmuszając umysł do koncentracji, skupił wzrok na jadącym przed nim wojowniku i dostrzegł swobodę, z jaką ten siedział w siodle, oraz to, że trzymał wodze w lewej ręce, prawej nigdy nie odsuwając od czarnego pasa obwieszona śmiertcioną bronią. Przez jakiś czas, gdy droga była szersza, jechali ramię w ramię i kapłan spoglądał na twarz wojownika. Była wyrazista i w pewien sposób

urodziwa, lecz o posępnie zaciśniętych ustach, a oczach twardych i przenikliwych. Pod płaszczem wojownik nosił skórzany kubrak, a na nim krótką kolczugę, pokrytą licznymi śladami cięć i uderzeń oraz starannie naprawionych rozdarć.

– Długo żyjesz za pan brat z wojną? – spytał Dardalion.

– Zbyt długo – odparł Waylander, znów przystając, by spojrzeć na szlak.

– Wspomniałeś o śmierci kapłanów i powiedziałaś, że umarli, ponieważ nie mieli odwagi, by zdjąć swoje szaty. Co miałaś na myśli?

– Czy to nie oczywiste?

– Wydaje się, że śmierć za własne przekonania jest aktem największej odwagi – stwierdził kapłan.

Waylander zaśmiał się.

– Odwagi? Śmierć nie wymaga odwagi. Jednak potrzeba jej, aby żyć.

– Jesteś dziwnym człowiekiem. Nie obawiasz się śmierci?

– Obawiam się wszystkiego, kapłanie – wszystkiego, co chodzi, pełza czy lata. Ale zostawmy tę rozmowę na wieczorne ognisko. Muszę pomyśleć.

Wjechał pierwszy w niewielki zagajnik, gdzie – znalazłszy polankę skrytą w dolince przy spokojnie płynącym strumyku – zsiadł z konia i rozluźnił mu popręg. Wierzchowiec rwał się do wodopaju, lecz Waylander wpięrow powoli oprowadził go wkoło, dając mu ochłonąć po długiej jeździe. Potem rozsiadł konia i nakarmił go obrokiem z sakwy przywiązanej do łęku. Oporządziwszy konie, Waylander rozpałił ognisko, otoczył je kręgiem kamieni i rozłożył koc w jego pobliżu. Spożył posiłek złożony z zimnego mięsiwa – z którego Dardalion zrezygnował – i suszonych jabłek, a następnie zajął się swoją bronią. Trzy noże tkwiące u pasa naostrzył małą oselką. Krótką podwójną kuszę rozebrał i wyczyścił.

– Ciekawa broń – zauważył Dardalion.

– Tak, zrobiona na zamówienie w Ventrii. Bywa niezwykle użyteczna; wypuszcza dwa bełty i jest skuteczna na odległość do dwudziestu stóp.

– A więc musisz podchodzić blisko swoich ofiar.

Posępne oczy Waylandera napotkały spojrzenie towarzysza.

– Nie próbuj mnie osądzać, kapłanie.

– To tylko luźna uwaga. W jaki sposób straciłeś konia?

– Byłem z kobietą.

– Rozumiem.

Waylander uśmiechnął się.

– O bogowie, młody człowiek przybierający pompatyczną minę zawsze wygląda śmiesznie.

Nigdy nie miałeś kobiety?

– Nie. I od pięciu lat nie jadłem mięsa. Ani nie kosztowałem trunków.

– Żywot nudny, lecz szczęśliwy – zauważył wojownik.

– Mój żywot wcale nie był nudny. Życie to coś więcej niż zaspokajanie cielesnych potrzeb.

– Tego jestem pewien. Mimo to nie zaszkodzi zaspokoić je od czasu do czasu.

Dardalion nie odpowiedział. Jaki sens wyjaśniać wojownikowi harmonię życia spędzanego na wzmacnianiu siły ducha? Radość szybowania ze słoneczną bryzą, bezcielesnie i swobodnie, podróżowania do odległych słońc i oglądania narodzin nowych gwiazd? Skoków przez mgliste korytarze czasu?

– O czym myślisz? – spytał Waylander.

– Zastanawiam się, dlaczego spaliłeś moje szaty – odparł Dardalion, nagle uświadamiając sobie, że to pytanie dręczyło go przez cały dzień.

– Zrobiłem to pod wpływem kaprysu, nic więcej. Długo obywałem się bez towarzystwa i zatęskniłem za nim.

Dardalion kiwnął głową i dorzucił dwie gałęzie do ognia.

– To wszystko? – zapytał wojownik. – Nic więcej cię nie interesuje?

– Jesteś rozczarowany?

– Chyba tak – przyznał Waylander. – Zastanawiam się dlaczego.

– Mam ci powiedzieć?

– Nie, lubię zagadki. Co teraz zrobisz?

– Znajdę innych mojego obrządku i podejmę moje obowiązki.

– Innymi słowy umrzesz.

– Może.

– Nie widzę w tym sensu – rzekł Waylander – lecz życie samo w sobie jest bezsensowne.

Tak więc to brzmi rozsądnie.

– Czy życie miało kiedyś dla ciebie sens, Waylanderze?

– Tak. Dawno temu, zanim dowiedziałem się o orłach.

– Nie rozumiem cię.

– To dobrze – rzekł wojownik, kładąc głowę na siodle i zamykając oczy.

– Wyjaśnij mi, proszę – nalegał Dardalion. Waylander przetoczył się na plecy i otworzył oczy, spoglądając w gwiazdy.

– Niegdyś kochałem życie i radowałem się blaskiem słońca. Jednak radość bywa czasem krótkotrwała, kapłanie. A kiedy umiera, człowiek spogląda w siebie i pyta: dlaczego? Czemu nienawiść jest o wiele silniejsza niż miłość? Dlaczego niegodziwi są tak hojnie nagradzani? Czemu siła i zręczność liczą się bardziej niż uczciwość i uprzejmość? A potem człowiek zdaje sobie sprawę... że nie ma na to odpowiedzi. Żadnej. I aby nie postradać zmysłów, musi zmienić swój stosunek do świata. Kiedyś byłem owieczką, bawiącą się na zielonej łące. Potem przyszły wilki. Teraz jestem orłem i latam w innym wszechświecie.

– I zabijasz owieczki – szepnął Dardalion.

Waylander zachichotał i odwrócił się.

– Nie, kapłanie. Za owieczki nikt nie płaci.

Rozdział 2

Najemnicy odjechali, pozostawiając za sobą trupy. Siedemnaście ciał leżało na poboczu drogi: ośmiu mężczyzn, cztery kobiety i pięcioro dzieci. Mężczyźni i dzieci umarli szybko. Z pięciu wózków ciągniętych przez uchodźców cztery płonęły żywym ogniem, a piąty dymił. Kiedy mordercy zniknęli za wzniesieniem na południu, młoda rudowłosa kobieta wyszła z krzaków przy drodze i poprowadziła trójkę dzieci do dymiącego wózka.

– Zgaś ogień, Culasie – powiedziała najstarszemu. Stał, patrząc na zwłoki szeroko otwartymi ze zgrozy i przerażenia, niebieskimi oczami. – Ogień, Culasie. Pomóż im zgasić ogień.

On jednak zobaczył ciało Sheery i jęknął.

– Babciu... – wymamrotał, ruszając do niej na drżących nogach. Młoda kobieta podbiegła do niego, chwyciła go w ramiona i przycisnęła do siebie.

– Ona nie żyje i nie czuje bólu. Chodź ze mną gasić ogień.

Zaprowadziła go do wózka i wręczyła mu koc. Dwoje młodszych dzieci – bliźniaczki w wieku siedmiu lat – stały obok siebie, plecami do pomordowanych.

– No już, dzieci. Pomóżcie bratu. A potem ruszamy.

– Dokąd możemy pójść, Danyal? – spytała Krylla.

– Na północ. Mówią, że na północy jest generał Egel z liczną armią. Pójdziemy tam.

– Nie lubię żołnierzy – powiedziała Miriel.

– Pomóż bratu. Już, szybko!

Danyal odwróciła się, kryjąc przed nimi łzy. Okrutny, okrutny świat! Trzy miesiące wcześniej, kiedy wybuchła wojna, do wioski dotarła wieść, że Ogary Chaosu ciągną na Drenan. Mężczyźni śmiali się z tego, przeświadczeni o rychłym zwycięstwie.

Jednak kobiety instynktownie przeczuwały, że armia zwąca się Ogarami Chaosu będzie trudnym przeciwnikiem. Niewielu przeczuwało, jak trudnym. Danyal mogła zrozumieć podbój – która kobieta nie może? Jednak Ogary nie zadowolaly się tym; siały śmierć i zniszczenie, tortury, udrękę i niewiarygodne okropności.

Kapłani Źródła byli ścigani i zabijani, ich zakon wyjęty spod prawa przez nowych panów. A przecież kapłani Źródła nie stawiali oporu żadnej władzy, modląc się tylko o pokój, harmonię i szacunek dla autorytetów. Jakimż byli zagrożeniem?

Wiejskie wspólnoty zostały spalone i zniszczone. Kto teraz zbierze plony jesienią?

Gwałty, rabunki i mordy bez końca. Ta bezrozumna orgia niszczenia przekraczała zdolności pojmowania Danyal. Trzykrotnie została zgwałcona. Raz przez sześciu żołnierzy i to, że jej nie zabito, było najlepszym świadectwem jej zdolności aktorskich, ponieważ udawała zadowolenie i za każdym razem zostawiali ją posiniaczoną i upokorzoną, lecz uśmiechniętą. Instykt podpowiedział jej, że dziś będzie inaczej, więc kiedy pojawili się pierwsi jeźdźcy, zabrała dzieci i umknęła w krzaki. Ci jeźdźcy nie chcieli gwałcić, tylko grabić i zabijać.

Dwudziestu zbrojnych wyrznęło grupkę uchodźców.

– Ogień zgaszony, Danyal – zawołał Culas. Danyal weszła na wóz, wyszukując koce i żywność pozostawione przez rabusiów jako zbyt skromny łup. Kawałkami rzemienia powiązała koce, tworząc trzy węzłki dla dzieci, a potem pozbierała bukłaki z wodą i przewiesiła je sobie przez ramię.

– Musimy iść – powiedziała i powiodła trójkę na północ.

Nie uszli daleko, kiedy usłyszeli tętent końskich kopyt i Danyal wpadła w panikę, ponieważ znajdowali się na otwartej przestrzeni. Obie dziewczynki zaczęły płakać, lecz chłopiec wyjął sztylet z pochwy schowanej w zwiniętym kocu.

– Daj mi to! – krzyknęła Danyal, wrywając mu ostrze i odrzucając je na bok, podczas gdy Culas patrzył na nią z przerażeniem. – To nic nam nie da. Słuchaj mnie. Cokolwiek mi zrobią, siedź cicho. Rozumiesz? Nie krzycz i nie wrzeszcz. Obiecujesz?

Zza zakrętu wyjechali dwaj jeźdźcy. Pierwszy był ciemnowłosym wojownikiem z rodzaju tych, których poznała już aż za dobrze; o twardej twarzy i jeszcze twardszych oczach. Drugi zadziwił ją, gdyż był szczupły i ascetyczny, o szlachetnych rysach i łagodnym wyrazie twarzy. Kiedy nadjeżdżali. Danyal odgarnęła długie rude włosy i przyglądała fałdy zielonej tuniki, przywołując miły uśmiech na usta.

– Szliście z uchodźcami? – spytał wojownik.

– Nie. Tylko przechodziliśmy tamtędy.

Młodzieniec o delikatnej twarzy ostrożnie zsunął się z siodła, krzywiąc się, jakby z bólu. Podeszedł do Danyal i wyciągnął rękę.

– Nie musisz nam kłamać, siostrze, nie jesteśmy ludźmi takiego pokroju. Łączę się z tobą w bólu.

– Jesteś kapłanem?

– Tak. – Obrócił się do dzieci. – Podejdźcie do mnie, chodźcie do Dardaliona – rzekł, wyciągając ramiona. Zdumiewające, lecz posłuchały; najpierw dziewczynki, a później chłopiec. Objął całą trójkę szczupłymi ramionami. – Na razie jesteście bezpieczni – rzekł. – Nic więcej nie mogę wam obiecać.

– Zabili babcię – powiedział chłopiec.

– Wiem, Culasie. Jednak ty, Krylla i Miriel wciąż żyjecie. Przebyliście długą drogę. A teraz pomożemy wam. Zaprowadzimy was na północ, do Gana Egela.

Jego głos był łagodny i kojący, zdania krótkie, proste i łatwo zrozumiałe. Danyal stała obok, oczarowana siłą, którą emanował. Nie wątpiła w jego słowa, lecz nie mogła oderwać oczu od ciemnowłosego wojownika, który nadal siedział na koniu.

– Ty nie jesteś kapłanem – powiedziała.

– Nie. A ty nie jesteś dziwką.

– Skąd wiesz?

– Spędziłem całe życie wśród dziwek – odparł.

Przerzuciwszy nogę przez łęk siodła, zeskoczył na ziemię i podszedł do niej. Czuć go było potem, końską sierścią i z bliska był równie przerażający jak inni jeźdźcy. Jednak odczuwała ten strach dziwnie słabo, jakby obserwowała przedstawienie i wiedziała, że łotr jest okropny, lecz nie może opuścić sceny. Czuła jego siłę, lecz nie wyczuwała zagrożenia.

– Ukryliście się w krzakach – rzekł. – Mądrze. Bardzo mądrze.

– Widzieliście?

– Nie. Czytałem ślady. Godzinę wcześniej ukryliśmy się przed tymi samymi rabusiami. To najemnicy – nie prawdziwe Ogary.

– Prawdziwe Ogary? Co jeszcze musieliby zrobić, żeby zasłużyć na ten tytuł?

– Byli nieudolni – zostawili was przy życiu. Ogarom nie uszlibyście tak łatwo.

– Jak to możliwe – spytała Danyal – że taki człowiek jak ty podróżuje z kapłanem Źródła?

– Taki człowiek jak ja? Szybko wydajesz sądy, kobieto – odparł spokojnie. – Może powinienem się być ogolić.

Odwrociła się do nadchodzącego Dardaliona.

– Musimy znaleźć miejsce na obóz – rzekł kapłan. – Dzieci potrzebują snu.

– Dopiero trzy godziny po południu – powiedział Waylander.

– Potrzeba im specjalnego rodzaju snu – odparł Dardalion. – Wierz mi. Możesz znaleźć

odpowiednie miejsce?

– Chodź ze mną – powiedział wojownik, odchodząc trzydzieści stóp od szlaku. Dardalion dołączył do niego. – Co się z tobą dzieje? Nie możemy ich zabrać. Mamy tylko dwa konie, a Ogary są wszędzie. Tam, gdzie ich nie ma, są najemnicy.

– Nie mogę ich zostawić. Masz rację – jedź.

– Co mi zrobiłeś, kapłanie?

– Ja? Nic.

– Rzuciłeś na mnie zaklęcie? Odpowiadaj!

– Nie znam żadnych zaklęć. Możesz robić, co chcesz, zaspokajając dowolne zachcianki.

– Nie lubię dzieci. Tak samo jak kobiet, którym nie płacę.– Musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie będę mógł ulżyć ich cierpieniu. Zrobisz to, zanim odjedziesz?

– Odjadę? Dokąd miałbym odjechać?

– Myślałem, że chcesz nas opuścić, uwolnić się od nas.

– Nie uwolniłbym się. Bogowie, gdybym sądził, że rzuciłeś na mnie czar, zabiłbym cię.

Przysięgam!

– Jednak nie uczyniłem tego. I nie zrobiłbym, nawet gdybym mógł.

Klnąc paskudnie pod nosem, Waylander wrócił do Danyal i dzieci. Gdy podchodził, dziewczynki chwyciły się spódnicy Danyal, szeroko otwierając oczy z przerażenia.

Zaczekał obok konia, aż Dardalion wróci do dzieci.

– Czy ktoś chce jechać ze mną? – zapytał. Nikt nie odpowiedział i Waylander zachichotał. – Tak myślałem. Jedźcie za mną do tamtych drzew. Znajdę jakieś miejsce.

Później, gdy Dardalion siedział z dziećmi, opowiadając im cudowne bajki o pradawnych czarach łagodnym, hipnotycznym głosem, Waylander leżał przy ognisku, obserwując kobietę.

– Chcesz mnie? – zapytała nagle, wytrącając go z zadumy.

– Ile? – spytał.

– Dla ciebie za darmo.

– Zatem nie chcę. Twoje oczy nie kłamią tak dobrze jak wargi.

– Co to oznacza?

– To, że mną gardzisz. Nic nie szkodzi; spałem z wieloma kobietami, które mną gardziły.

– Nie wątpię.

– Wreszcie szczerłość?

– Nie chcę, żeby dzieciom stała się jakaś krzywda.

– Myślisz, że skrzywdziłbym je?

– Mógłbyś.

– Źle mnie osądzasz, kobieto.

– A ty nie doceniasz mojej inteligencji. Czy nie chciałeś powstrzymać kapłana przed udzieleniem nam pomocy? No?

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego ale. Bez pomocy nasze nadzieje przeżycia są żadne. Czyż nie jest to krzywda?

– Kobieto, masz język jak bat. Nic ci nie jestem winien i nie masz prawa mnie krytykować.

– Nie krytykuję cię. To by oznaczało, że dbam o ciebie na tyle, żeby chcieć cię naprawić. Pogardzam tobą i takimi jak ty. Zostaw mnie w spokoju, niech cię szlag!

Dardalion siedział z dziećmi tak długo, aż ostatnie zasnęło, a potem kolejno położył dłoń na czole każdego z nich i wyszeptał modlitwę. Obie dziewczynki leżały przytulone pod kocem, a Culas wyciągnął się obok nich, z głową na ramieniu. Kapłan zakończył modlitwę i usiadł, wyczerpany. Trudno mu było się skoncentrować, mając na sobie ubranie Waylandera. Niewyraźne wizje bólu i tragedii trochę złagodniały, lecz wciąż nie pozwalały Dardalionowi wejść na najwyższe ścieżki Drogi do Źródła.

Daleki krzyk przywrócił go do rzeczywistości. Gdzieś w ciemnościach cierpiała kolejna ofiara. Dardalion zadrzał i podszedł do ogniska, przy którym siedziała Danyal. Waylander zniknął.

– Obraziłam go – powiedziała Danyal, gdy kapłan usiadł naprzeciw niej. – Jest taki zimny. Taki twardy. Tak dostosowany do dzisiejszych czasów.

– Owszem – przyznał Dardalion – lecz jest także człowiekiem, który może doprowadzić nas w bezpieczne miejsce.

– Wiem. Myślisz, że wróci?

– Tak sędzę. Skąd pochodzisz?

Danyal wzruszyła ramionami.

– Stąd i owąd. Urodziłam się w Drenanie.

– Miłe miasto z wieloma bibliotekami.

– Tak.

– Powiedz mi o tym, jak byłaś aktorką – poprosił Dardalion.

– Skąd... no tak, nic nie skryje się przed Źródłem.– Nie ma w tym żadnej magii, Danyal. Dzieci mi powiedziały; mówiły, że kiedyś grałaś w *Duchu Circei* przed Królem Nialladem.

– Grałam szóstą córkę i powiedziałam trzy zdania – odparła z uśmiechem. – Jednak to było pamiętne przeżycie. Mówią, że Król nie żyje, zabity przez zdrajców.

– Tak słyszałem – odparł Dardalion. – Ale nie mówmy o tym teraz. Noc jest jasna, gwiazdy piękne, a dzieci śpią, śniąc słodkie sny. Jutro będziemy się martwić śmiercią i rozpaczą.

– Nie mogę przestać o tym myśleć – powiedziała. – Los jest okrutny. W każdej chwili jeźdźcy mogą wyjechać spomiędzy drzew i znów zaczną się koszmar. Wiesz, że do gór Delnoch, gdzie Egel szkoli swą armię, jest dwieście mil?

– Wiem.

– Będziecie za nas walczyć? Czy tylko stać i patrzeć, jak nas zabijają?

– Ja nie walczę, Danyal, ale zostanę z wami.

– A twój przyjaciel będzie walczył?

– Tak. Tylko to umie.

– Jest zabójcą – powiedziała Danyal, otulając się kocem. – Niczym nie różni się od najemników czy Vagryjczyków. A jednak mam nadzieję, że wróci – czy to nie dziwne?

– Spróbuj zasnąć – nalegał Dardalion. – A ja postaram się zapewnić ci spokojny sen.

– To byłoby miłe – do takiej magii mogłabym się przekonać.

Legła przy ogniu i zamknęła oczy. Dardalion odetchnął i znów spróbował się skoncentrować, odmawiając modlitwę pokoju i bezgłośnie otaczając nią ciało dziewczyny. Zaczęła miarowo oddychać. Dardalion uwolnił swego ducha z okowów i poszybował w nocne niebo, unosząc się w księżycowym blasku i pozostawiając ciało skulone przy ognisku.

Wolny!

Sam z Otchłanią.

Z trudem powstrzymawszy spiralny lot w górę, spojrzął na ziemię, szukając śladu Waylandera.

Daleko na południowym wschodzie płonące miasta rozświetlały niebo postrzępioną szkarłatną luną, podczas gdy na północy i zachodzie paliły się ogniska, które w regularnych

odstępach wyglądały jak węgryjskie posterunki. Na południu, w małym lasku migotał wąty płomyk i zaciekawiony Dardalion pomknął w tym kierunku.

Wokół ogniska spało sześciu mężczyzn, podczas gdy siódmy siedział na głazie, zajadając polewkę z miedzianego garnka. Dardalion zawisł nad nimi, dostrzegając budzący się strach. Wyczuł zło i szykował się, by odlecieć.

Nagle siedzący mężczyzna spojrział na niego i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Znajdziemy was, kapłanie – szepnął.

Dardalion się nie ruszył. Mężczyzna postawił miedziany garnek obok siebie, zamknął oczy... i Dardalion nie był już sam. Obok niego unosił się zbrojny wojownik, z tarczą i czarnym mieczem. Młody kapłan śmignął w przestworza, lecz duch wojownika był szybszy i w przelocie dotknął jego pleców. Dardalion poczuł przeszywający ciało ból i krzyknął.

Wojownik zawisł przed nim, śmiejąc się.

– Nie zabiję cię jeszcze, kapłanie. Chcę Waylandera. Wydadz mi go, a będziesz żył.

– Kim jesteś? – szepnął Dardalion, chcąc zyskać na czasie.

– Moje imię nic ci nie powie. Należę do Bractwa i otrzymałem zadanie. Waylander musi zginąć.

– Bractwa? Jesteś kapłanem?

– Kapłanem? W sposób, jakiego nigdy nie pojmiesz, ty nędzna świni! Siła, zręczność, spryt, strach – oto umiejętności, którym oddaję cześć, ponieważ umożliwiają władzę. Prawdziwą władzę.

– A więc służysz Ciemności?

– Ciemności czy Światłu... to tylko słowa. Służę Księciu Kłamstw, Stwórcy Chaosu.

– Dlaczego ścigasz Waylandera? On nie jest mistykiem.

– Zabił niewłaściwego człowieka, choć niewątpliwie ten zasłużył sobie na śmierć. A teraz postanowiono, że musi umrzeć. Wydasz mi go?

– Nie mogę.

– Zatem odejdz, robaku. Twoja bierność mnie obraża. Zabiję cię jutro – tuż po zmroku. Odszukam twego ducha, gdziekolwiek się skryje, i zniszczę go.

– Dlaczego? Co ci to da?

– Tylko przyjemność – odparł wojownik. – Jednak to mi wystarczy.

– A więc będę cię oczekiwał.

– Oczywiście. Tacy jak wy lubią cierpieć – to czyni was świętymi.

Waylander był zły, co go zdziwiło, a także zaniepokojony i zabawnie urażony. Wjechał na porośnięty lasem pagórek i zsiadł z konia. Jak możesz gniewać się o słowa prawdy, pytał się w duchu.

A jednak bolało go, że potraktowano go jak tych, którzy gwałcili i grabili niewinnych, bo mimo budzącej strach reputacji siewcy śmierci, nigdy nie zabił kobiety ni dziecka. Nigdy też nikogo nie zgwałcił i nie upokorzył. Dlaczego więc ta kobieta wprawiła go w tak ponury nastrój? Czemu widział wszystko w tak ciemnych barwach?

Ten kapłan.

Przeklęty kapłan!

Przez ostatnie dwadzieścia lat Waylander żył w cieniu, lecz Dardalion był jak latarnia oświetlająca najciemniejsze zakamarki jego duszy.

Usiadł na trawie. Noc była chłodna i jasna, powietrze słodkie.

Dwadzieścia lat. Zniknęły w mroku pamięci. Dwadzieścia lat bez gniewu, które Waylander przetrwał jak pijawka przyczepiona do nieporuszonej skały życia.

I co teraz?

– Teraz umrzesz, głupcze – powiedział głośno. – Ten kapłan zabije cię swoją czystością.

Czy o to chodziło? Czy tego tak się obawiał?

Przez dwadzieścia lat Waylander krążył po górach i równinach cywilizowanych krain, po stepach i pograniczach nadyryjskich plemion, dalekich pustyniach nomadów. Przez ten czas nie pozwalał sobie na przyjaźnie. Nikt nie przebił jego skorupy. Jak żywa forteca, bezpieczny za grubymi murami, Waylander przemykał przez życie jak najbardziej samotny z ludzi.

Dlaczego uratował kapłana? Dręczyło go to pytanie. Jego forteca runęła, a jej mury rozdarły się jak mokry pergamin.

Instynkt podpowiadał mu, żeby dosiąść konia i zostawić grupkę wędrowców – a on ufał swemu instynktowi, wyostrzonemu przez niebezpieczeństwa, jakie niosła jego profesja. Ruchliwość i szybkość trzymały go przy życiu; mógł uderzyć jak wąż i zniknąć przed nadejściem świtu.

Waylander Zabójca, księżę zamachowców. Tylko przypadkiem mógł zostać ujęty, nie miał

bowiem domu – jedynie krótką listę kontaktów, ludzi zbierających dla niego kontrakty w tuzinie różnych miast. Pojawiał się tam w środku nocy, po kolejny kontrakt lub zapłatę, po czym znikał, nim nadszedł świt. Zawsze tropiony i znienawidzony, Zabójca poruszał się w mroku, skryty w ciemnościach.

Wiedział, że ścigający są już bardzo blisko. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, powinien zniknąć wśród pustkowi lub popłynąć za morze, do Ventrii i wschodnich królestw.

– Ty głupcze – szepnął. – Czyżbyś chciał umrzeć?

A jednak kapłan zatrzymał go nie rzuconym zaklęciem.

– Podciąłeś skrzydła orłu, Dardalionie – powiedział cicho.

Przypomniawszy sobie wiejski ogród pełen kwiatów: hiacyntów, tulipanów i przekwitających narcyzów. Jego syn wyglądał tak spokojnie, leżąc tam, a krew nie odróżniała się od jaskrawego kwiecica. Waylander poczuł szarpiący ból, ostry jak krawędzie rozbitego szkła. Tanya została przywiązana do łóżka, a potem wypatroszona jak ryba. Dwie dziewczynki... malutkie...

Zapłakał za utraconymi latami.

Wrócił do obozu godzinę przed wschodem słońca i znalazł ich wszystkich pogrążonych we śnie. Potrząsnął głową nad ich głupotą i podsycił dogasające ognisko, przygotowując gorący posiłek z płatków zbożowych w miedzianym garnku. Dardalion obudził się pierwszy; uśmiechnął się na powitanie i przeciągnął.

– Rad jestem, że wróciłeś – rzekł, podchodząc do ognia.

– Musimy zdobyć jakąś żywność – powiedział Waylander – bo mamy niewielkie zapasy. Wątpię, czy znajdziemy jakąś nie spaloną wieś, zatem będziemy musieli zapolować. Może będziesz zmuszony zapomnieć o swoich zasadach, kapłanie, jeśli nie zechcesz paść z głodu.

– Mogę z tobą porozmawiać?

– Dziwne pytanie. Myślałem, że rozmawiamy?

Dardalion odszedł od ogniska, a Waylander westchnął i zdjął miedziany garnek z ognia, zanim dołączył do kapłana.

– Skąd to przygnębienie? Czyżbyś żałował, że obciążylesz nas tą kobietą i jej dzieciakami?

– Nie. Ja... muszę poprosić cię o przysługę. Nie mam prawa...

– Wyduś to z siebie, człowieku. Co się z tobą dzieje?

– Zaprowadzisz je do Egela?

– Sądziłem, że taki właśnie mamy plan. Dobrze się czujesz, Dardalionie?

– Tak... Nie... Widzisz, ja umrę.

Dardalion odwrócił się i wszedł na zbocze dolinki. Waylander poszedł za nim. Znalazłszy się na szczycie, Dardalion opowiedział mu o spotkaniu z duchem wojownika, a towarzysz wysłuchał go w milczeniu. Sprawy mistyków były dla niego zamkniętą księgą, lecz znał ich moc i nie wątpił, że Dardalion mówi prawdę. Nie zdziwiło go to, że pościg depcze mu po piętach. W końcu zabił jednego z nich.

– Widzisz zatem – zakończył kapłan – dlaczego miałem nadzieję, że kiedy mnie już nie będzie, zaprowadzisz Danyał i dzieci w bezpieczne miejsce.

– Czyżbyś był tak dobrze wyćwiczony w apatii, Dardalionie?

– Nie mogę zabijać – a to jedyny sposób, aby ich powstrzymać.

– Gdzie był ich obóz?

– Na południu. Nie możesz tam iść – jest ich siedmiu.

– Ale tylko jeden, twoim zdaniem, dysponuje Mocą?

– Tak sądzę; powiedział, że zabije mnie tuż po zmroku. Proszę, nie idź, Waylanderze. Nie chcę być powodem niczyjej śmierci.

– Ci ludzie ścigają mnie, kapłanie, więc nie mam wyboru. Jeśli obiecuję zostać z kobietą, na pewno mnie znajdą. Lepiej będzie, jeśli sam ich poszukam i podejmę walkę na moich warunkach. Dziś musisz tu zostać. Czekaj na mnie. Jeśli nie wrócę do rana, ruszajcie na północ.

Waylander pozbierał swoje juki oraz ekwipunek i o pierwszym brzasku odjechał na południe. Wskakując na koń, zawołał:

– Zgaście ogień – dym widać na wiele mil. Nie rozpalajcie go do zmroku.

Dardalion odprowadzał go posępnym spojrzeniem.

– Dokąd on jedzie? – zapytała Danyał, podchodząc i stając obok niego.

– Ocalić mi życie – orzekł Dardalion i jeszcze raz opowiedział o podróży, którą odbył jego duch. Kobieta zdawała się rozumieć go i ujrzał litość w jej oczach. W tym momencie pojął, że tym wyznaniem wziął na swoje sumienie ogromny ciężar. Opowiadając o tym Waylanderowi, zmusił go, żeby za niego walczył.

– Nie obwiniaj się.

– Nie powinienem był mu mówić.

– A czy w ten sposób nie zgubiłbyś nas wszystkich? On musiał wiedzieć, że na niego polują.

– Powiedziałem mu o tym, żeby mnie ocalił.

– Nie wątpię. Jednak musiał to wiedzieć. Musiałeś go ostrzec.

– Tak, choć uczyniłem to z egoistycznych pobudek.

– Jesteś człowiekiem, Dardalionie, nie tylko kapłanem. Jesteś dla siebie zbyt surowy. Ile masz lat?

– Dwadzieścia pięć. A ty?

– Dwadzieścia. Od jak dawna jesteś kapłanem?

– Pięć lat. Ojciec wyuczył mnie na architekta, ale nigdy nie miałem do tego serca. Zawsze pragnąłem służyć Źródłu. Jako dziecko często miewałem wizje, które moich rodziców wprawiały w zakłopotanie. – Dardalion nagle uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Ojciec był przekonany, że jestem opętany, i kiedy skończyłem osiem lat, zabrał mnie do świątyni Źródła w Sardii, żeby odprawiono nade mną egzorcyzmy. Wściekł się, gdy mu powiedzieli, że po prostu mam dar! Od tego czasu chodziłem do szkoły przy świątynnej. Powinienem zostać akolitą w wieku piętnastu lat, lecz ojciec nalegał, żebym został w domu i uczył się zawodu. Zanim mu to wyperswadowałem, skończyłem dwudziestkę.

– Czy twój ojciec jeszcze żyje?

– Nie wiem. Vagryjczycy spalili Sardię i wymordowali kapłanów. Zakładam, że zrobili to samo z okolicznymi mieszkańcami.

– Jak zdołałeś uciec?

– Nie byłem tam w tej strasznej chwili; opat posłał mnie do Skody z wieściami dla monasteru w górach, jednak gdy tam przybyłem, klasztor też już płonął. W powrotnej drodze zostałem pojmany i wtedy ocalił mnie Waylander.

– Nie wygląda na człowieka, który ratowałby kogokolwiek.

Dardalion zachichotał.

– No cóż, nie. Prawdę mówiąc, odbierał konia najemnikom, którzy mu go ukradli, a ja – dość nieoczekiwanie – dostałem mu się jako dodatek.

Dardalion zaśmiał się ponownie, a potem ujął dłoń Danyal.

– Dziękuję ci, siostrze.

– Za co?

– Za to, że poświęciłaś swój czas, żeby odwieść mnie od litowania się nad sobą. Przykro mi, że obarczyłem cię tym brzemieniem.

– To żadne brzemię. Jesteś miłym człowiekiem i pomagasz nam.

– Jesteś bardzo mądra i cieszę się, że cię spotkałem – odparł Dardalion, całując ją w rękę. – Chodźmy, zbudźmy dzieci.

Przez cały dzień Dardalion i Danyal zabawiali dzieci w lesie. Kapłan opowiadał im różne historie, a Danyal bawiła się z nimi w szukanie skarbów, zbieranie kwiatków, splatanie wianków. Przez większą część ranka świeciło słońce, lecz w południe niebo zaczęło ciemnieć i wkrótce deszcz zagonił ich z powrotem do obozu, gdzie schronili się pod rozłożystą sosną. Tam zjedli resztę chleba i trochę suszonych owoców pozostawionych przez Waylandera.

– Robi się ciemno – powiedziała Danyal. – Czy możemy już rozpalić ogień?

Dardalion nie odpowiedział. Nie odrywał oczu od siedmiu mężczyzn wychodzących spomiędzy drzew, z mieczami w dłoniach.

Rozdział 3

Dardalion ze znużeniem podniósł się z ziemi. Naciągające się przy tym szwy na piersi i sińce na żebrach sprawiły, że się skrzywił. Nawet gdyby był wojownikiem, nie zdołałby sam powstrzymać ani jednego z tych wolno podchodzących ku niemu napastników.

Wiódł ich ten człowiek, który tak wystraszył go poprzedniej nocy. Szedł z uśmiechem na ustach. Za nim, postępując półokręgiem, podążało sześciu żołnierzy w długich płaszczach, narzuconych na czarne pancerze. Hełmy zasłaniały im twarze, tak że tylko oczy były widoczne w prostokątnych szczelinach wizjerów.

Za plecami Dardaliona Danyal odwróciła się do dzieci i objęła je ramionami, aby do ostatniej chwili oszczędzić im straszego widoku.

Kapłan poczuł, że ogarnia go straszliwa bezradność. Zaledwie kilka dni wcześniej chętnie zniósłby męczarnie – tortury i śmierć. Jednak teraz czuł strach dzieci i pożałował, że nie ma miecza lub łuku, żeby ich bronić.

Nadchodzący przystanęli i wojownik, który ich prowadził, obrócił się bokiem do Dardaliona, patrząc na przeciwległy skraj kotlinki. Dardalion obejrzał się.

W gasnącym czerwonym blasku zachodzącego słońca stał Waylander, szczelnie owinięty opończą. Słońce zachodziło za jego plecami i wojownik stał na tle krwawoczerwonego nieba – nieruchomy, lecz tak groźny, że zdawał się rzucać czar na całą tę scenę. Jego skórzany płaszcz lśnił w gasnącym świetle i na jego widok Dardalion poczuł przyływ otuchy. Już raz na jego oczach rozgrywał się taki dramat i wiedział, że pod płaszczem Waylander miał śmiertcioną kuszę, napiętą i gotową do strzału.

Jednak ta nadzieja zgasła równie szybko, jak się pojawiła. Wtedy miał przeciw sobie pięciu niczego nie podejrzewających najemników, a teraz siedmiu wojowników w zbrojach. Wyszkolonych zabójców. Vagryjskie Ogary Chaosu.

Waylander nie zdołał stawić im czoła.

W tej okropnej chwili Dardalion stwierdził, że zastanawia się, dlaczego Waylander wrócił w tak beznadziejnej sytuacji. Przecież nie miał powodu, żeby oddać za nich życie – nie z powodu wiary czy niezłomnych przekonań.

Tymczasem stał tam, jak jakiś leśny posąg.

Cisza działała na nerwy Vagryjczykom jeszcze bardziej niż Dardalionowi. Wojownicy wiedzieli, że w ciągu kilku następnych minut rozgorzeje walka, śmierć spadnie na kotlinkę i miękką murawę spłynie krew. Byli ludźmi wojny, na co dzień obcującymi ze śmiercią, którą powstrzymywali zręcznością lub szaleństwem, topiąc strach we krwi. Tymczasem teraz stanęli z nią twarzą w twarz... każdy z osobna.

Posępny kapłan Bractwa oblizwał wargi i miecz zaciążył mu w dłoni. Wiedział, że przewaga jest po ich stronie, miał pewność, iż Waylander zginie, jeśli wyda rozkaz ataku. A jednocześnie doskonale wiedział... że umrze w tej samej chwili, gdy wyda ten rozkaz.

Danyal nie mogła dłużej znieść tej ciszy; odwróciła się i ujrzała Waylandera. Ruch jej ciała sprawił, że Miriel otworzyła oczy i zobaczyła wojowników w hełmach.

Krzyknęła.

Czar prysnął...

Płaszcz Waylandera załopotał i kapłan Bractwa runął na wznak z czarnym bełtem w oku. Zadrgał konwulsyjnie i znieruchomiał.

Sześciu wojowników nie ruszyło się z miejsca; po chwili pierwszy powoli wsunął miecz do pochwy, a inni poszli za jego przykładem. Niezmiernie wolno wycofali się w mrok zapadający wśród drzew.

Waylander nawet nie drgnął.

– Przyprawdźcie konie – powiedział cicho – i pozbierajcie koce.

Godzinę później rozbili obóz w płytkiej jaskini na wyżynie i rozpalili maleńkie ognisko. Dym unosił się przez szczelinę w sklepieniu groty, którą mimo to wypełnił zapach palonego drewna. Była to przyjemna woń. Kapłan podszedł do leżącej opodal Danyal, a widząc, że nie śpi, usiadł koło niej.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Dziwnie się czuję – przyznała. – Byłam tak przygotowana na śmierć, że opuścił mnie strach. A jednak żyję. Dlaczego on wrócił?

– Nie wiem. On też nie wie.

– Czemu oni odeszli?

Dardalion oparł się plecami o ścianę jaskini, wyciągając nogi do ognia.

– Nie jestem pewien. Wiele o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że to chyba leży w naturze żołnierzy. Są wyszkoleni, by walczyć i zabijać na rozkaz – słuchać bez wahania. Nie

działają indywidualnie. A gdy dochodzi do walki, zazwyczaj sytuacja jest jasna: trzeba zdobyć miasto lub pokonać wojska nieprzyjaciela. Pada rozkaz, narastają emocje – zagłuszając strach – i atakują tłumnie, czerpiąc siłę z otaczającej ich ciżby. Tymczasem dziś nikt nie wydał rozkazu, a Waylander, stojąc nieruchomo, nie dał im powodu do rozlewu krwi.

– Przecież nie mógł wiedzieć, że uciekną – upierała się.

– Nie mógł. Jednak nie dbał o to.

– Nie rozumiem.

– Prawdę mówiąc, ja też nie jestem pewien, że rozumiem, ale czułem to wtedy. Nie zależało mu... i oni o tym wiedzieli. Z nimi było przeciwnie, im bardzo zależało. Nie chcieli umierać i nie byli gotowi do walki.

– Przecież mogli go zabić... zabić nas wszystkich.

– Owszem, mogli. Jednak nie zrobili tego – i za to jestem wdzięczny. Śpij teraz, siostrze. Zyskaliśmy kolejną noc.

Na zewnątrz Waylander patrzył w gwiazdy. Wciąż był otępiały po potyczce i raz po raz przywoływał wspomnienia.

Znalazł ich obóz opuszczony i ruszył za nimi, czując narastający strach. Zsiadłszy z konia w lesie, dotarł do kotlinki tylko po to, by ujrzeć nadchodzące Ogary. Napiął kuszę i przystanął. Pójść naprzód oznaczało umrzeć i instynkt kazał mu wracać.

A jednak poszedł tam, odrzucając lata doświadczeń, aby oddać życie w imię jakiejś bzdury.

Dlaczego, do wszystkich diabłów, po prostu nie odszedł?

Obojętnie, ile razy zadawał sobie to pytanie, i tak nie zdołał znaleźć odpowiedzi.

Jakiś ruch po lewej wyrwał go z zadumy i odwróciwszy się, zobaczył jedno z dzieci wychodzące z jaskini. Dziewczynka nie rozglądała się na boki. Waylander podszedł do niej i lekko dotknął jej ramienia, ale szła dalej, nieświadoma jego obecności. Pochyliwszy się, podniósł ją. Miała zamknięte oczy i opuszczała głowę na jego ramię. Była bardzo lekka, gdy szedł z nią z powrotem do jaskini, chcąc położyć ją obok siostry. Jednak potem zatrzymał się przy wejściu i usiadł, plecami oparty o skałę, szczelnie otulając dziewczynkę płaszczem.

Siedział tak przez kilka godzin, czując na szyi jej ciepły oddech. Dwukrotnie budziła się i znów zapadała w sen. Kiedy świt rozjaśnił niebo, zaniósł ją z powrotem do środka i położył obok jej siostry.

Potem wrócił do wylotu jaskini...

Sam.

Krzyk Danyal wyrwał Waylandera ze snu. Z nożem w ręce zerwał się na równe nogi i wpadł do jaskini, gdzie zastał kobietę klęczącą obok nieruchomego kapłana. Waylander opadł na kolana i chwycił przegub Dardaliona. Nie wyczuł śladu życia.

– Jak? – szepnęła Danyal.

– Niech cię szlag, kapłanie! – krzyknął Waylander. Twarz Dardaliona była biała i woskowa, skóra zimna w dotyku. – Pewnie miał słabe serce – rzekł z goryczą.

– On walczył z tym człowiekiem – powiedziała Miriel. Waylander obrócił się do dziewczynki, która siedziała na końcu jaskini, trzymając się z siostrą za ręce.

– Walczył? – spytał. – Z kim walczył?

Miriel odwróciła wzrok.

– Chodź tutaj, Miriel – zachęciła Danyal. – Z kim walczył?

– Z tym człowiekiem ze strzałą w oku.

Danyal zwróciła się do Waylandera.

– To był tylko sen; to nic nie oznacza. Co teraz zrobimy?

Waylander nie odpowiedział. Kiedy wypytywała dziewczynkę, on trzymał rękę Dardaliona i w końcu wyczuł naj słabszy z pulsów.

– On żyje – szepnęła. – Idź porozmawiać z dzieckiem. Dowiedz się czegoś o tym śnie – szybko, już!

Danyal przez kilka minut siedziała spokojnie z dzieckiem, a potem wróciła.

– Mówi, że ten człowiek, którego zabiłeś, pochwyił ją i zmusił do płaczu. Wtedy przyszedł kapłan i tamten krzychał na niego; miał miecz i usiłował go zabić. Walczyli – wyżej niż gwiazdy. To wszystko.

– On obawiał się tego człowieka – mruknął Waylander. – Wierzył, że tamten ma demoniczną moc. Jeśli miał rację, to śmierć mogła go nie powstrzymać. Może teraz ściga Dardaliona.

– Ujdzie z życiem?

– Jak? – warknął Waylander. – Nie będzie walczył.

Danyal pochyliła się, kładąc dłoń na ramieniu Waylandera. Wyczuła napięte, drgające mięśnie.

– Zabierz tę rękę, kobieto, albo ci ją utnę. Nikomu nie wolno mnie dotykać!

Danyal odskoczyła, obrzucając go gniewnym spojrzeniem zielonych oczu, ale powstrzymała złość i wróciła do dzieci.

– Niech was wszystkich diabli porwą! – syknął Waylander. Głęboko zaczerpnął tchu, opanowując wrzącą w nim furię. Danyal i dzieci siedziały w milczeniu, uważnie go obserwując. Danyal wiedziała, co go dręczy; kapłan był w niebezpieczeństwie, a wojownik, mimo swoich śmiertelnych umiejętności, był bezsilny. Do bitwy doszło w innym świecie i Waylander był bezradnym obserwatorem.

– Jak mogłeś być taki głupi, Dardalionie? – szepnął. – Każde stworzenie walczy o przetrwanie. Powiadasz, że Źródło stworzyło świat? A zatem stworzyło tygrysa i jelenia, orła i jagnię. Myślisz, że chciało, by orzeł jadł trawę?

Zamilkł na kilka minut, wspominając, jak kapłan klęczał nago przy szatach rabusiów.

– Nie mogę ich nosić, Waylanderze...

Przesunął chwyt z przegubu nieprzytomnego na jego dłoń i gdy ich palce zetknęły się, poczuł słabo wyczuwalny ruch. Gdy mocniej uściśnął rękę kapłana, ramię Dardaliona wyprężyło się konwulsyjnie, a twarz ściągnęła się z bólu.

– Co się z tobą dzieje, kapłanie? Gdzie jesteś, na wszystkie moce piekieł!

Na wzmiankę o piekle Dardalion ponownie drgnął i cicho jęknął.

– Gdziekolwiek jest, cierpi – powiedziała Danyal, podchodząc i klękając przy kapłanie.

– Drgnął, gdy nasze dłonie zetknęły się – rzekł Waylander. – Przynies mi kuszę, kobieto – tam, u wylotu jaskini.

Danyal poszła po broń i przyniosła ją wojownikowi.

– Włóż mu ją w prawą dłoń i zaciśnij na niej palce.

Danyal rozchyliła dłoń Dardaliona i zagięła jego palce wokół hebanowej rękojeści. Kapłan wrzasnął; palce drgnęły spazmatycznie i kusza ze szczękiem upadła na ziemię.

– Przytrzymaj mu palce.

– To sprawia mu ból. Po co to robisz?

– Ból to życie, Danyal. Musimy przywrócić jego duszę ciału – rozumiesz? Duch tego zabitego nie zdoła go wtedy skrzywdzić. Musimy sprowadzić go z powrotem.

– On jest kapłanem, ślubował czystość.

– I co?

– Splamisz jego duszę.

Waylander zaśmiał się.

– Mogę nie być mistykiem, ale wierzę w duszę. To, co trzymasz w dłoni, to tylko drewno i metal. Dardalion może być dotknięty, lecz nie sądzę, by jego duch był tak słaby, żeby miało go to zabić. Jednak wróg zrobi to na pewno – więc decyduj!

– Zdecydowałam, że cię nienawidzę – powiedziała Danyal, rozchylając dłoń Dardaliona i ponownie wciskając w nią hebanową rękojeść kuszy. Kapłan wił się i wrzeszczał. Waylander wyjął zza pasa nóż i rozciął nim sobie przedramię. Krew najpierw pociekła, a potem popłynęła z rany. Gdy wojownik przytrzymał rękę nad twarzą nieprzytomnego, krew opryskała skórę, ściekając po zamkniętych powiekach do ust i gardła.

Dardalion wydał jeszcze jeden przeraźliwy krzyk i gwałtownie otworzył oczy. Potem uśmiechnął się i znów je zamknął. Odetchnął głęboko i zasnął. Waylander sprawdził mu puls – był silny i równy.

– Słodki Panie Światła! – powiedziała Danyal. – Dlaczego? Dlaczego krew? – Według Źródła żaden kapłan nie może posmakować krwi, gdyż ta jest siedliskiem duszy – wyjaśnił. – Broń nie wystarczyła, lecz krew sprowadziła go z powrotem.

– Nie rozumiem cię. I nie chcę.

– On żyje, kobieto. Czego jeszcze chcesz?

– Od ciebie niczego.

Waylander uśmiechnął się i wstał. Wziąwszy z juków mały brezentowy woreczek, wyjął z niego płócienny bandaż i niezgrabnie owinął nim płytkie rozcięcie na przedramieniu.

– Zechciałabyś zawiązać to na węzeł?

– Obawiam się, że nie – odparła. – Musiałabym cię dotknąć, a nie chcę, żebyś uciął mi rękę!

– Przepraszam za to. Nie powinienem był tak mówić.

Nie czekając na odpowiedź, Waylander opuścił jaskinię, wpychając końce bandaża pod opatrunek.

Dzień był jasny i chłodny, a górskie wiatry ostre od śniegu szczytów Skody. Waylander wszedł na wierzchołek pobliskiego pagórka i spojrzął w błękitną dal. Góry Delnoch były wciąż za daleko, aby dostrzec je gołym okiem.

Przez następne trzy lub cztery dni będą podróżować łatwo, przemykając z lasu do lasu, przez niewielkie połacie otwartej przestrzeni. Jednak później rozciągnie się przed nimi sentrańska

równina, płaska i monotonna.

Aby niepostrzeżenie przekroczyć to pustkowie, potrzeba więcej szczęścia, niż człowiek ma prawo oczekiwać. Sześcioro ludzi i dwa konie! W tempie, w jakim będą zmuszeni podróżować, pokonanie równiny zajmie im tydzień – tydzień bez ogniska i ciepłej stawy. Waylander rozważył inne szlaki: na północny wschód, do Purdol, miasta nad morzem. Mówiono, że vagryjska flota zakotwiczyła u wejścia do portu, wysadzając armię, która oblegała cytadelę. Jeśli to prawda – a Waylander tak podejrzewał – to vagryjscy zwiadowcy będą przetrząsać okolicę w poszukiwaniu żywności i zaopatrzenia. Na północnym zachodzie leżała już Vagria i cytadela Segril, lecz tamtędy wojska wlewały się na ziemię Drenajów. Na północy rozciągała się równina sentrańska, a za nią las Skultik i góry, uważane za ostatni punkt drenajskiego oporu na zachód od Purdol.

Tylko czy Egel nadal trzyma Skultik?

Czy ktokolwiek mógł z resztkami pobitej armii powstrzymać Ogary Chaosu? Waylander wątpił w to... jednak pozostawała iskierka nadziei. Egel był najzdolniejszym z drenajskich generałów owych czasów, niezbyt błyskotliwym, lecz solidnym – i umiał utrzymać dyscyplinę, w przeciwieństwie do dworaków, których Król Niallad zazwyczaj wyznaczał na dowódców swych wojsk. Egel był człowiekiem z północy, nieokrzesanym i czasem trudnym, lecz charyzmatycznym i silnym. Waylander widział go kiedyś podczas parady w Drenanie i uznał, że Egel wyróżnia się w tłumie jak odyniec wśród gazeli.

Teraz ten odyniec przyczał się w Skultik.

Waylander miał nadzieję, że utrzyma się tam, przynajmniej do czasu, aż on dotrze do Skultik z kobietą i dziećmi.

Jeśli dotrze.

Po południu Waylander ustrzelił jelonka. Zawiesiwszy tuszę na pobliskim drzewie, wyciął najlepsze kawałki i zaniósł je do jaskini. Robiło się już ciemno, kiedy tam przybył, lecz kapłan wciąż spał. Danyał rozpałała ogień, a Waylander sporządził prowizoryczny rożen, aby upiec dziczyznę. Dzieci usiadły przy ogniu, patrząc, jak krople tłuszczu spadają w płomienie – miały pusto w brzuchach i głód w oczach.

Zdjąwszy mięsiwo z rożna, Waylander położył je na płaskim kamieniu, żeby ostygło; potem

uciął porcje dla dzieciaków, a na końcu dla Danyal.

– Jest trochę twarde – narzekała.

– Jeleń zobaczył mnie, gdy puściłem strzałę – wyjaśnił. – Napiął mięśnie do ucieczki.

– Mimo to jest smaczny – przyznała.

– Dlaczego Dardalion wciąż śpi? – spytała Miriel, uśmiechając się do Waylandera i przechylając głowę na bok, tak że długie włosy opadły jej na twarz.

– Był bardzo zmęczony – odparł wojownik – po zmaganiach z tym mężczyzną, którego widziałaś.

– Posiekał go na kawałki – powiedziała dziewczynka.

– Tak, jestem tego pewna – przytaknęła Danyal. – Jednak dzieci nie powinny wymyślać bajek – szczególnie okropnych bajek. Wystraszysz siostrzyczkę.

– Widziałyśmy go – oznajmiła Krylla, a Miriel pokiwała głową. – Kiedy siedzieliście przy Dardalionie, zamknęłyśmy oczy i patrzyłyśmy. Był cały srebrny i miał błyszczący miecz – dogonił tego niedobrego człowieka i posiekał go na kawałki. I śmiał się!

– A co widzicie, kiedy zamkniecie oczy? – spytał Waylander.

– Gdzie? – zapytała Miriel.

– Przed jaskinią – odparł spokojnie wojownik.

Miriel zamknęła oczy.

– Tam nic nie ma – powiedziała, nie podnosząc powiek.

– A tam dalej, przy szlaku, koło wielkiego dębu. Co teraz widzisz?

– Nic. Drzewa. Strumyczek. Och!

– Co to?

– Dwa wilki. Skaczą pod drzewem, jakby tańczyły.

– Podejdź bliżej.

– Dopadną mnie – zaprotestowała.

– Nie – nie teraz, kiedy tu jestem. Nie zauważą cię. Podejdź bliżej.

– Podskakują do tego biednego małego jelonka, który jest na drzewie; wisi tam.

– Dobrze; teraz wróć i otwórz oczy.

Miriel popatrzyła na niego i ziewnęła.

– Jestem zmęczona – powiedziała.

– Tak – rzekł łagodnie Waylander. – Opowiedz mi najpierw – jak bajeczkę na dobranoc –

o Dardalionie i tamtym mężczyźnie.

– Ty mu powiedz, Krylla. Lepiej opowiadasz bajki.

– No – zaczęła Krylla, nachylając się lekko – ten niedobry mężczyzna ze strzałą w oku złapał Miriel i mnie. Robił nam krzywdę. Potem pojawił się Dardalion i mężczyzna puścił nas. W jego dłoni pojawił się wielki miecz. A my uciekłyśmy, prawda, Miriel? Poszłyśmy i spałyśmy w twoich ramionach, Waylanderze. Tam byłyśmy bezpieczne. Jednak Dardalion był mocno poraniony i leciał bardzo szybko. Nie mogłyśmy go dogonić. Zobaczyłyśmy go znowu, kiedy ty i Danyal trzymaliście go. Zdawał się rosnąć, był cały okryty zbroją, a jego szaty zajęły się ogniem i spłonęły. Potem w jego dłoni pojawił się miecz, a on zaczął się śmiać. Miecz tamtego był czarny i złamał się, prawda, Miriel? Później tamten klęknął i zaczął płakać. Dardalion uciął mu ręce i nogi, a on po prostu zniknął. Wtedy Dardalion śmiał się jeszcze głośniejsze. Później też zniknął i wrócił do domu, tu, gdzie leżało jego ciało. I teraz nic nam nie grozi.

– Tak, teraz nic nam nie grozi – przytaknął Waylander. – Myślę, że pora spać. Jesteś zmęczony, Culasie?

Chłopiec ponuro kiwnął głową.

– Co ci, chłopcze?

– Nic.

– No, powiedz mi.

– Nie.

– Jest zły, bo nie może z nami latać – zachichotała Miriel.

– Nie jestem – warknął Culas. – A zresztą, i tak wszystko to zmyśliłyście.

– Słuchaj, Culasie – rzekł Waylander. – Ja też nie potrafię latać i wcale mnie to nie martwi.

Teraz przestańcie się spierać i śpijcie. Jutro czeka nas długi dzień.

Kiedy dzieci skuliły się pod ścianą jaskini, Danyal podeszła do Waylandera.

– Myślisz, że mówiły prawdę?

– Tak, ponieważ Miriel zobaczyła miejsce, gdzie ukryłem jelenia.

– A zatem Dardalion zabił swego wroga?

– Na to wygląda.

– Czuję się nieswojo – nie wiem dlaczego.

– To był zły duch. Czego spodziewałaś się po kapłanie? Miał go pobłogosławić?

– Dlaczego jesteś zawsze taki niemły, Waylanderze?

– Ponieważ taki chcę być.

– W takim razie nie sądzę, abyś miał wielu przyjaciół.

– Nie mam żadnych przyjaciół.

– Czy to nie czyni cię samotnym?

– Nie. To trzyma mnie przy życiu.

– Cóż to musi być za życie, pełne radości i śmiechu! – zadrwiła. – Dziwię się, że nie jesteś poetą.

– Skąd ta złość? – zapytał. – Czemu miałoby cię to obchodzić?

– Bo jesteś częścią naszego życia. Bo dopóki żyjemy, pozostaniesz w naszych wspomnieniach. Osobiście wolałabym innego wybawcę.

– Tak, widziałem kilka sztuk – rzekł Waylander. – Bohater ma złote włosy i biały płaszcz. No cóż, kobieto, ja nie jestem bohaterem – tylko człowiekiem schwytanym w pajęczynę kapłana. Myślisz, że on się splamił? No, ja też. Różnica polega na tym, że on potrzebował mrocznej strony mojej natury, żeby przeżyć. Natomiast jego Światło mnie zniszczy.

– Czy wy nigdy nie przestaniecie się kłócić? – spytał Dardalion, siadając i przeciągając się.

Danyal podbiegła do niego.

– Jak się czujesz?

– Głodny jak wilk!

Odrzucił koc i podszedł do ogniska, zręcznie nadziewając na rożen dwa kawałki mięsa. Zawiesił je nad ogniem i podsycił go kilkoma gałązkami.

Waylander nic nie powiedział, ale smutek spowił go jak czarny płaszcz.

Rozdział 4

Waylander zbudził się pierwszy i wyszedł z jaskini. Zdjąwszy koszulę i skórznie, wszedł do lodowatego strumienia i położył się na plecach, pozwalając obmywać się wodzie. Strumyk miał ledwie kilka cali głębokości, za to silny nurt, który powoli spychał go po stromym dnie. Przetoczywszy się na brzuch, umył twarz i brodę, po czym wstał i wydostał się na brzeg, gdzie usiadł na trawie, czekając, aż poranny wietrzyk osuszy mu skórę.

– Wyglądasz jak zdechła trzy dni temu ryba – powiedziała Danyal.

– A ty zaczynasz pachnieć tak jak ona – odparł ze śmiechem. – No już, umyj się!

Przez moment spoglądała na niego uważnie, a potem wzruszyła ramionami i zrzuciła zieloną tunikę. Waylander oparł się na łokciach i obserwował ją. Miała wąską talię, krągłe biodra i skórę jak...

Odwrócił się i patrzył na rudą wiewiórkę skaczącą po konarach pobliskiego drzewa, a potem wstał i przeciągnął się. Opodal strumienia rosły gęste krzaki, a wśród nich kępa cytrynowca. Zerwał garść tarczowatych liści i zaniósł je Danyal.

– Masz, pognieć je w dłoni i wetrzyj sok w skórę.

– Dziękuję – powiedziała, wyciągając rękę.

Nagle świadomy własnej nagości Waylander znalazł swoje rzeczy i ubrał się. Pożałował, że nie ma zapasowej koszuli, którą nosił kapłan, bo ta była zakurzona od drogi. Ubrawszy się, wrócił do jaskini i wciągnął kolczugę na czarny skórzany kubrak. Włożył buty, wyjął dwa zapasowe noże i starannie naostrzył je oselką, po czym umieścił je z powrotem w pochwach wszytych w cholewkach.

Obserwujący go Dardalion widział, jak pieczołowicie szykuje swą broń.

– Mógłbyś dać mi jakiś nóż? – zapytał. – Oczywiście. Ciężki czy lekki?

– Ciężki.

Waylander podniósł pas i odpiął czarną pochwę z nożem o hebanowej rękojeści.

– Ten powinien się nadać. Klinga jest dostatecznie ostra, by można się nią golić, i obosieczna.

Dardalion przypiął nóż do swego wąskiego paska i przesunął go na prawe biodro.

– Jesteś leworęczny? – zapytał Waylander.

– Nie.

– To umieść go na lewym biodrze. W ten sposób, kiedy go wyciągniesz, ostrze będzie zwrócone do przeciwnika.

– Dziękuję.

Waylander zapiął swój pas i potarł podbródek.

– Martwisz mnie, kapłanie.

– Dlaczego?

– Wczoraj obszedłbyś żuka na drodze, dzisiaj jesteś gotów zabić człowieka. Czyżby twoja wiara była tak słaba?

– Moja wiara pozostała nie zmieniona, Waylanderze. Jednak teraz widzę sprawy trochę inaczej. Przekazałeś mi to z twoją krwią.

– Zastanawiam się, czy to był dar czy kradzież? Czuję się tak, jakbym obrabował cię z czegoś cennego.

– Jeśli tak, to zapewniam cię, że nie odczuwam braku.

– Czas pokaże, kapłanie.

– Nazywaj mnie Dardalionem. Wiesz, że tak mam na imię.

– Czy "kapłan" już ci nie wystarcza?

– Bynajmniej. Czy ty wolałbyś, żebym nazywał cię zabójcą?

– Nazywaj mnie, jak chcesz. Nic, co powiesz, nie zmieni sposobu, w jaki na siebie patrzę.

– Uraziłem cię? – spytał Dardalion.

– Nie.

– Nie spytałeś o mój pojedynek z wrogiem.

– Nie, nie spytałem.

– Czyżby to ciebie nie obchodziło?

– Wcale nie, Dardalionie. Nie wiem dlaczego, ale obchodzi mnie to. Moje pobudki są o wiele mniej skomplikowane. Moją profesją jest śmierć, przyjacielu – ostateczna. Siedzisz tu, a więc zabiłeś go i on już mnie nie interesuje. Niepokoi mnie to, że odrąbałeś mu ręce i nogi, ale zostawię tę sprawę, tak jak zostawię was, gdy tylko dotrzemy do Egela.

– Miałem nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

– Nie mam przyjaciół. I nie chcę mieć.

– Czy zawsze tak było?

– Zawsze to długi czas. Miałem przyjaciół, zanim zostałem Waylanderem. Jednak to było w innym wszechświecie, kapłanie.

– Opowiedz mi o tym.

– Nie widzę powodu – odparł Waylander. – Obudź dzieci. Przed nami długi dzień.

Waylander wyszedł z jaskini do uwiązanych koni, osiodłał je i pojechał tam, gdzie zawiesił jelenia. Wyjął brezentową sakwę, wyciął kilka kawałków mięsa i spakował je na wieczorny posiłek. Potem zdjął resztę z drzewa i położył na trawie, dla wilków.

– Czy ty miałeś przyjaciół, jelonku? – zapytał, patrząc na puste szare oczy.

Skierował konia ku jaskini, wspominając dawne dni w Dros Purdol. Był świetnym młodym oficerem, ale sam nie wiedział dlaczego; nie znosił szarż, chociaż lubił dyscyplinę.

On i Gellan byli sobie bliżsi niż bracia, wciąż razem na patrolu czy na dziwkach. Gellan był miłym kompanem i jedynie podczas turnieju Srebrnego Miecza stawali przeciw sobie. Gellan zawsze wygrywał, gdyż był nieludzko szybki. Rozstali się, gdy Waylander poznał Tanyę – córkę kupca z Medrax Ford, miasteczka na południe od Skeln Pass. Był zakochany, zanim się spostrzegł, i zrezygnował z kariery dla życia na wsi.

Gellan był załamany.

– Mimo wszystko – rzekł ostatniego dnia – pewnie niedługo pójdę w twoje ślady. Życie w wojsku bywa okropnie nudne!

Waylander zastanawiał się, czy Gellan to zrobił. Czy został farmerem? Albo kupcem? A może poległ w jednej z wielu bitew, jakie stoczyli Drenajowie?

Jeśli tak, to zapewne jego ciało otaczał spory wał trupów, bo poruszał ostrzem szybciej niż zmija językiem.

– Powinienem być zostać, Gellanie – powiedział do siebie. – Naprawdę powinienem.

Gellan był zgrzany i znużony; pot spływał mu po plecach pod kolczugą, powodując nieznośne swędzenie. Zdjął czarny hełm i przygładził palcami włosy. Nie było wiatru; zaklął cicho.

Czterdzieści mil od Skultik i względnego bezpieczeństwa obozu Egela – a konie były zmęczone, ludzie znużeni i zniechęceni. Gellan podniósł prawą rękę, zaciśniętą w pięść, dając sygnał ”z koni”. Za nim pięćdziesięciu jeźdźców zsiadło z rumaków; nie było rozmów.

Sarvaj jechał obok Gellana i zsiadli jednocześnie. Gellan powiesił hełm na łęku siodła i wyjął zza pasa lnianą chustkę. Otarłszy pot z czoła, zwrócił się do Sarvaja.

– Nie sądzę, żebyśmy znaleźli jakąś ocalałą wieś – rzekł. Sarvaj skinął głową, ale nie odpowiedział. Służył pod rozkazami Gellana od pół roku i wiedział już, kiedy uwagi oficera są czysto retoryczne.

Szli obok siebie przez pół godziny, a potem Gellan dał znak, by zatrzymać się na popas, i wszyscy siedli przy swoich koniach.

– Morale jest kiepskie – rzekł Gellan i Sarvaj skinął głową. Gellan odpiął czerwony płaszcz, przerzucając go przez siodło, splótł dłonie na plecach, przeciągnął się i jęknął. Jak większość wysokich ludzi, męczyły go długie godziny w siodle, powodujące nieustanne bóle krzyża.

– Za długo zostałem w wojsku, Sarvaju. Powinienem zrezygnować w zeszłym roku. Czterdzieści jeden lat to za dużo dla oficera Legionu.

– Dun Esterik ma pięćdziesiąt jeden – zauważył Sarvaj.

Gellan uśmiechnął się.

– Gdybym zrezygnował, zająłbyś moje miejsce.

– W doskonałym momencie; z rozbitą armią i Legionem kryjącym się w lasach. Nie, dzięki!

Zatrzymali się w małej kępie wiązów i Gellan sam poszedł na jej skraj. Sarvaj popatrzył w ślad za nim, a potem zdjął hełm; ciemnoblond włosy miał mocno przerzedzone i łysina świeciła mu od potu. Odruchowo zakrył ją resztkami włosów i ponownie włożył hełm. Piętnaście lat młodszy od Gellana, a wyglądał jak starzec. Zaśmiał się ze swojej próżności i znów zdjął hełm.

Był krępy męczyzną – niezgrabnym, gdy nie siedział w siodle – i jednym z niewielu zawodowych żołnierzy pozostałych w Legionie po drastycznych cięciach z ubiegłej jesieni, kiedy Król Niallad postanowił oprzeć się na pospolitym ruszeniu. Zwolniono dziesięć tysięcy żołnierzy i tylko determinacja Gellana ocaliła Sarvaja.

Teraz Niallad był martwy, a Drenajowie prawie pobici.

Sarvaj nie oplakiwał Króla, który był głupcem... gorzej niż głupcem!

– Znów poszedł na spacer? – usłyszał głos i podniósł głowę. Jonat usiadł na trawie i wyciągnął się jak długi, opierając głowę na splecionych dłoniach.

– Musi pomyśleć.

– Tak. Musi pomyśleć, jak przeprowadzić nas przez ziemie Nadirów. Mam dosyć Skultik.

– Wszyscy mamy dość Skultik, ale nie widzę, jak podróż na północ miałaby nam pomóc. Oznaczałaby po prostu walkę z koczownikami, a nie z Vagryjczykami.

– Przynajmniej mielibyśmy jakieś szansę. Tu nie mamy żadnej. – Jonat podrapał się po rzadkiej czarnej brodzie. – Gdyby tylko posłuchali nas w zeszłym roku, nie siedzielibyśmy w tym bagnie.

– Jednak nie posłuchali – rzekł ze znużeniem Sarvaj.

– Parszywi dworacy! Można by rzec, że Ogary Chaosu oddały nam przysługę, wyrzynając tych skurwysynów.– Nie mów tego Gellanowi – stracił wielu przyjaciół w Skodzie i Drenanie.

– Wszyscy straciliśmy przyjaciół – warknął Jonat – i stracimy ich więcej. Jak długo Egel zamierza trzymać nas w tym przeklętym lesie?

– Nie wiem, Jonacie. Gellan też tego nie wie i wątpię, czy wie to sam Egel.

– Powinniśmy ruszyć na północ, przez Gulgothir, do wschodnich portów. Nie miałbym nic przeciwko temu, by osiąść w Ventrii. Zawsze ciepło, mnóstwo kobiet. Moglibyśmy zostać najemnikami.

– Tak – mruknął Sarvaj, zbyt zmęczony, by się spierać. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Gellan awansował Jonata na kwatermistrza – ten człowiek był pełen żółci i jadu.

Jednak – co najgorsze – miał rację. Kiedy wprowadzano w życie plan Niallada, dowództwo Legionu gwałtownie sprzeciwiało się. Wszystko wskazywało na to, że Vagryjczycy szykują się do inwazji. Jednak Niallad twierdził, że Vagryjczycy obawiają się ataku silnej drenajskiej armii i taki gest umocni tylko pokój i pozwoli na rozkwit handlu.

– Powinni upiec drania na wolnym ogniu – rzekł Jonat.

– Kogo?

– Króla, niech bogowie zdepczą jego duszę! Powiadają, że zabił go płatny zabójca. Powinni w łańcuchach obwozić go po imperium, żeby zobaczył skutki swojej głupoty.

– Zrobił to, co uważał za najlepsze – powiedział Sarvaj. – Miał najlepsze intencje.

– Och, tak! – zadrwił Jonat. – Najlepsze intencje! Chciał zaoszczędzić pieniądze. Nasze pieniądze! Jeśli ta wojna przyniosła coś dobrego, to jedynie to, że na dobre uwolniła nas od szlachty.

– Może. Jednak Gellan też jest szlachcicem.

– Tak?

– Chyba nie nienawidzisz go?

– Nie jest lepszy od innych.– Myślałem, że go lubisz.

– Pewnie nie jest złym oficerem. Trochę za miękkim. Jednak w głębi duszy spogląda na nas z góry.

– Nie zauważyłem.

– Bo nie patrzyłeś dość uważnie.

Jakiś jeździec wpadł galopem w zagajnik i mężczyźni zerwali się na równe nogi, chwytając za broń. To był Kapra, zwiadowca.

Gellan wyszedł spomiędzy drzew do zsiadającego przybysza.

– Co na wschodzie? – zapytał.

– Trzy zniszczone wioski. Kilku uchodźców. Widziałem kolumnę węgryjskiej piechoty – około dwa tysiące. Rozbili obóz koło Ostry, nad rzeką.

– Ani śladu kawalerii?

– Nie.

– Jonat! – zawołał Gellan.

– Tak jest.

– Piechota czeka na zaopatrzenie. Weź dwóch ludzi i jedź na zwiady na wschód – kiedy zobaczysz wozy, wracaj do nas, najszybciej jak potrafisz.

– Tak jest.

– Kapra weźmie żywność, świeżego konia i pojedzie z Jonatem. Zaczekamy tu na was.

Sarvaj uśmiechnął się. Perspektywa nadchodzącej potyczki spowodowała gwałtowną zmianę w zachowaniu Gellana – rozbłysły mu oczy, zaczął mówić krótko i stanowczo. Zniknęła gdzieś zgarbiona postawa i lekkie roztargnienie.

Egel wysłał ich na poszukiwanie żywności dla swych okrążonych sił, ale jechali już trzeci dzień bez powodzenia. Wioski zostały zniszczone, a składy żywności przejęte lub spalone. Bydło spędzono, a owce wytruto na pastwiskach.

– Sarvaj!

– Tak jest!

– Uwiązać konie i podzielić ludzi na pięć grup. Za tymi krzakami jest kotlinka i miejsce na trzy ogniska – jednak nie rozpalajcie ognia, póki gwiazda północy nie będzie jasna i dobrze widoczna. Zrozumiano?

– Tak jest.

– Czterech ludzi stanie na warcie, zmiana co cztery godziny. Sam wybierz miejsca posterunków.

– Tak jest.

Gellan przyglądał czarnego węża i uśmiechnął się chłopięco.

– Żeby tylko wieźli soloną wołowinę – rzekł. – Módl się o soloną wołowinę, Sarvaju!

– I słabą eskortę. Może warto pomodlić się o dziesięciu zbrojnych.

Uśmiech zniknął z twarzy Gellana.

– Niepodobna. Będzie ich co najmniej kwarta, może więcej. A ponadto woźnice. Jednak przekroczymy tę rzekę, gdy do niej dojdziemy. Kiedy ludzie będą odpoczywali, zrób przegląd broni; nie chcę widzieć żadnej tępej szabli.

– Tak jest. – Po chwili zapytał: – Dlaczego nie odpoczniesz?

– Nie muszę.

– Przydałby się choć krótki sen – nalegał Sarvaj.

– Troszczysz się o mnie jak stara baba. Doceniam to, ale daję słowo, że czuję się dobrze.

Gellan pokrył kłamstwo uśmiechem, lecz nie oszukał Sarvaja.

Ludzie byli radzi z odpoczynku, a bez Jonata nastroje poprawiły się. Sarvaj i Gellan siedzieli na uboczu, gawędząc o dawnych czasach. Starając się unikać tematów, które mogłyby przypomnieć Gellanowi o żonie i dwojgu dzieciach, Sarvaj mówił głównie o rzeczach związanych z regimentem.

– Czy mogę o coś zapytać? – odezwał się nagle.

– Czemu nie?

– Dlaczego awansowałeś Jonata?

– Ponieważ ma zdolności, tylko jeszcze ich sobie nie uświadomił.

– On cię nie lubi.

– To bez znaczenia. Obserwuj go – dobrze się spisze.

– Przygnębia ludzi, osłabia morale.

– Wiem. Bądź cierpliwy.

– Namawia, by ruszyć na północ – opuścić Skultik.

– Nie martw się o to, Sarvaju. Ufaj mi.

Ufam ci, pomyślał Sarvaj. Wierzę, że jesteś najlepszym szermierzem w Legionie, zdolnym i ostrożnym oficerem oraz dobrym przyjacielem. A Jonat? Jonat to wąż i Gellan jest zbyt ufny,

aby to zauważyć. Jeśli mu na to pozwoli, Jonat wznieci bunt, który rozszerzy się jak pożar stepu w zdemoralizowanych szeregach armii Egela.

Tej nocy, gdy Gellan leżał przykryty płaszczem z dala od ogniska, zapadł w głęboki sen i znów wróciły te sny. Obudził się nagle i łzy popłynęły mu po policzkach, choć zdusił rodzące się łkanie. Kiedy wstał i wyszedł z obozu, Sarvaj obrócił się na bok i otworzył oczy.

– Niech to szlag! – szepnął.

Przed świtem Sarvaj wstał i sprawdził posterunki. To była najgorsza pora dla wartownika i często człowiek, który jednej nocy stał na warcie od zachodu do północy, następnej nie potrafił wytrzymać do świtu. Sarvaj nie miał pojęcia, co powodowało to zjawisko, ale wiedział, jak mu zapobiec: winny spania na warcie dostawał dwadzieścia batów, a za drugim razem karą była śmierć. Sarvaj nie chciał widzieć swoich ludzi na stryczku, dlatego cieszył się sławą nocnego Marka.

Tej nocy, bezszelestnie skradając się przez las, znalazł wszystkich czterech wartowników przytomnych i czujnych. Zadowolony, wrócił na posłanie, przy którym zastał czekającego nań Gellana. Oficer wyglądał na zmęczonego, ale patrzył przytomnie.

– Nie spałeś – rzekł Sarvaj.

– Nie, myślałem o tym konwoju. Wszystko, czego nie zabierzemy, musimy zniszczyć; Vagryjczyków trzeba nauczyć cierpieć. Nie rozumiem tego, w jaki sposób oni toczą tę wojnę. Gdyby zostawili w spokoju wioski, mieliby zapewnione dostawy, tymczasem gwałcą, mordując i paląc, zmieniają ziemię w pustynię. To musi się na nich zemścić. Z nadejściem zimy skończą się im zapasy, a wtedy – na wszystkich bogów – uderzymy na nich.

– Ilu wozów oczekujesz?

– Dla dwutysięcznego oddziału? Nie mniej niż dwadzieścia pięć.

– A zatem, jeśli przejmemy konwój bez strat, będziemy musieli eskortować około dwudziestu woźniców i jechać trzy dni po otwartej przestrzeni, żeby dotrzeć do Skultik. Potrzeba nam będzie wiele szczęścia.

– Chyba zasłużyliśmy na odrobinę, przyjacielu – odparł Gellan.

– Zasługi nic nie znaczą. Kiedyś przegrywałem w kości przez dziesięć dni z rzędu!

– A jedenastego?

– Też przegrałem. Wiesz, że nigdy nie wygrywam w kości.

– Wiem, że nigdy nie płacisz długów. Wciąż jesteś mi winien trzy sztuki srebra. Zbierz ludzi

– Jonat powinien wkrótce wrócić.

Był już późny ranek, zanim Jonat i dwaj zwiadowcy wrócili na polankę. Gellan wyszedł im na spotkanie, gdy Jonat przełożył nogę przez łęk siodła i ześlizgnął się na ziemię.

– Co nowego?

– Miał pan rację – trzy godziny jazdy na wschód jest konwój. Dwadzieścia siedem wozów. Pilnuje go pięćdziesięciu konnych, w tym dwaj zwiadowcy na szpicy.

– Zauważyli was?

– Nie sądzę – odparł z urazą Jonat.

– Powiedz mi, jaka to okolica.

– Jest tylko jedno dobre miejsce na zasadzkę, ale blisko Ostry i piechoty. Jednak szlak biegnie tam między dwoma pagórkami porośniętymi lasem; z obu stron będzie dobra osłona, a wozy pojedą tam wolniej, bo droga jest błotnista i stroma.

– Jak szybko możemy tam dojechać?

– Za dwie godziny, ale zostanie nam niewiele czasu. Może nawet dotrzemy tam w chwili, gdy pierwsze wozy wjadą do lasu.

– To bardzo niewiele – rzekł Sarvaj – szczególnie że przodem jadą zwiadowcy.

Gellan wiedział, że to bardzo ryzykowne, jednak Egel rozpaczliwie potrzebował prowiantu. Gorzej, że nie miał czasu, by przemyśleć wszystko i zaplanować.

– Na koń! – rozkazał.

Gdy oddział galopował na wschód, Gellan klął w duchu swoją nieudolność. Przed taką akcją powinien wygłosić krótką przemowę do ludzi, rozpalić ich zapał, ale nigdy nie był dobrym mówcą i wiedział, że żołnierze uważają go za zimnego, flegmatycznego dowódcę. Teraz z przykrością uświadamiał sobie, że wiecie niektórych z nich – a może nawet wszystkich – na pewną śmierć w zwariowanym ataku godnym takich postrzelenców jak Karnak czy Dundas. Jakże podziwianych – młodych, przystojnych i bezgranicznie odważnych, którzy raz po raz wiedli centurie na Vagryjczyków, tocząc wojnę podjazdową, pokazując nieprzyjaciółom, że Drenajowie jeszcze walczą.

Na takich weteranów jak Gellan nie zwracano uwagi. Może słusznie, pomyślał, gdy wiatr smagnął go w twarz. Powiniennem przejść na emeryturę, pomyślał. Miał zamiar zrobić to na

jesieni, ale teraz drenajski oficer nie mógł myśleć o spokojnej starości.

Przed upływem dwóch godzin dotarli do lasu i Gellan zarządził krótką odprawę podoficerów. Dwóch najlepszych łuczników posłał, aby zdjęli szpicę zwiadowców, a potem rozstawił swój oddział po lewej i prawej stronie traktu. Sam objął dowodzenie na stoku po prawej, pozostawiając Jonatowi lewą część, pomimo pełnego dezaprobaty spojrzenia Sarvajaja.

Otrzymawszy rozkazy, ludzie zalegli w zasadzce i Gellan zagryzł wargi, gorączkowo szukając słabego punktu w swoim planie – punktu, który na pewno wszyscy doskonale widzieli.

Na zboczu z lewej Jonat skulił się za gęstymi krzakami, rozcierając kark, żeby złagodzić napięcie. Po obu stronach czekali jego ludzie, ze strzałami na cięciwach łuków.

Wolałby, żeby Gellan przekazał dowodzenie Sarvajajowi; czuł się nieswojo, obciążony taką odpowiedzialnością.

– Dlaczego nie najeżdżają? – syknął ktoś po lewej.

– Zachować spokój – usłyszał swój głos Jonat. – Przyjadą. A wtedy zabijemy ich. Wszystkich! Nauczmy ich, że nie najeżdża się ziemi Drenajów!

Uśmiechnął się do żołnierza, a kiedy ten odpowiedział mu uśmiechem, Jonat poczuł, że opuszcza go napięcie. Plan Gellana był dobry, ale Jonat niczego innego nie oczekiwał po takim zimnokrwistym typie. Słuchając, jak o tym mówi, można by pomyśleć, że chodzi o manewry, ale Gellan pochodził z klasy wojowników, niech go szlag! Nie był synem wiejskiego robotnika, znanego jedynie z umiejętności tanecznych demonstrowanych po paru kieliszkach. Jonat poczuł przypływ gniewu, lecz stłumił go, słysząc skrzypienie kół najeżdżających wozów.

– Spokojnie! – syknął. – Nikt nie strzela bez rozkazu. Podać po linii – obedrę ze skóry każdego, kto nie usłucha!

Na czele kolumny jechało sześciu jeźdźców, z opuszczonymi wizjerami czarnych hełmów i mieczami w dłoniach. Za nimi muły ciągnęły ciężkie wozy i wózki, eskortowane z obu stron przez dwudziestu dwóch konnych.

Jechali powoli i gdy jeźdźcy na przedzie minęli jego pozycję, Jonat nałożył strzałę na cięciwę i czekał, czekał...

– Już! – wrzasnął, gdy ostatni wóz wjechał na stromiznę.

Z obu stron świsnęły czarne strzały. Konie, kwicząc, stawały dęba i w lesie rozpętało się piekło. Pierwszy jeździec osunął się z konia, z dwoma strzałami wbitymi w pierś. Inny runął na twarz, z gardłem przeszytym strzałą.

Woźnice pospiesznie zmykali pod wozy masakrowanej kolumny. Trzej jeźdźcy pogalopowali na zachód, nisko pochyleni nad końskimi szyjami. Jeden potoczył się po ziemi, gdy pocisk przeszył kark jego rumaka; kiedy zerwał się na nogi, trzy kolejne wbiły mu się w plecy. Pozostali dwaj zbiegowie wjechali na szczyt pagórka i wyprostowali się w siodłach...

Tylko po to, by zobaczyć, że galopują na Sarvaja i dziesięciu łuczników. Świsnęły strzały i oba konie padły martwe na ziemię, zrzucając swoich jeźdźców. Sarvaj doskoczył ze swymi ludźmi i obaj spieszeni zginęli, zanim zdążyli się podnieść.

Tymczasem w lesie Jonat powiódł swych ludzi do zuchwałego ataku na wozy. Kilku woźniców wypełzło spod nich z podniesionymi rękami, lecz Drenajowie nie mieli ochoty brać jeńców i nie dawali pardonu. Po trzech minutach od rozpoczęcia potyczki wszyscy Vagryjczycy byli martwi.

Gellan powoli przeszedł wzdłuż rzędu wozów. Sześć z ciągnących je mułów padło i rozkazał je odciąć. Atak poszedł lepiej, niż mógł oczekiwać: siedemdziesięciu Vagryjczyków zabitych, a żaden z jego ludzi nie był nawet ranny.

Jednak teraz czekała ich trudniejsza część zadania – musiał doprowadzić te wozy do Skultik.

- Dobra robota, Jonacie! – rzekł. – Wspaniale zgrałeś wszystko w czasie.
- Dziękuję, dowódco.
- Zdejmijcie z trupów hełmy i płaszcze, a ciała ukryjcie w lesie.
- Tak jest.
- Na jakiś czas zmienimy się w Vagryjczyków.
- Do Skultik daleka droga – rzekł Jonat.
- Dotrzemy tam – odparł Gellan.

Rozdział 5

Waylander przystanął u stóp trawiastego pagórka i zszedł Culasa oraz Miriel z siodła. Drzewa rosły tu rzadziej i kiedy wjadą na szczyt, znajdują się na otwartej przestrzeni. Waylander był strudzony; kończyny ciążyły mu, a oczy bolały. Był silnym mężczyzną; nie nawykł do takiej słabości i nie umiał sobie wyjaśnić jej przyczyny. Dardalion podszedł do niego, a Danyal opuściła Kryllę w ramiona kapłana.

– Dlaczego stanęliśmy? – spytała. Dardalion wzruszył ramionami.

Waylander wszedł na wierzchołek pagórka i położywszy się na brzuchu, spojrzał na równinę w dole. W oddali rząd wozów zmierzał na północ, pod eskortą vagryjskiej kawalerii. Waylander przygryzł wargę i zmarszczył brwi.

Na północ?

W kierunku Egela?

To mogło jedynie oznaczać, że Egel został wyparty ze Skultik albo ruszył do Purdol. Jeśli to prawda, to nie było sensu wieźć dzieci do lasu. A dokąd mogły jechać te wozy? Waylander powiódł spojrzeniem po równinie: tysiące mil kwadratowych płaskiego, nie kończącego się stepu, usianego pojedynczymi drzewami i kolczastymi krzewami. Czuł, że ta pustka jest zwodnicza. Pozorna równina kryła tuziny wąwozów i parowów, przypadkowo rozsianych wgłębień i dolinek. Cała vagryjska armia mogła obozować w zasięgu wzroku i pozostać niewidzialna. Obejrzał się za siebie i ujrzał dziewczynki zbierające dzwoneczki. Ich śmiech przeleciał echem po zboczu. Waylander zaklął pod nosem. Ostrożnie wycofał się z wierzchołka i ruszył w kierunku towarzyszy.

Gdy schodził po zboczu, spośród drzew wyszli czterej mężczyźni. Waylander zmrużył oczy, lecz nie zwolnił kroku. Dardalion nie widział nadchodzących i rozmawiał z chłopcem.

Tamci szli w szerokich odstępach. Wszyscy czterej mieli brodate, ponure twarze. Każdy miał miecz, a dwaj z nich byli uzbrojeni w łuki. Kusza Waylandera tkwiła przypięta do pasa, bezużyteczna, gdyż jej metalowe ramiona były złożone.

Dardalion odwrócił się, gdy Waylander przeszedł obok niego. Bliźniaczki przestały zrywać kwiatki i pobiegły do Danyal, a Culas przysunął się do Dardaliona, który stanął za Waylanderem.

– Ładne konie – powiedział mężczyzna stojący na środku. Był wyższy od pozostałych i nosił

zielony płaszcz z samodziału. Waylander nic nie powiedział i Dardalion poczuł narastające napięcie. Otarł dłoń o koszulę i wsunął kciuk za pas, w pobliżu rękojeści noża. Mężczyzna w zielonym płaszczu zauważył ten ruch i uśmiechnął się, mierząc niebieskimi oczami Waylandera.

– Niezbyt chętnie witasz gości, przyjacielu – rzekł.

Waylander uśmiechnął się.

– Przyszliście tu umrzeć? – spytał łagodnie.

– Po co mówić o umieraniu? Wszyscy jesteśmy Drenajami. – Nieznajomy wyraźnie poczuł się nieswojo. – Jestem Baloc, a to moi bracia Lak, Dujat i Meloc – ten jest najmłodszy. Nie chcemy zrobić wam krzywdy.

– Nie zdołalibyście, nawet gdybyście chcieli – odparł Waylander. – Powiedz braciom, żeby usiedli i rozgościli się.

– Nie podoba mi się twoje zachowanie – rzekł Baloc, sztywniejac. Cofnął się o krok, a bracia rozstąpili się, otaczając półkolem Waylandera i kapłana.

Twoje upodobania nie mają dla mnie żadnego znaczenia – powiedział Waylander. – A jeśli twój brat zrobi jeszcze jeden krok w prawo, zabiję go.

Mężczyzna natychmiast znieruchomiał, a Baloc oblizwał wargi.

– Strasznie jesteś groźny, jak na człowieka bez miecza.

– Nie domyślasz się, że powinno to coś oznaczać! Wyglądasz raczej na głupca, więc muszę ci wyjaśnić. Nie potrzebuję miecza, żeby rozprawić się z taką hołotą jak wy. Nie, nic nie mów – słuchaj! Dziś jestem w dobrym humorze. Rozumiesz? Gdybyśmy spotkali się wczoraj, pewnie zabiłbym was bez tej gadaniny. Jednak dziś jestem wielkoduszny. Słońce świeci i jest mi dobrze. Zatem zabieraj swoich braci i wracajcie tam, skąd przyszliście.

Baloc spojrział Waylanderowi w oczy, niepewnie i z rosnącym niepokojem. Dwaj mężczyźni przeciwko czterem, w dodatku bez mieczy. Dwa konie i kobieta jako łup. A jednak wahał się.

Ten człowiek był tak pewny siebie, tak spokojny. W jego ruchach i słowach nie dostrzegął odrobiny napięcia... a jego oczy były zimne jak nagrobki.

Baloc nagle uśmiechnął się i szeroko rozłożył ręce.

– Po co mówić o śmierci i zabijaniu... Czy na świecie mało kłopotów? No dobrze, odejdziemy.

Wycofał się, nie spuszczać Waylandera z oczu, bracia poszli za jego przykładem i wszyscy

zniknęli w lesie.

– Uciekajcie – powiedział Waylander.

– Co? – spytał Dardalion. Tymczasem czarnowłosy wojownik już pędził do koni, wyciągając kuszę i rozkładając jej ramiona.

– Kłąć się! – krzyknął i Danyal rzuciła się na ziemię, przyciskając do niej bliźniaczki.

Spośród drzew świsnęły czarne strzały. Jedna przeleciała nad uchem Dardalionowi, który rzucił się na trawę; druga o kilka cali chybiła Waylandera. Nałożywszy dwa bełty i napiąwszy kuszę, Waylander pobiegł ku drzewom, uskakując przed strzałami, które przelatowały niebezpiecznie blisko. Jedna śmignęła nad Dardalionem; usłyszał zduszony krzyk i przetoczył się na bok. Chłopiec, Culas, nie zdążył się pochylić, a teraz klęczał, skurczony z bólu, ściskając rączkami strzałę wbitą w brzuch.

W porywie gniewu Dardalion z nożem w ręku skoczył za Waylanderem. Biegąc, usłyszał w lesie krzyk... a potem drugi. Wpadł między drzewa, pobiegł i zobaczył dwóch napastników na ziemi i Waylandera, z nożami w rękach, stojącego przed pozostałymi dwoma. Baloc rzucił się na wojownika, mierząc mieczem w jego szyję, lecz Waylander uchylił się przed spadającym ostrzem i wbił trzymany w prawej ręce nóż w pachwinę atakującego. Baloc zgął się wpół i upadł, pociągając za sobą Waylandera. Gdy ostatni napastnik skoczył ku nim, unosząc miecz, Dardalion błyskawicznie uniósł i opuścił ramię. Czarne ostrze utkwilo w gardle rabusia, który runął na wznak i wił się z bólu. Waylander wyrwał klingę z ciała Baloca, chwycił go za włosy i odgiął mu głowę w tył.

– Niektórzy nigdy niczego się nie nauczą – powiedział i przeciął mu tętnicę.

Wstał, podszedł do wijącego się mężczyzny powalonego przez Dardaliona, wyrwał nóż i otarł go o kubrak konającego, po czym zwrócił broń kapłanowi. Odzyskawszy swoje dwa bełty, oczyścił kuszę i wcisnął oba jej ramiona na miejsce, wzdłuż kolby.

– Dobry rzut! – pochwalił.

– Zabili chłopca – powiedział mu Dardalion.

– Moja wina – rzekł z goryczą Waylander. – Powinienem zabić ich od razu.

– Mogli odejść w pokoju.

– Weź oba miecze, pochwy i jeden łuk – poprosił Waylander. – Zobaczę, co z chłopcem.

Zostawiwszy Dardaliona w lesie, powoli wrócił do koni. Dziewczynki siedziały obok siebie, nieme z przerażenia; Danyal płakała nad Culasem, który leżał z głową na jej podołku,

z otwartymi oczami i rękami wciąż zaciśniętymi na drzewcu strzały.

Waylander klęknął przy nim.

– Bardzo cię boli?

Chłopiec kiwnął głową. Przygryzł wargi, a z jego oczu popłynęły łzy.

– Umrę! Wiem, że tak.

– Oczywiście, że nie! – zawołała z rozpaczą Danyal. – Odpocznijmy chwilę, a potem wyjmemy strzałę.

Culas puścił drzewce i podniósł rękę; była cała we krwi.

– Nie czuję nóg – jęknął.

Waylander chwycił go za rękę.

– Słuchaj mnie, Culasie. Nie masz się czego bać. Za chwilę zaśniesz, to wszystko. Głębokim snem... i nie będziesz czuł bólu.

– Boli mnie – powiedział Culas. – Pali jak ogień.

Gdy Waylander spojrzał na jego skrzywioną w męce twarzyczkę, znów zobaczył swojego syna, leżącego wśród kwiatów.

– Zamknij oczy, Culasie, i słuchaj mnie. Dawno temu miałem farmę. Śliczną farmę i małego kucyka, który gnał jak wichur...

Mówiąc, Waylander wyjął nóż i dotknął nim uda Culasa. Chłopiec nawet nie drgnął. Waylander mówił do niego cichym, łagodnym głosem i wbił ostrze w pachwinę Culasa, przecinając arterię w udzie. Krew trysnęła z rany, lecz Waylander nie przestawał mówić, podczas gdy twarzyczka chłopca bladła, a powieki przybrały siną barwę.

– Spij spokojnie – szepnął Waylander, gdy głowa chłopca opadła na bok. Danyal zamrugała oczami i spojrzawszy, zobaczyła nóż w dłoni wojownika. Zamachnęła się i uderzyła go w twarz.

– Ty świnię, ty nędzna świnię! Zabiłeś go!

– Tak – powiedział. Wstał i dotknął wargi. Krew ciekła mu z kącika ust, rozciętego uderzeniem pięści.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

– Lubię zabijać chłopców – odparł z sardonycznym uśmiechem i poszedł do swego konia. Dardalion dołączył do niego; kapłan miał u boku miecz Baloca.

– Co się stało? – spytał, podając Waylanderowi pas z drugim mieczem.

– Zabiłem chłopca... cierpiałby przez wiele dni. Bogowie, obym nigdy cię nie spotkał!

Wsadź dzieci na koń i jedź na północ – ja muszę rozejrzeć się po okolicy.

Jechał przez godzinę, ostrożnie i czujnie, aż znalazł płytkie zagłębienie. Wjechał tam, znalazł miejsce na biwak przy zwalonym drzewie i zsiadł z konia. Nakarmiwszy go resztkami owsa, usiadł na pniu i nie ruszał się z niego przez następną godzinę, aż zaczęło zmierzchać; wtedy wszedł na zbocze i czekał na Dardaliona.

Reszta grupki pojawiła się w chwili, gdy słońce zapadło za góry na zachodzie. Waylander zaprowadził ich do obozu i rozsiedział wierzchowce.

– Nadchodzi jakiś człowiek, który chce się z tobą widzieć, Waylanderze – powiedziała Krylla, zarzucając mu ręce na szyję.

– Skąd wiesz?

– Powiedział mi; mówił, że przyjdzie na kolację.– Kiedy go widziałaś?

– Przed chwilą. Prawie zasypiałam, a Danyal trzymała mnie i chyba uleciałam. Ten człowiek mówił, że chce się z tobą zobaczyć dziś wieczorem.

– Czy był miły?

– Miał oczy z ognia – odparła Krylla.

Waylander rozpałił małe ognisko w kręgu z kamieni, a potem odszedł kawałek, by sprawdzić, czy widać ogień. Upewniwszy się, że nie, powoli poszedł przez wysoką trawę ku kotlinie.

Chmura przesłoniła księżyc i równina pogrążyła się w ciemnościach. Waylander zamarł. Cichy szelest po prawej sprawił, że z nożem w dłoni przypadł do ziemi.

– Wstań, synu – usłyszał łagodny głos.

Waylander przetoczył się w lewo i przyklęknął, trzymając przed sobą nóż.

– Broń nie będzie ci potrzebna. Jestem sam i jestem bardzo stary.

Waylander cofnął się o kilka kroków i odskoczył w bok.

– Jesteś ostrożnym człowiekiem – słyszał ten sam głos. – Bardzo dobrze, pójdę do waszego ogniska i tam się spotkamy.

Chmura odpłynęła i srebrny blask oblał równinę. Waylander wyprostował się. Był sam. Szybko rozejrzał się wokół. Nikogo. Wrócił do ogniska.

Siedział tam jakiś starzec, grzejąc dłonie nad ogniem. Krylla i Miriel siedziały obok niego,

Dardalion i Danyal naprzeciw.

Waylander podszedł ostrożnie, a nieznajomy nie podniósł głowy. Był łysy i bez brody, a skóra na jego twarzy obwisała w miękkich fałdach. Widząc jego szerokie bary, Waylander domyślił się, że starzec był kiedyś bardzo silny. Teraz był chudy jak szkielet i miał zamknięte powieki.

Ślepiec!

– Dlaczego masz taką twarz? – zapytała Miriel.– Kiedyś wyglądała inaczej – odparł stary. – Uważano mnie za przystojnego za młodu, gdy miałem złote włosy i szmaragdowozielone oczy.

– Teraz wyglądasz okropnie – zauważyła Krylla.

– Jestem tego pewien! Na szczęście nie mogę się już widzieć, co oszczędza mi rozczarowania. Ach, wraca Waylander – powiedział starzec, przechylając głowę.

– Kim jesteś? – spytał wojownik.

– Podróżnym, jak i wy.

– Podróżujesz samotnie?

– Tak... lecz nie tak samotnie ja ty.

– Ty jesteś tym mistykiem, który rozmawiał z Krylla?

– Miałem ten zaszczyt – to cudowne dziecko. Bardzo uzdolnione, jak na tak młodą osobę. Mówi mi, że jesteś zbawcą, wielkim bohaterem.

– Patrzy oczami dziecka. Nie wszystko jest takie, jak się zdaje.

– Dzieci widzą wiele rzeczy, których my już nie dostrzegamy. Gdyby było inaczej, czyż toczylibyśmy tak okropne wojny?

– Jesteś kapłanem, starcze? Mam już po uszy kapłanów – warknął ze złością Waylander.

– Nie. Jestem po prostu badaczem życia. Chciałbym być kapłanem, ale obawiam się, że zawsze ulegałem pokusom. Nigdy nie potrafiłem oprzeć się ładnej buzi czy dobremu winu. Teraz, gdy jestem stary, pragnę innych przyjemności, lecz nawet tych mnie pozbawiono.

– Jak nas znalazłeś?

– Krylla pokazała mi drogę.

– I pewnie chciałbyś wędrować razem z nami?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Gdybym tylko mógł! Nie, pobędę z wami dziś wieczór, a potem muszę ruszyć w inną podróż.

- Nie mamy wiele żywności – uprzedził Waylander.
- Jednak poczęstuj się tym, co mamy – rzekł Dardalion, siadając obok starca.
- Nie jestem głodny, ale dziękuję. Jesteś kapłanem?
- Tak.

Stary wyciągnął rękę i dotknął rękojeści sztyletu Dardaliona.

- To chyba dość niezwykła rzecz u kapłana?
- Mamy niezwykle czasy – odparł Dardalion, czerwieniąc się.

– Najwidoczniej. – Starzec obrócił głowę w kierunku Waylandera. – Nie widzę cię, lecz czuję twoją moc. A także twój gniew. Jesteś na mnie zły?

– Jeszcze nie. Jednak zastanawiam się, kiedy dojdiesz do celu swojej wizyty.

– Myślisz, że mam jakiś ukryty powód?

– Bynajmniej – odparł sucho Waylander. – Ślepiec wprasza się na wieczerzę, korzystając z mistycznych talentów przestraszonego dziecka, i znajduje nasze ognisko pośród zupełnej dziczy. Cóż może być zwyczajniejszego? Kim jesteś i czego chcesz?

– Zawsze musisz być tak napastliwy? – zapytała Danyal. – Nie obchodzi mnie, kim on jest – jest tu mile widziany. A może chcesz go zabić? W końcu od paru godzin nikogo nie zabiłeś.

– Bogowie, kobieto, od twego jazgotania wywraca mi się w żołądku – warknął wojownik. – Czego ode mnie chcesz? Chłopiec umarł. Tak dzieje się na wojnie... ludzie giną. I zanim znów rozpuścisz swój jadowity jęzor, pamiętaj o jednym: kiedy krzyknąłem, żebyście padli na ziemię, zdążyłaś to zrobić. Może gdybyś pomyślała o chłopcu, nie dostałby strzałę w brzuch.

– To niesprawiedliwe! – krzyknęła.

– Takie jest życie.

Zgarnął koce i odszedł na bok, ze ściśniętym sercem, z trudem powstrzymując złość. Wyszedł na szczyt wzniesienia i spojrzał na równinę. Gdzieś tam byli ścigający go jeźdźcy. Nie mogli pozwolić mu żyć. Jeśli nie wypełni swojej misji, zapłacą własnym życiem. A Waylander dał się schwytać w potrzask kapłanowi i kobiecie – jak małpa w sieci, do której podchodzą lwy.

Głupota. Czysta głupota.

Nigdy nie powinien był przyjmować zlecenia od tego vagryjskiego węża, Kaema. Już samo jego imię było symbolem zdrady: Kaem Okrutny, Kaem Zabójca Narodów – pająk tkwiący pośrodku vagryjskiej armii.

Instynkt nakazywał Waylanderowi odrzucić kontrakt, ale zignorował go. Teraz vagryjski

generał roześle grupy morderców na wszystkie strony świata; dowiedzą się, że nie ruszył na południe czy na zachód i zamkną przed nim porty na wschodzie. Pozostawała mu tylko północ – a zabójcy będą pilnować wszystkich szlaków do Skultik.

Waylander zaklął pod nosem. Kaem zaproponował dwadzieścia cztery tysiące sztuk złota za wykonanie zadania i tytułem zaliczki zdeponował połowę tej sumy na jego nazwisko u Cherosa, największego bankiera w Gulgothirze. Waylander wykonał zadanie ze zwykłą zręcznością, chociaż teraz czuł wstyd na wspomnienie tego czynu. Zacisnął powieki, żeby znów nie widzieć lecącej strzały...

Noc była chłodna, gwiazdy lśniły jak ostrza włóczni. Waylander przeciągnął się, usiłując wrócić do rzeczywistości, lecz raz po raz widział twarz ofiary... urodziwą twarz, zgnębiającą porażką... łagodne oczy i miły uśmiech. Pochylał się, by zerwać kwiat, gdy bełt Waylandera przeszył mu plecy...

– Nie! – krzyknął Waylander, siadając na ziemi i potrząsając pięścią, jakby chciał odgonić wspomnienia. Myśl o czymś innym... czymkolwiek!

Po zabójstwie umknął na wschód, podążając do Vagrii i obiecane złota. Po drodze napotkał przybywającego z północy kupca, który podczas rozmowy powiedział mu o śmierci bankiera Cherosa. Trzej mordercy zabili go w domu i uszli z fortuną w złocie i drogich kamieniach.

Waylander wiedział, że został zdradzony, lecz jakiś instynkt – jakiś wewnętrzny nakaz – gnał go naprzód. Dotarł do pałacu Kaema i wspinał się na wysoki mur ogrodu. Znalazszy się tam, zabił dwa psy i wszedł do głównego budynku. Odnalezienie pokoju Kaema było pewnym problemem, ale zbudził służącą i przyłożywszy jej nóż do gardła, zmusił, by zaprowadziła go do sypialni generała. Kaem spał w swych apartamentach na drugim piętrze pałacu. Waylander ogłuszył dziewczynę uderzeniem w kark, chwycił padającą i powoli położył ją na białym futrze leżącym na podłodze. Potem podszedł do łóżka i przyłożył nóż do gardła Kaema. Generał natychmiast otworzył oczy.

– Nie mogłeś wybrać rozsądniejszej pory? – zapytał gładko.

Waylander nacisnął odrobinę i krew popłynęła z rozciętej szyi Kaema, który jak zakłętą patrzył w czarne oczy zabójcy.

– Widzę, że słyszałeś o Cherosie. Mam nadzieję, że nie sądzisz, iż to moja robota.

Nóż wbił się trochę głębiej i tym razem Kaem skrzywił się.

- Wiem, że to twoja robota – syknął Waylander.
- Możemy o tym pomówić?
- Możemy pomówić o dwudziestu czterech tysiącach sztuk złota.
- Oczywiście.

Nagle Kaem przekręcił się i niespodziewanym uderzeniem strącił Waylandera z łóżka. Nagły atak zaskoczył zabójcę, który zerwał się na równe nogi i zobaczył, jak żyłasty generał zeskakuje z łóżka i chwyta za wiszący obok miecz.

- Starzejesz się, Waylanderze! – rzekł Kaem.

Drzwi otwarły się gwałtownie i wpadł przez nie jakiś młody człowiek ze strzałą nałożoną na cięciwę łuku.

Waylander machnął ręką i młodzieniec padł z czarnym nożem w gardle. Zabójca skoczył do drzwi, kopniakiem odrzucając ciało.

- Umrzesz za to! – wrzasnął Kaem. – Słyszysz? Umrzesz!

Zbiegającego po schodach Waylandera odprowadzało rozpaczliwe łkanie, gdyż zabity młodzieniec był jedynym synem Kaema...

A teraz jego siepacze ścigali zabójcę.

Owinięty w koce, oparty plecami o wystający głaz, Waylander usłyszał nadchodzącego starca, szmer jego zgrzebnych szat w wysokiej trawie.

- Mogę się przysiąc?
- Czemu nie?
- Wspaniała noc, prawda?
- Jak ślepiec może to poznać?

Powietrze jest świeże i chłodne, a cisza jak maska – jak płaszcz skrywający tak wiele życia. Tam na prawo siedzi zając, zastanawiając się, dlaczego dwóch ludzi podeszło tak blisko jego kryjówki. Dalej na lewo jest czerwony lis – lisica, sądząc po zapachu – polująca na zająca. A nad nimi latają nietoperze, ciesząc się nocą tak samo jak ja.

- Dla mnie jest za jasna.
- Ciężko być ściganym.
- Mam wrażenie, że o tym wiesz.
- O czym? Jak to jest być ściganym czy o tym, że tropi cię Czarne Bractwo?
- O obu. To bez znaczenia.

– Miałaś rację, Waylanderze. Szukałem cię i mam ukryty powód. Może więc zaprzestaniemy tej szermierki słownej?

– Jak chcesz.

– Mam dla ciebie wiadomość.

– Od kogo?

– To nie jest jej częścią. A ponadto wyjaśnienie tego zabrałoby mi więcej czasu, niż mam. Powiem tylko, że dano ci szansę odkupienia win.

– To miło z twojej strony, ale ja nie mam czego odkupywać.

– Skoro tak twierdzisz. Nie przybyłem tu, by się spierać. Wkrótce dotrzesz do obozu Egela, gdzie znajdziesz armię w rozsypce; wojsko skazane na nieuchronną klęskę. Możesz im pomóc.

– Czy jesteś przy zdrowych zmysłach, starcze? Nic nie ocali Egela.

– Nie powiedziałem "ocalić". Powiedziałem "pomóc".

– Jaki sens pomagać trupowi?

– A jaki sens ratować kapłana?

– To był kaprys, do licha! I minie sporo czasu, zanim pozwolę sobie na następny.

– Dlaczego tak się złościysz?

Waylander zachichotał, lecz bez cienia wesołości.

– Wiesz, co ci się przydarzyło? – zapytał starzec. – Zostałeś dotknięty przez Źródło i to są pęta, z którymi się szarpiesz. Kiedyś byłeś dobrym człowiekiem i wiedziałeś, co to miłość. Jednak miłość umarła, a ponieważ żaden człowiek nie może żyć w próżni, wypełniłeś ją nie nienawiścią, lecz pustką. Przez te ostatnie dwadzieścia lat nie żyłeś – byłeś żywym trupem. Ocalenie kapłana było twoim pierwszym dobrym uczynkiem od dwudziestu lat.

– A zatem przyszedłeś prawić mi kazania?

– Nie, mówię to wbrew sobie. Nie mogę wyjaśnić ci Źródła. To głupstwa, cudowny brak rozważli, czystość i radość. Jednak Ono nie ma wpływu na sprawy tego świata, Źródło bowiem nie wie, co to chciwość, żądza, zdrada, nienawiść oraz wszelkie zło. Mimo to zawsze triumfuje, ponieważ Źródło zawsze daje coś za nic: dobro za zło, miłość za nienawiść.

– Sofistyka. Wczoraj zginął mały chłopiec – on nikogo nie nienawidził, a jednak zabił go zły człowiek. W całej tej krainie dobrzy, porządni ludzie giną tysiącami. Nie mów mi o triumfach. Triumfy powstają z krwi niewinnych.

– Widzisz? Mówię o głupstwach. Spotykając ciebie, dowiedziałem się, czym jest triumf.

Zrozumiałem kolejny fragment.

– Cieszę się – zadrwił Waylander, gardząc sobą za to.

– Pozwól mi wyjaśnić – rzekł łagodnie starzec. – Miałem syna – nie najprzystojniejszego, nie najbystrzejszego. Interesował się losem innych. Raz jego pies został ranny w walce z wilkiem i powinniśmy go dobić, gdyż był mocno poraniony. Mój syn nie pozwolił na to; sam pozszywał mu rany i siedział przy nim pięć dni i nocy, robiąc wszystko, by pies wyżył. Ten jednak zdechł. A mój syn był załamany, bo tak cenił wszelkie życie. Kiedy dorósł, przekazałem mu wszystko, co miałem. Zostawiłem mu zarządzanie całym majątkiem, a sam wyruszyłem w podróż. Mój syn nigdy nie zapomniał tego psa i to rzutowało na wszystko, co robił...

– Czy ta opowieść ma jakąś puentę?

– To zależy od ciebie, gdyż w tym miejscu zjawiasz się w niej ty. Mój syn dostrzegł, że wszystko, co zostawiłem pod jego opieką, jest zagrożone i rozpaczliwie próbował to uratować. Jednak był zbyt miękki i bandyci najechali moje ziemie, zabijając moich ludzi. Wtedy mój syn zrozumiał swoje błędy i naprawdę stał się mężczyzną, bo dowiedział się, że życie często zmusza do trudnych decyzji. Dlatego zebrał wszystkich generałów i opracował plan ocalenia swojego ludu. A wtedy zginął z rąk zabójcy. Jego życie skończyło się... a umierając, widział je jako jedną wielką porażkę i ogarnęła go straszliwa rozpacz, którą poczułem z tysiąca staj. Wpadłem we wściekłość i zamierzałem cię zabić. Mógłbym to zrobić, nawet teraz. Ale wtedy dotknęło mnie Źródło. I jestem tu teraz tylko po to, aby porozmawiać.

– Król Niallad był twoim synem?

– Tak. Ja jestem Orien Dwa Ostrza. A dokładniej, kiedyś byłem Orienem.

– Przykro mi z powodu twego syna.

– Mówisz o śmierci niewinnych. Może – gdyby mój syn żył – wielu tych niewinnych również pozostałoby przy życiu.

– Wiem. Żałuję tego... ale nie mogę niczego zmienić.

– To nie jest ważne – rzekł Orien. – Ty jesteś ważny. Źródło wybrało cię, ale wybór należy do ciebie.

– Wybrało mnie do czego? Mój jedyny talent raczej nie należy do tych, które budzą podziw Źródła.

– To nie jest twój jedyny talent. Wiesz, kim byłem za młodu?

– Słyszałem, że byłeś wielkim wojownikiem, niepokonanym w boju.

– Widziałeś mój posąg w Drenanie?

– Tak. W Zbroi z Brązu.

– Właśnie. Zbroja. Wielu chciałoby wiedzieć, gdzie ona jest, a Bractwo szuka jej, gdyż ona zagraża vagryjskiemu imperium.

– A wiec jest zaklęta?

– Nie – a przynajmniej nie w takim sensie, jak sądzisz. Dawno temu wykuł ją wielki Axellian. Wspaniała robota, a te dwa miecze są z niezrównanego metalu – ze srebrzystej stali, która nigdy się nie tępi. W tej Zbroi Egel miałby szansę – nic więcej.

– Przecież powiedziałeś, że nie jest zaklęta?

– Jej magia kryje się w ludzkich umysłach. Kiedy Egel założy tę Zbroję, wyda im się, że Orien powrócił. Orien zaś nigdy nie został pokonany. Ludzie ściągają pod rozkazy Egela, który urośnie w siłę – jest najlepszym z nich, człowiekiem z żelaza o nieugiętej woli.

– I chcesz, żebym dostarczył mu tę Zbroję?

– Tak.

– Rozumiem, iż wiąże się z tym jakieś niebezpieczeństwo?

– Sądzę, że można tak powiedzieć.

– Jednak będzie ze mną Źródło?

– Może tak. Może nie.

– Powiedziałeś, że zostałem wybrany do tego zadania. Jaka korzyść z pomocy Boga, który będzie biernym obserwatorem?

– To dobre pytanie, Waylanderze. Mam nadzieję, że znajdziesz na nie odpowiedź.

– Gdzie jest ta Zbroja?

– Ukryłem ją w głębokiej jaskini w zboczu wysokiej góry.

– Nie wiem czemu, ale nie dziwi mnie to. Gdzie?

– Znasz nadyryjskie stepy?

– Chyba mi się to nie spodoba.

– A ja myślę, że tak. No cóż, dwieście mil na zachód od Gulgothiru ciągnie się górski łańcuch...

– Góry Księżycowe.

– Właśnie. A w środku tego pasma jest Raboas...

– Święty Olbrzym.

– Tak – odparł z uśmiechem Orien. – To tam.

– To szaleństwo. Żaden Drenaj nigdy nie wkroczył tak głęboko w ziemie Nadirów.– Ja to zrobiłem.

– Dlaczego? W jakim celu?

– Wtedy też zastanawiałem się nad tym. Złóżmy to na rzecz kaprysu, Waylanderze; ty wiesz coś o kaprysach. Dostarczysz tę Zbroję?

– Powiedz mi, Oriencie, ile masz w sobie z mistyka?

– Dlaczego pytasz?

– Czy możesz zobaczyć przyszłość?

– Częściowo – przyznał Orien.

– Jakie mam szansę?

– To zależy od tego, kto będzie ci towarzyszyć.

– Powiedzmy, że Źródło wybierze mi dobre towarzystwo.

Starzec potarł puste powieki i odchylił się w tył.

– Nie masz szans – przyznał.

– Tak myślałem.

– Jednak to nie powód, by odmówić.

– Żądasz, bym przejechał tysiąc mil przez wrogie ziemie rojące się od dzikusów. Mówisz, że Bractwo także szuka Zbroi? Czy oni wiedzą, że ona jest w krainie Nadirów?

– Wiedzą.

– A zatem oni też będą mnie ścigać?

– Już cię ścigają.

– Racja. Jednak nie wiedzą, dokąd zmierzam. Jeśli wyruszę na tę twoją wyprawę, szybko się dowiedzą.

– Prawda.

– A zatem... będę miał na karku nadyryjskich wojowników, czarowników i vagryjskie oddziały. A jeśli tam dotrę, będę musiał wspiąć się na Świętego Olbrzyna, najświętsze miejsce na stepach, po czym ryzykować życie w trzewiach góry. Później zostanie mi tylko wrócić stamtąd, obciążony półtonową zbroją.

– Osiemdziesięciofuntową.

– Obojętnie!

- Są jeszcze potwory, które zamieszkują jaskinie Raboas. One nie lubią ognia.
- To pocieszające.
- A zatem pójdziesz?
- Zaczynam rozumieć twoje uwagi co do głupoty – rzekł wojownik. – Jednak tak, pójdę.
- Dlaczego? – spytał Orien.
- Czy muszę podać powód?
- Nie. Jestem jednak ciekaw.
- Zatem powiedzmy, że ze względu na pamięć psa, który nie powinien był zdechnąć.

Rozdział 6

Dardalion zamknął oczy. Danyal spała obok bliźniaczek i młody kapłan uwolnił swą duszę w Otchłań. Księżyc był zaczarowaną latarnią, której srebrny blask oblewał sentrańską równinę, podczas gdy las Skultik rozciągał się jak plama u stóp gór Delnoch.

Dardalion unosił się pod chmurami, umysł miał wolny od wątpliwości i trosk. Zazwyczaj, gdy tak szybował, spowijały go lśniące, bladoniebieskie szaty. Tymczasem teraz był nagi i choć usilnie się starał, nie pojawiły się. Nie przejął się tym. W mgnieniu astralnego oka okryła go srebrzysta zbroja, a z ramion spłynął mu biały płaszcz. U boku miał dwa srebrne miecze, a kiedy je wyjął, poczuł uniesienie. Daleko na zachodzie obozowe ogniska vagryjskiej armii płonęły jak leżące na ziemi gwiazdy. Dardalion schował miecze do pochew i poleciał tam. Ponad dziesięć tysięcy zbrojnych obozowało u podnóża gór Skoda. Osiemset namiotów ustawiono w czterech rzędach, a dla dwóch tysięcy koni pospiesznie wzniesiono drewnianą zagrodę. Na zboczach pasło się bydło, a przy wartkim strumieniu postawiono szopę dla owiec.

Dardalion poleciał na południe, nad rzekami i równinami, wzgórzami i lasami. Druga vagryjska armia obozowała pod Drenanem – nie mniej niż trzydzieści tysięcy ludzi i dwadzieścia tysięcy koni. Zrobiona z dębiny i brązu brama miasta była wyłamana, a w murach nie było widać śladu życia. Na wschód od miasta Dardalion dostrzegł szeroki, świeżo wykopany rów i poleciał ku niemu – a potem skręcił w bok, zdjęty odrazą. Rów był pełen ciał. Długi na dwieście i szeroki na sześć jardów grób mieścił ponad tysiąc ciał. Żadne nie nosiło żołnierskiej zbroi. Walcząc z odrazą, Dardalion wrócił nad rów.

Ten miał ponad dziesięć stóp głębokości.

Ponownie uniósłszy się w nocne niebo, kapłan poleciał na wschód, gdzie vagryjska armia czekała u granicy Lentrii. Lentryjskie oddziały, liczące ledwie dwa tysiące ludzi, obozowały milę dalej, w ponurym oczekiwaniu na inwazję. Dardalion ruszył na północ, podążając wzdłuż linii brzegu, aż dotarł do wschodnich dolin, a potem do nadmorskiej cytadeli Purdol. Tam wciąż trwała bitwa. Zatopione drenajskie statki blokowały wejście do portu, a vagryjska armia obozowała w dokach. Forteca Purdol, z sześciotysięczną drenajską załogą, powstrzymywała przeszło czterdziestotysięczną armię dowodzoną przez Kaema, księcia Wojny.

Tutaj, po raz pierwszy, Vagryjczycy napotkali silny opór. Bez machin oblężniczych nie

mogli zdobyć trzydziestostopowych murów, na które próbowali wspinać się za pomocą drabin i lin. Ginęli setkami.

Dardalion poleciał na zachód, aż dotarł do Skultik, lasu mrocznych legend. Nieprzebyte tysiące mil kwadratowych drzew, polanek, wzgórz i dolin. Pośród tego lasu wzniesiono trzy miasta – z których jedno było właściwie osadą: Tonis, Preafa i Skarta. Do tego ostatniego podążył Dardalion.

Egel obozował tu z czterotysięcznym Legionem. Gdy Dardalion zbliżył się do polanki, wyczuł obecność innego umysłu i w jego dłoni błysnął miecz. Ujrzał przed sobą szczupłego mężczyznę w błękitnych szatach kapłana Źródła.

– Nie przejdziesz obok mnie – powiedział spokojnie nieznajomy.

– Jeśli tak mówisz, bracie.

– Kim jesteś, że nazywasz mnie bratem?

– Kapłanem, tak jak ty.

– Kapłanem czego?

– Źródła.

– Kapłan z mieczami? Nie sądzę. Jeśli musisz mnie zabić, zrób to.

– Nie przybyłem, by cię zabić. Jestem tym, kim mówię.

– A więc byłeś kapłanem?

– Jestem nim.

– Czuję wokół ciebie śmierć. Zabiłeś.

– Tak. Złego człowieka.

– Kim jesteś, aby osądzać?

– Nie osądzałem go – sprawiły to jego uczynki. Dlaczego tu jesteś?

– Pełnimy straż.

– My?

– Moi bracia i ja. Powiadomimy lorda Egela, kiedy zobaczymy nadciągającego nieprzyjaciela.

– Ilu jest tutaj braci?

– Prawie dwustu. Na początku było nas trzystu siedmiu. Stu dwunastu połączyło się ze Źródłem.

– Zamordowani?

– Tak – przyznał ze smutkiem mężczyzna. – Zamordowani. Zniszczyło ich Czarne Bractwo.

Usiłujemy szybować ostrożnie, gdyż oni są szybcy i bezlitośni.

– Jeden usiłował mnie zabić – rzekł Dardalion – i nauczyłem się walczyć.

– Każdy człowiek sam wybiera swoje ścieżki.

– Nie pochwalasz tego?

– Nie do mnie należy chwalić czy ganić. Nie osądzam cię. Jak mógłbym?

– Myślałeś, że należę do Bractwa?

– Tak. Nosisz miecz.

– A jednak stawiałeś mi czoło. Masz wiele odwagi.

– Czyż może być coś miłszego nad spotkanie z Bogiem?– Jak się zwiesz?

– Clophas. A ty?

– Dardalion.

– Niech cię Źródło błogosławi, Dardalionie. Myślę jednak, że powinieneś już odejść. Gdy księżyc stoi w zenicie, Bractwo rusza w niebo.

– A zatem zaczekam tu z tobą.

– Nie życzę sobie twego towarzystwa.

– Nie masz wyboru.

– Zatem niechaj tak będzie.

Czekali w milczeniu, aż księżyc wspiął się wyżej. Clophas nie chciał rozmawiać, więc Dardalion spoglądał na las w dole. Egel stanął obozem pod południowym murem Skarty i kapłan widział zwiadowców patrolujących brzeg lasu. Vagryjczycy nie pokonają łatwo earla z północy, gdyż w Skultik nie ma wielu miejsc, gdzie można stoczyć regularną bitwę. Z drugiej strony, jeśli zaatakują miasta, Egel zostanie z nietkniętą armią, lecz nie mając czego bronić. Egel stał przed podobnymi problemami. Zostając tutaj, miał na pewien czas zagwarantowane bezpieczeństwo, ale nie wygrałby wojny. Opuszczenie Skultik byłoby samobójstwem, gdyż nie miał dostatecznych sił, aby pobić Vagryjczyków. Zostać tu oznaczało przegraną, wyjść oznaczało umrzeć. A w tym czasie ziemie Drenajów spływały krwią mordowanych.

Te rozważania ogromnie przygnębiły Dardaliona i już miał zamiar powrócić do swego ciała, gdy usłyszał krzyk duszy Clophasa. Obejrzał się i zobaczył, że kapłan zniknął, a poniżej unosi się pięciu wojowników w czarnych zbrojach, z czarnymi mieczami w dłoniach.

Ogarnięty furią Dardalion dobył mieczy i zaatakował. Wojownicy spostrzegli go dopiero

wtedy, gdy ich dopadł, i dwaj pierwsi zniknęli w niebycie, w chwili gdy jego srebrne ostrza przeszły ich astralne ciała. Pozostali trzej ruszyli na niego, a on trzymanym w lewej ręce mieczem sparował pchnięcie, a drugim odbił cios. Gniew nadał mu szybkość błyskawicy i roziskrzył wzrok. Wygiąwszy przegub, ominął zastawę wojownika, przebijając mu krtań. Przeciwnik zniknął. Pozostali dwaj podali tyły i pomknęli na zachód, lecz Dardalion poszybował za nimi, dopadł pierwszego tuż nad górami Skoda i zabił go potężnym cięciem. Jedyne ocalały zdołał w ostatniej chwili schronić się w sanktuarium swego ciała.

Otworzył oczy i wrzasnął. Żołnierze przybiegli do jego namiotu, a on chwiejnie powstał. Wokół leżeli jego czterej towarzysze, nieruchomi i martwi.

– Na ogień piekielne, co się tu dzieje? – spytał oficer, odpychając żołnierzy i wchodząc do namiotu. Spojrzał na trupy, a potem na tego, który uszedł z życiem.

– Kapłani nauczyli się walczyć – wymamrotał wojownik, z trudem łapiąc oddech.

– Mówisz, że ci ludzie zostali zabici przez kapłanów Źródła? To niepojęte.

– Jednego kapłana.

Oficer machnięciem ręki odprawił żołnierzy, którzy z zadowoleniem oddalili się. Choć nawykli do śmierci i zniszczenia, Vagryjczycy obawiali się Czarnego Bractwa.

Oficer siadł na krześle z brezentowym oparciem.

– Pulisie, mój przyjacielu, wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Nie żartuj, proszę – rzekł Pulis. – Ten człowiek o mało mnie nie zabił.

– Cóż, przez kilka ostatnich miesięcy zabiłeś wielu jego przyjaciół.

– To prawda. Jednak to niepokojące.

– Wiem. Czymże stał się ten świat, skoro kapłani Źródła zniżają się do tego, aby bronić swego Życia?

Wojownik obrzucił oficera gniewnym spojrzeniem, ale zmilczał. Pulis nie był tchórzem – dowiódł tego wielokrotnie – lecz przeraził się tego srebrnego kapłana. Jak większość wojowników Bractwa, nie był prawdziwym mistykiem; polegał na mocy Liścia, która uwalniała go z ciała. Mimo to miewał wizje... przebłyski... intuicyjne przeczucia. Tak było przed chwilą.

Pulis wyczuł straszliwą groźbę, jaką niósł srebrny wojownik – nie tylko osobiste niebezpieczeństwo, lecz odwieczne zagrożenie dla jego sprawy, teraz i po kres czasu. Ledwie uchwytnie, będące bardziej emocją niż wizją. Jednak widział coś... co to było? Gorączkowo szukał w pamięci.

Tak! Runiczna liczba, wypisana na niebie płonącymi cyframi.

Jakaś liczba. Co oznaczała? Dni? Miesiące? Wieki?

– Trzydzieści – powiedział na głos.

– Co mówisz? – powtórzył oficer. – Trzydziestu?

Zimny dreszcz przeleciał po plecach Pulisa, jakby jakiś demon przeszedł po jego grobie.

O świcie Waylander otworzył oczy, ziewnął i stwierdził, że został sam. Dziwne, pomyślał, nie pamiętam, kiedy zasnąłem. Pamiętał jednak obietnicę daną Orienowi i ze zdumieniem potrząsnął głową. Rozejrzał się wokół, ale starca nie było.

Waylander potarł podbródek, drapiąc szczeciniastą brodę.

Zbroja Oriena.

Co za bzdury.

– Ta misja cię zabije – szepnął.

Wyjął zza pasa nóż, ostrzył go przez kilka minut, a potem starannie zgolił brodę. Ostrze drapało skórę, lecz poranny wietrzyk mile chłodził twarz.

Dardalion wyszedł z kotlinki i usiadł obok niego. Waylander skinął głową, lecz nie odezwał się. Kapłan był zmęczony i miał wpadnięte oczy; jest jakby szczuplejszy, pomyślał Waylander, a także trochę zmieniony.

– Starzec nie żyje – oznajmił Dardalion. – Powinieneś być z nim porozmawiać.

– Zrobiłem to.

Nie, naprawdę powinieneś. Te kilka słów przy ognisku to nie rozmowa. Wiesz, kim on był?

– To Orien – rzekł Waylander. Zdziwienie na twarzy Dardaliona było prawie komiczne.

– Poznałeś go?

– Wcześniej nie. Przyszedł do mnie w nocy.

– Miał wielką moc – powiedział cicho Dardalion. – Umarł, nie odchodząc od ogniska. Opowiedział nam wiele historii ze swego życia, a potem położył się i zasnął. Leżałem obok i wiem, że umarł we śnie.

– Mylisz się.

– Nie sądzę. O czym rozmawialiście?

– Poprosił, żebym mu coś przyniósł. Obiecałem, że to zrobię.

– Co takiego?

– Nie twoja sprawa, kapłanie.

– Za późno, by mnie odpychać, wojowniku. Kiedy uratowałeś mi życie, otworzyłeś przede mną duszę. Gdy twoja krew znalazła się w moim gardle, poznałem twoje życie i każdą jego chwilę. Teraz, kiedy spoglądam w lustro, widzę ciebie.

– Patrzysz w niewłaściwe lustro.

– Opowiedz mi o Dakeyrasie.

– Dakeyras umarł – warknął Waylander. – Ale masz rację, Dardalionie. Ocaliłem ci życie. Dwukrotnie! Powinieneś dać mi prawo do samotności.

– I pozwolić ci znów stać się tym, kim byłeś? Nie sądzę. Spójrz na siebie. Zmarnowałeś połowę życia. Przeżyłeś ogromną tragedię, która cię załamała. Chciałeś umrzeć, lecz zamiast tego zabiłeś tylko część siebie. Biedny Dakeyras, nieżyjący od dwóch dziesięcioleci, podczas gdy Waylander przemierza świat, zabijając za złoto, którego nigdy nie wyda. Tyle dusz posłanych w Otchłań. I po co? Aby osłabić ból, którego nie chcesz czuć.

– Jak śmiesz prawić mi kazania! – rzekł Waylander. – Mówisz o lustrach? Powiedz mi, kim się stałeś, od kiedy zabiłeś dwóch ludzi.

– Szczęściu – poprawił Dardalion. – I będzie ich więcej. Tak, właśnie dlatego ciebie rozumiem. Mogę błądzić w tym, co czynię, lecz stanę przed moim Bogiem i powiem, że robiłem to w dobrej wierze – sądząc, iż bronię słabych przed siłami zła. Ty mnie tego nauczyłeś. Nie Waylander – człowiek zabijający za pieniądze, lecz Dakeyras, który uratował kapłana.

– Nie chcę już o tym mówić – rzucił Waylander, wstając.

– Czy Orien wiedział, że zabiłeś jego syna?

Waylander gwałtownie obrócił się.

– Tak, wiedział. To był najgorszy z moich uczynków. Jednak zapłacę zań, kapłanie. Postarał się o to Orien. Widzisz, zwykłem sądzić, iż nienawiść jest największą siłą. Jednak minionej nocy poznałem inną. Wybaczył mi... a to rani bardziej niż rozżarzone żelazo. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– Dlatego teraz umrę dla niego i spłacę mój dług.

– Twoja śmierć niczego nie rozwiąże. Czego od ciebie zażądał?

– Abym przyniósł jego Zbroję.

– Z Raboas, Świętego Olbrzyna.

- Powiedział ci?
- Tak. Mówił mi też, iż człowiek imieniem Kaem również będzie szukał tego skarbu.
- Kaem szuka mnie. Jednak mądrzej postąpiłby, gdyby mnie nie znalazł.

Kaem miał złe sny. Vagryjski generał kwaterował w ładnym domu z widokiem na port Purdol. Straże pilnowały ogrodów, podczas gdy dwaj najbardziej zaufani żołnierze pełnili wartę przed drzwiami jego komnaty. Pomieszczenie miało tylko jedno zakratowane okno, było ciasne i duszne.

Kaem zbudził się i gwałtownie usiadł na łóżku, szukając miecza. Drzwi otwały się i wbiegł przez nie Dalnor, z bronią w ręku.– Co się stało, milordzie?

– Nic. To tylko sen. Wołałem cię?

– Tak, milordzie. Mam zostać przy tobie?

– Nie. – Kaem wziął lniany ręcznik z krzesła przy nocnym stoliku, po czym otarł pot z czoła i szyi. – Niech cię szlag, Waylanderze – szepnął.

– Milordzie?

– Nie, nic. Zostaw mnie.

Kaem spuścił nogi z łóżka, wstał i podszedł do okna. Był chudym, zupełnie łysym mężczyzną, a pomarszczona skóra nadawała mu wygląd wyrzuconego na brzeg żółwia bez skorupy. Wielu na pierwszy rzut oka uznawało go za zabawną postać, ale większość widziała go takim, jakim był: najlepszym strategiem owych czasów, nazywanym Księciem Wojny. Jego żołnierze darzyli go szacunkiem, choć nie uwielbieniem, zachowywanym dla innych, bardziej charyzmatycznych generałów. Odpowiadało mu to, gdyż nie lubił emocji, a ich przejawy u mężczyzn uważał za dziecinne i głupie. Od swoich oficerów żądał posłuszeństwa, a od żołnierzy odwagi.

Teraz jego własna odwaga została wystawiona na próbę. Waylander zabił jego syna, a on poprzysiągł zabić jego. Jednak Waylander to doświadczony myśliwy i Kaem był pewny, że któreś ciemnej nocy znów obudzi się, czując ostrze jego noża na gardle.

Albo gorzej... nie obudzi się wcale. Bractwo tropiło zabójcę, ale pierwsze raporty nie napawały otuchą. Tropiciel zabity, a teraz wśród Bractwa rozeszły się wieści o tajemniczym wojowniku-kapłanie, który podróżuje z zabójcą.

Kaem, oprócz swych strategicznych talentów, był także ostrożnym człowiekiem. Dopóki Waylander żył, zagrażał jego planom. Marzył, że po zakończeniu podbojów zostanie władcą kraju większego od Vagrii, kraju złożonego z Lentrii, ziemi Drenajów i północnych ziem Sathuli – szesnastu portów, dwunastu dużych miast i szlaków kupieckich na wschód.

Wtedy wybuchnie wojna domowa i Kaem rzuci swoje siły przeciw podupadającej władzy Imperatora. Podeszedł do mosiężnego lustra na przeciwległej ścianie i spojrzął na swoje odbicie. Korona wyglądałaby trochę zabawnie na jego głowie, ale nie będzie musiał nosić jej zbyt często.

Nieco spokojniejszy, wrócił do łóżka, zasnął.

Znalazł się na ciemnej górze, pod obcymi gwiazdami, oszołomiony i zmieszany. Przed nim siedział jakiś starzec w brązowych łachmanach. Nie otwierając oczu, powiedział:

– Witaj, generale. Szukasz Zbroi?

– Zbroi? Jakiej zbroi?

– Zbroi z Brązu. Zbroi Oriena.

– Ukrył ją. Nikt nie wie gdzie.

– Ja wiem.

Kaem usiadł naprzeciw starca. Jak każdy, kto studiował współczesne dzieje, on również słyszał o tej Zbroi. Niektórzy twierdzili, że miała magiczne własności zapewniające zwycięstwo temu, kto ją nosił, lecz byli to prostacy lub poeci. Kaem długo studiował historię wojen i wiedział, że Orien był po prostu mistrzem strategii. Jednak Zbroja była symbolem – i to potężnym.

– Gdzie ona jest? – zapytał.

Starzec nie otworzył oczu.

– Jak bardzo jej pragniesz?

– Chciałbym ją mieć, choć ona i tak nie ma znaczenia.

– W jaki sposób definiujesz znaczenie?

– Zwycięzę – z nią czy bez niej.

– Jesteś tego pewien, generale? Purdol broni się, a Egel ma armię w Skultik.

– Purdol jest moje. Pewnie zajmie mi to miesiąc, ale będzie moje. A Egel jest w pułapce – nie może mi zaszkodzić.

– Może, jeśli będzie miał Zbroję.

– W jaki sposób? Czyżby była zaczarowana?

– Nie, to tylko metal. Jednak jest symbolem i Drenajowie ściągną tłumnie pod rozkazy tego, kto ją nałoży. Nawet twoi żołnierze słyszeli opowieści o jej cudownych własnościach, więc ich morale ucierpi. Wiesz, że to prawda.

– No dobrze – rzekł Kaem. – Przyznaję, że może mi zaszkodzić. Gdzie ona jest?

– W ziemi Nadirów.

– To ogromny obszar, starcze.

– Jest ukryta w sercu Gór Księżycowych.

– Dlaczego mi o tym mówisz? Kim jesteś?

– Jestem śniącym we śnie – twoim śnie, Kaemie. Moje słowa są prawdą i twoje nadzieje zależą od tego, jak je zinterpretujesz.

– Jak znajdę tę Zbroję?

– Idąc za człowiekiem, który jej szuka.

– Kim jest ten człowiek?

– A kogo najbardziej się lękasz w świecie ludzi?

– Waylander?

– Ten sam.

– Dlaczego miałby szukać Zbroi? Jego nie interesuje ta wojna.

– Zabił dla ciebie Króla, Kaemie. A tymczasem ty próbujesz go zabić. Drenajowie zabiją go, gdy się o tym dowiedzą, a Vagryjczycy również, jeśli go znajdą. Może chce się targować.

– Skąd wie, gdzie ją ukryto?

– Ja mu powiedziałem.

– Dlaczego? Co to za gra?

– Gra śmierci, Kaemie.

Starzec otworzył oczy i Kaem zaczął wrzeszczeć, spowity płomieniami.

I obudził się.

Przez trzy noce Kaema dręczyły wizje brązowej zbroi i dwóch słynnych mieczy. Raz widział Zbroję unoszącą się nad lasem Skultik, świecąca jak drugie słońce. Potem opadła, powoli, między drzewa i ujrzał armię Egela skapaną w jej blasku. Ta armia rosła w siłę, gdyż każde drzewo zmieniało się w człowieka – w ogromne, nieprzeliczone zastępy wojsk.

Za drugim razem widział Waylandera, nadchodzącego przez las z jednym z tych straszliwych mieczy w rękę, a potem pojął, że zabójca idzie na niego. Zaczął uciekać, lecz nogi miał słabe i ciężkie, więc po chwili patrzył z przerażeniem, jak Waylander powoli odrąbuje mu kończyny.

Trzeciej nocy widział siebie odzianego w Zbroję Oriana, wchodzącego po marmurowych stopniach vagryjskiego tronu. Wiwaty tłumów radowały go, a gdy spoglądał w oczy swych nowych poddanych, widział w nich uwielbienie.

Rankiem czwartego dnia stwierdził, że błądzi myślami, słuchając raportów niższych szarż generałów.

Z trudem skupił uwagę na nie kończącej się litanii drobnych problemów, z jakimi boryka się armia tocząca wojnę. Dostawy z zachodu przychodziły rzadko, ponieważ brakowało wozów; dopiero budowano nowe. W pobliżu Drenanu zabito sześćset koni po tym, jak niektóre zaczęły kaszleć krwią; uważano, że tylko w ten sposób można powstrzymać zarazę. Kilku winnych złamania dyscypliny surowo ukarano, a teraz na dodatek należało oddziałom racjonować żywność.

– A co z Lentryjczykami? – zapytał Kaem.

Xertes, młody oficer będący dalekim krewnym Imperatora, wystąpił naprzód. – Powstrzymali nasz pierwszy atak, milordzie. Teraz zepchnęliśmy ich w tył.

– Obiecałeś mi, że dziesięcioletnia armia zdobędzie Lentrię w ciągu tygodnia.

– Ludziom brak odwagi – rzekł Xertes.

– To nigdy nie było vagryjską słabością. Brakuje im odpowiedniego dowódcy.

– To nie moja wina – odparł gwałtownie Xertes. – Kazałem Misalasowi zająć pozycję na wzgórzu, na ich prawej flance, żebyśmy mogli rozbić klinem środek ich szyku. Nie zdołał, lecz to nie moja wina.

– Misalas dowodzi lekką kawalerią – skórzane napierśniki i szable. Prawa flanką nieprzyjaciela była okopana, a wzgórze porośnięte drzewami. Jak, w imię Ducha, mogłeś oczekiwać, że lekka kawaleria wykona takie zadanie? Łucznicy roznieśli ich na strzępy.

– Nie dam się upokarzać w ten sposób – krzyknął Xertes. – Napiszę do wuja.

– Szlachetne urodzenie nie zwalnia od odpowiedzialności – stwierdził Kaem. – Składałeś wiele obietnic i żadnej nie spełniłeś. Zepchnęliście ich, powiadasz? O ile wiem, Lentryjczycy dali wam po nosie, a potem przegrupowali się, szykując do powtórki. Kazałem ci z marszu wjechać do Lentrii, nie dając im czasu na okopanie się. A co ty zrobiłeś? Rozbiłeś obóz na ich granicy

i wysłałeś zwiadowców, tak że nawet ślepy zobaczyłby, iż szykujesz atak. Kosztowało mnie to dwa tysiące żołnierzy.

– To niesprawiedliwe!

– Milcz, robaku! Jesteś zwolniony ze służby. Wracaj do domu, chłopcze!

Krew odpłynęła z twarzy Xertesa, a jego dłoń przesunęła się do rękojeści zdobnego sztyletu.

Kaem uśmiechnął się...

Xertes zamarł, skłonił się sztywno i opuścił pokój. Kaem spojrzął po zebranych: dziesięciu oficerów stało na baczność, żaden nie patrzył mu w oczy.

– Rozejść się – powiedział, a gdy odeszli, wezwał Dalnora. Młody oficer wszedł, a Kaem wskazał mu krzesło.

– Xertes wraca do domu – powiedział.

– Słyszałem, milordzie.

– To niebezpieczna podróż... wiele może się zdarzyć.

– To prawda, milordzie.

– Na przykład spotkanie z tym zabójcą, Waylanderem?

– Tak, milordzie.

– Imperator byłby oburzony, gdyby ktoś taki zabił członka królewskiego rodu.

– Istotnie, milordzie. Użyłby wszelkich możliwych środków, żeby go pojmać i zabić.

– Tak więc musimy zadbać, żeby nic podobnego nie przytrafiło się młodemu Xertesowi.

Przydziel mu eskortę.– Zrobię to, milordzie.

– I jeszcze jedno, Dalnorze...

– Tak, milordzie?

– Waylander posługuje się małą kuszą i bełtami z czarnego żelaza.

Rozdział 7

Stary fort miał tylko trzy dobre mury, każdy dwudziestostopowej wysokości, gdyż z czwartej strony częściowo rozebrali go wieśniacy, używający kamieni pod fundamenty. Teraz wioska była opuszczona i fort stał jak kaleki strażnik nad jej resztkami. W kasztelu panowała wilgoć i chłód, część sufitu zapadła się przed kilku laty, a pewne ślady wskazywały na to, iż główne pomieszczenie wykorzystywano jako oborę, której smród pozostał jeszcze długo po tym, jak wyprowadzono stąd bydło.

Gellan kazał ustawić wozy pod odsłoniętą czwartą ścianą, tworząc rodzaj barykady przed vagryjskim atakiem. Lał deszcz, smagając kamienie starej fortecy i sprawiając, że lśniły jak marmur.

Błyskawica rozświetliła nocne niebo i na wschodzie przetoczył się grzmot, gdy Gellan owinął się płaszczem i popatrzył na północ. Sarvaj wspiął się po trzeszczących, zbutwiałych schodach na blanki i stanął obok oficera.

– Mam nadzieję, że masz rację – rzekł. Gellan nie odpowiedział. Pogrzyżył się w rozpacz. Pierwszego dnia był przekonany, że Vagryjczycy ich znajdą. Drugiego niepokoił się jeszcze bardziej. Trzeciego pozwolił sobie mieć nadzieję, że w triumfie powróci do Skultik.

Wtedy spadł deszcz i wozy zaczęły grzęznąć w błocie. W tym momencie powinien zniszczyć zapasy i umknąć w las – teraz to wiedział. Zwlekał z tym za długo i Vagryjczycy przecięli mu drogę.

Jeszcze był czas zostawić wszystko i uciec – jak wykazał Jonat – lecz do tego czasu Gellan obsesyjnie zapragnął dotrzeć z żywnością do Egela.

Sądził, że będzie miał przeciw sobie najwyżej dwustu Vagryjczyków, więc skierował wozy do opuszczonego fortu Masin. Pięćdziesięciu ludzi mogło utrzymać się tam, odpierając atak dwustu przez co najmniej trzy dni. Tymczasem posłał trzech gońców do Skultik, z żądaniem niezwłocznej pomocy.

Jednak jak zwykle opuściło go szczęście. Zwiadowcy donieśli, że mają przeciw sobie pięćsetosobowy oddział, który mógł rozbić ich w pierwszym ataku.

Potem posłał zwiadowców do Egela, więc nie mieli pojęcia o dalszych ruchach wroga. Gellan czuł się jak zdrajca, nie informując o tym Sarvaja, lecz morale żołnierzy to niezwykle

delikatna rzecz.

– Utrzymamy się – rzekł w końcu – nawet jeśli mają więcej ludzi, niż sądziliśmy.

– Zachodni mur jest nadwątlony. Dziecko mogłoby go zwalić – rzekł Sarvaj. – Wozy nie tworzą dostatecznej zapory.

– Muszą wystarczyć.

– Myślisz, że jest ich dwustu?

– Może trzystu – przyznał Gellan.

– Mam nadzieję, że nie.

– Pamiętaj, co mówi podręcznik, Sarvaju. Cytuję: ”Dobre fortyfikacje mogą powstrzymać nieprzyjaciela dziesięciokrotnie silniejszego od obrońców”.

– Nie chcę spierać się z dowódcą, ale czy podręcznik nie mówi ”pięciokrotnie”?

– Sprawdźmy to, kiedy dojedziemy do Skultik.

– Jonat znów narzeka, ale ludzie są zadowoleni, że jesteśmy pod dachem; rozpalili ognisko w kasztelu. Dlaczego nie wejdiesz tam na chwilę?

– Troszczysz się o moje stare kości?

– Myślę, że powinieneś odpocząć. Jutro będzie ciężki dzień.

– Tak, masz rację. Trzymaj strażę w pogotowiu, Sarvaju.

– Zrobię, co będę mógł.

Gellan podszedł do schodów, lecz zaraz wrócił.

– Jest ich przeszło pięciuset – powiedział.

– Domyśliłem się tego – rzekł Sarvaj. – Prześpij się trochę. I uważaj na tych schodach – modłę się, ilekroć po nich wchodzę!

Gellan ostrożnie zszedł na dół i przeszedł po brukowanym dziedzińcu do kasztelu. Zawiasy bramy były przerdzewiałe, ale żołnierze ponownie umocowali wrota. Gellan precyzyjnie przeszedł przez nie i podszedł do wielkiego paleniska. Z przyjemnością ogrzał dłonie przy ogniu. Żołnierze zamilkli na jego widok, a jeden z nich – Vanek – podszedł do niego.

– Rozpaliliśmy dla pana ogień, dowódcu. We wschodniej komnacie. Jest tam składane łóżko, gdybyś chciał się trochę zdrzemnąć.

– Dziękuję, Vanek. Jonat, pozwól na chwilę.

Wysoki, kościsty Jonat podniósł się z ziemi i poszedł za oficerem. Sarvaj znów się poskarżył, pomyślał, szykując argumenty. Gdy znaleźli się w niewielkim pokoiku, Gellan zdjął płaszcz oraz

napierśnik i stanął przed trzaskającym kominkiem.

– Wiesz, dlaczego cię awansowałem? – zapytał.

– Ponieważ uważał pan, że podołam? – zaryzykował Jonat.

– Więcej. Wiedziałem, że podołasz. Ufam ci, Jonacie.

– Dziękuję – odparł niechętnie Jonat.

– Powiem ci coś – i chcę, żebyś na razie zachował to dla siebie – mamy przeciw sobie co najmniej pięciuset Vagryjczyków.

– Nie utrzymamy się.

– Mam nadzieję, że się mylisz. Musimy, gdyż Egel potrzebuje zaopatrzenia. Wystarczą nam trzy dni. Chcę, żebyś utrzymał zachodni mur. Wybierz dwudziestu ludzi – najlepszych łuczników i szermierzy – i utrzymaj go!

– Moglibyśmy wyrąbać sobie drogę – nawet teraz.

– Egel ma cztery tysiące ludzi, którym brakuje ekwipunku, żywności i leków; ludność Skarty głoduje, żeby ich zaopatrywać. To nie może trwać w nieskończoność. Dziś wieczorem sprawdziłem wozy. Wiesz, tam jest ponad dwadzieścia tysięcy strzał, zapasowe łuki, miecze i włócznie; a także solone mięso i owoce oraz więcej niż sto tysięcy sztuk srebra.

– Sto tysięcy... to ich żołąd!

– Właśnie. Za te pieniądze Egel może zacząć handlować nawet z Nadirami.

– Nic dziwnego, że wysłali pięciuset ludzi, żeby je odbili. Dziwię się, że nie posłali tysiąca.

– Sprawimy, że tego pożałują – rzekł Gellan. – Możesz utrzymać zachodni mur z dwudziestką ludzi?

– Spróbuję.

– O nic więcej nie proszę.

Kiedy Jonat odszedł, Gellan wyciągnął się na składanym łóżku. Śmierdziało kurzem i grzybem, lecz było wygodniejsze od puchowego łoża.

Zasnął dwie godziny przed świtem. Tuż przed tym pomyślał jeszcze o dzieciach, o tym, jak zabrał je, żeby bawić się w górach.

Gdyby tylko wiedział, że to ich ostatni spędzony razem dzień, zachowywałby się zupełnie inaczej. Przytuliłby je i powiedział im, że je kocha...

W nocy burza przeszła i o świcie niebo było bezchmurne, wiosennie błękitne. Godzinę później obudzono Gellana, gdy na horyzoncie pojawili się jeźdźcy. Pospiesznie ubrał się i ogolił, a potem wszedł na mury.

W oddali ujrzał dwa konie, mocno obciążone i człapiące. Kiedy podjechały bliżej, Gellan spostrzegł, że na jednym siedzą mężczyzna z kobietą, a na drugim mężczyzna i dwie małe dziewczynki.

Kiedy dojeżdżali, machnięciem ręki wskazał im zrujnowaną bramę w zachodnim murze i kazał rozsunąć wozy tak, żeby przepuścić konie.

– Idź i przesłuchaj ich – polecił Sarvajowi.

Młody żołnierz zszedł na dziedziniec w chwili, gdy przybysze zsiadali z koni, i jego wzrok natychmiast przykuł człowiek w czarnym skórzanym płaszczu. Był wysokim mężczyzną o ciemnych, przetykanych siwizną włosach i oczach tak ciemnobrązowych, że wydawały się pozbawione źrenic. Twarz miał spiętą i posępną, a poruszał się ostrożnie, zachowując pewny krok. W rękę trzymał małą czarną kuszę, a przy jego szerokim pasie tkwił rząd noży.

– Dzień dobry – rzekł Sarvaj. – Przybywacie z daleka?

– Wystarczająco – odparł mężczyzna, kierując wzrok na wozy, które przestawiano na miejsce.

– Może bylibyście bezpieczniejsi, gdybyście pojechali dalej.

– Nie – odparł spokojnie nieznajomy. – Vagryjskie patrole są wszędzie.

– Polują na nas – powiedział Sarvaj. Tamten kiwnął głową i poszedł w kierunku muru, podczas gdy Sarvaj odwrócił się do drugiego mężczyzny, stojącego obok kobiety i dwóch dziewczynek.

– Witamy w Masin – powiedział, wyciągając rękę, którą Dardalion energicznie potrząsnął. Sarvaj skłonił się Danyal, a potem przykucnął przy dziewczynkach. – Jestem Sarvaj – przedstawił się, ściągając hełm z pióropuszem. Przestraszone siostry uczepliły się spódnicy Danyal i odwróciły głowy.

– Dzieci raczej mnie lubią – powiedział z krzywym uśmiechem.

– Wiele wycierpiały – odparła Danyal – ale niedługo się oswoją. Macie coś do jedzenia?

– Oczywiście! Proszę tędy.

Zaprowadził ich do kasztelu, gdzie kucharz przygotował śniadanie złożone z gorących płatków owsianych oraz zimnej wieprzowiny. Usiedli przy prowizorycznym stole. Kucharz

postawił przed nimi talerze płatków, ale dzieci, ledwie skosztowawszy, odsunęły je od siebie.

•To okropne – stwierdziła Miriel.

Jeden z siedzących opodal mężczyzn podszedł do nich.

– Dlaczego, księżniczko?

– Są kwaśne.

– Przecież masz trochę cukru we włosach. Dlaczego sobie nie posłodzisz?

– Nie mam cukru – powiedziała. Mężczyzna pochylił się, rozczochrał jej włosy, a potem rozłożył dłoń, pokazując leżący na niej skórzany woreczek. Rozwiązał go i wsypał trochę cukru do płatków.

– A czy w moich włosach też jest cukier? – spytała z zaciekawieniem Krylla.

– Nie, księżniczko, ale jestem pewien, że siostrzyczka podzieli się z tobą.

Wsypał resztę do talerza Krylli i obie dziewczynki zaczęły jeść.

– Dziękuję – powiedziała Danyal.

– Cała przyjemność po mojej stronie, milady. Jestem Vanek.

– Miły z ciebie człowiek.

– Lubię dzieci – powiedział, a potem wrócił do stołu. Danyal zauważyła, że lekko utykał.

– Koń przygniótł go jakieś dwa lata temu – wyjaśnił Sarvaj. – Zmiażdżył mu stopę. To dobry człowiek.

– Macie może jakiś zapasowy oręż? – zapytał Dardalion.

– Przejeliśmy trochę vagryjskich zapasów. Mamy miecze, łuki i napierśniki.

– Czy musisz walczyć, Dardalionie? – spytała Danyal.

Słyszając troskę w jej głosie, Sarvaj przeniósł spojrzenie na młodzieńca. Ten wyglądał na silnego, choć miał łagodne rysy – raczej uczonego niż wojownika, pomyślał Sarvaj; wyciągnął rękę i bez słowa uścisnął dłoń Danyal.

– Nie musisz walczyć, panie – rzekł Sarvaj. – To nie jest obowiązkowe.

– Dzięki, lecz już obrałem drogę. Pomożesz mi wybrać broń? Nie mam doświadczenia w tych sprawach.– Oczywiście. Opowiedz mi o swoim przyjacielu.

– A co chciałbyś usłyszeć?

Sarvaj uśmiechnął się.

– Wygląda na samotnika – rzekł niezręcznie. – Nie na kogoś, kogo widuje się w towarzystwie kobiety i dzieci.

– Uratował nam życie – rzekł Dardalion – a to mówi o nim więcej niż jego wygląd.

– Istotnie – przyznał Sarvaj. – Jak się zowie?

– Dakeyras – rzucił szybko Dardalion. Sarvaj dostrzegł wyraz twarzy Danyal i nie rozwijał tematu; były daleko ważniejsze sprawy niż czyjeś przybrane imię. Dakeyras prawdopodobnie był banitą, co pół roku wcześniej mogło mieć jakieś znaczenie. Teraz nie miało żadnego.

– Mówił o vagryjskich oddziałach. Widzieliście jakies?

– Jest ich prawie pięciuset – odparł Dardalion. – Obozowali w parowie na północnym wschodzie.

– Kiedy?

– Ruszyli godzinę przed świtem, szukając śladów waszych wozów.

– Dużo wiesz o ich ruchach.

– Jestem mistykiem, niegdyś kapłanem Źródła.

– I chcesz mieć oręż?

– Spojrzałem na sprawy inaczej, Sarvaju.

– Czy możesz zobaczyć, gdzie teraz są Vagryjczycy?

Dardalion zamknął oczy, opierając głowę na splecionych dłoniach. Po chwili znów je otworzył.

– Znaleźli wasze ślady w miejscu, gdzie skręciliście na zachód. Teraz zbliżają się do nas.

– Jaki to regiment?

– Nie mam pojęcia.

– Opisz ich zbroje.

– Błękitne płaszcze, czarne napierśniki i hełmy zasłaniające twarze.

– Wizjery są proste czy wypukłe?

Na czołach mają wizerunek warczącego wilka.– Dziękuję, Dardalionie. Wybacz mi – rzekł Sarvaj, a po chwili wstał od stołu i wrócił na blanki, gdzie Gellan nadzorował rozdzielanie strzał; każdy łucznik otrzymał kołczan z pięćdziesięcioma drzewcami.

Sarvaj zdjął hełm i przyglądał palcami rzednące włosy.

– Wierzysz temu człowiekowi? – zapytał Gellan, kiedy Sarvaj przekazał mu nowiny.

– Sądzę, że jest uczciwy, choć mogę się mylić.

– Przekonamy się w ciągu godziny.

– Tak. Jeśli jednak ma rację, naszym przeciwnikiem będą Ogary.

- To tylko ludzie, Sarvaju; nie ma w nich niczego nadprzyrodzonego.
- Nie martwią mnie ich nadprzyrodzone cechy – odparł żołnierz. – Tylko to, że zawsze zwyciężają.

Waylander rozsiadł konia, chowając juki do kasztelu. Potem zaniósł broń na rozpadający się zachodni mur. Położył na blankach sześć noży do rzucania i dwa kołczany bełtów do kuszy. Po chwili zobaczył Dardaliona i Sarvaja, stojących przy wozie pod wschodnim murem; tam właśnie ustawiono wozy kręgiem, tworząc zagrodę dla mułów.

Waylander przeszedł przez dziedziniec. Dardalion odłożył miecz i pochwę zabrane zabitemu rabusiowi i wybrał sobie szablę z błękitnej stali. Szeroki miecz był za ciężki dla szczupłego kapłana. Sarvaj wyjął spod plandeki napierśnik. Był owinięty w nieprzemakalną tkaninę i wyjęty z niej zabłysnął jak srebro.

– To własność vagryjskiego oficera Błękitnych Jeźdźców – powiedział Sarvaj. – Zrobiony na zamówienie. Przymierz.

Sięgnąwszy głębiej pod plandekę, wyciągnął duży pakunek. Rozerwawszy go, odkrył biały płaszcz, obszyty skórą.

– Będziesz się wyróżniał jak gołąb wśród wron – rzekł Waylander, lecz Dardalion tylko uśmiechnął się i zarzucił płaszcz na ramiona. Potrząsając głową, Waylander wdrapał się na wóz, gdzie wybrał sobie dwa krótkie miecze z niebieskiej stali w identycznych pochwach; te przypiął do pasa. Były tępe, więc poszedł na blanki, żeby je naostrzyć.

Kiedy Dardalion dołączył do niego, wojownik zamrugnął oczami z kpiącym niedowierzaniem. Kapłan miał na głowie hełm z pióropuszem białych końskich włosów, a pod białym płaszczem lśniący napierśnik z wytłoczonym lejącym orłem. Skórzany kilt, nabijany srebrem, chronił uda Dardaliona, a łydki osłaniały srebrne ochraniacze. U boku miał kawaleryjską szablę, a na lewym biodrze długi, wygięty sztylet ukryty w nabijanej klejnotami pochwie.

- Wyglądasz śmiesznie – powiedział mu Waylander.
- Zapewne.
- Możesz przyciągnąć do siebie Vagryjczyków jak krowi placek muchy.
- Rzeczywiście czuję się głupio.
- Więc zdejmij to i znajdź sobie coś mniej wystawnego.

– Nie. Nie mogę tego wyjaśnić, ale muszę to nosić.

– A zatem trzymaj się ode mnie z daleka, kapłanie. Chcę zostać przy życiu!

– Ty nie nakładasz żadnej zbroi?

– Mam kolczugę, a poza tym nie zamierzam stać w jednym miejscu dostatecznie długo, żeby zbierać ciosy.

– Chętnie skorzystałbym z krótkiej lekcji szermierki.

– Bogowie, litości! – warknął Waylander. – Trzeba lat, żeby się czegoś nauczyć, a ty masz godzinę, może dwie. Niczego nie zdążę cię nauczyć – pamiętaj tylko, żeby chronić gardło i pachwinę. Osłaniaj swoich, tnij tamtych!

– Winien ci jestem pewne wyjaśnienie. Powiedziałem Sarvajowi – temu żołnierzowi, który nas powitał – że nazywałeś się Dakeyras.

– To bez znaczenia, ale dziękuję.

– Przykro mi, że ratując mnie, wpakowałeś się w coś takiego.

– Sam się w to wpakowałem; nie obwiniaj się. Tylko staraj się zostać przy życiu, kapłanie.

– Mój los jest w rękach Źródła.

– Obojętnie. Staraj się mieć słońce za plecami – w ten sposób oślepiasz ich twym blaskiem! I postaraj się o manierkę wody – przekonasz się, że wojowanie wysusza gardło.

– Tak, zrobię to. Ja...

– Dość gadania, Dardalionie. Zaopatrz się w wodę i zajmij pozycję przy wozach. Tam zaatakują.

– Czuję, że powinienem coś powiedzieć. Zawdzięczam ci życie... Jednak słowa więzną mi w gardle.

– Nie musisz nic mówić. Jesteś porządnym człowiekiem, kapłanie, i cieszę się, że cię uratowałem. A teraz, do licha, idź już!

Dardalion wrócił na dziedziniec, a Waylander napiął kuszę i sprawdził cięciwy. Zadowolony, ostrożnie położył ją na blankach. Potem, wzięwszy kawałek rzemyka, związał sobie włosy na karku.

Podszedł do niego młody brodaty żołnierz.

– Dzień dobry, panie. Jestem Jonat. Dowodzę na tym odcinku.

– Dakeyras – rzekł Waylander, wyciągając rękę.

– Twój przyjaciel wystroił się jak na królewski bankiet.

– To najlepsze, co zdołał znaleźć. Ale zapewniam cię, że spisz się dzielnie.

– Jestem tego pewien. Czy zamierzasz zostać w tym miejscu?

– Taki miałem zamiar – odparł sucho Waylander.

– To chyba najlepsza pozycja do ostrzału i wolałbym ustawić tu jednego z moich łuczników.

– Rozumiem – rzekł Waylander, podnosząc kuszę i naciągając górną cięciwę. Położywszy belt w prowadnicy, zerknął na wóz tarasujący rozbitą bramę. Podniesiony dyszel tworzył krzyż z orczykiem. Waylander napiął dolną cięciwę i założył drugi belt.

– Jaki szeroki, według ciebie, jest ten orczyk? – zapytał.

– Dostatecznie wąski, by stanowić trudny cel – przyznał Jonat.

Waylander podniósł rękę i czarny belt śmignął w powietrzu, by przeszyć prawy koniec orczyka. Drugi pocisk przebił lewy. – Interesujące – rzekł Jonat. – Mogę spróbować?

Waylander podał mu broń i żołnierz obrócił ją w rękach. Była pięknie zaprojektowana. Założywszy tylko jedną strzałę, Jonat wycelował w dyszel i strzelił. Pocisk musnął dyszel i trafił w kamienie dziedzińca, krzesząc snop iskier.

– Piękna broń – powiedział Jonat. – Chciałbym kiedyś nią poćwiczyć.

– Jeśli coś mi się stanie, możesz ją wziąć.

Jonat skinął głową.

– A więc zostaniesz tu?

– Tak myślę.

Nagle ze wschodniego muru rozległ się ostrzegawczy krzyk i Jonat wbiegł po schodach na blanki, dołączając do strumienia ludzi pędzących, by zobaczyć wroga. Waylander oparł się o mur; już nieraz widział wojsko. Pociągnął łyk z manierki i potrzymał wodę w ustach, zanim ją przełknął.

Na wschodnim murze Jonat dołączył do Gellana i Sarvaja.

Na równinie pojawiło się prawie pięciuset vagryjskich jeźdźców, od których odłączyli się dwaj zwiadowcy i pogalopowali w kierunku zachodniego muru. Potem zawrócili. Przez kilka minut nic się nie działo, a później vagryjscy oficerowie zsiadli z koni i usiedli kręgiem; po chwili jeden z nich wstał i ponownie dosiadł wierzchowca.

– Pora na rozmowy – mruknął Sarvaj.

Oficer z podniesioną ręką podjechał do wschodniego muru. Zdjął hełm z głowy i zawołał:

– Jestem Ragic. Mówię w imieniu Earla Ceorisa. Kto mówi w imieniu Drenajów?

– Ja! – odkrzyknął Gellan.

– Jak się zwiesz?

– Nie twój interes. Co masz do powiedzenia?

– Jak widzisz, mamy wielką przewagę liczebną. Earl Ceoris daje wam szansę poddania się.

– Na jakich warunkach?

– Kiedy złożycie broń, będziecie mogli odejść.– Bardzo wielkodusznie!

– Zgadza się?

– Słyszałem o tym Earlu Ceorisie. Powiadają, że jego słowo jest tyle warte, co obietnica lantryjskiej dziwki. To człowiek bez honoru.

– Zatem odmawiacie?

– Nie paktuję z szakalami.

– Jeszcze pożałujecie tej decyzji! – krzyknął herold, szarpiąc wodze i popędzając konia z powrotem.

– Myślę, że może mieć rację – mruknął Jonat.

– Przygotować ludzi – rozkazał Gellan. – Vagryjczycy nie mają lin ani sprzętu oblężniczego, a to oznacza, że muszą atakować wyrwę. Sarvaj!

– Tak jest.

– Zostaw tylko po pięciu ludzi na każdym murze. Reszta niech idzie z Jonatem. Wykonać!

Sarvaj zasalutował i zszedł z muru. Jonat poszedł za nim.

– Mogliśmy się przebić – mruknął.

– Przestań wreszcie gadać – warknął Sarvaj.

Vagryjczycy popędzili konie na prawo i zgrupowali się naprzeciw zachodniego muru, a potem podjechali powoli tuż za zasięg strzał. Zsiadłszy z koni, wbili lance w ziemię i przywiązali do nich konie; potem, unosząc tarcze i dobywając mieczy, ruszyli naprzód.

Dardalion patrzył na nadchodzących i oblizywał wargi. Spociły mu się dłonie, więc otarł je o płaszcz. Jonat uśmiechnął się do niego.

– Przystojne sukinsyny, no nie?

Kapłan skinął głową, a kiedy zobaczył, że mężczyźni wokół nich byli spięci, zrozumiał, że nie tylko on czuje strach. Nawet Jonatowi oczy błyszczały bardziej niż przedtem w ściągniętej twarzy. Dardalion zerknął do góry, gdzie Waylander siedział oparty plecami o ścianę, układając obok siebie bełty. Tylko on nie patrzył na nadciągających nieprzyjaciół. Żołnierz na prawo od

kapłana wypuścił strzałę, która poleciała w kierunku Vagryjczyków; jeden z nacierających uniósł tarczę i pocisk ześlizgnął się po niej.

– Nie strzelać bez rozkazu! – ryknął Jonat.

Z przeraźliwym wrzaskiem Vagryjczycy runęli do ataku. Dardalion przełknął ślinę i sięgnął po szablę.

Kiedy wróg znalazł się już trzydzieści stóp od wylomu, Jonat krzyknął "teraz!" Strzały uderzyły w pierwszy szereg nacierających, ale większość odbiła się od okrągłych tarcz o mosiężnych brzegach. Inne ześlizgnęły się od czarnych hełmów, ale kilku nieprzyjaciół padło z brzechwami sterczącymi z nieosłoniętych szyj.

Druga chmura strzał spadła na Vagryjczyków, gdy dotarli do wylomu. Tym razem padło więcej niż tuzin wojowników. W następnej chwili byli przy wozach. Krępy wojak z uniesionym mieczem gramolił się na wóz, lecz bełt Waylandera trafił go tuż nad prawym uchem i po chwili runął bez jęku. Drugi bełt przeszył kark podążającego za nim.

Jonat dobrze rozstawił obrońców. Tuzin kłęczało na północnym murze, śląc strzałę za strzałą wrogom usiłującym rozsunąć wozy, podczas gdy dwudziestu innych stało na dziedzińcu, starannie wybierając cele. Ciała zabitych piętrzyły się, ale Vagryjczycy atakowali nadal.

Waylander usłyszał jakiś chrobot za plecami i odwróciwszy się, ujrzał vagryjskiego żołnierza, który wspiął się na mur. Za nim następny... i jeszcze jeden. Waylander uniósł kuszę, strzelił i pierwszy napastnik runął w tył, spadając z muru. Drugi dostał bełtem w ramię, ale biegł dalej, wrzeszcząc jak opętany. Zabójca upuścił kuszę i wyrwał z pochwy sztylet, którym zablokował cięcie; potem kopnął napastnika w krocze. Gdy żołnierz zachwiał się, Waylander pchnął sztyletem w jego szyję i Vagryjczyk spadł na dziedziniec, brocząc krwią z rozciętej tętnicy.

Waylander przykucnął, unikając gwałtownego ciosu w głowę. Skierował sztylet w górę i poczuł, jak ostrze wbija się w pachwinę trzeciego. Kopniakiem strącił go z muru i szykował się na spotkanie następnego, lecz ten nagle runął na twarz, ze strzałą sterczącą z karku. W drzwiach wieży pojawił się drenajski żołnierz z łukiem w ręku; uśmiechnął się do Waylandera i pokuśtykał naprzód.

Na dole czterej Vagryjczycy w końcu przedarli się przez barykadę i zeskoczyli na dziedziniec. Jonat zabił pierwszego zamaszystym ciosem w kark. Dardalion skoczył naprzód, z mocno bijącym sercem, i pchnął następnego. Ten odbił ostrze szabli i uderzył kapłana tarczą.

Dardalion upadł, potknąwszy się na kamieniach. Vagryjczyk zadał cios, lecz kapłan przetoczył się w bok i ostrze brzęknęło o bruk. Zerwawszy się z ziemi, Dardalion wyjął sztylet i stawiał czoło przeciwnikowi. Ten skoczył, mierząc kapłana w pachwinę. Dardalion sparował pchnięcie szablą i dźgnął sztyletem w gardło Vagryjczyka; spod czarnego hełmu trysnęła krew i napastnik upadł na kolana.

– Uważaj! – wrzasnął Waylander, lecz Dardalion o ułamek sekundy za późno uniósł szablę i drugi vagryjski żołnierz nadbiegł, zadając mu cios w głowę. Ostrze ześlizgnęło się po srebrzystym hełmie i uderzyło w ramię. Oszołomiony kapłan zatoczył się, a Vagryjczyk zamierzył się do śmiertelnego ciosu.

Jonat wykończył drugiego przeciwnika i obróciwszy się, zobaczył Dardaliona w opałach. Podbiegł i uderzył obiema nogami w napastnika, zbijając go z nóg. Zanim tamten zdążył wstać, Jonat przygniótł go do ziemi, wyjął długi sztylet, zerwał hełm z głowy żołnierza i poderżnął mu gardło.

Krótki dźwięk sygnalówki przedarł się przez bitewny zgiełk i Vagryjczycy wycofali się poza zasięg strzał.

– Uprzątnąć ciała! – rozkazał Jonat.

Waylander podniósł kuszę i policzył pozostałe bełty. Dwanaście. Zszedł na dziedziniec i zaczął obszukiwać trupy. Znalazł piętnaście bełtów, które jeszcze nadawały się do użycia.

Dardalion siedział pod północną ścianą, oszołomiony, nie mogąc dojść do siebie. Waylander podszedł do niego i klęknął obok.

– Pij – powiedział.

– Dardalion słabym gestem odepchnął manierkę. – Niedobrze mi.

– Nie możesz tu zostać, kapłanie; wróć za kilka minut. Wejdź do kasztelu.

Dardalion podkurczył nogi i spróbował wstać. Waylander podniósł go.

– Możesz ustać?

– Nie.

– To oprzyj się o mnie.

– Niezbyt dobrze się spisałem, Waylanderze.

– Zabiłeś pierwszego przeciwnika w boju. Dobry początek.

Razem doszli do kasztelu i Waylander położył kapłana na ławie. Danyal podbiegła do nich, z twarzą pobladłą z przerażenia.

– Nie jest martwy, tylko ogłuszony – rzekł Waylander.

Dziewczyna zajęła się Dardalionem; zdjęła mu hełm i dotknęła płytkiego rozcięcia w miejscu, gdzie wgiął się od uderzenia.

Sygnal trąbki odbił się echem po równinie.

Waylander cicho zaklął i ruszył do drzwi.

Rozdział 8

Aby pozbyć się bólu i słabości, Dardalion uwolnił swego ducha i poszybował, przelatując przez ściany kasztelu na jasny, słoneczny blask.

Poniżej szalała bitwa. Waylander, wróciwszy na blanki, starannie celował, śląc bełt za bełtem w szeregi nacierających Vagryjczyków. Jonat, tryskający szaleńczą energią, zebrał wokół siebie dwudziestu wojowników i runął na nieprzyjaciół wdzierających się w wyłom. Drenajscy łucznicy rozstawieni na murach starannie wybierali cele. Na wschodnim murze nieprzyjaciel zdobył przyczółek, wspiąwszy się po wyszczerbionych blankach. Tam trzej obrońcy z trudem powstrzymywali falę nacierających i Dardalion poleciał w ich kierunku.

Jednym z tych trzech był oficer w średnim wieku, zadziwiająco sprawnie posługujący się mieczem. Nie dla niego zamaszyste ciosy, szaleńcze ataki; walczył z subtelnym wdziękiem i stylem, a jego ostrze migotało jak błyskawica, zdając się ledwie muskać wrogów. Padali przed nim jak łan zboża, dławiąc się własną krwią. Ma taką spokojną twarz, pomyślał Dardalion, tak doskonale skupioną, że aż piękną.

Oczami duszy kapłan widział migoczącą aurę oznaczającą nastrój każdego człowieka. Wszyscy pulsowali jasną czerwienią, oprócz dwóch.

Ten oficer płonął harmonijnym błękitem, a Waylander purpurą kontrolowanej furii.

Kolejni Vagryjczycy wdarli się na blanki wschodniego muru, podczas gdy Jonata i jego ludzi powoli odpychano od wyłomu w zachodniej ścianie fortecy. Waylander, wystrzeliwszy wszystkie bełty, dobył miecza i skoczył z muru na wóz w dole, spadając na grupkę Vagryjczyków i zwalając ich z nóg. Poderwał się i zabił pierwszych dwóch wrogów, zanim zdążyli wstać. Trzeci zginął, gdy zamierzył się do ciosu. Waylander zablokował cięcie i jednym krótkim uderzeniem rozplątał mu krtań.

Tymczasem w kasztelu Danyal zaprowadziła bliźniaczki krętymi schodami na wieżę i siadła przy nich, zwrócona plecami do blanków. Tutaj bitewny zgiełk był stłumiony i objęła siostrzyczki ramionami.

– Jesteś bardzo wystraszona, Danyal – powiedziała Krylla.

– Tak, jestem. Musicie zaopiekować się mną.

– Czy oni nas zabiją? – spytała Miriel.

– Nie... Nie wiem, maleńka.

– Waylander nas uratuje; zawsze to robi – stwierdziła Krylla.

Danyal zamknęła oczy i wypełnił je obraz Waylandera; ciemne oczy, głęboko osadzone pod gęstymi brwiami, wyrazista twarz i kwadratowy podbródek, szerokie usta z lekko kpiącym półuśmiechem.

Krzyk umierającego człowieka wzniósł się echem nad szczęk oręża.

Danyal puściła dzieci, wstała i przechyliła się przez parapet muru.

Waylander stał wraz z grupką mężczyzn usiłujących przedrzeć się z powrotem do kasztelu, ale byli już prawie otoczeni. Nie mogła na to patrzeć i osunęła się z powrotem obok dziewczynek.

W kasztelu Dardalion podniósł się i zaczął szukać swojej szabli. Świadomość nadchodzącej śmierci stłumiła ból i otrzeźwiła go. Podeszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Słońce świeciło tak jasno, że łyzy nabiegły mu do oczu; zamrugał i ujrzał czterech pędzących na niego wojowników.

Poczuł strach, lecz zamiast go przemóc, z potworną siłą cisnął go w nadbiegających żołnierzy. Zachwiali się na nogach, rażeni tą emanacją. Pierwszy chwycił się za serce i umarł w kilka sekund; drugi upuścił miecz i z wrzaskiem uciekł przez wyłom; pozostali dwaj – silniejsi niż przeciętnie – tylko cofnęli się.

Dardalion podeszedł do głównej grupy. Oczy miał szeroko otwarte i zdumiewająco niebieskie, źrenice prawie niewidoczne. Nabierając sił, cisnął swój strach w tłum napastników w błękitnych płaszczach. Uderzeni nim ludzie wrzasnęli z przerażenia i w vagryjskich szeregach wybuchła panika. Odwrócili się, nie zważając na miecze Drenajów, i spojrzeli na nadchodzącego, srebrzystego wojownika. Jeden ze stojących na przedzie opadł na kolana, drżąc jak liść, a potem runął nieprzytomny na ziemię.

Później, nawet podczas najbardziej intensywnych przesłuchań, żaden vagryjski żołnierz nie

potrafił opisać odczuwanego wtedy przerażenia ani straszliwej groźby, jaka mu towarzyszyła... chociaż większość pamiętała srebrnego wojownika, który świecił jak biały płomień, a którego oczy promieniowały śmiercią i rozpaczą.

Vagryjczycy odwrócili się i uciekli, rzucając broń.

Drenajowie patrzyli z niedowierzaniem, jak Dardalion, z szablą w dłoni, idzie za nimi aż do wylomu.

– Bogowie Światła – szepnął Jonat. – Czy on jest czarownikiem?

– Na to wygląda – rzekł Waylander.

Żołnierze złamali szyk i podbiegli do kapłana, klepiąc go po plecach. Zachwiał się i prawie upadł, ale dwaj wojownicy wzięli go na ramiona i zanieśli z powrotem do kasztelu. Waylander uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Dak? – usłyszał czyjś głos. – To ty?

Waylander odwrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z Gellanem. Oficer postarzał się, miał przerzedzone włosy i zmęczone oczy.

– Tak, to ja. Jak się masz, Gellanie?

– Nic się nie zmieniłeś.

– Ty też.

– Co się z tobą działo?

– Wiele podróżowałem. Widzę, że zostałeś w Legionie, a myślałem, że zamierzasz ożenić się i odejść.

– Ożeniłem się, ale zostałem – odparł Gellan i Waylander ujrzał ból na jego twarzy, choć Gellan starał się go ukryć. – Miło cię zobaczyć. Porozmawiamy później, bo jest wiele do opowiedzenia.

Gellan odszedł, lecz mężczyzna, który pierwszy rozmawiał z Waylanderem, pozostał.

– Jesteście starymi znajomymi? – spytał Sarvaj.

– Tak.

– Jak długo go nie widziałeś?

– Dwadzieścia lat.

– Jego dzieci umarły podczas zarazy w Skodzie, a jego żona krótko po tym się zabiła.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

– On jest dobrym oficerem.

- Zawsze był, lepszym niż sądzi.
- Zamierzał w tym roku przejść na emeryturę – kupił farmę pod Drenanem.

Waylander patrzył na Gellana, który rozkazał ludziom opatrzyć rannych i uprzątnąć ciała zabitych. Innych wysłał na mury, żeby obserwowali Vagryjczyków.

Pozostawiając Sarvaja w połowie zdania, Waylander pomaszerował na blanki zachodniego muru, żeby wziąć swoją kuszę. Został tam siedzącego obok niej wojownika – tego, który uratował go wcześniej dobrze wymierzoną strzałą. Nie mając ochoty na rozmowę, Waylander minął go i podniósł broń.

– Chcesz? – spytał żołnierz, podając mu manierkę.

– Nie.

– To nie woda – rzekł tamten z uśmiechem.

Waylander pociągnął łyk i wytrzeszczył oczy.

– Nazywają to lentryjskim ogniem – wyjaśnił Vanek.

– Rozumiem dlaczego!

– Daje słodkie sny – rzekł Vanek, wyciągając się wygodnie i kładąc głowę na ramieniu. – Obudź mnie, jeśli wrócą, dobrze?

Vagryjczycy oddalili się poza zasięg strzału z łuku i stali gromadą, słuchając swego dowódcy. Waylander nie słyszał słów, lecz gesty były dostatecznie wymowne. Oficer siedział na rośłym szarym rumaku, w płaszczu powiewającym na wietrze; co chwila potrząsał pięścią, a jego ludzie kulili się. Waylander podrapał się po brodzie i pociągnął spory łyk lentryjskiego ognia.

Jakie zakłęcie rzucił kapłan, zastanawiał się, że tak zdemoralizował takich wspaniałych żołnierzy? Zerknął na niebo i wznosił toast.

– Może jednak masz trochę mocy – przyznał.

Napił się i usiadł ciężko na murze; zawirowało mu w głowie. Starannie zakorkował manierkę i odłożył ją.

Ty głupcze, powiedział sobie. Vagryjczycy wrócą. Zachichotał. Zostawmy ich Dardalionowi! Głęboko odetchnął i oparł głowę o zimny kamień. Niebo było jasne i czyste, lecz nad fortem kołowały czarne cienie.

– Czujecie śmierć, prawda? – rzekł Waylander, a wiatr przyniósł mu chrapliwe wrzaski

wron. Zadrzał. Nieraz widywał, jak biesiadują te ptaszyska, wydziobując oczy i wyrywając smakowite kąski z zeszywniałych zwłok. Przeniósł spojrzenie na dziedziniec.

Ludzie uprzęтали ciała. Vagryjczyków wyrzucano przez wyłom, a martwych Drenajów układano rzędem pod północną ścianą, zakrywając im płaszczami twarze. Leżały tam dwadzieścia dwa ciała. Waylander przeliczył pozostałych. Na nogach pozostało dziewiętnastu – za mało, by utrzymać fort przy następnym ataku. Padł na niego cień. Kiedy podniósł głowę, ujrzał Jonata podającego mu pęk bełtów do kuszy.

– Pomyślałem, że mogą ci się przydać – rzekł podoficer. Waylander wziął je z krzywym uśmiechem.

– Napijesz się?

– Nie, dziękuję.

– To nie woda.

– Wiem, poznaję manierkę Vaneka! Dun Gellan chce się z tobą widzieć.

– Wie, gdzie jestem.

Jonat przykucnął i uśmiechnął się ponuro.

– Lubię cię, Dakeyrasie. Jak by to wyglądało, gdybym musiał kazać trzem moim ludziom zawlec cię do kasztelu? Dziwnie i śmiesznie.

– Racja. Pomóż mi wstać.

Waylanderowi lekko plątały się nogi, ale zdołał jakoś przejść z Jonatem przez główną salę do niewielkiej komnaty na tyłach. Gellan z piórem w dłoni siedział na składanym łóżku, pisząc raport.

Jonat zasalutował i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Z braku lepszego miejsca Waylander usiadł na podłodze, plecami do ściany.

– Myliłem się – rzekł Gellan. – Zmieniłeś się.

– Wszyscy się zmieniamy. To część procesu umierania.

– Chyba wiesz, o czym mówię.

– Ty mi powiedz – to twój fort.

– Jesteś zimny, Dak. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi. Braćmi. Tymczasem przywitałeś mnie jak przelotnego znajomego.– A więc?

– A więc powiedz mi, co się z tobą stało.

– Jeśli zechcę się spowiadać, znajdę sobie świątynię. A poza tym masz teraz ważniejsze

problemy. Na przykład wroga szykującego się do ataku.

– Skoro tego chcesz – rzekł ze smutkiem Gellan – możemy zapomnieć o naszej dawnej przyjaźni. Opowiedz mi o swoim przyjacielu. Jakimi potężnymi mocami dysponuje – i skąd przybywa?

– Niech mnie licho, jeśli wiem – odparł Waylander. – To kapłan Źródła. Nie pozwoliłem paru ludziom zamęczyć go na śmierć i od tej pory mam go na karku. Jednak do dziś nie wykazywał takich umiejętności.

– Może być dla nas cenny.

– Z pewnością. Dlaczego z nim nie porozmawiasz?

– Zrobię to. Pojedziesz do Skultik?

– Zapewne. Jeśli przeżyjemy.

– Tak, jeśli przeżyjemy. Mam dla ciebie radę: nie obnoś się z tą kuszą.

– To dobra broń.

– Tak – i bardzo niezwykła. Wszystkim oficerom kazano rozglądać się za człowiekiem noszącym taką broń; podobno zabił Króla.

Waylander nic nie powiedział, lecz jego ciemne oczy napotkały spojrzenie Gellana i umknęły w bok. Gellan skinął głową.

– Idź już, Dakeyrasie. Chcę porozmawiać z twoim przyjacielem.

– Nie zawsze wszystko jest takie, jak się zdaje – rzekł Waylander.

– Nie chcę tego słuchać. Idź już.

Waylander odszedł, a po chwili drzwi otworzyły się i wszedł Dardalion. Gellan wstał na powitanie i podał mu rękę. Kapłan potrząsnął nią. Ma uścisk stanowczy, ale nie silny, pomyślał Gellan.

– Siadaj – rzekł Gellan, wskazując Dardalionowi łóżko. – Opowiedz mi o swoim przyjacielu.– Uratował mnie... nas wszystkich. Okazał się prawdziwym przyjacielem.

– Czy znałeś go tylko jako Dakeyrasa?

– Dlaczego pytasz, panie?

– A więc nie znasz jego innego imienia?

– Nie wyjawię ci go.

– Rozmawiałem już z dziećmi.

– Zatem nie potrzebujesz mojego potwierdzenia.

- Nie. Znałem kiedyś Dakeyrasa – albo tak myślałem. Człowieka honoru.
 - Okazał się takim przez kilka ostatnich dni – rzekł Dardalion. – Niech to wystarczy.
- Gellan uśmiechnął się i kiwnął głową.
- Możliwe. Opowiedz mi o sobie i tych straszliwych mocach, jakich dziś użyłeś.
 - Niewiele mogę ci powiedzieć. Jestem... byłem... kapłanem Źródła. Posiadam pewną moc

Podróżowania i porozumiewania się.

- Co sprawiło, że wróg uciekł?
- Strach – odparł Dardalion.
- Przed czym?
- Po prostu strach. Mój strach, który przeniknął w ich umysły.
- Spraw, żebym go poczuł.
- Dlaczego?
- Może wtedy bym zrozumiał?
- Ja teraz nie czuję strachu. Nie mam czego użyć.
- Możesz mi powiedzieć, czy nieprzyjaciel wróci?
- Myślę, że nie. Jest wśród nich człowiek – nazywa się Ceoris – który nakłania ich do ataku, lecz oni się boją. Przekonałby ich po pewnym czasie, ale w ciągu godziny dotrą tu wasze posiłki.
- Kto przybywa?
- Wielkolud imieniem Karnak. Wiedzie czterystu jeźdźców.

To naprawdę dobra wiadomość. To błogosławieństwo znać ciebie, Dardalionie. Jakie masz plany?– Plany? Nie mam żadnych planów. Nie sądziłem...

– Mamy kapłanów w Skultik – ponad dwustu. Oni jednak nie będą walczyć tak jak ty. Gdyby to zrobili, Drenajowie wiele by zyskali. Wykorzystując twoje zdolności, zwiększone stukrotnie, moglibyśmy sprawić, że cała vagryjska armia rzuciłaby się do ucieczki.

– Tak – rzekł ze znużeniem Dardalion – jednak nie tak nakazuje Źródło. Stałem się tym, kim jestem, przez moją słabość. Gdybym był tak silny jak wielu moich braci, oparłbym się – tak jak oni – takiemu nadużyciu mocy. Nie mogę ich prosić, aby stali się tym, czym gardzą. Prawdziwa moc Źródła zawsze leżała w braku siły. Możesz to zrozumieć?

– Nie jestem pewien.

– To tak, jakby przyłożyć włócznię do piersi wroga, a potem odłożyć ją. Nawet jeśli cię zabije – jeżeli to zrobi – wie, że stało się tak za sprawą twojego wyboru, a nie jego zrzęczości.

– Jednak – rozważając ten przykład – tak czy owak byłbyś martwy, prawda?

– Śmierć nie jest ważna. Widzisz, kapłani Źródła wierzą, iż dla istnienia życia niezbędną jest harmonia tworzona przez równowagę. Na każdego człowieka, który kradnie lub zabija, przypada inny, który daje i ratuje. W mojej świątyni nazywali to kręgami miłości; mój opat często o tym mówił. W kupieckim składzie dostajesz za dużo reszty. Zatrzymujesz ją, ciesząc się z uśmiechu losu. Jednak kiedy odchodzisz, kupiec uświadamia sobie swoją pomyłkę i jest zły, na siebie i ciebie. Dlatego oszukuje następnego klienta, żeby wyrównać sobie stratę. Z kolei ten klient zauważa to później i może przenosi gniew na kogoś innego. I tak kręgi rozchodzą się, obejmując coraz więcej ludzi. Źródło naucza nas czynić jedynie dobro – być uczciwym i szczerym, odpłacać dobrem za zło, aby powstrzymać te kręgi.

– To bardzo szlachetne – rzekł Gellan – lecz cudownie niepraktyczne. Kiedy wilk napada na stado, nie odpędzasz go, karmiąc go owieczkami! Ale to nie pora na teologiczne dyskusje. Ponadto już dowiodłeś, co o tym myślisz.– Czy mogę cię o coś spytać, Dun Gellanie?

– Oczywiście.

– Dzisiaj obserwowałem cię i widziałem, że walczyłeś inaczej niż inni. Byłeś opanowany i rozluźniony. Pośród rzezi i zamętu ty jeden zachowałeś spokój. Dlaczego?

– Nie miałem nic do stracenia.

– Miałeś – własne życie.

– Ach, tak, moje życie. Chcesz jeszcze o coś zapytać?

– Nie. Wybacz, ale powiem ci coś: wszystkie dzieci są wytworem radości, a wszyscy ludzie są zdolni do miłości. Uważasz, że straciłeś wszystko, lecz przecież był czas, gdy twoich dzieci jeszcze nie było na świecie i nawet nie znałeś swojej żony. Czy nie może być tak, że gdzieś jest kobieta, która znów napelni twoje życie miłością i urodzi ci dzieci, które dadzą ci radość?

– Odejdź, kapłanie – powiedział łagodnie Gellan.

Waylander wrócił na mur i obserwował wrogów. Ich dowódca skończył przemawiać, a oni siedzieli, ponuro spoglądając na fort. Waylander potarł oczy. Wiedział, jak się czuli. Tego ranka byli przeświadczeni o swojej zręczności, aroganccy i dumni. Teraz osłabiła ich świadomość porażki.

Jego myśli wtórowały ich rozpacz. Tydzień temu był Waylanderem Zabójcą, bezpiecznym

dzięki swym umiejętnościom i bez poczucia winy.

Teraz czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek w życiu. Jakie to dziwne, że takie poczucie samotności miał teraz, pośród ludzi. Nigdy nie czuł się tak, żyjąc samotnie w lasach czy górach. Rozmowa z Gellanem głęboko go zraniła, więc jak zawsze schronił się za zasłoną kpiniek. Ze wszystkich ludzi pozostających w jego wspomnieniach tylko Gellana darzył sympatią.

Cóż jednak miał mu powiedzieć? No cóż, Gellanie, przyjacielu, widzę, że zostałeś w wojsku. A ja? Och, zostałem zabójcą. Za pieniądze zabiję każdego – zabiłem nawet twojego Króla. To było łatwe: strzeliłem mu w plecy, kiedy przechadzał się po ogrodzie.

A może powinien wspomnieć o wymordowaniu własnej rodziny. Czy Gellan zrozumiałby jego rozpacz? Dlaczego miałby zrozumieć? Czy nie stracił swojej?

To ten przeklęty kapłan. Powinien zostawić go przywiązanego do drzewa. Kapłan miał moc: kiedy dotknął ubrań rabusiów, wyczuł emanujące z nich zło. Waylander zmienił go w zabójcę, plamiąc jego czystą duszę. Czyż jednak taka moc nie była obosiecznym ostrzem? Czyżby kapłan zrewanżował się za ten dar, obdarowując jego dobrocią serca? Waylander uśmiechnął się.

Z północy przygalopował vagryjski zwiadowca i zatrzymał rumaka przed dowódcą. W ciągu paru minut Vagryjczycy dosiedli koni i odjechali na wschód.

Waylander potrząsnął głową i zwolnił cięciwy kuszy. Drenajscy żołnierze pobiegli na mury i wzniesli radosny okrzyk na widok zmykających nieprzyjaciół. Waylander usiadł. Leżący obok Vanek ziewnął i przeciągnął się.

– Co się dzieje? – zapytał, siadając i ponownie ziewając.

– Vagryjczycy odeszli.

– To dobrze. Bogowie, ale jestem głodny.

– Zawsze śpisz podczas bitwy?

– Nie wiem, to moja pierwsza bitwa – chyba że liczyć tę, w której zdobyliśmy wozy, chociaż to była raczej masakra. Opróżniłeś moją manierkę?

Waylander rzucił mu zapelnioną do połowy manierkę, a potem wstał i poszedł do kasztelu. Kucharz otworzył beczkę jabłek, więc Waylander wziął sobie dwa i zjadł je, zanim wszedł po krętych schodach na wieżę. Tam ujrzał Danyal opartą o parapet i spoglądającą na północ.

– Już po wszystkim – rzekł. – Jesteś teraz bezpieczna.

Odwróciła się i uśmiechnęła.

– Na razie.

– Nikt nie może oczekiwać więcej.

– Zostań i porozmawiaj ze mną – powiedziała. Spojrzał na nią i dostrzegł, jak słońce lśni w jej złotorudych włosach.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Bałam się o ciebie w czasie bitwy. Nie chciałam, żebyś zginął – powiedziała pośpiesznie, gdy wchodził w cień drzwi. Zatrzymał się, przez kilka sekund stał plecami do niej, a potem się odwrócił.

– Przykro mi z powodu chłopca – rzekł cicho. – Rana była śmiertelna i cierpiałby okropnie przez wiele godzin, a może i dni.

– Wiem.

– Nie lubię zabijać chłopców. Nie wiem, czemu tak powiedziałem. Nie umiem... rozmawiać z ludźmi.

Podszedł do muru i spojrzał w dół, na żołnierzy zaprzęgających muły do wozów i szykujących się do długiej jazdy do Skultik. Gellan uwijał się między nimi, razem z Sarvajem i Jonatem.

– Kiedyś byłem oficerem. Byłem wieloma osobami. Mężem. Ojcem. Mój syn wyglądał tak spokojnie, leżąc wśród kwiatów. Jakby spał na słońcu. Zaledwie dzień wcześniej nauczyłem go przeskakiwać na kucyku przez niskie przeszkody. Poszedłem na polowanie... chciał iść ze mną.

Waylander wbił wzrok w szary kamień.

– Miał siedem lat. Zabili go. Było ich dziewiętnastu – renegatów i dezertków.

Poczuł jej dłonie na ramionach, obrócił się i wpadł w jej objęcia. Danyal nie wiedziała, o czym mówił, lecz w jego słowach wyczuwała udrękę. Usiadł na murze, przyciągając ją do siebie i przysuwając twarz do jej twarzy. Danyal poczuła jego łzy na swoich policzkach.

– Wyglądał tak spokojnie – powtórzył.

– Jak Culas – szepnęła Danyal.

– Tak. Znalazłem ich wszystkich – zajęło mi to lata. Za ich głowy wyznaczono nagrody i wykorzystywałem każdą do finansowania poszukiwań następnego. Kiedy złapałem ostatniego, chciałem, aby wiedział, dlaczego umiera. A kiedy mu powiedziałem, nie mógł sobie przypomnieć tych morderstw. Umarł, nie wiedząc.

– Jak się czułeś?

– Pusty. Zagubiony.

– A teraz?

– Nie wiem. Nie chcę o tym myśleć.

Podniosła dłonie i ujęła jego twarz, przyciągając do siebie. Przechyliwszy głowę, pocałowała go – najpierw w policzek, a potem w usta. Następnie wstała, pociągając go za sobą.

– Dałeś nam życie, Dakeyrasie, dzieciom i mnie. Zawsze będziemy cię za to kochać.

Zanim zdążył odpowiedzieć, na murach poniżej rozległy się kolejne wiwaty.

Przybył Karnak z czterema setkami jeźdźców.

Rozdział 9

Gellan rozkazał rozsunąć wozy przy wylomie i Karnak wraz z dziesięcioma oficerami wjechał do fortu. Był ogromnym mężczyzną, który teraz zaczynał tyć i wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści dwa lata. Zsiadł z konia obok Gellana i uśmiechnął się.

– Bogowie, człowieku, jesteś cudotwórcą! – powiedział. Odwrócił się, rozpiął zielony płaszcz i przerzucił go przez siodło. – Wszyscy do mnie! – zawołał. – Chcę zobaczyć bohaterów Masin. Ciebie też, Vanek – krzyczał. – I ciebie, Parać!

Dwudziestu dwóch pozostałych żołnierzy podeszło, uśmiechając się niepewnie. Wielu z nich odniosło rany, ale dumnie prężyli się przed charyzmatycznym generałem.

– Bogowie, jestem dumny z was wszystkich! Odparliście natarcie najlepszych oddziałów, jakimi dysponują Vagryjczycy. Co więcej, zdobyliście zapasy, które wystarczą naszej armii na miesiąc. A co najlepsze, pokazaliście, ile może dokonać drenajska odwaga. Wasz przykład będzie świecił jak pochodnia wszystkim Drenajom – i obiecuję wam, że to dopiero początek. W tym momencie jesteśmy zepchnięci do obrony, ale nie pobici – nie wtedy, kiedy mamy takich żołnierzy jak wy. Przeniesiemy tę wojnę na terytorium wrogów i sprawimy, że będą cierpieli. Macie na to moje słowo. A teraz ruszajmy do Skultik, gdzie naprawdę uczymy to zwycięstwo.

Podszedł do Gellana i objął go krzepkim ramieniem.

– Gdzie ten wasz czarownik?

– W kasztelu, generale. Skąd o nim wiesz?

– Dlatego tu jestem, człowieku. Zeszłej nocy skontaktował się z jednym z naszych kapłanów i powiedział o waszym położeniu. Do licha, to może być punkt zwrotny tej wojny.

– Mam nadzieję.

– Doskonale się spisałeś, Gellanie.

– Straciłem prawie połowę moich ludzi, generale. Powinienem był zostawić wozy dwa dni temu.

– Bzdura, człowieku! Gdybyśmy nie przybyli na czas i gdybyście wszyscy zginęli, przyznałbym ci rację. Jednak to zwycięstwo było warte ryzyka. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się tego po tobie. Nie dlatego, że wątpię w twoją odwagę, ale jesteś takim ostrożnym człowiekiem.

– Mówi pan to tak, jakby ”ostrożny” było zniewagą.

– Możliwe. Ale mamy ciężkie czasy, które wymagają podejmowania ryzyka. Ostrożnością nie wygnamy stąd Vagryjczyków. I nie zrozum mnie źle, Gellanie, to, co mówiłem do żołnierzy, to nie zwyczajna retoryka. Zwycięzimy. Wierzysz w to?

– Trudno nie wierzyć w to, co pan mówi, generale. Ludzie uważają, że gdyby chciał pan zmienić kolor nieba na zielony, wdrapałby się pan na jakąś górę i przemalował je.

– A co ty myślisz?

– Ze wstydem przyznaję, że zgadzam się z nimi.

– Ludzie potrzebują przywódców, Gellanie. Zwłaszcza ludzie z pustymi brzuchami. Kiedy brakuje ducha, nie ma zwycięstwa. Pamiętaj o tym.

– Zdaję sobie z tego sprawę, generale. Jednak nie umiem przemawiać.

– Nie martw się o to, ja zajmę się przemawianiem. Wykonałeś dziś dobrą robotę i jestem z ciebie dumny. Wiesz, że Purdol wciąż się trzyma?

– Miło mi to słyszeć, generale.

– Udaję się tam jutro.

– Przecież jest okrążone.

– Wiem, lecz jest niezwykle ważne, żeby forteca się utrzymała. Wiąże większą część vagryjskich sił.

– Z całym szacunkiem, generale, ale ważniejsze jest to, aby został pan wolny. Powiadają, że za pana głowę wyznaczono nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy sztuk złota – prawie tyle samo, co za głowę samego Egela.

– Już zapomniałeś, co mówiłem o ryzyku?

– Jeśli dowiedzą się, że jest pan w Purdol, podwoją wysiłki zmierzające do zdobycia

twierdzy i ściągną tam więcej oddziałów.

– Właśnie!

– Przepraszam, generale, ale uważam, że to szaleństwo.

– Na tym polega różnica między nami, Gellanie. Nie widzisz spraw w szerszym wymiarze. Spójrz na mnie! Jestem za duży, żeby pewnie siedzieć na koniu, i nie jestem generałem kawalerii – ale dajcie mi fortecę do obrony, a będę w moim żywiole. Tymczasem Egel jest strategiem i dobrym, sprytnym wojownikiem. Nie potrzebuje mnie w Skultik. Kiedy dostanę się do Purdol, Vagryjczycy tam skoncentrują siły, dając Egelowi szansę wydostania się z lasu.

– Dostrzegam logikę tego planu i nie chciałbym zostać uznany za lizusa, ale potrzebujemy pana. Gdyby został pan pojmany lub zabity, oznaczałoby to klęskę Drenajów.

– Miło, że tak mówisz, ale nie zmienię zdania. Czy chciałbyś pojechać ze mną?

– Za nic nie zrezygnowałbym z tego – odparł z uśmiechem Gellan.

– To lubię – rzekł Karnak. – A teraz mów, gdzie ten czarownik?

Gellan zaprowadził generała do kasztelu, gdzie Dardalion siedział przy dzieciach.

– To on? – spytał Karnak, wytrzeszczając oczy na widok młodzieńca w srebrzystej zbroi.

– Myślę, że tak – odparł Gellan.

Dardalion odwrócił się i wstał, po czym skłonił się generałowi.

– Ty jesteś Dardalion?

– Tak.

– Ja jestem Karnak.

– Wiem, generale. Miło mi pana widzieć.

– Jesteś najbardziej niezwykłym czarownikiem, jakiego widziałem.

– Nie jestem czarownikiem; nie rzucam czarów.

– Jednak rzuciłeś jakiś na Vagryjczyków – ocaliłeś fort i wszystkich jego obrońców.

Pojedziesz ze mną?

– Będę zaszczycony.

Karnak uśmiechnął się do dzieci, ale te schowały się za Dardalionem.

– Wiesz, sądzę, że losy tej wojny odwracają się – rzekł Karnak. – Jeśli tylko zdołam wymknąć się żołnierzom otaczającym Purdol i przekłętemu Czarnemu Bractwu, chyba będziemy mogli zadać śmiertelny cios vagryjskim nadziejom.

– Poluje na pana Czarne Bractwo? – spytał Dardalion.

- Od miesiący. A ponadto powiadają, że wynajęto Waylandera Zabójcę, żeby mnie zabił.
- To absolutnie wykluczone – powiedział kapłan.
- Naprawdę? A więc jesteś też prorokiem?
- Nie... tak... to niepodobne do Waylandera.
- Znasz go? – spytał Karnak.
- Tak, zna go – powiedział Waylander, z kuszą w ręku stając na schodach.

Karnak powoli obrócił się, a Gellan stanął przed nim.

– Ja jestem Waylander i gdybym chciał cię zabić, już byś nie żył. Tak więc teraz musisz wystrzegać się tylko Bractwa.

- Uważasz, że powinienem ci uwierzyć?
- W tych okolicznościach byłoby to rozsądne.
- Mam tutaj czterystu ludzi.
- Jednak nie ma ich tu teraz, generale.
- To prawda – przyznał Karnak. – A więc nie przybyłeś po to, by mnie zabić?
- Nie. Mam co innego do roboty.
- Czy to ma coś wspólnego ze sprawą Drenajów?
- A jeśli tak?
- To złapię cię i skręcę ci kark – obiecał Karnak.

– Na szczęście to tylko pomoże waszej sprawie – rzekł Waylander. – Poproszono mnie, żebym dostarczył Egelowi nową Zbroję!

Jechali ostrożnie, tuzin zwiadowców krążyło wokół głównych sił, pośród których jechał generał osłaniany przez sześciu jeźdźców. Dardalion jechał po jego lewej, a Gellan po prawej ręce. Za nimi podążały wozy, każdy ciągnięty przez sześć mułów.

Danyal z dziewczynkami jechała w pierwszym wozie, razem z Vanekiem. Okazał się miłym kompanem. W pewnej chwili, gdy dwa muły zaczęły ciągnąć w przeciwne strony, powiedział z poważną miną:

- Dobrze wytresowane zwierzęta – słuchają każdego rozkazu. Zrobiłem to specjalnie.

Za wozami podążała tylna straż, złożona ze stu wojowników dowodzonych przez Dundasa, adiutanta Karnaka: młodzieńca o jasnej czuprynie i przyjaznej, szczerzej twarzy. Obok niego

jechał Waylander, nie mając wątpliwości, że praktycznie jest więźniem; otaczali go czterej jeźdźcy z dłońmi na rękojeściach mieczów.

Waylander skrył złość i pozwolił błędzić myślom, a oczom sycić się zielonym pięknem sentrańskiej równiny w miejscu, gdzie stapała się z szaroniebieskimi górami na północy. W końcu czyż miało jakiegokolwiek znaczenie, gdyby go zabili? Czy nie zamordował ich Króla? Czy życie było czymś tak specjalnym, żeby miał ochotę przedłużyć jego trwanie?

Nic nie ma znaczenia, pojął, patrząc na rosnące przed nimi pasmo gór. Ile śmierci widziały te góry? Kogo za tysiąc lat będzie obchodziła ta mała wojenka?

– Jesteś bardzo niewymagającym towarzyszem – zauważył Dundas, zdejmując hełm i przyglądając palcami włosy.

Waylander nie odpowiedział. Skierował konia w lewo i zamierzał wysunąć się naprzód, lecz jeden z jeźdźców zagroził mu drogę.

– Generał uważa, że jadąc przez terytorium wroga, powinniśmy trzymać szyk – rzekł gładko Dundas. – Nie masz nic przeciw temu?

– A gdybym miał?

– To nie potrwa długo, zapewniam cię.

W miarę jak mijał dzień, Dundas zaprzestał prób nawiązania rozmowy z czarnowłosym wojownikiem. Nie wiedział, dlaczego Karnak kazał go pilnować i – prawdę mówiąc – nie obchodziło go to. Tak właśnie postępował Karnak – wyjaśniał tylko to, co konieczne, i oczekiwał, że jego rozkazy zostaną wykonane co do joty. Czasem bywało to bardzo denerwujące dla jego podwładnych.

– Jaki on jest? – zapytał nagle Waylander.

– Przepraszam, zamyśliłem się – powiedział Dundas. – Co mówiłeś?

– Generał – jaki on jest?

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Z ciekawości. O ile wiem, był Pierwszym Dunem dowodzącym obroną fortu. Teraz jest generałem.

– Nie słyszałeś o Hargate i oblężeniu?

– Nie.

– Powinienem pozostawić tę opowieść generałowi. Obrosła w tak wiele ozdobników, że nie zdziwiłbym się, słysząc, iż brały w tym udział smoki. Mimo to... chciałbyś ją usłyszeć?

– Byłeś tam?

– Tak.

– To dobrze. Lubię relacje z pierwszej ręki.

– No cóż, jak powiedziałaś, Karnak był Pierwszym Dunem w Hargate. Fort nie jest duży – chyba dwukrotnie większy od Masin, a przy nim jest... było... małe miasteczko. Karnak miał pod rozkazami sześciuset ludzi. Vagryjczycy wkroczyli do Skody i otoczyli Hargate, żądając, abyśmy się poddali. Odmówiliśmy i pierwszego dnia odpieraliśmy ich ataki, a potem patrzyliśmy, jak rozbijają obóz na noc. Przez ten dzień straciliśmy sześćdziesięciu ludzi, ale trzymaliśmy się dzielnie i Vagryjczycy sądzili, że mają nas wszystkich w garści.

– Ilu ich tam było?

– Oceniliśmy ich siły na osiem tysięcy. W każdym razie Karnak wysłał zwiadowców, by obserwowali Vagryjczyków – nigdy nie wierzył ich obietnicom pokoju – więc wiedzieliśmy wcześniej o planowanym ataku. Znasz Hargate?

Waylander skinął głową.

– A zatem wiesz, że około mili na wschód jest niewielki lasek. Poprzedniej nocy Karnak ukrył tam trzystu ludzi. Gdy Vagryjczycy posnęli w obozie, tamci spadli na nich w środku nocy, podpalając namioty i płosząc konie. Nasi wojownicy narobili tyle hałasu, co cała drenajska armia, a my otworzyliśmy bramy i poprowadziliśmy frontalny atak. Vagryjczycy cofnęli się, by przegrupować siły, ale my przed świtem byliśmy już w Skultik. Zabiliśmy co najmniej ośmiuset nieprzyjaciół.

– Sprytnie – rzekł Waylander – jednak trudno to nazwać zwycięstwem.

– Dlaczego tak mówisz? Mieli co najmniej dziesięciokrotną przewagę liczebną.

– Właśnie. Kiedy usłyszeliście wieści o planowanej inwazji, powinniście się wycofać. Po co było walczyć?

– Nie masz poczucia honoru? Daliśmy im po nosie – pokazaliśmy, że Drenajowie potrafią walczyć, a nie tylko uciekać.

– Mimo to zajęli fort.

– Nie rozumiem cię, Dakeyrasie... czy jak się tam nazywasz. Jeśli tak lubisz uciekać, to dlaczego znalazłeś się w Masin i pomogłeś Gellanowi oraz jego ludziom?

– Ponieważ to było bezpieczne miejsce. A raczej najbezpieczniejsze, jakie zdołałem znaleźć.

– Hmm, będziesz dość bezpieczny w Skultik. Vagryjczycy nie ośmielą się tam wejść.

– Mam nadzieję, że oni o tym wiedzą.

– Co to znaczy? – warknął młody oficer.

– Nic. Opowiesz mi o Egelu?

– Po co? Abyś wydrwił i jego osiągnięcia.

– Jesteś młody i zapalczywy; widzisz drwinę tam, gdzie jej nie ma. Kwestionowanie decyzji militarnych nie jest bluźnierstwem. Możliwe, że – jak powiadasz – decyzja Karnaka, by dać po nosie Vagryjczykom, była słuszna; na przykład podniosła morale żołnierzy. Jednak mnie wydaje się ryzykownym przedsięwzięciem, które mogło obrócić się przeciw niemu. A gdyby nieprzyjaciel przeszukał lasy? Karnak musiałby uciekać, pozostawiając trzystu ludzi uwięzionych w forcie.

– Jednak nie zrobili tego.

– Właśnie – i teraz jest bohaterem. Znałem wielu bohaterów. Najczęściej ich legendy budowała śmierć innych ludzi.

– Byłbym dumny, mogąc zginąć za Karnaka – to wielki człowiek. I wystrzegaj się obrażania go, jeśli nie chcesz skrzyżować ostrza z każdym w zasięgu głosu.

– Doskonale cię rozumiem, Dundasie. Widzę, że go podziwiasz.

– Nie bez powodu. Nie posyła swoich ludzi na spotkanie niebezpieczeństwa, jeśli sam nie ryzykuje. Zawsze bierze udział w walce.

– Bardzo mądrze – zauważył Waylander.

– Nawet teraz zamierza ruszyć na pomoc Purdol. Czy to postępowanie próżnego człowieka?

– Purdol? Przecież jest okrążone.

Dundas przygryzł wargę i odwrócił się, zarumieniony.

– Byłbym zobowiązany, gdybyś tego nie powtarzał. Nie powinienem być o tym mówić.

– Nie jestem znany z długiego języka. Już zapomniałem.

– Dziękuję. Jestem wdzięczny. Poniósł mnie gniew. Karnak jest wielkim człowiekiem.

– Jestem tego pewny. A teraz, skoro już możemy sobie ufać, chyba nie masz nic przeciwko temu, że podjadę porozmawiać z moimi towarzyszami?

Twarz Dundasa wyrażała mieszane uczucia, ale po chwili przybrała zrezygnowany wyraz.

– Oczywiście, że nie. Ja też chcę poczuć wiatr na twarzy. Pojadę z tobą.

Obaj popędzili konie klusem i Waylander podjechał na czoło kolumny. Karnak obrócił się w siodle do nadjeżdżających.

– Witaj, Waylanderze – powiedział z uśmiechem. – Minęła cię opowieść o Hargate.
– Nie, bynajmniej. Dundas opowiedział mi ją. Czy objęła również udział smoków?
– Jeszcze nie, ale pracuję nad tym – odparł Karnak. – Podjedź tutaj. O ile dobrze zrozumiałem, ty i Gellan jesteście starymi przyjaciółmi?
– Zналиśmy się kiedyś – rzekł Gellan – ale niezbyt dobrze.
– Nieważne – powiedział generał. – Powiedz mi, Waylanderze, dlaczego poluje na ciebie Bractwo?

– Zabiłem syna Kaema.
– Dlaczego?
– Jego ojciec był mi winien pieniądze.
– Boże, niedobrze mi się robi! – warknął Gellan. – Wybacz, generale, ale muszę się przejechać i rozprostować kości.

Karnak kiwnął głową i Gellan odłączył się od grupki.

– Jesteś dziwnym człowiekiem – zauważył Karnak.

Waylander uśmiechnął się chłodno.

– Ty też, generale. Do czego zmierzasz?
– Do zwycięstwa. A do czegoż by innego?
– Nieśmiertelności?

Karnak uśmiechnął się.

– Nie zrozum mnie źle, Waylanderze – nie jestem głupcem. Znam swoje możliwości. Moją siłą jest to, że wiem, kim jestem. Jestem najlepszym generałem, jakiego spotkasz, i największym wojownikiem tych czasów. Tak, chcę nieśmiertelności. I nie zostanę w pamięci jako dzielny przegrany. Możesz na to liczyć.

Jechali przez większość nocy, gdy nagle burza spowolniła marsz i Karnak nakazał popas. Wzdłuż boków wozów pośpiesznie przyczepiono plandeki, tworząc prowizoryczne namioty, pod którymi wojownicy schronili się przed ulewnym deszczem.

Waylander pozostał w pobliżu Karnaka, jednak nie mógł nie zauważyć obecności dwóch zbrojnych, którzy nieustannie go pilnowali. Dostrzegł też gniewne spojrzenie, jakie generał rzucił Dundasowi, gdy młody oficer odjeżdżał do swoich ludzi. Mimo wszystko na pozór nie tracił

dobrego humoru. Siedząc pod prowizorycznym namiotem, w mokrym ubraniu przywierającym do ciała, Karnak powinien – zdaniem Waylandera – wyglądać śmiesznie. Był otyły i odziany w krzykliwe, zielono-niebiesko-żółte szaty. A jednak nadal budził respekt.

– O czym myślisz? – zapytał Karnak, narzucając płaszcz na ramiona.

– Zastanawiam się, dlaczego, u licha, ubierasz się w ten sposób – zaśmiał się Waylander. – Niebieska koszula, zielony płaszcz, żółte skórnie! Tak jakbyś ubierał się po pijanemu.

– Nie jestem znany z gustownych strojów – przyznał generał. – Ubieram się tak, żeby mi było wygodnie. A teraz opowiedz mi o tej Zbroi Egela.

– Pewien starzec poprosił mnie, żebym mu ją przyniósł, a ja się zgodziłem. Nie ma w tym niczego zagadkowego.

– Wspaniale zbagatelizowałeś swoją misję. Tym starcem był Orien, a Zbroja jest legendarna i ukryta w kraju Nadirów.

– Powiedział ci o tym Dardalion. No cóż, więc nie musisz mnie już o nic pytać. Wiesz wszystko.

– Nie wiem, dlaczego zgodziłeś się pójść. Jaki masz z tego zysk?

– To moja sprawa.

– Istotnie. Jednak ta Zbroja ma wielkie znaczenie dla Drenajów, a to już moja sprawa.

– Przebyłeś długą drogę w krótkim czasie, generale. Nie jest to sprawa Pierwszego Duna jakiegoś nędznego fortu.

– Zrozum mnie dobrze, Waylanderze. Jestem miłym człowiekiem o dobrym sercu... jeśli mnie nie drażnisz. Lubię cię i próbuję zapomnieć o tym, że pewien człowiek ubrany na czarno i uzbrojony w małą kuszę zabił Króla Niallada. Takiego człowieka czekałby krótki proces.

– Po co ci to wiedzieć?

Karnak oparł się o wóz, wbijając blade oczy w Waylandera.

– Przydałaby mi się ta Zbroja, mógłbym ją wykorzystać.

– Nie pasowałaby na ciebie, generale.

– Można ją przerobić.

– Ale obiecano ją Egelowi.

– On o tym nie wie.

– Jesteś człowiekiem, którego trudno mi pojąć, Karnaku. Siedzisz tu, o włos od klęski, i już planujesz swoją świetlaną przyszłość. Cóż to ma być? Król Karnak? To dobrze brzmi. A może

Earl Karnak?

– Nie sięgam tak daleko w przyszłość, Waylanderze. Wierzę mojemu rozsądkowi. Egel jest świetnym wojownikiem i dobrym generałem. Ostrożnym, ale twardym jak stal. Jeśli zapewni mu się pomoc, może odwrócić koleje wojny.

– Zbroja mogłaby być taką pomocą – zauważył Waylander.– Rzeczywiście. Jednak można by ją lepiej wykorzystać gdzie indziej.

– Gdzie?

– W Purdol – odparł Karnak, nachylając się do Waylandera i patrząc na niego uważnie.

– Forteca jest okrażona. – Można się do niej dostać.

– Co planujesz?

– Wyślę z tobą dwudziestu moich najlepszych ludzi po tę Zbroję. Przywieziesz ją do Purdol – dla mnie.

– A ty staniesz na murach w Zbroi z Brązu Oriena i zajmiesz miejsce w historii narodu Drenajów.

– Tak. Co ty na to?

– Zapomnij o tym. Orien poprosił mnie o przysługę, a ja obiecałem spróbować. Może nie jestem wielkim człowiekiem. Karnaku, lecz kiedy coś mówię, można polegać na moim słowie. Jeśli tylko odzyskanie jej leży w ludzkiej mocy, zrobię to... i dostarczę ją Egelowi w Skultik czy gdziekolwiek będzie. Czy to dostatecznie jasna odpowiedź?

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że twoje życie spoczywa w moich rękach?

– Nie dbam o to, generale. To najpiękniejsze w tej misji. Nie dbam o to, czy mi się powiedzie – a jeszcze mniej o niebezpieczeństwa grożące mojemu życiu. Nie mam po co żyć, moja krew nie płynie w żyłach żadnej żywej istoty. Możesz to zrozumieć?

– A więc nie zdołam cię nakłonić bogactwami ani groźbą?

– Taka jest prawda. To całkowicie kłóci się z moją reputacją, czyż nie?

– Czy mogę ci jakoś pomóc w wykonaniu tej misji? – Trochę nieoczekiwana zmiana stanowiska, generale.

– Jestem realistą. Wiem, kiedy odejść. Jeśli ja nie mogę mieć tej Zbroi, najlepszym kandydatem dla Drenajów będzie Egel. Proś więc. Chcesz czegoś?

– Nie chcę niczego. Mam dość pieniędzy w Skarcie.– Chyba nie zamierzasz wyruszyć sam?

– Najchętniej ruszyłbym tam z armią – lecz jeśli tej nie mogę otrzymać, to jeden człowiek ma

największe szansę sukcesu.

– A co z Dardalionem?

– Jego przeznaczenie leży gdzie indziej. On może być i będzie bardzo użyteczny w Skultik.

– Kiedy zamierzasz wyruszyć?

– Wkrótce.

– Nadal mi nie ufasz?

– Nie ufam nikomu, generale.

– I nie dbasz o nic? Nawet o tę kobietę i dzieci?

– O nic.

– Czytam ludzi tak jak inni ślady. Jesteś dla mnie otwartą księgą, Waylanderze, i myślę, że kłamiesz – tak jak skłamałeś, kiedy zapytałem o syna Kaema. Jednak zostawmy tę sprawę; nie ma żadnego znaczenia, może tylko dla ciebie. Dam ci teraz pospać.

Rosły generał podniósł się z ziemi i wyszedł w noc. Deszcz ustał. Karnak wyprostował się i ruszył wzdłuż kolumny, w towarzystwie dwóch żołnierzy.

– Co o nim sądzisz, Rus? – zapytał wyższego z nich.

– Nie wiem, generale. Mówią, że dobrze walczył w Masin. Jest opanowany. Chłodny.

– Zaufałbyś mu?

– Chyba tak. Na pewno wolałbym mu zaufać, niż z nim walczyć.

– Dobrze powiedziane.

– Mam pytanie, generale, jeśli mogę?

– Bogowie, człowieku, nie musisz pytać. Mów.

– Chodzi o tę Zbroję. Co pan by z nią zrobił?

– Odesłałbym ją Egelowi.

– Nie rozumiem, generale. Przecież on też chce to zrobić.

– Całe życie to zagadka, przyjacielu – powiedział Karnak.

Rozdział 10

Miasto Skarta leżało na polance między dwoma wzgórzami w południowo-zachodniej części Skultik. Nie miało murów; wszędzie widać było ślady pospiesznie budowanych umocnień –

luźno poustawiane barykady z kamieni i głębokie rowy. Wszędzie krzatali się żołnierze, podwyższając zapory lub zamurowując okna najdalej wysuniętych budynków.

Wszelkie prace ustały w chwili, gdy Karnak, jadąc na czele kolumny, wprowadził wozy do miasta.

– Witaj z powrotem, generale! – krzyknął jakiś mężczyzna, siadając na murze, który wznosił.

– Na kolację mięso. Jak to brzmi? – zawołał Karnak. Waylander jechał z tyłu kolumny obok Dardaliona.

– Kolejne wielkie zwycięstwo Karnaka – zauważył Waylander. – Patrz, jakie przyciąga tłumy! Można by pomyśleć, że sam obronił Masin. Gdzie jest Gellan w tej godzinie chwały?

– Dlaczego go nie lubisz? – spytał kapłan.

– Nie mówię, że go nie lubię. Według mnie to pozer.

– Czy nie uważasz, że musi być taki? Ma zdemoralizowaną armię, która potrzebuje bohaterów.

– Może.

Waylander rzucił okiem na umocnienia. Były dobrze rozplanowane, rowy dostatecznie głębokie, by zapobiec szarży konnicy na miasto, a barykady tak strategicznie rozmieszczone, aby łucznicy mogli zadać ciężkie straty atakującym oddziałom. Mimo to nie nadawały się do długotrwałej obrony, gdyż nie były wysokie ani zbyt grube. Ponadto nie były połączone. Skarty nie dało się zamienić w fortecę, więc Waylander podejrzewał, że umocnienia mają służyć bardziej podniesieniu ducha mieszkańców miasteczka niż rzetelnej próbie obrony.

Przejechawszy przez linię umocnień, wozy wjechały do centrum Skarty. Budynki były przeważnie z białego kamienia, wydobywanego na północy, w górach Delnoch. Złożone głównie z jednopiętrowych domów miasteczko zbudowano wokół starego fortu, w którym teraz mieścił się ratusz i kwatera główna Egela.

Gdy kolumna dotarła tam, Waylander ściągnął wodze.

– Znajdę cię później – zawołał do Dardaliona, a potem pojechał do wschodniej dzielnicy. Od czasu spotkania z Karnakiem nie pilnowano go, lecz zachował ostrożność, kilkakrotnie sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Domy tutaj były uboższe, o pomalowanych na biało ścianach imitujących granit i marmur budowli północnej części miasta.

Waylander podjechał pod gospodę w pobliżu ulicy Tkaczy i zostawił konia w stajni na tyłach. Lokal był zatłoczony, a powietrze gęste od zapachu zastarzałego potu i taniego piwa.

Zabójca przepchnął się do długiego drewnianego baru, przeszukując wzrokiem tłum; na jego widok barman podniósł cynowy dzban.

– Piwo? – zapytał. Waylander kiwnął głową.

– Szukam Durmasta – powiedział.

– Wielu ludzi szuka Durmasta. Musi być bardzo lubiany.

– To świnia, ale muszę go znaleźć.

– Jest ci winny pieniądze, tak? – Barman uśmiechnął się, pokazując poślizgnięte i połamane zęby.

– Ze wstydem przyznaję, że to mój przyjaciel.

– Zatem powinieneś wiedzieć, gdzie on jest.

– Ma za duże kłopoty, stąd problem ze znalezieniem go.

Barman znów się uśmiechnął i napełnił dzban Waylandera pianistym ale.

– Jeśli go szukasz, znajdziesz go. Ciesz się piwem.

– Ile?

– Pieniądze nie mają tu wielkiej wartości, przyjacielu. Częstujemy za darmo.

Waylander pociągnął łyk.

– Smakuje tak, że powinniście płacić pijącym!

Barman odszedł, a Waylander oparł ręce na bar i czekał. Po kilku minutach jakiś młody człowiek o szczurzej twarzy klepnął go w ramię.

– Chodź za mną – powiedział.

Przeszli przez tłum do wąskich drzwi na końcu gospody, które prowadziły na niewielkie podwórze i szereg wąskich uliczek. Chudy przewodnik potruchtął przodem, skręcając w tym labiryncie to w lewo, to w prawo, aż wreszcie przystanął pod drzwiami nabijanymi mosiądem. Zapukał trzy razy, odczekał, potem zastukał jeszcze dwukrotnie i drzwi otworzyła kobieta w długiej, zielonej sukni. Ze znużeniem zaprowadziła ich do drzwi na tyłach domu, w które młodzieniec także zastukał. Uśmiechnął się do Waylandera i odszedł.

Waylander dotknął dłonią rygla i zamarł. Odsunął się od drzwi, oparł plecami o ścianę, otworzył rygiel i pchnął drzwi. Bełt kuszy wbił się w ścianę po przeciwnej stronie, obsypując korytarz deszczem iskier.

– Czy tak się wita starego przyjaciela? – zapytał Waylander.

– Człowiek musi być ostrożny wśród przyjaciół – padła odpowiedź.

– Jesteś mi winien pieniądze, ty rozpustniku!

– Chodź tu i odbierz je.

Waylander odszedł od drzwi pod przeciwległą ścianę. Rozpędził się, wpadł do komnaty i przetoczywszy się po podłodze, stanął na nogach, z nożem w ręku.

– Koniec gry i jesteś martwy! – usłyszał głos, tym razem od drzwi. Waylander obrócił się powoli. Za drzwiami stał niedźwiedziowaty mężczyzna trzymający czarną kuszę, wycelowaną w brzuch Waylandera.

– Robisz się stary i powolny, Waylanderze – skomentował Durmast. Zdjąwszy bełt z prowadnicy, z traskiem zwolnił cięciwę i postawił kuszę pod ścianą. Waylander potrząsnął głową i wepchnął nóż do pochwy. Wtedy wielkolud przeszedł przez komnatę i objął go niedźwiedzim uściskiem. Zanim wypuścił go z objęć, ucałował go w czoło.

– Śmierdzisz cebulą – powiedział Waylander.

Durmast wyszczerzył zęby w uśmiechu i usadowił swe wielkie cielsko na skórzanym krześle. Był jeszcze większy niż dawniej, a jego rudawa broda była zmierzwiona i nie strzyżona. Jak zawsze, miał na sobie zielono-brązowe szaty z ręcznie przędzionej wełny, nadającej mu wygląd ludzkiego drzewa – jakiegoś magicznego stworzenia. Durmast mierzył prawie siedem stóp i ważył więcej niż trzech przeciętnych mężczyzn. Waylander znał go od jedenastu lat i jeśli ufał komukolwiek, to temu wielkoludowi.

– No, do rzeczy – rzekł Durmast. – Na kogo polujesz?

– Na nikogo.

– A kto poluje na ciebie?

– Prawie wszyscy, ale głównie Bractwo.

– Dobrze wybierasz sobie wrogów, przyjacielu. Masz, czytaj.

Durmast pogmerał w pogniecionym pęku pergaminów i znalazł ciasno zwinięty zwój, zapieczętowany czarnym woskiem. Pieczęć była złamana. Waylander wziął zwój i szybko go przeczytał.

– Pięć tysięcy sztuk złota? To czyni mnie cennym.

– Raczej martwym.

– Stąd powitanie z kuszą.

– Zawodowa duma. Jeśli przyjdą ciężkie czasy, zawsze mogę liczyć na ciebie – i nagrodę za twój wilczy łeb.

- Potrzebuję twojej pomocy – rzekł Waylander, siadając na krześle naprzeciw olbrzymu.
- Pomaganie ci może drogo kosztować.
- Wiesz, że mogę zapłacić. Już jesteś mi winien sześć tysięcy w srebrze.
- A więc taka jest cena.
- Nie wiesz jeszcze, jakiej pomocy potrzebuję.
- Racja, ale i tak cena się nie zmienia.
- A jeśli odmówię?

Uśmiech zniknął z twarzy wielkoluda.

- To zgramę nagrodę wyznaczoną za ciebie przez Bractwo.
- Stawiasz wygórowane warunki.
- Nie bardziej niż te, które wymusiłeś na mnie na zboczu tamtej ventryjskiej góry, kiedy złamałem nogę. Sześć tysięcy za łubki i konia?
- Nieprzyjaciel był blisko – odparł Waylander. – Czyż twoje życie było tak mało warte?
- Ktoś inny uratowałby mnie z czystej przyjaźni.
- Jednak tacy jak my nie mają przyjaciół, Durmaście.
- A więc zgadzasz się na tę cenę?
- Tak.
- Świetnie. Czego ci potrzeba?
- Kogoś, kto zaprowadzi mnie do Raboas, Świętego Olbrzymu.
- Dlaczego? Przecież wiesz, gdzie on jest.
- Chcę wrócić żywy – i przywiozę coś ze sobą.
- Zamierzasz ukraść skarb Nadirów z ich najświętszego miejsca? Nie potrzebujesz przewodnika, ale armii! Zwróć się do Vagryjczyków – może oni dysponują dostateczną siłą, choć wątpię.
- Potrzebuję kogoś, kto zna Nadirów i jest mile widziany w ich obozach. To, czego szukam, nie należy do Nadirów – to własność Drenajów. Nie będę cię okłamywał, Durmaście; to bardzo niebezpieczna wyprawa. Bractwo depcze mi po piętach i oni też chcą to zdobyć.
- Cenny łup?
- Wart więcej niż królestwo.
- A jaki proponujesz mi procent?
- Połowa tego, co otrzymam.

- Sprawiedliwie. A co otrzymasz?
- Nic.
- Chcesz mi powiedzieć, że to coś, co obiecałeś chorej matce na łożu śmierci?
- Nie. Umierającemu staremu ślepcowi.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Nigdy w życiu nie zrobiłeś niczego za darmo. Bogowie, człowieku, dwukrotnie uratowałem ci życie, a kiedy miałem kłopoty, kazałeś sobie płacić srebrem. Teraz mówisz mi, że stałeś się bezinteresowny? Nie denerwuj mnie, Waylanderze. Przecież nie chcesz, żebym się zdenerwował.

Waylander wzruszył ramionami.

- Sam się temu dziwię. Niewiele więcej mogę ci powiedzieć.
- Możesz. Opowiedz mi o tym starcu.

Waylander oparł się wygodniej. Co miał mu powiedzieć? W jaki sposób mógł przekazać mu tę historię tak, aby Durmast zrozumiał, co się stało? W żaden. Olbrzym był zabójcą, bezlitosnym i amoralnym – takim samym jak Waylander był zaledwie kilka dni wcześniej. Jak mógł pojąć wstyd, jaki obudził w Waylanderze stary człowiek? Wojownik nabrał tchu i rozpoczął opowieść, pozbawioną jakichkolwiek ubarwień. Durmast słuchał w milczeniu, bez śladu uczuć na szerokiej twarzy, bez błysku emocji w zielonych oczach. Kończąc, Waylander rozłożył ręce i zamilkł.

- Drenajowie daliby wszystko, żeby dostać tę Zbroję? – spytał Durmast.
- Tak.
- A Vagryjczycy jeszcze więcej?
- Istotnie.
- A ty zamierzasz zrobić to za darmo?
- Z twoją pomocą.
- Kiedy chcesz wyruszyć?
- Jutro.
- Znasz dębowy zagajnik na północy?
- Tak.
- Spotkamy się tam i pojedziemy przez Przełęcz Delnoch.
- A co z pieniędzmi? – zapytał spokojnie Waylander.
- Sześć tysięcy, powiedziałeś. Będziemy kwita.

Waylander w zadumie pokiwał głową.

– Spodziewałem się, że zażadasz więcej, zważywszy na rodzaj zadania.

– Życie jest pełne niespodzianek, Waylanderze.

Kiedy wojownik odszedł, Durmast zawołał młodzieńca o szczurzej twarzy.– Słyszałeś wszystko? – zapytał.

– Tak. Czy on oszalał?

– Nie, tylko stał się miękki. To się zdarza, Soraku. Jednak nie można go nie doceniać. To jeden z największych wojowników, jakich kiedykolwiek widziałem, i bardzo trudno będzie go zabić.

– Dlaczego nie zabijemy go dla nagrody?

– Ponieważ chcę i tę Zbroję, i nagrodę.

– Tyle jest warta przyjaźń – uśmiechnął się Sorak.

– Słyszałeś, co powiedział. Tacy jak my nie mają przyjaciół.

Danyal zaprowadziła dzieci do małej szkółki za ratuszem. Szkołkę prowadzili trzej kapłani Źródła i było tam ponad czterdzieścioro dzieci, osieroconych przez wojnę. Kolejnych trzysta porozdzielano po domach mieszkańców Skarty. Krylla i Miriel wydawały się zadowolone, zostając tam, i pomachały jej wesoło z placu zabaw, gdy Danyal odchodziła ze starszym kapłanem.

– Powiedz mi, siostrze, co wiesz o Dardalionie? – zapytał, gdy stanęli przed kutą z żelaza bramą.

– Jest kapłanem, tak jak i ty.

– Kapłanem, który zabija – rzekł ze smutkiem.

– Nie mogę ci pomóc. Zrobił to, co uważał za konieczne, aby ocalić ludzkie życie – nie ma w nim zła.

– Zło jest w nas wszystkich, siostrze, a miarą człowieka jest to, jak się przed nim broni. Nasi młodzi ludzie wiele mówią o Dardalionie i obawiam się, że on stanowi okropne zagrożenie dla naszego porządku.

– Albo pomoże go ocalić.

– Jeśli musimy być ratowani przez ludzi, zatem wszystko to, w co wierzymy, jest nonsensem. Jeśli bowiem człowiek jest ostatecznie silniejszy od Boga, czyż trzeba czcić jakiegokolwiek

Boga? Jednak nie chcę cię obciążać naszymi problemami. Niech cię błogosławi Źródło, siostrze.

Opuściła go i poszła białymi ulicami. Jej suknia była brudna; i podarta, więc czuła się jak żebraczka, widząc spojrzenia mieszkańców. Podszedł do niej jakiś niski grubas, proponując pieniądze, ale odprawiła go gniewnym spojrzeniem. Potem jakaś kobieta położyła jej dłoń na ramieniu.

– Przyjechałaś z żołnierzami, moja droga?

– Tak.

– Czy był wśród nich mężczyzna imieniem Vanek?

– Tak, utykał na jedną nogę.

Kobieta odetchnęła z ulgą. Była pulchna i kiedyś musiała być ładna, lecz teraz miała twarz pooraną zmarszczkami i straciła kilka zębów po prawej stronie, co nadawało jej nieco zabawny wygląd.

– Nazywam się Tacia. Obok mojego domu jest łaźnia, z której możesz skorzystać.

W łaźni nie było nikogo, w głównym basenie brakowało wody, lecz w bocznych salach stały wanny. Jedną z nich Tacia pomogła Danyal napelnić wodą ze studni na tyłach domu, a potem usiadła, gdy dziewczyna zdjęła suknię i weszła do zimnej kąpieli.

– Już nie podgrzewają wody – powiedziała Tacia. – Nie robią tego, od kiedy wyjechał ten radny. Łaźnia należała do niego; uciekł do Drenanu.

– Zimna mi wystarczy – odparła Danyal. – Czy jest tu jakieś mydło?

Tacia zostawiła ją i wróciła po kilku minutach, niosąc mydło, ręczniki, spódniczkę i krótką tunikę.

– Będzie dla ciebie za szeroka, ale mogę ją szybko zwęzić – obiecała.

– Jesteś żoną Vaneka?

– Byłam – odparła. – Teraz on żyje z młodą dziewczyną z południowej dzielnicy.

– Przykro mi.

– Nigdy nie wychodź za żołnierza – czy nie tak powiadają? Dzieci tęsknią za nim; był bardzo dobry dla dzieci.

– Długo byliście małżeństwem?

– Dwanaście lat.

– Może znów się zejdziecie.

– Może, jeśli odrosną mi zęby i wygładzą się zmarszczki! Masz się gdzie zatrzymać?

– Nie.

– Możesz zostać w naszym domu. Nie jest duży, ale wygodny, jeśli nie przeszkadzają ci dzieci.

– Dziękuję, Tacia, ale nie jestem pewna, czy zostanę w Skarcie.

– A dokąd pójdziesz? Purdol niebawem padnie, jak słyszę, mimo obietnic Karnaka i Egela. Chyba uważają nas za głupców. Nikt nie oprze się Vagryjczykom... patrz, jak szybko podbili cały kraj.

Danyal nic nie odpowiedziała, wiedząc, że nie ma antidotum na jej rozpacz.

– Masz mężczyznę? – spytała Tacia.

Danyal natychmiast pomyślała o Waylanderze, a potem potrząsnęła głową.

– No to masz szczęście – stwierdziła kobieta. – My zakochujemy się w mężczyznach, a oni w miękkiej skórze i jasnych oczach. Wiesz, ja naprawdę go kochałam. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby przespał się z nią od czasu do czasu. Tylko dlaczego zostawił mnie dla niej?

– Przykro mi. Nie wiem, co powiedzieć.

– Teraz nie wiesz. Dowiesz się tego pewnego dnia, kiedy w twoich pięknych rudych włosach pojawią się siwe nitki, a skóra stanie się szorstka. Chciałabym znów być młoda. Chciałabym mieć piękne rude włosy i nie wiedzieć, co rzec starej kobiecie.

– Nie jesteś stara.

Tacia wstała i położyła ubranie na krześle.

– Kiedy będziesz gotowa, przyjdź obok. Przygotuję kolację. Obawiam się, że mam tylko warzywa, ale dodam trochę przypraw do smaku.

Danyal odprowadziła ją wzrokiem, a potem namydliła sobie głowę i wyszorowała ciało z brudu i kurzu. W końcu wstała i wytarła się przed mosiężnym lustrem na drugim końcu pomieszczenia.

Widok jej urody jakoś nie podniósł jej na duchu tak jak zwykle.

Dardalion dotarł na przedmieścia, przechodząc przez łukowaty kamienny mostek nad

wąskim strumieniem. Drzewa rosły tu rzadziej – wiązy i brzozy, wiotkie i wdzięczne w porównaniu z olbrzymimi dębami lasu. Przy strumyku kwitły kwiaty, niebieskie dzwoneczki zdawały się unosić nad ziemią jak szafirowa mgła. Jaki tu spokój, pomyślał. Harmonia.

Namioty kapłanów stały równym kręgiem na łące. W pobliżu był nowy cmentarz ze świeżymi mogiłami, obłożonymi kwiatami.

Czując się nieswojo w zbroi, Dardalion wyszedł na łąkę, przyciągając spojrzenia wszystkich kapłanów. Wywołało to w nim mieszaninę najróżniejszych emocji: niepokój, ból, rozczarowanie, uniesienie, dumę, rozpacz. Wchłonął je, tak samo jak myślowe obrazy tych, którzy je wysyłali, i odpowiedział im miłością zrodzoną ze smutku.

Podszedł bliżej i kapłani w milczeniu zebrali się wokół niego, pozostawiając przejście wiodące do namiotu w środku kręgu. Gdy tam dotarł, z namiotu wyszedł starszy człowiek i skłonił mu się nisko. Dardalion uklęknął przed opatem i pochylił głowę.

– Witaj, bracie Dardalionie – rzekł łagodnie stary człowiek.

– Dziękuję, ojcze opacie.

– Czy zdejmiesz ten wojenny strój i dołączysz do swoich braci?

– Z żalem muszę odmówić.

– Zatem nie jesteś już kapłanem i nie powinieneś klęczeć przede mną. Stań jak mężczyzna wolny od ślubów.

– Nie chcę uwalniać się od ślubów.

– Orzeł nie ciągnie pługą, Dardalionie, a Źródło nie akceptuje połowicznych bohaterów.

Starzec wyciągnął ręce i delikatnie podniósł Dardaliona z klęczek. Młody kapłan-wojownik spojrzał mu w oczy, szukając gniewu, lecz dojrzał tylko smutek. Opat był bardzo stary, twarz miał usianą pajęczymi liniami zmarszczek od trudów życia. Jednak jego oczy były bystre, żywe i inteligentne.

– Nie chcę być wolny. Chcę podążać do Źródła inną drogą.

– Wszystkie drogi prowadzą do Źródła, po osąd lub radość.

– Nie bawmy się słowami, ojcze opacie. Nie jestem dzieckiem. Widziałem ogrom zła na ziemi i dlatego nie zamierzam siedzieć, patrząc, jak triumfuje.

– Któż wie, na czym polega triumf? Czymże jest życie, jeśli nie poszukiwaniem Boga? Polem bitwy, śmietniskiem, rajem? Widzę twój ból i czuję smutek. A gdzie widzę ból, tam niosę pociechę, jeśli zaś znajduję smutek, niosę obietnicę przyszłej radości. Istnieję, by koić,

Dardalionie. Nie ma zwycięstwa w mieczu.

Dardalion wstał i rozejrzał się wokół, czując ciężar nie zadanych pytań. Oczy wszystkich były zwrócone na niego; westchnął i zacisnął powieki, modląc się o wsparcie. Jednak jego modlitwa pozostała bez odpowiedzi i ciężar nie spadł mu z ramion.

– Przeprowadziłem do Skarty dwoje dzieci – bystre, małe dziewczynki o niezwykłych zdolnościach. I widziałem śmierć złych ludzi, i wiedziałem, że dzięki niej inni niewinni zaznają życia. I nieustannie wznosiłem modły za moją ścieżkę, moje czyny i moją przyszłość. Wydaje mi się, ojcze opacie, iż Źródło wymaga równowagi. Łowców i łowionych. Wilki chwytają najsłabsze ciele ze stada. W ten sposób w stadzie pozostają najsilniejsze sztuki. Zbyt wiele wilków zniszczy stado, dlatego łowcy tropią wilki, chwytając najsłabsze i najstarsze. Ile potrzebujemy przykładów, by pojąć, że Źródło jest Bogiem równowagi? Po cóż by stworzyło orła i wilka, szarańczę i skorpiona? Na każdym kroku dostrzegamy tę równowagę. A jednak widząc zło czynione przez Bractwo i czcicieli Chaosu niszczących całą ziemię, siedzimy w namiotach i rozważamy tajemnice gwiazd. Gdzie tu równowaga, ojcze opacie? Chcemy nauczyć świat, by przestrzegał naszych wartości. Jednak gdyby wszyscy żyli w celibacie, co stałoby się ze światem? Ludzkość przestałaby istnieć.

– I nie byłoby więcej wojen – rzekł opat. – Nie byłoby chciwości, żądz, rozpacz i smutku.

– Tak. A także miłości, radości ni zadowolenia.

– Czy ty jesteś zadowolony, Dardalionie?

– Nie. Jestem przygnębiony i zagubiony.

– A byłeś zadowolony jako kapłan?

– Tak. Niezwykle.

– Czyż to nie dowodzi błędu twojego rozumowania?

– Nie – raczej mojego egoizmu. Usiłujemy być altruistami, pragniemy bowiem być błogosławieni przez Źródło. Tymczasem nie jest to ani altruizm, ani miłość, lecz egoizm. Nie niesiemy miłości dla niej samej, lecz dla naszej przyszłości jako kapłanów Źródła. Koisz ból cierpiących? Jak? Jak możesz pojąć ich ból? Wszyscy jesteśmy myślicielami, żyjącymi z dala od realnego świata. Nawet nasza śmierć jest moralnym występkiem, gdyż przyjmujemy ją jak rydwan, który dowiezie nas do raj. I Gdzie tu ofiara? Wróg daje nam to, czego pragniemy, a my przyjmujemy jak dar śmierć z jego rąk. Dar Chaosu – niechlubny, krwawy prezent od samego Szatana.

– Mówisz jak ktoś skalany Chaosem. Wszystko, co mówisz, brzmi rozsądnie, lecz taka jest siła Ducha Chaosu. Dlatego był zwany Gwiazdą Zaranną, a teraz jest Księciem Kłamstw. Słabi łąpią się na jego obietnice, gdy bierze ich w swe posiadanie. Wejrzałem w ciebie, Dardalionie, i nie znalazłem zła. Twoja czystość stała się jednak zgubna, gdy zacząłeś podróżować z tym zabójcą Waylanderem. Zbyt ufałeś w swoją czystość i ten zły człowiek oświadczył tobie.

– Nie uważam go za złego człowieka – odparł Dardalion. – Amoralnego, okrutnego, ale nie złego. Masz rację, mówiąc, że wywarł na mnie wpływ. Czystość to nie płaszcz, który może przemoknąć w czasie burzy. Waylander sprawił tylko, że zacząłem kwestionować wartości, które dotychczas akceptowałem.

– Nonsens! – warknął opat. – Nakarmił cię swoją krwią, a z nią i duszą. Gdy staliście się jednością, zaczął zmagać się z piętnem, które wycisnąłeś na jego złej duszy. On usiłuje czynić dobro, tak jak ty zło. Nie widzisz tego? Jeśli ciebie posłuchamy, będzie to oznaczać kres naszego porządku, nasze zasady rozwieją się jak piasek na wietrze. Kieruje tobą egoizm, gdyż szukasz bezpieczeństwa pośród innych kapłanów Źródła. Jeśli cię zaakceptujemy, osłabimy nasze wątpliwości. Nie możemy cię przyjąć.

– Mówisz o egoizmie, ojciec opacie. Zatem pozwól, że zadam ci pytanie: jeśli nasz kapłański żywot uczy nas wystrzegać się egoizmu, to dlaczego pozwalamy, by zabijali nas członkowie Bractwa? Skoro brak egoizmu oznacza oddawanie wszystkiego, co cenimy, aby pomóc innym, to postąpilibyśmy godnie, walcząc z Bractwem? My nie chcemy walczyć, lecz ginąć, tak więc walcząc, okazalibyśmy prawdziwą bezinteresowność i pomogliśmy niewinnym, którzy w przeciwnym razie zostaną zamordowani.

– Odejdź, Dardalionie, jesteś skalany w stopniu przekraczającym moje skromne możliwości pomocy.

– Będę walczył z nimi sam – rzekł Dardalion, kłaniając się sztywno.

Odwrócił się, kapłani rozstąpili się, a on przeszedł między nimi nie rozglądając się, zamknąwszy umysł na ich emocje.

Opuściwszy krąg namiotów, przeszedł po kamiennym mostku i przystanął, by popatrzeć w nurt. Nie czuł się już nieswojo w zbroi, tak jakby zrzucił ciężar z ramion. Obrócił się, słysząc odgłos kroków, i ujrzał grupkę kapłanów idących przez most. Wszyscy byli młodzi. Pierwszy z idących był niewysokim, krępy męczyzną o jasnoniebieskich oczach i krótko ściętych blond włosach.

– Chcemy z tobą porozmawiać, bracie – rzekł. Dardalion skinął głową, a oni otoczyli go półkolem i siedli na trawie. – Nazywam się Astila – powiedział jasnowłosy kapłan – a ci moi bracia czekali na ciebie. Czy chciałbyś złączyć się z nami myślą?

– W jakim celu?

– Chcemy poznać twoje życie i zmianę, jaka w tobie zaszła. Zrozumiemy to lepiej, dzieląc twoje wspomnienia.

– A co ze złamaniem ślubów czystości?

– Jest nas dosyć, by się oprzeć, gdyby nam to groziło.

– Zatem zgoda.

Skinęli głowami i zamknęli oczy. Dardalion zadrżał, gdy kapłani wniknęli w jego myśli, i wtopił się w ich gromadę. Kalejdoskop wspomnień rozblysnął i zamigotał. Dzieciństwo, radość i cierpienie. Nauka i marzenia. Szalony ciąg obrazów zwolnił, gdy najemnicy przywiązali go do drzewa i zaczęli kroić nożami; wrócił ból. A potem...

Waylander. Ratunek. Jaskinia. Krew. Dzika radość walki i śmierci. Mury Masin. Przez cały czas modły o radę. Wszystkie bez odpowiedzi. Fala mdłości, gdy kapłani wrócili do swoich ciał.

Otworzył oczy i prawie upadł, ale wciągnął powietrze i jakoś utrzymał się na nogach.

– I cóż? – zapytał. – Co znaleźliście?

– Zostałeś skalany – rzekł Astila – w chwili, gdy dotknęła cię krew Waylandera. Dlatego posiekałeś przeciwnika na kawałki. Jednak od tego czasu usiłowałeś – jak powiedział opat – powstrzymać zło.

– Uważacie, że się mylę?

– Tak. Mimo to dołączę do ciebie. Wszyscy przyłączymy się do ciebie.

– Dlaczego?

– Ponieważ jesteśmy słabi, tak samo jak ty. Byliśmy kiepskimi kapłanami, mimo wszelkich wysiłków. Jestem gotowy, by Źródło osądziło wszystkie moje uczynki, a jeśli Ono skaze mnie na wieczne potępienie, niechaj tak się stanie. Jednak nie mogę już dłużej patrzeć na śmierć moich braci. Mam dość oglądania śmierci dzieci Drenajów i chcę zniszczyć Bractwo.

– Dlaczego więc nie zrobiliście tego wcześniej?

– Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Mogę tylko mówić za siebie. Obawiałem się, iż mogę stać się podobny do członków Bractwa. Rosła we mnie nienawiść i nie wiedziałem, czy zdołam zachować czystość i poczucie Boga. Ty zdołałeś, więc pójdę za tobą.

- Czekaliśmy na przywódcę – rzekł inny kapłan.
- I znaleźliście go. Ilu nas jest?
- Z tobą trzydziestu.
- Trzydziestu – rzekł Dardalion. – To dopiero początek.

Rozdział 11

Waylander odprawił dwie służące i wyszedł z wanny, zgarniając płatki kwiatów z ciała. Owinąwszy biodra ręcznikiem, podszedł do wielkiego lustra i powoli ogolił się. Bolało go ramię, mięśnie miał napięte i obolałe po bitwie o Masin, a na żebrach brzydki siniec we wszystkich barwach tęczy. Nacisnął go lekko i skrzywił się. Dziesięć lat temu taki siniak dawno już by zniknął; a jeszcze dziesięć lat wcześniej w ogóle by go nie było.

Czas był najgorszym ze wszystkich jego wrogów.

Spojrzał w swoje ciemnobrązowe oczy, na wyraziste rysy twarzy i siwiznę pokrywającą większą część skroni. Przesunął spojrzenie w dół. Ciało wciąż było silne, lecz trochę za chude, a mięśnie zbyt napięte. Taki stan nie był korzystny dla człowieka uprawiającego jego profesję.

Waylander nalał sobie wina i sączył je, przytrzymując na języku i ciesząc się ostrym, niemal gorzkim smakiem.

Drzwi uchyliły się i wszedł Cudin; niski i gruby, z twarzą lśniąca od potu. Waylander skinął mu głową na powitanie. Za kupcem pojawiła się młoda dziewczyna niosąca odzienie. Położyła je na poślaczonym krześle i ze spuszczonej oczami wyszła z komnaty, zostawiając nerwowo zacierającego dłonie Cudina.

- Wszystko jest tak, jak chciałeś, przyjacielu?
- Będę jeszcze potrzebował tysiąc w srebrze.
- Oczywiście.
- Czy moje inwestycje przynoszą zyski?
- No cóż, czasy są ciężkie. Sądzę jednak, że uznasz zyski za zadowalające. Większość z tych ośmiu tysięcy ulokowałem w Ventrii, w handlu przyprawami, więc wojna nie powinna im zagrozić. Możesz odebrać je w Isbasie, w banku Tyry.
- Dlaczego jesteś taki zdenerwowany, Cudinie?

– Zdenerwowany? Nie, to... to przez ten gorąc.

Grubas oblizał wargi i próbował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

– Ktoś mnie szukał, tak?

– Nie... tak, ale nic im nie powiedziałem.

– Oczywiście, bo nic o mnie nie wiesz. Domyślałem się jednak, co im obiecałeś: zawiadomisz ich, jeśli kiedyś się pojawię. I powiedziałeś im o tym banku w Tyrze.

– Nie – szepnął Cudin.

– Nie obawiaj się, kupcze, nie winie cię za to. Nie jesteśmy przyjaciółmi i nie ma powodu, żebyś ryzykował dla mnie życie; nie oczekuję tego. A nawet miałbym cię za głupca, gdybyś to zrobił. Czy powiadomiłeś ich o moich przybyciu?

Kupiec usiadł obok kupki ubrań. Twarz obwisła mu, jakby jej mięśnie nagle przestały funkcjonować.

– Tak, posłałem gońca do Skultik. Cóż?...

– Kto do ciebie przyszedł?

– Cadoras Tropiciel. Bogowie, Waylanderze, miał piekło w oczach. Byłem przerażony.

– Ilu miał ludzi?

– Nie wiem. Pamiętam, że powiedział, iż "oni" będą obozować przy Opałowym Strumieniu.

– Kiedy to było?– Pięć dni temu. Wiedział, że przybędziesz.

– Widziałeś go od tej pory?

– Tak. Był w tawernie, pił z tym ogromnym banitą – tym, który wygląda jak niedźwiedź.

Znasz go?

– Znam. Dziękuję, Cudinie.

– Nie zabijesz mnie?

– Nie. Gdybyś jednak mi nie powiedział...

– Rozumiem. Dziękuję.

– Nie masz mi za co dziękować... A teraz inna sprawa – chodzi o dwoje dzieci, które niedawno przybyły do Skarty i zamieszkały z kapłanami Źródła.. Nazywają się Krylla i Miriel. Zadbasz o to, żeby miały dobrą opiekę? Jest także pewna kobieta, Danyal; ona również będzie potrzebowała pieniędzy. Na te usługi przeznaczysz zyski z moich inwestycji. Rozumiesz?

– Tak. Krylla, Miriel, Danyal. Rozumiem.

– Przyszedłem do ciebie, Cudinie, ze względu na twoją reputację rzetelnego kupca. Nie

zawieź mnie.

Cudin wycofał się z komnaty, a Waylander podszedł do krzesła z ubraniami. Na samej górze leżała czysta lniana koszula; podniósł ją i wyczuł zapach róż. Włożył ją i zapiął mankiety. Potem ubrał czarne spodnie z grubej bawełny, skórzany kubrak i parę butów do konnej jazdy. Podszedł do okna, wziął kolczugę i nałożył ją na kubrak. Jej ogniwa były świeżo nasmarowane, metal chłodny w dotyku. Szybko zapiął pas z nożami i mieczem. Kusza leżała na szerokim łóżku, obok kołczana z pięćdziesięcioma nowymi bełtami; przypiął je do pasa i opuścił pokój.

Dziewczyna czekała na korytarzu; Waylander dał jej cztery sztuki srebra. Uśmiechnęła się i odeszła, ale przywołał ją z powrotem, widząc siniaka na jej ramieniu.

- Przepraszam, że byłem brutalny.
- Bywają gorsi – odparła. – Zrobiłeś to nieumyślnie.
- Tak – rzekł i dał jej jeszcze jedną sztukę srebra.
- Krzyczysz przez sen – powiedziała cicho.
- Przepraszam, jeśli cię obudziłem. Powiedz mi czy Hewla jeszcze mieszka w Skarcie?
- Ma chatkę na północ od miasta.

Dziewczyna bała się, ale wskazała mu drogę i Waylander opuścił dom kupca. Osiodłał konia i pojechał na północ.

Chatka była nędzna; nie sezonowane drewno paczyło się i szpary zatkało gliną. Za kiepsko dopasowanymi drzwiami wisiała zasłona, chroniąca przed przeciągami. Waylander zsiadł z konia, uwiązał go do kępy krzaków i zapukał w drzwi. Nie słysząc odpowiedzi, ostrożnie wszedł do środka.

Hewla siedziała przy sosnowym stole, patrząc w miedzianą miskę, wypełnioną po brzegi wodą. Była stara i prawie łysa, a także jeszcze chudsza niż przed dwoma laty, kiedy Waylander odwiedził ją ostatnio.

– Witaj, Ciemnowłoso – powiedziała z uśmiechem. Zęby miała białe i równe, dziwnie nie pasujące do pomarszczonej twarzy.

– Kiepsko ci się wiecie, Hewlo.

– Życie to wahadło. Może wkrótce będzie lepiej – odparła. – Poczęstuj się winem – albo wodą, jeśli wolisz.

– Może być wino – rzekł, napełniając gliniany kielich z kamiennej karafki i siadając naprzeciw niej.

– Dwa lata temu – zaczął cicho – ostrzegałaś mnie przed Kaemem. Mówiłaś o śmierci książąt i kapłanie z ognistym mieczem. To było ładne, poetyczne i bezsensowne. Teraz nabrało sensu... i chciałbym wiedzieć więcej.

– Ty nie wierzysz w przeznaczenie, Waylanderze. Nie mogę ci pomóc.

– Nie jestem fatalistą, Hewlo.

– Toczy się wojna.

– Zdziwiasz mnie – rzekł z ironią.

– Zamknij się, chłopcze! – warknęła. – Niczego się nie dowiesz, trzaskając dziobem.

– Przepraszam. Mów dalej.

– To wojna na innej płaszczyźnie, między siłami, których natury nie pojmujemy. Niektórzy ludzie nazywają je Dobrem i Złem, inni Naturą i Chaosem. Jeszcze inni sądzą, iż wywołuje ją jedno Źródło zmagające się ze sobą. Jakakolwiek byłaby prawda, ta wojna jest rzeczywista. Osobiście skłaniam się ku uproszczeniu: dobra i zła. W tej walce są tylko drobne sukcesy i nie ma ostatecznego zwycięstwa. Stałeś się teraz częścią tej wojny – najemnikiem, który w decydującej chwili przeszedł na drugą stronę.

– Powiedz mi o mojej misji.

– Widzę, że ogólne ujęcie nie budzi twojego zainteresowania. Bardzo dobrze. Sprzymierzyłeś się z Durmastem – odważna decyzja. To zabójca bez skrupułów, który mordował mężczyzn, kobiety i dzieci. On nie ma żadnych zasad, nie jest ani dobry, ani zły – i zdradzi cię, gdyż nie rozumie, co to przyjaźń. Poluje na ciebie Cadoras, Człowiek z Blizną, Tropiciel – śmiertelnie niebezpieczny, gdyż, tak jak ty, nigdy nie napotkał lepszego od siebie szermierza czy łucznika. Szuka cię Czarne Bractwo, gdyż chce Zbroi Oriena i twojej śmierci, a imperator Ventrii wysłał za tobą grupę morderców za zabicie jego siostrzeńca.

– Nie zabiłem go.

– Nie. Zaażował to Kaem.

– Mów dalej.

Hewla zerknęła w miskę z wodą.

– Śmierć otacza cię ze wszystkich stron. Tkwisz w środku pajęczyny losu i zbliżają się pająki.

– Czy moja misja zakończy się sukcesem?

– To zależy od twojej definicji sukcesu.

– Bez zagadek, Hewlo. Nie mam czasu.

– To prawda. No dobrze, a więc pozwól, że wyjaśnię ci sens proroctwa. Wiele zależy od jego interpretacji, nic nie jest oczywiste. Gdybyś wziął nóż i rzucił nim w las, jaką miałbyś szansę trafić lisa, który dusi moje kury?

– Żadnej.

– Niezupełnie. Reguła prawdopodobieństwa mówi, że mógłbyś go zabić. Mniej więcej tak wygląda twoja misja.

– Dlaczego ja?

– Już słyszałam to pytanie. Gdyby ujęto mi rok życia za każdym razem, gdy mi je zadawano, siedziałabym tu przed tobą jako dziewicza piękność. Zapytałeś w dobrej wierze, więc ci odpowiem. W tej grze jesteś tylko katalizatorem. W wyniku twych działań zrodziła się nowa siła. Stało się to w chwili, gdy uratowałeś kapłana. Ona jest nietykalna, nieśmiertelna i trwać będzie przez stulecia, aż do kresu czasu. Nikt jednak nie będzie pamiętał twojej roli, Waylanderze. Przysypie cię pył historii.

– Nic mnie to nie obchodzi. Jednak nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Racja. Dlaczego ty? Ponieważ tylko ty masz szansę, jakkolwiek nikłą, zmienić bieg historii tego narodu.

– A jeśli odmówię?

– Bezsensowne pytanie – nie zrobisz tego.

– Dlaczego jesteś tego pewna?

– Honor, Waylanderze. To twoje przekleństwo.

– Nie błogosławieństwo?

– Nie w twoim przypadku. To cię zabije.

– Dziwne. Myślałem, że będę żył wiecznie.

Wstał, szykując się do wyjścia, ale stara kobieta podniosła rękę.

– Dam ci jedno ostrzeżenie: wystrzegaj się miłości życia. Twoją siłą jest to, że nie lękasz się śmierci. Siły Chaosu są liczne i nie wszystkie z nich władają bólem czy orężem.

– Nie rozumiem cię.

– Miłość, Waylanderze. Strzeż się miłości. Widzę rudowłosą kobietę, która może wpędzić cię w kłopoty.

– Już jej nie zobaczę, Hewlo.

– Może – mruknęła stara.

Gdy Waylander wyszedł z chaty, kątem oka dostrzegł cień przesuwaną się po lewej stronie i błyskawicznie rzucił się na ziemię, tak że ostrze świsnęło mu nad głową. Przetoczył się przez ramię, przykleknął i jego nóż błysnął w powietrzu, kończąc lot pod brodą napastnika. Trafiony mężczyzna osunął się na kolana, wrywając nóż z rany; krew trysnęła z niej strugą i runął na twarz. Waylander odwrócił się, spoglądając między drzewa, a potem wstał i podszedł do trupa. Nigdy przedtem nie widział tego człowieka.

Otarł nóż i wsunął go do pochwy, gdy Hewla stanęła w progu.

– Jesteś niebezpiecznym człowiekiem – stwierdziła z uśmiechem.

Jego ciemne oczy przywarły do jej pomarszczonej twarzy.

– Wiedziałaś, że on tu czeka, wiédźmo.

– Tak. Powodzenia, Waylanderze! Bądź czujny.

Waylander jechał na wschód przez najciemniejsze ostępy lasu, z kuszą w ręku i bacznie wypatrując w gąszczu śladu ruchu. Nad nim promienie światła przesywały sklepienie ze splecionych gałęzi. Po godzinie skręcił na północ, w rosnącym napięciu, od którego zaczęła boleć go szyja.

Cadoras nie był człowiekiem, którego można by lekceważyć. Jego imię powtarzano szeptem w najciemniejszych zaułkach zakazanych miast: Cadoras Tropicieł, Kat Snów. Powiadano, że nikt nie może się z nim równać sprytem, a niewielu okrucieństwem, ale Waylander powątpiewał w co straszniejsze opowieści, ponieważ wiedział, jak legenda potrafi ubarwić najzwyczajniejsze czyny.

On, jak mało kto, rozumiał Cadorasą.

Waylander Zabójca, Złodziej Dusz, Ostrze Chaosu.

Minstrele śpiewali mroczne pieśni o wędrownym zabójcy, Waylanderze-włóczędze, zawsze kończąc swoje występy opowieściami o nim, gdy dogasał ogień na kominku, a goście tawerny ruszali w nocną drogę do domu. Waylander siedział, nie zauważony, w niejednej gospodzie, słuchając, jak bawili tłumy jego niesławnymi czynami. Zaczynali występy od opowieści o złotowłosych bohaterach, pięknych księżniczkach, nawiedzonych zamkach i srebrnych rycerzach. Jednak w miarę upływu czasu dodawali do nich coraz więcej dreszczyku, tchnienia

grozy, tak że goście wychodzili na ciemne ulice i szeroko otwartymi ze strachu oczami szukali w mroku Cadoras Tropiciela lub Waylandera.

Jakże tańczyliby z uciechy ci poeci, gdyby usłyszeli, że Cadorasowi zapłacono, żeby wytropił Zabójcę!

Waylander pojechał na zachód wzdłuż pasma gór Delnoch, aż dotarł do sporej polanki, na której czekało dwadzieścia wozów. Mężczyźni, kobiety i dzieci siedzieli przy ogniskach, spożywając śniadanie, a olbrzymi Durmast krążył między nimi, zbierając zapłatę.

Wyjechawszy spomiędzy drzew, Waylander odetchnął i skierował konia ku obozowisku. Zdjął belty z kuszy i zwolnił cięciwy; przypiąwszy broń do pasa, zeskoczył z siodła. Durmast – z dwiema skórzanymi sakwami przerzuconymi przez szerokie ramię – dostrzegł go i pomachał ręką. Podeszedł do najbliższego wozu, cisnął sakwy do środka i pomaszerował do Waylandera.

– Witaj – powiedział z uśmiechem. – Wojna to dobry interes.

– Uchodźcy? – spytał Waylander.

– Tak, zmierzający do Gulgothiru. Ze wszystkimi ziemskimi dobrami.

– Dlaczego ci ufają?

– Z głupoty – odrzekł Durmast, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Człowiek może się szybko wzbogacić!

– Nie wątpię. Kiedy ruszamy?

– Czekaliśmy tylko na ciebie, przyjacielu. Gulgothir za sześć dni, a potem rzeka na wschodzie i północy. Powiedzmy trzy tygodnie. Później Raboas i twoja Zbroja. Wydaje się łatwe, no nie?

– Równie łatwe jak wydojenie węża. Słyszałeś w Skultik o Cadorasie?

Durmast otworzył oczy w drwiącym zdumieniu.

– Nie!

– Powiedziano mi, że poluje na mnie.

– Miejmy nadzieję, że cię nie znajdzie.

– Na jego szczęście – rzekł Waylander. – Ilu masz ludzi? – Dwudziestu. Dobrych. Twardych.

– Dobrych?

– No nie, właściwie to hołota. Ale potrafią walczyć. Chcesz poznać niektórych?

– Nie, niedawno jadłem. Ilu prowadzisz uchodźców?

– Stu sześćdziesięciu. Jest wśród nich kilka niebrzydkich kobiet, Waylanderze. To powinno

być kilka miłych dni.

Waylander kiwnął głową i rozejrzał się po obozie. Uciekinierzy; pożałował rodzin zmuszonych zawierzyć takiemu człowiekowi jak Durmast. Większość z nich ujdzie z życiem, ale przybędą do Gulgothiru jako nędzarze.

Przeniósł spojrzenie na porośnięte drzewami wzgórze na południu. Dostrzegł tam błysk światła i przez chwilę patrzył na odległe zbocza.

– Co to? – spytał Durmast.

– To mógł być tylko błysk słońca odbitego od kawałka kwarcu.

– Jednak ty uważasz, że to Cadoras?

– Kto wie? – odrzekł Waylander, odprowadzając swego konia na bok i przysiadając w cieniu rozłożystej sosny.

Wysoko na wzgórzach Cadoras schował lunetę do skózanego futerału i usiadł na pniu zwalonego drzewa. Był wysokim, chudym mężczyzną, czarnowłosym i kościstym. Biegająca od czoła do podbródka blizna przecinała mu wargi i zmieniała oblicze w szyderczą maskę. Oczy miał szare i zimne jak zimowa mgła. Nosił czarną kolczugę, ciemne spodnie i buty do konnej jazdy, a na biodrach dwa krótkie miecze.

Cadoras czekał przez godzinę, patrząc, jak zaprzęgano muły do wozów, które ustawiano w skierowaną na północ linię. Durmast pojechał na czoło kolumny i poprowadził ją ku górom i Delnoch Pass. Waylander jechał z tyłu.

Cadoras błyskawicznie odwrócił się, słysząc jakiś szmer za plecami. Z krzaków wynurzył się młody człowiek, mrugając oczami ze zdziwienia na widok noża w uniesionej ręce zabójcy.

– Nie pojawił się – oznajmił młodzieniec. – Czekaliśmy tam, gdzie kazałeś, ale nie zjawiał się.

– Był tam, ale ominął was.

– Brakuje Vulvina. Posłałem Macasa, żeby go poszukał.

– Znajdzie go martwego.

– Skąd możesz być tego pewien?

– Ponieważ chciałem, żeby nie żył – odparł Cadoras, odchodząc i patrząc w ślad za wozami. Bogowie, dlaczego przysłali mi takich głupców? Biurokraci! Rzecz jasna, Vulvin nie żyje. Kazano mu obserwować chatę Hewli, ale pod żadnym pozorem nie atakować Waylandera.

Dlaczego, zapytał, przecież to tylko człowiek? Cadoras wiedział, że ten głupiec zrobi coś głupiego, lecz jego śmierć to żadna strata.

Godzinę później wrócił Macas – niski i krępy, o wydętych ustach i grubiańskim sposobie bycia. Podszedł do Cadorasa, ignorując młodzieńca.

– Martwy – rzucił krótko.

– Zabiłeś staruchę?

– Nie. Były przy niej dwa wilki – pożerały Vulvina.

– I nie chciałeś przerywać im posiłku?

– Nie, Cadorasie, nie chciałem zginąć.

– Bardzo mądrze. Hewla zabiłaby cię w mgnieniu oka; ma ogromną moc. Nawiasem mówiąc, tam nie było żadnych wilków.

– Przecież widziałem...

– Widziałeś to, co ona chciała, żebyś widział. Zapytałeś ją, jak zginął Vulvin?

– Nie musiałem. Powiedziała, że nie ma sensu posyłać szakali na lwa. Kazała, żebym ci to powtórzył.

– Ma rację. Jednak wy, szakale, byliście częścią umowy. Na koń.

– Nie lubisz nas, co? – spytał Macas.

– Lubić cię, mały? Co oznacza to słowo? Na koń.

Cadoras podszedł do swego wierzchowca i zwinnie wskoczył w siodło. Wozów już nie było widać, więc puścił się pędem po stoku, siedząc prosto w siodle i trzymając łeb rumaka w górze.

– Niech to nie będzie zbyt łatwe, Waylanderze – szepnął. – Nie rozczaruj mnie.

Rozdział 12

Kiedy Karnak wszedł do sali obrad, dwudziestu oficerów wstało i zaszalutowało. Machnął ręką, żeby usiedli, po czym ruszył do szczytu stołu i zdjął płaszcz, przewieszając go przez oparcie krzesła.

– Purdol jest bliskie upadku – oznajmił, omiatając niebieskimi oczami posępne twarze wokół stołu. – Gan Degas jest stary, zmęczony i bliski załamania. W Purdol nie ma kapłanów Źródła i Gan od przeszło miesiąca nie miał żadnych wieści. Sądzi, że jest sam.

Karnak czekał, pozwalając tym nowinom zapaść w świadomość obecnych i zwiększając napięcie. Obserwował Gellana, zauważając brak jakichkolwiek emocji. W przeciwieństwie do Sarvaja, który opadł na krzesło z wyraźnie widocznym na twarzy rozczarowaniem. Jonat szeptał coś do Gellana i Karnak wiedział co; przypominał popełnione błędy. Młody Dundas spoglądał z nadzieją, bezgranicznie wierząc w Karnaka. Generał powiódł wzrokiem wokół stołu. Znał każdego z obecnych mężczyzn, ich słabości i zalety – oficerów skłonnych do melancholii i tych, których odwaga była niebezpieczniejsza od tchórzostwa.

– Udaję się do Purdol – oznajmił, wybrawszy odpowiedni moment. Wśród zebranych podniósł się szmer, więc uciszył go gestem ręki. – Mamy przeciw nam trzy armie, a pod Purdol stoi najliczniejsza. Jeśli forteca padnie, czterdzieści tysięcy żołnierzy ruszy na Skultik. Nie zdołamy powstrzymać takiej siły. Dlatego tam jadę.

– Nigdy tam nie dotrzesz, generale – rzekł jeden z oficerów, brodaty wojownik Legionów imieniem Emden. – Brama jest pilnie strzeżona.

– Jest inna droga – powiedział Karnak. – Przez góry.

– Ziemie Sathuli – mruknął Jonat. – Byłem tam. Zdradliwe przełęcze, oblodzone występy skalne, nieprzejezdne.

– Nic podobnego – oświadczył Dundas, wstając. – Można je przejść – mamy ponad pięćdziesięciu ludzi torujących nam drogę.

– Przecież przez góry nie dotrze się do fortecy – protestował Gellan. – Za Purdol wznosi się pionowa ściana skalna. Nie da się po niej zejść.

– Nie pójdziemy górą – odparł Karnak. – Przejdziemy dołem. Jest tam mnóstwo głębokich jaskiń i tuneli, a jeden z nich wiedzie do lochów pod głównym bastionem; teraz jest zasypany, ale odkopimy go. Jonat ma rację; to trudna droga i konie tamtędy nie przejdą. Zamierzam wziąć tysiąc ludzi, a każdy z nich zabierze sześćdziesiąt funtów ekwipunku. Utrzymamy warownię, aż Egel wyrwie się ze Skultik...

– A jeśli nie zdoła? – zapytał Jonat.

– Wtedy wycofamy się przez góry i podzielimy na małe, ruchliwe oddziały.

Sarvaj podniósł rękę.

– Jedno pytanie, generale. Według specyfikacji fortecy, Purdol powinna mieć dziesięcioletnią załogę. Nawet jeśli się tam przedrzemy, zwiększymy liczebność jedynie do sześćdziesięciu procent. Czy to wystarczy?

– Tylko architekci i biurokraci opierają się na liczbach, Sarvaju. Pierwszy mur Purdol już padł, co oznacza, iż port i doki zostały opanowane przez Vagryjczyków, a to pozwala wpływać statkom z dostawami i posiłkami. Drugi mur ma tylko dwie bramy i trzyma się mocno. W trzecim jest tylko jedna brama, a później zostaje bastion. Silna załoga może utrzymać Purdol przez co najmniej trzy miesiące; nie potrzeba nam więcej czasu.

Gellan odchrząknął.

– Czy wiadomo coś – zapytał – o naszych stratach w Purdol?

Karnak skinął głową.

– Ośmiuset ludzi. Sześciuset zabitych, pozostali zbyt ciężko ranni, by walczyć.

– A co ze Skartą? – spytał Jonat. – Są tu drenajskie rodziny, które liczą na naszą ochronę.

Karnak przetarł oczy i milczał przez chwilę. Tego pytania się obawiał.

– Czasem przychodzi czas trudnych decyzji i właśnie nadszedł. Nasza obecność tu może dodaje ludziom otuchy, lecz to złudna nadzieja. Skarta jest nie do obrony. Egel o tym wie i ja też – dlatego robi wypad na zachód, aby wiązać Vagryjczyków, nękać ich i powstrzymywać przed zmasowanym atakiem. My trzymamy siły rozpaczliwie potrzebne gdzie indziej. Zostawimy tu niewielki, dwuosobowy oddział... i to wszystko.

– Ci ludzie zostaną wybici – rzekł Jonat, zrywając się na nogi, z twarzą czerwoną z gniewu.

– I tak zostaliby wybici – zaczął Karnak – gdyby Vagryjczycy zaatakowali. W tej chwili wróg czeka, aż padnie Purdol, i nie zaryzykuje wejścia do lasu. Utrzymanie Purdol jest największą szansą dla Skarty i innych miast Skultik. Egel zostanie tu, mając zaledwie cztery tysiące ludzi, lecz z gór Skoda nadciągną posiłki. Musimy zyskać na czasie. Wiem, co myślicie: to szaleństwo. Zgadzam się z wami! Jednak Vagryjczycy mają przewagę. Wszystkie większe porty są w ich rękach. Lentryjska armia została odepchnięta. Drenan padł i szlaki do Mashrapuru są zamknięte. Tylko Purdol się trzyma. Jeżeli padnie, zanim Egel wyrwie się z okrężenia, będziemy skończeni, a z nami wszyscy Drenajowie. Vagryjskim wieśniakom już proponuje się drenajskie ziemie, a kupcy robią plany, czekając na dzień, gdy nasz kraj stanie się częścią Wielkiej Vagrii. Będziemy zgubieni, jeśli nie weźmiemy naszego losu we własne ręce i nie zaryzykujemy. To całkiem proste, przyjaciele: nie mamy innego wyjścia. Pozbawieni wyboru, musimy złapać tygrysa za gardło i mieć nadzieję, że osłabnie wcześniej niż my. Jutro jedziemy do Purdol.

W głębi duszy Gellan wiedział, że prawdziwym motywem skłaniającym Karnaka do tego

ryzykownego przedsięwzięcia była nie tyle chęć przyjscia z pomocą Purdol, wynikająca ze strategii, lecz osobiste ambicje. A jednak...

Czy nie lepiej podążyć za charyzmatycznym generałem do bram piekieł niż z ostrożnym dowódcą na spotkanie klęski?

Odprawa zakończyła się o zmierzchu i Gellan pomaszerował do swojej maleńkiej kwatery, by spakować skromny dobytek do płóciennych i skórzanych juków. Miał trzy koszule, dwie pary wełnianych spodni, sfatygowany podręcznik legionisty w manuskrypcie oprawionym w skórę, wysadzany klejnotami sztylet i owalny portret na drewnie, przedstawiający jasnowłosą kobietę i dwoje dzieci. Usiadł na łóżku, zdjął hełm i zapatrzył się w portret. Kiedy ujrzał go pierwszy raz, nie spodobał mu się; uznał, że nie oddaje ich uśmiechów i radości życia. Teraz uważał go za genialne dzieło. Ostrożnie zawinął obrazek w nieprzemakalne płótno i umieścił go w jukach, między koszulami. Podniósł sztylet i wysunął go z pochwy; zdobył go przed dwoma laty, był pierwszym człowiekiem, który zdołał sześć razy z rzędu wygrać turniej Srebrnego Miecza.

Dzieci były z niego takie dumne na bankiecie. Ubrane w najlepsze ubranka, siedziały jak dorośli, z szeroko otwartymi oczami i uśmiechami na buziach. A Karys nie ulała ani kropli zupy na białą sukienkę, o czym przypominała mu przez cały wieczór. Tylko żona, Ania, nie wzięła udziału w bankiecie; od zgiełku, powiedziała, tylko rozbolełaby ją głowa.

Teraz nie żyli, ich dusze zginęły w Otchłani. Było mu ciężko, bardzo ciężko, kiedy umarły dzieci. Gellan zamknął się w sobie, nie znajdując sił, by pocieszać Anię. Sama nie umiała się z tym uporać i w osiemnaście dni po tragedii powiesiła się na jedwabnej szarfie... Gellan znalazł jej ciało. Zaraza zabrała mu dzieci. Samobójstwo – żonę.

Został mu tylko Legion.

A jutro ruszy do Purdol i bram piekieł.

Dardalion czekał w milczeniu na gościa. Godzinę wcześniej drenajski generał Karnak przybył na łąkę i wyjawiał mu plan udzielenia pomocy Purdol. Zapytał Dardaliona, czy mógłby mu pomóc, powstrzymując duchy Czarnego Bractwa.

– Musimy tam przybyć niepostrzeżenie – mówił Karnak. – Jeśli rozejdą się choćby pogłoski o naszym marszu, Vagryjczycy będą na nas czekali.

– Zrobię, co będę mógł, generale.

– Zrób więcej, Dardalionie. Pozabijaj sukinsynów.

Kiedy Karnak odszedł, Dardalion klęknął na trawie przed namiotem i pochylił głowę w modlitwie. Pozostał w tej pozycji przez ponad godzinę, aż nadszedł opat i klęknął przy nim.

Dardalion wyczuł jego obecność i otworzył oczy. Starzec wyglądał na zmęczonego, oczy miał zaczerwienione i smutne.

– Witaj, lordzie opacie – powiedział Dardalion.

– Co zrobiłeś? – zapytał opat.

– Milordzie, przykro mi, że sprawiam ci ból, ale robię tylko to, co uważam za słuszne.

– Dokonałeś rozłamu wśród braci. Dwudziestu dziewięciu kapłanów szykuje się na wojnę i śmierć. To nie może być słuszne.

– Jeśli nie jest, zapłacimy za to, gdyż Źródło jest sprawiedliwe i nie znosi zła.

– Dardalionie, przybyłem cię błagać. Opuść to miejsce, znajdź jakiś monastyr w odległej krainie i wróć do przerwanych studiów. Źródło wskaże ci drogę.

– Już to zrobiło, milordzie.

Starzec pochylił głowę i łzy spadły na trawę.

– A zatem jestem bezsilny?

– Tak, milordzie, ale ja wcale nie jestem twoim wrogiem.– Jesteś teraz przywódcą, wybranym przez tych, którzy pójdą z tobą. Jaki tytuł będziesz nosił, Dardalionie? Opatu Śmierci?

– Nie, nie jestem opatem. Będziemy walczyć bez nienawiści i nie znajdziemy radości w bitwie. A gdy ją wygramy – lub przegramy – na powrót staniemy się tym, czym byliśmy.

– Czy nie dostrzegasz błędu w swoim rozumowaniu? Będziecie walczyć ze złem na jego terenie, jego własną bronią. Pokonacie je. Czy to jednak zakończy wojnę? Może powstrzyma Bractwo, ale będą inne bractwa i inne zło. Ono nie umiera, Dardalionie. Jest jak chwast w ogrodzie. Zetnij go, wyrwij, spal, a on odrośnie jeszcze bujniej. Twoja ścieżka nie ma kresu – wojna tylko zmienia charakter.

Dardalion milczał przez chwilę, czując słuszność słów opata.

– Co do tego, masz rację, milordzie. Teraz to rozumiem. I widzę także, iż miałeś ją, nazywając mnie opatem. Nie możemy stać się tylko wojownikami duszy. Musimy mieć naszą regułę i określony cel. Starannie rozważę twoje słowa.

– Ale nie zejdziesz z obranej drogi?

– Nie mogę. To, co zrobiłem, uczyniłem w dobrej wierze i nie mogę się z tego wycofać, tak

samo jak ty nie możesz złamać swoich zasad.

– Dlaczego nie, Dardalionie? Już złamałeś jedną z zasad wiary. Ślubowałeś, że zarówno ludzkie życie, jak i wszelkie życie, będzie dla ciebie święte. Zabiłeś już kilku ludzi i jadłeś mięso. Dlaczego miałbyś przejmować się takimi aktami ”dobrej wiary”?

– Nie mogę się z tobą spierać, milordzie – odparł Dardalion. – Zasmuca mnie prawdziwość twoich słów.

Opat wstał z klęczek.

– Mam nadzieję, iż historia zapomni o tobie i twoich Trzydziestu, chociaż obawiam się, że nie. Akty przemocy zawsze robią wrażenie na ludziach. Twórz swoją legendę ostrożnie, inaczej zniszczy wszystko, na czym nam zależy.

Opat odszedł w gęstniejący zmrok, w którym w milczeniu oczekiwał Astila z innymi kapłanami. Skłonili się przechodzącemu, lecz zignorował ich.

Kapłani utworzyli krąg wokół Dardaliona i czekali, aż zakończy modły. Spojrzał na nich.

– Witajcie, przyjaciele. Dziś wieczór musimy pomóc generałowi Karnakowi, lecz przede wszystkim musimy dowiedzieć się czegoś o sobie. Bardzo możliwe, iż obrona droga zaprowadzi nas do zguby, gdyż może być tak, że wszystko, co czynimy, jest wbrew woli Źródła. Dlatego musimy mieć w sercach siłę naszej wiary i przekonanie o słuszności sprawy. Dziś wieczór niektórzy z nas mogą umrzeć. Nie ruszajmy w podróż do Źródła z nienawiścią. Zaczniemy od odmówienia pacierza. Pomodlimy się za naszych nieprzyjaciół i wybaczymy im.

– Jak możemy im wybaczyć, a potem ich zabić – spytał młody kapłan.

– Jeśli im nie wybaczymy, rozkwitnie nienawiść. Pomyśl o tym tak: gdybyś miał psa, który dostał wścieklizny, zabiłbyś go z żalem. Nie nienawidziłbyś go. Właśnie o to proszę. Pomódlmy się.

W zapadających ciemnościach złączyli się w modłach, a ich dusze uniosły się w nocne niebo.

Dardalion rozejrzał się wokół. Wszyscy kapłani mieli na sobie srebrzyste zbroje, a w rękach lśniące tarcze i ogniste miecze. Gwiazdy błyszczały jak klejnoty, a Góry Księżycowe rzucały ostre cienie, gdy Trzydziestu czekało na Bractwo. Było cicho.

Dardalion czuł rosnące napięcie towarzyszy, ich umysły bowiem nadal pozostały złączone. Wątpliwości i wahania zatrzepotały i znikły. Noc była jasna i spokojna, las pod nimi skąpany w srebrnym blasku. Godziny ciągnęły się nieznośnie długo, a strach rósł i ogarnął kapłanów, dotykając każdego z nich lodowatymi palcami. Mrok gęstniał, a na zachodzie zbierały się groźne

chmury, przesłaniając księżyc.

– Nadchodzą! – przekazał Astila. – Czuję to.

– Spokojnie – odparł Dardalion.

Ciemne chmury napływały i w dłoni Dardaliona zabłysł miecz o ostrzu gorejącym białym ogniem.

Chmury zawisły nad nimi i wypluły odzianych w czarne płaszcze wojowników, którzy spłynęli w dół na fali nienawiści, spowijając nią Trzydziestu. Dardalion poczuł ogarniający go mrok, lecz uwolnił się i poszybował na spotkanie napastników. Jego ostrze siekło i przecinało, a tarcza dźwięczała pod ich ciosami. Trzydziestu nadleciało mu z pomocą i rozpoczęła się bitwa.

Czarnych wojowników było ponad pięćdziesięciu, ale nie zdołali sprostać kapłanom w srebrnych zbrojach i zaczęli uciekać ku chmurom. Ruszyli w pogoń za nimi.

Nagle Dardalion, który już miał wlecieć w obłok, usłyszał ostrzegawcze wołanie Astili i wycofał się. Chmura zgęstniała, formując wzdęte cielsko, czarne i pokryte łuskami. Rozłożyła ogromne skrzydła i rozdziawiła szkarłatną paszczę. Wchłonęła w siebie Bractwo, powiększając swoje ciało.

– Wycofać się! – przekazał Dardalion i Trzydziestu śmignęło nad lasem.

Bestia ruszyła za nimi, a Dardalion zawisł w powietrzu, gorączkowo zbierając myśli. Połączone siły Bractwa w jakiś sposób uformowały tego stwora. Czy był rzeczywisty? Instynktownie przeczuwał, że tak.

– Do mnie! – nadał. Trzydziestu zebrało się wokół niego. – Jeden wojownik. Jedna myśl. Jedna misja – zaintonował i wszyscy się zjednoczyli. Dardalion złączył się z pozostałymi i poczuł oszałamiający przypływ mocy.

W miejsce kapłanów powstał Jeden, z płonącymi oczyma i zębatym ostrzem jak zmrożona błyskawica.

Z rykiem wściekłości Jeden rzucił się na bestię. Potwór stanął dęba i wyciągnął szponiaste łapy do wojownika, lecz ten straszliwym ciosem odrąbał mu jedną z kończyn. Bestia zawyła z bólu i z rozdziawioną paszczą skoczyła na przeciwnika. Jeden spojrzał na okropną paszczę, usianą rzędami kłów, wygiętych jak czarne miecze Bractwa. Zamachnął się i cisnął miecz jak grom w otchłań otwartego pyska. Gdy pocisk sięgnął celu, Jeden stworzył następny i kolejny, rzucając nimi w potwora. Kiedy migotliwe ostrza trafiły w cel, bestia cofnęła się, zmieniając rozmiary i kształt.

Czarne sylwetki śmignęły na wszystkie strony i potwór skurczył się. Wtedy Jeden złożył skrzydła i pomknął jak strzała w sam środek chmury, rozdierając jej astralne ciało. W myślach słyszał wrzaski bólu umierających członków Bractwa. Kiedy chmura rozwiąła się i nieliczni pozostali przy życiu wrogowie zaczęli chronić się do swych ciał, Jeden miotał w nich błyskawicami światła, unosząc się pod gwiazdami, które zobaczył dopiero teraz.

Jakie piękne, pomyślał. Dalekosiężnym wzrokiem omiół planety, zmiany barw, kłęby odległych obłoków nad wyschniętymi oceanami i w oddali dostrzegł przemykającą łukiem po niebie kometę. Tyle pięknych rzeczy do obejrzenia.

Tymczasem Dardalion, będąc częścią Jednego, usiłował odzyskać tożsamość; zapomniał bowiem swoje imię i zagubił się w tej jedności. Astila też walczył, myślami snującymi się jak pasma mgły. Jeden. On Jeden. Więcej niż Jeden. Mnogość. Walczył, lecz czuł rosnącą radość i oślepił go deszcz meteorów eksplodujących tęczą barw. Jeden był ogromnie rad z tego widowiska.

Astila uczeplił się ostatniej myśli. Mnogość. Wielu. Nie... nie Jeden. Powoli przedzierał się przez gąszcz myśli, szukając tych, które należały tylko do niego. Nagle znalazł jakieś imię. Dardalion. Czy to jego imię? Nie. Kogoś innego. Zawołał resztkami sił, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Mnogość.

Trzydziestu. Oto odpowiedź. Trzydziestu. Jeden zadrzał i Astila uwolnił się.

– Kim jesteś? – spytał Jeden.

– Astila.

– Dlaczego wyszedłeś ze mnie? Jesteśmy Jednym.

– Szukam w tobie Dardaliona.

– Dardaliona? – powtórzył Jeden i w głębi niego młody kapłan ocknął się. Astila wypowiedział kolejno imiona pozostałych Trzydziestu i kapłani budzili się do życia, oszołomieni i niepewni.

Nadchodził świt, gdy Astila przywrócił ich rzeczywistości. Znalazłszy się w swoich ciałach, zasnęli na kilka godzin.

Dardalion ocknął się pierwszy. Zbudził pozostałych i przywołał Astilę.

– Tej nocy ocaliłeś nas – powiedział. – Masz dar wyczuwania podstępów.

– Przecież to ty stworzyłeś Jednego. Bez niego nie przetrwalibyśmy.

– Niewiele brakowało, a nie uszlibyśmy z życiem. Jeden był dla nas równie niebezpieczny

jak Chmurotwór i uratowałeś nas po raz drugi. Wczoraj opat ostrzegł mnie i obiecałem, że przemyślę jego słowa. Potrzebujemy reguł, Astilo... dyscypliny. Ja będę opatem Trzydziestu. Ty też będziesz pełnić ważną rolę. Ja będę Głosem, a ty Oczami. Razem znajdziemy drogę zgodną z wolą Źródła.

Rozdział 13

Waylander wyprostował się w siodle i spojrział nad Delnoch Pass, ku rozpościerającym się za nią równinom. Za nim stały ustawione na noc kręgiem wozy, gotowe ruszyć nazajutrz w niebezpieczną drogę w dół. Czekał ich prawie milowy zjazd po kilku zdradliwych piarzystych półkach i trzeba było naprawdę odważnego człowieka, aby kierować wozem na takim krętym i wąskim szlaku. Większość uchodźców zapłaciła spore sumy ludziom Durmasta, żeby przejęli od nich lejce, podczas gdy oni sami stosunkowo bezpiecznie pokonają ten odcinek pieszo.

Wiał chłodny północny wietrzyk i Waylander pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Nigdzie nie dostrzegł śladu Cadorasa ani Bractwa, chociaż bardzo starannie sprawdzał ślady. Nagle uśmiechnął się. Powiadano, że kiedy widzisz Cadorasa, jesteś w niebezpieczeństwie, lecz gdy go nie widzisz, jesteś martwy. Waylander zsunął się z siodła i zaprowadził konia do prowizorycznej zagrody. Rozsiedłał go i wytarł, nakarmił owsem i poszedł na środek obozu, gdzie ogniska trzaskały pod żelaznymi kociołkami.

Durmast siedział z grupką podróżnych, czarując ich opowieściami o Gulgothirze. W czerwonym blasku jego twarz wyglądała mniej groźnie, a jego uśmiech był ciepły i przyjazny. Dzieci otoczyły go kręgiem, z podziwem patrząc na olbrzyma i chłonąc jego niewiarygodne opowieści. Trudno było uwierzyć, że ci ludzie umykali przed okropną wojną, że wielu z nich straciło przyjaciół, braci lub synów. Ulga, wywołana perspektywą ocalenia, uwidaczniała się w zbyt głośnych śmiechach i żartach. Waylander powiódł spojrzeniem ku ludziom Durmasta, siedzącym razem z dala od pozostałych. Twardzi ludzie, powiedział Durmast, ale Waylander znał ten typ. Nie byli twardzielami, lecz mordercami. W czasach pokoju zacni obywatele, którzy teraz śmiali się i śpiewali, ryglowałiby drzwi przed takimi jak oni; za żadne pieniądze nie chcieliby podróżować z Durmastem. Teraz cieszyli się jak dzieci, nie pojmując, że grozi im równie wielkie niebezpieczeństwo.

Waylander odwrócił się, żeby wziąć koce i zamarł. Niecałe dziesięć stóp od niego, twarzą do ognia, stała Danyal. Blask płomieni lśnił w jej rudozłotych włosach i miała na sobie nową wełnianą suknię, przetykaną i obrębianą złotą nitką. Waylander przełknął ślinę i nabrał tchu w płuca. Podniosła rękę, poprawiła włosy i odwróciwszy się, zauważyła go. Jej uśmiech był szczery i za to jej nienawidził.

– A więc zauważyłeś mnie w końcu – powiedziała, podchodząc.

– Myślałem, że zostałeś w Skarcie razem z dziećmi?

– Zostawiłam je u kapłanów Źródła. Mam dość wojny, Waylanderze. Chcę znaleźć się gdzieś, gdzie mogę w nocy spać, nie obawiając się jutra.

– Nie ma takiego miejsca – rzekł z goryczą. – Chodź ze mną.

– Przygotowuję coś do zjedzenia.

– Później – rzekł, idąc w kierunku przełęczy. Poszła za nim na trawiasty pagórek, gdzie usiedli na sterczących głazach.

– Czy wiesz, kto prowadzi tę karawanę?– Tak – odparła. – Człowiek imieniem Durmast.

– To zabójca.

– Tak jak ty.

– Nic nie rozumiesz. Grozi ci tu większe niebezpieczeństwo niż w Skultik.

– Przecież ty tu jesteś.

– To nie ma nic wspólnego ze mną. Dobrze rozumiemy się z Durmastem. Potrzebuję go, żeby pomógł mi odnaleźć Zbroję; on zna Nadirów, a bez niego nie mógłbym przedostać się przez ich ziemie.

– Czy pozwolisz, żeby nas skrzywdził?

– Pozwolę, kobieto? A jak, do licha, mógłbym go powstrzymać? Ma dwudziestu ludzi. Danyal, dlaczego mnie prześladujesz?

– Jak śmiesz? – wybuchła. – Nie wiedziałam, że jedziesz z nami. Jesteś potwornie zarozumiała.

– Nie to miałem na myśli – bronił się. – Po prostu dokądkolwiek pójde, zaraz tam jesteś.

– Okropne!

– Daj spokój, kobieto – nie możesz się powstrzymać, żeby nie skakać mi do gardła? Nie chcę się z tobą spierać.

– W takim razie powiem ci, że nie bawi mnie rozmowa z tobą.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując księżyc przesuający się nad Delnoch Pass.

– Nie pożyję długo, Danyal – rzekł w końcu. – Może trzy tygodnie, może mniej. Chciałbym zakończyć życie godnie...

– Właśnie takiego głupiego gadania mogłam się spodziewać po mężczyźnie! Kogo to obchodzi, czy znajdziesz tę Zbroję czy nie? Ona nie jest magiczna, to tylko kawał metalu. Nawet nie drogocennego.

– Mnie obchodzi.

– Dlaczego?

– A cóż to za pytanie?

– Grasz na zwłokę, Waylanderze?

– Nie, pytam szczerze. Uważasz za głupców ludzi pożądaną sławy? Ja też. Tu nie chodzi jednak o chwałę, lecz o honor. Przez wiele lat żyłem okryty niesławą i upadłem niżej, niż przypuszczałem. Zabiłem dobrego człowieka... za pieniądze. Nie mogę tego cofnąć, ale mogę odpokutować. Wierzę w bogów troszczących się o ludzi. Nie szukam boskiego przebaczenia. Chcę wybaczyć sam sobie. Chcę znaleźć tę Zbroję dla Egela i Drenajów, a także spełnić obietnicę, którą złożyłem Orienowi.

– Przecież nie musisz w tym celu umierać – powiedziała łagodnie, kładąc dłoń na jego rękę.

– Nie, nie muszę – i wołałbym żyć. Ale ścigają mnie. Tropi mnie Cadoras. Szuka mnie Bractwo. A Durmast czeka tylko na odpowiednią chwilę, żeby mnie sprzedać.

– A więc dlaczego tkwisz tutaj jako kozioł ofiarny? Znikaj stąd.

– Nie. Potrzebuję Durmasta podczas pierwszej części wyprawy. Mam przewagę! Znam moich wrogów i na nikim nie polegam.

– To bez sensu.

– Tylko dlatego, że jesteś kobietą i nie możesz pojąć prostoty słów. Jestem sam, więc nikt mnie nie zawiedzie. Kiedy ucieknę – jeśli ucieknę – to bez obciążenia. Jestem samowystarczalny i bardzo, bardzo niebezpieczny.

– Co sprowadza się do tego – powiedziała Danyal – że próbujesz wyjaśnić mi, iż byłabym dla ciebie ciężarem.

– Tak. Durmast nie może wiedzieć, że się znamy, inaczej wykorzystałby ciebie przeciwko mnie.

– Za późno – rzekła Danyal, odwracając wzrok. – Zastanawiałam się, dlaczego zmienił

zdanie i pozwolił mi dołączyć do karawany, chociaż nie miałam pieniędzy. Sądziłam, że może pożądał mojego ciała.

– Wyjaśnij – poprosił ze znużeniem Waylander.

– Pewna kobieta skierowała mnie do Durmasta, lecz on powiedział, że nie mając pieniędzy, jestem dla niego bezużyteczna. Potem zapytał, skąd przybyłam, ponieważ wcześniej nie widział mnie w Skarcie, a ja wyjaśniłam, że przyjechałam z tobą. Wtedy zmienił zdanie, wypytał mnie o wszystko i powiedział, że mogę jechać.

– Coś przemilczałaś.

– Tak, Powiedziałam mu, że cię kocham.

– Dlaczego? Dlaczego tak powiedziałaś?

– Ponieważ to prawda! – warknęła.

– Dopytywał, czy ja kocham ciebie?

– Tak. Powiedziałam, że nie.

– Jednak nie uwierzył ci.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ tu jesteś.

Waylander zamilkł, wspominając słowa Hewli o rudowłosej dziewczynie oraz niejasne ostrzeżenia Oriena w sprawie towarzyszy. Co dokładnie powiedział ten stary człowiek?

Mówił, że sukces czy porażka będą zależeć od towarzyszy Waylandera. A raczej od tego, jakich sobie wybierze.

– O czym myślisz? – spytała, widząc, jak jego twarz wygląda się w uśmiechu.

– Właściwie cieszę się, że tu jesteś. Wiem, że to bardzo samolubnie z mojej strony. Ja zginę, Danyal. To bardziej niż pewne. Jednak miło mi pomyśleć, że będziesz ze mną, choć przez kilka dni.

– Nawet jeśli Durmast wykorzysta mnie przeciwko tobie?

– Nawet.

– Czy masz miedziaka?

Pogrzebał w sakiewce, wyjął drobną monetę z wizerunkiem głowy Niallada i podał jej.

– Po co ci ona?

– Powiedziałeś kiedyś, że nigdy nie zadajesz się z kobietami, którym nie płacisz. Teraz zapłaciłeś.

Nachyliła się i pocałowała go, a on objął ją wpół, przyciskając do siebie.

Ukryty wśród drzew Durmast patrzył, jak kochankowie kryją się w trawie obok głazów. Wielkolud potrząsnął głową i uśmiechnął się.

Świt był pogodny i jasny, lecz na północy zbierały się ciemne chmury i Durmast głośno zaklął.

– Deszcz – splunął. – Tylko tego było nam trzeba!

Pierwszy z wozów wjechał na przełęcz. Ciągnięty przez sześć mułów, miał prawie dwadzieścia stóp długości i był mocno wyładowany skrzyniami oraz pudłami. Woźnica oblizwał wargi, zwężonymi oczami szacując niebezpieczeństwa drogi. Potem trzasnął z bicia nad łbami mułów i wóz potoczył się naprzód. Waylander szedł za nim, z Durmastem i siedmioma z jego ludzi. Przez pierwsze dwieście jardów droga była stroma, choć stosunkowo łatwa, ponieważ wiodła szerokim i równym traktem. Jednak potem zwężała się i skręcała w prawo. Woźnica ściągnął lejce i z całej siły wcisnął hamulec, lecz wóz powoli zsuwał się ku ziejącej po lewej stronie przepaści.

– Sznury! – ryknął Durmast i mężczyźni doskoczyli, wiążąc grube jak palec liny wokół osi. Wóz przestał się zsuwać. Waylander, Durmast i pozostali chwycili powrozy i przytrzymali go.

– Teraz! – krzyknął Durmast i woźnica delikatnie zwolnił hamulec. Wóz cał po calu przesuwiał się do przodu i stanął mniej więcej dwadzieścia kroków dalej. Tutaj szlak skręcał i ładunek zaczął ściągać wóz w przepaść. Ale ludzie przy linach byli krzepcy i nawykli do niebezpieczeństw Delnoch Pass.

Trudzili się tak przez ponad godzinę, aż w końcu wóz znalazł się na równinie. Daleko za nimi drugi wóz zaczął zjeżdżać, ubezpieczony przez siedmiu ludzi Durmasta. Olbrzym usiadł i uśmiechnął się, patrząc, jak pracują.

– Kiedy jadą ze mną, zasłużą na swoją zapłatę.

Waylander skinął głową, zbyt zmęczony, by mówić.

– Straciłeś formę, Waylanderze. Trochę wysiłku i pocisz się jak świnia w upał!

– Ciągnięcie wozów z ładunkiem nie należy do moich zwykłych zajęć.

– Dobrze spałeś?

– Tak.– Sam?

– A cóż to za pytanie ze strony człowieka, który schował się w krzakach i podglądał?

Durmast zachichotał i podrapał się po brodzie.

– Niewiele umyka twojej uwagi, przyjacielu. Może jesteś miękki, ale wzrok masz bystry jak zawsze.

– Dziękuję, że pozwoliłeś jej pojechać – rzekł Waylander. – Znacznie uprzyjemni mi to pierwsze kilka dni podróży.

– Tyle przynajmniej mogę zrobić dla starego przyjaciela. Wpadłeś?

– Ona mnie kocha – odparł Waylander z uśmiechem.

– A ty?

– Pożegnam ją w Gulgothirze – z żalem.

– A więc zależy ci na niej?

– Przecież obserwowałeś nas w nocy. Czy widziałeś, co zaszło, zanim zaczęliśmy się kochać?

– Coś jej dałeś.

– Dałem jej pieniądze. Miłość? Daj spokój.

Durmast wyciągnął się na trawie, zamykając oczy w palącym słońcu.

– Chciałeś gdzieś osiąść? Założyć rodzinę?

– Kiedyś zrobiłem to, ale oni umarli.

– Ja też. Tyle że moi nie umarli – ona uciekła z ventryjskim kupcem i zabrała ze sobą naszych synów.

– Dziwię się, że nie pojechałeś za nią.

Durmast usiadł i przeciągnął się.

– Zrobiłem to, Waylanderze.

– I co?

– Wypatroszyłem tego kupca.

– A żona?

– Została dziwką w portowych tawernach.

– Dobrana z nas para! Ja płacę za przyjemności, ponieważ już nigdy nie zaryzykuję miłości, podczas gdy ciebie prześladowa wspomnienie o zdradzie!

– Kto mówi, że mnie prześladowa? – Ja. I nie złość się za bardzo, mój przyjacielu, bo choć jestem miękki, nie dasz mi rady.

Durmast jeszcze przez chwilę mierzył go gniewnym spojrzeniem, a potem zapomniał o złości i uśmiechnął się.

– Przynajmniej pozostało coś z dawnego Waylandera – rzekł. – Chodź, czas wspiąć się na górę i spuścić następny wóz.

Ludzie uwijali się przez cały dzień i przed zmrokiem wszystkie wozy znalazły się bezpiecznie u podnóża przełęczy. Waylander odpoczywał przez resztę popołudnia, gdyż instynkt podpowiadał mu, że w ciągu kilku nadchodzących dni będzie potrzebował wszystkich swoich sił.

Deszcz przeszedł bokiem. Wieczorem rozpalono ogniska i w powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsiwa. Waylander poszedł do wozu piekarza Caymala, który zgodził się, by Danyal podróżowała z jego rodziną. Przybywszy, zastał Caymala z podbitym okiem, opatrywanego przez żonę, Łydę.

– Gdzie Danyal? – spytał Waylander.

Caymal wzruszył ramionami. Jego żona, chuda ciemnowłosa kobieta po trzydziestce, zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

– Zwierzaki! – syknęła.

– Gdzie ona jest?

– Zaczekaj na swoją kolej – odparła Łyda drżącymi wargami.

– Słuchaj mnie, kobieto – jestem przyjacielem Danyal. Gdzie ona jest?

– Porwał ją jakiś człowiek. Nie chciała z nim iść i mój mąż próbował go powstrzymać, ale tamten uderzył go pałką.

– Dokąd poszli?

Kobieta wskazała na małą kępę drzew. Waylander wziął zwój sznura wiszący z tyłu wozu, zarzucił go na ramię i potruchtał we wskazanym kierunku. Księżyc jasno świecił na czystym niebie i zbliżając się do zagajnika, Waylander zwolnił, zamknął oczy i cały zamienił się w słuch.

Tam! Szmer odzienia ocierającego się o korę drzewa. A na prawo zduszony okrzyk. Waylander powoli ruszył naprzód, kierując się w lewo, a dochodząc na skraj zagajnika, skoczył pędem.

Świsnął nóż, lecz Waylander rzucił się na ziemię i przetoczył przez ramię. Spomiędzy drzew wyłonił się jakiś cień i w świetle księżyca błysnął zakrzywiony miecz. Waylander zerwał się z ziemi i wyskoczył w powietrze. Prawą nogą kopnął w głowę napastnika i gdy ten zatoczył się, wojownik obrócił się na pięcie i łokciem uderzył go w skroń. Trafiony padł, nie wydając jęku. Waylander poczołgał się w prawo. Tam, w płytkim zagłębieniu, leżała Danyal, z rozdartą suknią i rozłożonymi nogami. Klęczał nad nią jakiś mężczyzna. Waylander zdjął linę z ramienia

i zawiązał pętlę.

Bezszelestnie zaszedł tamtego, zarzucił mu pętlę na szyję i zacisnął ją szarpnięciem. Schwytany runął na wznak, łapiąc się za szyję, a Waylander powlókł go przez polankę do wysokiego wiązu. Błyskawicznie przerzucił sznur przez rosnącą dziesięć stóp nad ziemią gałąź i poderwał podduszonego na nogi. Zobaczył wychodzące z orbit oczy i purpurowiałą część twarzy nad czarną brodą.

Nigdy przedtem nie widział tego człowieka.

Jakiś cichy szmer za plecami sprawił, że puścił linę i uskoczył w prawo. Strzała świsnęła obok i z głuchym stuknięciem wbiła się w pierś brodacza. Ten jęknął i osunął się na kolana. Waylander zerwał się do biegu, klucząc na prawo i lewo, by utrudnić celowanie ukrytemu zabójcy. Wpadłszy między drzewa, pochylił się do ziemi i zaczął skradać się przez zarośla, okrążając kotlinkę.

Słyszając tętent kopyt, zaklął i wyprostował się, wsuwając sztylet do pochwy. Wrócił na polankę i znalazł Danyal nieprzytomną. Na jej nagich piersiach ktoś położył strzałę z brzechą z gęsich piór. Waylander złamał ją na pół.

Cadoras!

Podniósłszy Danyal, wrócił do wozów, gdzie zostawił ją z żoną piekarza i ponownie ruszył do lasu. Pierwszy powalony napastnik leżał tam, gdzie upadł; Waylander chciał go przesłuchać, lecz łotr miał poderżnięte gardło. Szybko obszukał trupa, ale nie znalazł niczego, co pozwoliłoby na identyfikację. Drugi człowiek miał w pasie trzy sztuki złota. Waylander zabrał je i dał Łydzie.– Schowaj je dobrze – polecił.

Kiwnęła głową i uniosła brezentową klapę, wpuszczając go do środka.

Danyal była przytomna, miała spuchniętą wargę i siniaka na policzku. Caymal usiadł przy niej. Na wozie było ciasno i obok Danyal leżało dwoje śpiących dzieci.

– Dziękuję – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

– Już nie będą cię niepokoić.

Caymal przecisnął się obok Waylandera i wdrapał się na kozioł. Waylander usiadł obok Danyal.

– Boli cię?

– Nie. A przynajmniej nie bardzo. Zabiłeś ich?

– Tak.

– Jak to jest, że potrafisz robić takie rzeczy!

– Kwestia wprawy.

– Nie, nie to chciałam powiedzieć. Caymal próbował go powstrzymać... jest silny, ale tamten odepchnął go jak dziecko.

– Wszystko polega na strachu, Danyal. Chcesz teraz odpocząć?

– Nie, potrzeba mi powietrza. Przejdźmy się gdzieś.

Pomógł jej wyjść z wozu, po czym podeszli do stóp urwiska i usiedli na skałach.

– Opowiedz mi o strachu – poprosiła.

Odszedł kilka kroków, pochylił się i podniósł kamyk.

– Łap go – powiedział i rzucił jej kamyk. Szybko uniosła rękę i zręcznie złapała. – To było łatwe, prawda?

– Tak – przyznała.

– A gdyby były tu Krylla i Miriel, a dwaj mężczyźni trzymali im noże na gardłach i mówili ci, że dziewczynki zginą, jeśli nie złapiesz tego kamyka, czy nadal byłoby tak łatwo go złapać? Przypomnij sobie takie chwile w swoim życiu, kiedy denerwowałaś się i strach utrudniał ci każdy ruch. On robi głupców z nas wszystkich. Tak samo jak gniew, wściekłość i podniecenie. Poruszamy się zbyt szybko i nie panujemy nad sobą. Rozumiesz?

– Chyba tak. Kiedy miałam po raz pierwszy wystąpić przed Królem w Drenanie, zamarłam. Miałam tylko przejść po scenie, ale nie czułam nóg.

– Właśnie. Przyływ lęku utrudnia i komplikuje najprostsze czynności. Opanowujemy go, kiedy zaczynamy walczyć... a ja umiem walczyć lepiej niż większość, ponieważ koncentruję się na szczegółach. Kamień pozostaje dla mnie kamieniem, niezależnie od tego, czy czeka mnie sukces czy porażka.

– Nauczysz mnie tego?

– Nie mam na to czasu.

– Nie przestrzegasz własnej maksymy. To jest szczegół. Zapomnij o misji i skup się na mnie, Waylanderze – muszę się nauczyć.

– Jak walczyć?

– Nie – jak pokonać strach. Potem możesz nauczyć mnie walczyć.

– Dobrze. Najpierw powiedz mi, czym jest śmierć?

– Końcem.

- Za słabo.
- Robakami i gnijącym ciałem?
- Dobrze. I co się z tobą dzieje?
- Nie ma mnie. Umieram.
- Czy czujesz coś?
- Nie... raczej nie. Chyba, że istnieje raj.
- Zapomnij o raju.
- A więc niczego nie czuję. Już nie żyję.
- A śmierć, czy możesz jej uniknąć?
- Oczywiście, że nie.
- Jednak możesz ją odwlec?
- Tak.
- I co ci to da?
- Więcej szczęśliwych chwil.
- A w najgorszym wypadku?
- Więcej bólu. Starość, zmarszczki, rozkład.
- Co jest gorsze? Śmierć czy rozkład?– Jestem młoda. Teraz obawiam się obu.
- Aby pokonać strach, musisz zrozumieć, że nie ma ucieczki przed tym, czego się boisz.

Musisz to przyjąć. Żyć z tym. Czuć to. Rozumieć. Przewyciężyć.

- Rozumiem.
- Dobrze. Czego najbardziej obawiasz się teraz?
- Tego, że cię stracę.

Odszedł od niej i podniósł kamyk. Chmury częściowo przysłoniły księżyc i z trudem dostrzegła jego rękę.

– Rzucę ci go – powiedział Waylander. – Jeśli go złapiesz, zostajesz – jeśli nie, wrócisz do Skarty.

- Nie, to niesprawiedliwe! Jest ciemno.
- Życie nie jest sprawiedliwe, Danyal. Jeżeli się nie zgodzisz, ja odjadę.
- Zatem zgadzam się.

Nie mówiąc ani słowa więcej, rzucił jej kamyk – trudny rzut, szybki i kierowany w lewo. Błyskawicznie machnęła ręką i kamyk odbił się od jej dłoni, ale natychmiast złapała go

w powietrzu. Poczula głęboką ulgę i spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem.

– Z czego tak się cieszysz? – zapytał.

– Zwyciężyłam!

– Nie. To było coś innego.

– Pokonałam strach?

– Nie.

– A więc co? Nie rozumiem.

– Musisz, jeśli masz się nauczyć.

Nagle uśmiechnęła się.

– Już wiem, Waylanderze.

– A więc powiedz mi, co zrobiłaś.

– Chwyciłam kamyk w świetle księżyca.

Przez pierwsze trzy dni podróży postępy, jakie czyniła Danyal, zadziwiały Waylandera. Wiedział, że była silna, zręczna i opanowana, ale odkrył także, iż ma zdumiewająco szybki refleks i niewiarygodnie szybko przyswaja jego wskazówki.

– Zapominasz – powiedziała mu – że występowałam na scenie. Uczono mnie tańczyć i zonglować, a przez trzy miesiące ćwiczyłam z trupą akrobatów.

Każdego ranka opuszczali karawanę wozów i jechali w niekończący się step. Pierwszego dnia nauczył ją rzucać nożem; łatwość, z jaką opanowała tę sztukę, sprawiła, że ponownie przemyślał sprawę. Początkowo zamierzał tylko sprawić jej przyjemność, ale teraz naprawdę chciał ją czegoś nauczyć. Umiejętność zonglerki dała jej doskonałe poczucie równowagi. Jego noże miały różną długość i ciężar, lecz w jej rękach zachowywały się tak samo. Brała każdy z nich w dłoń, oceniając wagę, a potem rzucała w cel. Z pierwszych pięciu rzuconych noży tylko jeden nie wbił się w pień złamanego drzewa.

Waylander znalazł kawałek kamienia z dużą ilością kredy i narysował na pniu postać mężczyzny. Wręczył Danyal nóż i obrócił ją tak, że stała plecami do drzewa.

– Chcę, żebyś odwróciła się i natychmiast rzuciła nożem, celując w szyję – powiedział.

Wykonała obrót na pięcie, machnęła ręką i nóż wbił się w drzewo, tuż nad prawym ramieniem narysowanej sylwetki.

– Do licha! – powiedziała. Waylander uśmiechnął się i wyrwał ostrze z pnia.

– Kazałem ci się odwrócić, a nie okręcić. Jeszcze obracałaś się w lewo, kiedy rzuciłaś – dlatego nie trafiłaś w cel. Mimo to poszło ci całkiem nieźle.

Na drugi dzień pożyczył dla niej łuk i kołczan strzał. Tą bronią posługiwała się mniej zręcznie, ale miała dobre oko. Waylander obserwował ją przez jakiś czas, a potem poprosił, żeby zdjęła koszulę. Stał za dziewczyną, owinął ją koszulą i mocno zawiązał rękawy na plecach, krępując piersi.

– To niewygodne – protestowała.

– Wiem, tylko że naciągając cięciwę, wyginałaś plecy, żeby nie zahaczyła o ciało. To utrudniało ci celowanie.

Kiedy ten pomysł nie zdał egzaminu, Waylander zaczął uczyć ją szermierki. Jeden z ludzi Durmasta sprzedał mu lekką szablę z kościaną rękojeścią i ażurową gardą. Broń była dobrze wyważona i wystarczająco lekka, by Danyal mogła szybkością nadrabiać brak wprawy.

– Zawsze pamiętaj – napominał dziewczynę, kiedy usiedli obok siebie po godzinie ćwiczeń – że miecz przeważnie jest używany jak broń tnąca. Twój przeciwnik zazwyczaj będzie praworęczny. Uniesie miecz nad prawe ramię i uderzy nim od prawej do lewej, mierząc w głowę. Tymczasem najkrótszą odległością między dwoma punktami jest linia prosta. Dlatego pchnij! Użyj końca szabli. Dziewięć razy na dziesięć zabijesz przeciwnika. Większość bandytów to kiepscy szermierze, siekający i rąbiący jak popadnie – łatwo ich trafić.

Biorąc dwa kije, które ostrugał tak, aby przypominały szable, jeden podał Danyal.

– No, będę twoim przeciwnikiem.

Czwartego dnia zaczął uczyć ją zasad walki wręcz.

– Wbij sobie do głowy najważniejsze: myśl! Opanuj emocje i oprzyj się na odruchach nabytych podczas ćwiczeń. Gniew nic ci nie da, więc wyzbądź się go. Myśl! Twoją bronią są pięści, palce, stopy, łokcie i głowa. Celem będą oczy, gardło, brzuch i krocze. Trafnie wymierzony cios w jedno z tych miejsc unieszkodliwi wroga. Pamiętaj, w tego rodzaju walce masz jedną przewagę: jesteś kobietą. Twój nieprzyjaciel będzie oczekiwać strachu, przerażenia... i uległości. Jeśli zachowasz zimną krew, przeżyjesz – a oni zginą.

Po południu piątego dnia, gdy Waylander i Danyal wracali do wozów, nadjechała grupka wojowników, krzycząc i pohukując. Na ich widok Waylander wstrzymał konia. Jeźdźców było prawie dwustu, obładowanych kocami, towarami, jukami wypchanymi monetami

i kosztownościami. Danyal jeszcze nigdy nie widziała ich koczowników, ale wiedziała, że mają reputację bezlitosnych zabójców. Byli krępi i barczyści, o skośnych oczach i szerokich twarzach; wielu nosiło lakierowane napierśniki i obszyte futrem hełmy; większość miała po dwa miecze i po kilka noży.

Nadirowie przystanęli, zagradzając im drogę. Waylander siedział spokojnie, próbując odnaleźć wśród nich przywódcę.

Po kilku pełnych napięcia sekundach od grupy odłączył się wojownik w średnim wieku; oczy miał ciemne i ponure, a uśmiech okrutny. Zerknął na Danyal, a Waylander czytał w jego myślach.

– Kim jesteście? – spytał wódz, pochylając się nad łękiem siodła.

– Jadę z Lodowymi Oczami – odparł Waylander, używając imienia, pod jakim Durmast był znany wśród Nadirów.

– Tak mówisz.

– A kto w to wątpi?

Czarne oczy spoczęły na Waylanderze i Nadir skinął głową.

– Wracamy od wozów Lodowych Oczu. Dostaliśmy wiele podarków. Ty masz jakieś podarki?

– Tylko jeden.

– Zatem daj mi go.

– Już to zrobiłem. Obdarowałem cię życiem.

– Kim jesteś, żeby dawać mi to, co już mam?

– Jestem Złodziejem Dusz.

Nadir nie zdradził żadnych uczuć.

– Jedziesz z Lodowymi Oczami?

– Tak. Jesteśmy braćmi.

– Krwi?

– Nie. Miecza.

– Odjedź dziś w pokoju – rzekł Nadir. – Pamiętaj jednak – będą inne dni.

Wódz Nadirów uniósł rękę, machnął na swych wojowników i cały oddział pogalopował dalej.

– Co się właściwie stało? – zapytała Danyal.

– Nie chciał umierać – odparł Waylander. – To kolejna lekcja, jeśli zechcesz ją rozważyć.

– Chyba miałam dość lekcji, jak na jeden dzień. Co miał na myśli, mówiąc o wielu podarkach?

Waylander wzruszył ramionami.

– Durmast zdradził uchodźców. Wziął od nich pieniądze za przeprowadzenie do Gulgothiru, ale wcześniej zawarł ugodę z Nadirami. Ci obrabowali wozy, a Durmast dostanie z tego udział. Na razie zostały im jeszcze wozy, ale Nadirowie pojawią się ponownie i zabiorą je również. Uchodźcy, którzy przeżyją, dotrą do Gulgothiru jako nędzarze.

– To godne pogardy.

– Nie. Taki jest ten świat. Tylko słabi uciekają... a teraz muszą zapłacić za swoją słabość.

– Naprawdę jesteś taki nieczuły?

– Obawiam się, że tak, Danyal.

– To wstyd.

– Przyznaję ci rację.

– Jesteś okropny!

– A ty jesteś niezwykłą kobietą – jednak pomyślmy o tym wieczorem. Teraz odpowiedz mi na następujące pytanie: dlaczego ten wódz Nadirów puścił nas z życiem?

Danyal uśmiechnęła się.

– Ponieważ oddzieliłeś go od jego ludzi i zagroziłeś mu osobiście. Bogowie, czy te lekcje nigdy się nie skończą?

– Aż nazbyt szybko – rzekł Waylander.

Rozdział 14

Danyal i Waylander kochali się w osłoniętej kotlinie z dala od wozów i to doświadczenie wstrząsnęło Waylanderem. Nie pamiętał momentu, gdy w nią wszedł, ani namiętności. Chciał tylko być jak najbliżej Danyal, ogarnąć jej ciało swoim – a może zatracić się w niej. I po raz pierwszy od wielu lat zapomniał o otaczającym go świecie. Zagubił się w tym miłowaniu.

Teraz, gdy został sam, poczuł strach.

A gdyby zaskoczył ich Cadoras?

Albo gdyby wrócili Nadirowie?

Lub jeśli Bractwo...

Co wtedy?

Hewla miała rację. Teraz jego najgroźniejszym wrogiem była miłość.

– Starzejesz się – powiedział sobie. – Jesteś stary i zmęczony.

Wiedział, że nie jest już taki szybki i silny jak kiedyś, a na skroniach przybywa mu siwych włosów. Gdzieś w ciemnościach tego świata krył się młody zabójca szybszy i groźniejszy od legendarnego Waylandera. Czy był nim Cadoras? A może któryś z członków Bractwa?

Chwile napięcia przy spotkaniu z Nadirami wydały swój plon. Waylander przeżył je dzięki doświadczeniu i zuchwalstwu. Mając u boku Danyał, nie chciał umierać. Jego największą siłą zawsze był brak lęku, tymczasem teraz – kiedy potrzebował wszystkich swych talentów – czuł strach.

Przetarł oczy, świadomy potrzeby snu, lecz nie chciał jej ulec. Sen to brat śmierci, głosiła pieśń. Jednak czuły i miły. Zmęczenie powoli opanowało całe jego ciało. Skała, o którą się opierał, zdała mu się miękka i przyjemna. Zbyt strudzony, by nakryć się kocem, położył głowę na kamieniu i zasnął. Zapadając w sen, ujrzał twarz Dardaliona; kapłan wzywał go, lecz Waylander nie słyszał jego słów.

Durmast spał pod wozem, gdy miał ten sen. Ujrzał mężczyznę w srebrnej zbroi; przystojnego młodego człowieka, barczystego i krzepkiego. Durmast śnił o kobiecie z włosami jak płynne złoto i o dziecku, ładnym i silnym. Odpychał od siebie obraz młodzieńca, lecz ten uparcie powracał.

– Czego chcesz? – zawołał wielkolud, gdy kobieta z dzieckiem zniknęła. – Zostaw mnie w spokoju! – Twoje zyski zmieniają się w proch, jeśli się nie zbudzisz – rzekł wojownik.

– Zbudzę? Ja nie śpię.

– Śniesz. Ty jesteś Durmast i prowadzisz wozy do Gulgothiru.

– Wozy?

– Obudź się, człowieku! Zbliżają się łowcy nocy!

Olbrzym jęknął i obrócił się na bok; usiadł, uderzając głową o podwozie, i zaklął głośno. Wytoczył się spod wozu i wstał – sen odszedł, lecz wątpliwości pozostały.

Chwyciwszy krótki obosieczny topór, poszedł na zachód.

Danyal przebudziła się nagle. Miała dziwny sen, w którym Dardalion kazał jej odszukać Waylandera. Prześlizgnąwszy się między śpiącym piekarzem i jego rodziną, wyjęła szablę z pochwy i zeskoczyła z kozła.

Durmast błyskawicznie odwrócił się, gdy wyrosła za jego plecami.

– Nie rób tego! – warknął. – Mogłem ściąć ci głowę.

Potem zauważył szablę.

– Dokąd się z tym wybierasz?

– Miałam sen – wyjaśniła Danyal.

Trzymaj się mnie – rozkazał, oddalając się od wozów.

Noc była jasna, lecz chmury co chwila przesłaniały księżyc i Durmast zaklął pod nosem, usiłując dostrzec coś w ciemnościach. Jakiś ruch w zaroślach po lewej! Machnął ręką, zwalając Danyal z nóg, i rzucił się na ziemię. Uniknął w ten sposób świszczących w powietrzu strzał. Jakiś czarny cień skoczył na niego, lecz topór wielkoluda jednym ciosem rozplątał bok napastnika, miażdżąc żebra i rozpryskując wokół krew. Danyal zerwała się na równe nogi i w tym momencie chmury się nagle rozeszły. Zobaczyła dwóch ludzi w czarnych płaszczach, którzy z uniesionymi mieczami pędzili ku niej. Przetoczyła się przez ramię, wpadając pod nogi biegnących i zwalając ich na ziemię. Natychmiast podniosła się i przeszła szablą kark jednego napastnika; drugi wstał i rzucił się na nią, lecz Durmast wbił mu topór w plecy. Trafiony wytrzeszczył oczy i umarł, nie zdążywszy krzyknąć.

– Waylanderze! – ryknął Durmast, gdy z ciemności wyłoniły się kolejne cienie.

Oparty o głaz Waylander poruszył się, powoli otwierając ciężkie od snu powieki. Nad nim pochylał się jakiś człowiek, trzymając w ręku złowrogo zakrzywiony nóż.

– Teraz umrzesz – powiedział.

Waylander nie miał szans powstrzymać go. Napastnik nagle zastygł i rozdziawił usta. Zabójca otrząsnął się z resztek snu i gwałtownym ciosem obalił przeciwnika na ziemię. Gdy tamten padał, Waylander dostrzegł strzałę o brzechwie z gęsich piór wbitą w podstawę czaszki.

Przeturlawszy się w lewo, Waylander zerwał się z nożami w obu rękach. Zablockował cięcie mieczem, przyjmując je na jelec noża trzymanego w lewej ręce. Opuścił drugą i dźgnął napastnika w krocze; tamten zwinął się i upadł, wyrrywając przy tym nóż z dłoni Waylandera.

Chmury znów zasłoniły księżyc i zabójca rzucił się na ziemię, przetoczył kilka jardów

i znieruchomiał.

Wokół nic się nie poruszało.

Przez kilka minut wyęczał słuch. Zamknął oczy i starał się uspokoić myśli. Gdy upewnił się, że napastnicy uciekli, powoli stanął na nogach. Chmury rozeszły się i...

Waylander okręcił się na pięcie i błyskawicznie machnął ręką. Czarne ostrze z głuchym stuknięciem uderzyło w ramię klęczącego łucznika. Waylander rzucił się pędem ku wstającemu mężczyźnie, lecz ten zwinnie uchylił się i wpadł w las.

Chwilowo bezbronny Waylander przyklęknął i czekał.

Po chwili w głębi lasu rozległ się przeraźliwy wrzask. Potem klęczący zabójca usłyszał cichy głos:

– Powinieneś być ostrożniejszy, Waylanderze.

Jakiś czarny przedmiot przeleciał w powietrzu i głuchym pacnięciem upadł obok. To był jego nóż.

– Dlaczego mi pomogłeś?

– Ponieważ jesteś mój – odparł Cadoras.

– Będę gotowy.

– Mam nadzieję.

Nadbiegli Durmast i Danyal.

– Z kim rozmawiałeś? – zapytał wielkolud.

– Z Cadorasem, ale to nie ma znaczenia – wracajmy do wozów.

We trójkę wrócili do w miarę bezpiecznego obozu, gdzie Durmast podsycił dogasające ognisko i otarł topór z krwi.

– Masz wspaniałą kobietę – powiedział. – Zabiła trzy z tych świń! A udawałaś, że to tylko ponętna dziewczka! Jesteś podstępny diablem, Waylanderze.

– To byli wojownicy Bractwa – rzekł zabójca – i użyli jakichś czarów, żeby sprowadzić na mnie sen. Powinienem się domyślić.

– Dardalion ocalił cię – powiedziała Danyal. – Ukazał mi się we śnie.

– Srebrny wojownik o jasnych włosach? – spytał Durmast.

Danyal skinęła głową.

– Mnie też się pokazał. Masz potężnych przyjaciół – diabolicę i czarownika.

– Oraz olbrzymia z toporem – dorzuciła Danyal.

– Nie myl interesu z przyjaźnią – mruknął Durmast. – A teraz, jeśli pozwolicie, chciałbym się trochę przespać.

Starzec patrzył ze znużeniem na vagryjskich wojowników siedzących przed nim w ruinach pałacu Purdol. Na ich twarzach widział arogancję zrodzoną ze zwycięstwa i aż za dobrze wiedział, jak wygląda w ich oczach: stary, zmęczony i słaby.

Gan Degas zdjął hełm i położył go na stole. Siedzący naprzeciw niego Kaem miał kamienną twarz.

– Rozumiem, że jesteście gotowi poddać się – powiedział.

– Tak. Pod pewnymi warunkami.

– Wymień je.

– Moim ludziom nic się nie stanie – mają być wypuszczeni, żeby mogli wrócić do domów.

– Zgoda... gdy tylko złożą broń i forteca będzie nasza.

– Do twierdzy uciekło wielu cywilów; oni też mają odejść wolno i odzyskać domy, które zabrali im wasi ludzie.

– Zwyczajna biurokracja – rzekł Kaem. – Nie będzie z tym problemów.

– Jakie możesz mi dać gwarancje? – spytał Degas.

Kaem uśmiechnął się.

– A jakie człowiek może dać gwarancje? Masz moje słowo – to generałom powinno wystarczyć. Jeśli nie, możecie nie otwierać bram i walczyć dalej.

Degas spuścił wzrok.

– Dobrze. A więc mam twoje słowo?

– Oczywiście, Degasie.

– Bramy zostaną otwarte o świcie.

Stary wojownik wstał od stołu i odwrócił się, by wyjść.

– Nie zapomnij swojego hełmu – zadrwił Kaem.

Śmiech odbijał się echem w korytarzu, gdy Degas wychodził z sali, eskortowany przez dwóch ludzi w czarnych płaszczach. Wyszedłszy na nocne powietrze, pomaszerował wzdłuż doków ku wschodniej bramie. Tam z wieży bramnej spuszczone linę; Degas włożył w nią rękę i został wciągnięty do fortecy.

Tymczasem w pałacu Kaem uciszył swych oficerów i zwrócił się do Dalnora:

– W twierdzy przebywa około czterech tysięcy ludzi. Zabicie wszystkich wymaga starannego planowania – nie chcę, by góra trupów rozsiewała morową zarazę. Proponuję, żebyś podzielił jeńców na dwadzieścia grup i kolejno prowadził je do portu. Są tam puste magazyny. Zabijcie ich i złóżcie ciała na rozładowanych barkach zbożowych. Potem wrzucicie je do morza.

– Tak, milordzie. To zajmie nam trochę czasu.

– Mamy czas. Zostawimy w fortecy tysiącosobową załogę i ruszymy na zachód, do Skultik. Wojna jest prawie skończona, Dalnorze.– Istotnie – dzięki tobie, milordzie.

Kaem obrócił się do czarnobrodego oficera po prawej.

– Jakie wieści o Waylanderze?

– Wciąż żyje, milordzie. Zeszłej nocy razem z przyjaciółmi odparł atak mego Bractwa. Obawiam się, że nastąpią kolejne.

– Muszę mieć tę Zbroję.

– Będziesz ją miał, milordzie. Imperator wysłał zabójcę Cadorasa na poszukiwania Waylandera. Tropi go także dwudziestu moich braci. Ponadto otrzymaliśmy wiadomość od rozbójnika Durmasta; żąda dwudziestu tysięcy sztuk srebra za Zbroję.

– Oczywiście zgodziłeś się?

– Nie, stargowałem do piętnastu tysięcy. Nabralby podejrzeń, gdybyśmy przyjęli jego ofertę bez zastrzeżeń. Teraz nam ufa.

– Uważaj na Durmasta – ostrzegł Kaem. – On jest jak wędrowny lew; zaatakuje każdego.

– Opłacamy kilku jego ludzi, milordzie; przewidzieliśmy wszystkie ewentualności. Zbroja jest nasza, Waylander jest nasz – tak samo jak i Drenajowie.

– Wystrzegaj się nadmiernej pewności siebie, Nemodesie. Nie licz lwu zębów, póki nie ujrysz much na jego języku.

– Milordzie, chyba nie wątpisz w swój sukces?

– Miałem kiedyś konia, najszybszego, jakiego kiedykolwiek posiadałem. Nie miał prawa przegrać, więc postawiłem na niego fortunę. Tymczasem pszczoła użądliła go w oko przed wyścigiem. Widzisz zatem, że ostateczny wynik jest zawsze niepewny.

– Przecież sam powiedziałeś, że wojna już prawie skończona – protestował Nemodes.

– Bo tak jest. Na razie jednak zachowajmy czujność.

– Tak, milordzie.

– Trzech ludzi musi umrzeć. Jednym z nich jest Karnak. Drugim Egel. Jednak przede wszystkim chcę zobaczyć zatkniętą na lancy głowę Waylandera.

– Dlaczego Karnak? – spytał Dalnor. – Jedna bitwa nie wystarczy, żeby uznać go za niebezpiecznego.– Ponieważ jest zuchwały i ambitny. Nie możemy przewidzieć, co zrobi. Niektórzy ludzie są dobrymi szermierzami, łucznikami lub strategami. Inni, najwidoczniej obdarzeni zdolnościami przez bogów, są mistrzami we wszystkim, czego się tkną. Jednym z nich jest Karnak – nie mogę go zrozumieć i to mnie niepokoi.

– Powiadają, że jest w Skarcie, służy pod Egelem – rzekł Dalnor. – Wkrótce go dostaniemy.

– Może – rzekł z powątpiewaniem Kaem.

Stojąc na czele Drugiego Legionu, w cieniu wschodniej bramy, Kaem z trudem panował nad rosnącym napięciem. Kilka minut wcześniej nadszedł świt, lecz za bramą wciąż nie było słychać żadnych dźwięków. Był boleśnie świadomy wrogich spojrzeń rzucanych mu przez łuczników stojących na blankach wieży, gdy tak stał w pełnej czerwono-brązowej zbroi i pot ciurkiem spływał mu po plecach.

Za nim stał Dalnor, otoczony przez żołnierzy; czarnookich wojowników Pierwszej Kadry, najlepszych żołnierzy Drugiego Legionu Ogarów Chaosu.

Skrzypienie napinanych lin i zgrzyt zardzewiałych kołowrotów sprawił, że napięcie ustąpiło – za okutymi dębowymi wierzejami podnoszono ogromną sztabę z brązu. Minęło kilka minut, a potem wrota powoli się uchyliły. Kaem czuł budzącą się radość, ale stłumił ją. Nie powinien okazywać jakichkolwiek uczuć.

Za jego plecami żołnierze szurali nogami, chcąc jak najszybciej zakończyć długotrwałe oblężenie i wejść do znienawidzonej fortecy.

Brama otwarła się.

Kaem wszedł w cień portalu, a potem w jasny słoneczny blask na dziedzińcu...

I zatrzymał się tak gwałtownie, że idący za nim Dalnor wpadł na dowódcę; hełm zsunął się Kaemowi na oczy, więc poprawił go. Wokół dziedzińca stali wojownicy z mieczami w dłoniach. Pośród nich, oparty na obosiecznym toporze, stał ogromny mężczyzna, nieprawdopodobnie niegustownie ubrany. Wręczył topór jednemu z towarzyszy i wystąpił naprzód.

– Co to za gruby błazen? – szepnął Dalnor.

- Milcz! – rozkazał Kaem, gorączkowo zbierając myśli.
- Witamy w Dros Purdol – rzekł z uśmiechem nieznajomy.
- Kim jesteś i gdzie jest Gan Degas?
- Gan odpoczywa. Przysłał mnie, żebym omówił z wami warunki waszego poddania.
- Co to za bzdury?
- Bzdury, generale? O czym pan mówi?
- Gan Degas zgodził się złożyć dzisiaj broń, na pewnych warunkach.

Kaem nerwowo oblizał wargi, gdy ogromny wojownik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ach tak, warunki – rzekł. – Sądzę, że zaszło drobne nieporozumienie. Kiedy Gan Degas zażądał gwarancji bezpieczeństwa dla swoich ludzi, raczej nie chciał, żebyście dzielili ich na dwadzieścia grup i mordowali w portowych magazynach.

Olbrzym zmrużył oczy i przestał się uśmiechać.

– Otworzyłem bramę, Kaemie, żebyś mnie zobaczył. Poznał mnie... Zrozumiał. Nie będzie kapitulacji. Przyprowadziłem trzy tysiące ludzi – skłamał Karnak – i objąłem dowództwo fortecy.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Karnak. Noś moje imię w pamięci, Vagryjczyku, ponieważ przyniesie ci śmierć.

– Dużo gadasz, Karnaku, ale niewielu ludzi obawia się szczekającego psa.

– To prawda, ty jednak się mnie boisz, człowieczku – odparł spokojnie Karnak. – A teraz – masz dwadzieścia sekund na wycofanie stąd swoich ludzi. Później w powietrzu zrobi się gęsto od strzał i śmierci. Ruszaj!

Kaem odwrócił się na pięcie, a spojrzawszy na kilkuset wojowników – kwiat jego armii – zdał sobie sprawę z sytuacji i poczuł się tak, jakby wymierzono mu policzek. Oto znalazł się w fortecy, której bramę otwarto, a jednak nie mógł dać rozkazu do ataku, każdy łucznik miał bowiem naciągniętą cięciwę i strzałę wymierzoną w jego pierś. Aby ująć z życiem – a bardzo tego chciał – musiał dać rozkaz do odwrotu. Ta wieść rozejdzie się wśród żołnierzy i ich morale znacznie ucierpi.

Odwrócił się, z twarzą purpurową z wściekłości.

- Ciesz się tą chwilą, Drenaju! Od tej pory nie będzie ich już wiele!
- Piętnaście sekund – oznajmił Karnak.
- Wycofać się! – krzyknął Kaem. – Z powrotem za bramę.

Drwiący śmiech odprowadzał vagryjskiego generała, który przepychał się przez szeregi swych żołnierzy.

– Zamknąć bramę! – zawołał Karnak. – I przygotować się na przyjęcie tych sukinsynów!

Gellan przysunął się do Karnaka.

– Co mówiłeś o magazynach i mordowaniu?

– Dardalion powiedział mi, że taki mieli plan. Kaem obiecał Degasowi, że jego ludziom nie stanie się krzywda; parszywe kłamstwo, jakiego można oczekiwać po Kaemie, ale Degas był zbyt zmęczony, żeby je rozszyfrować.

– Kiedy słyszę o zmęczeniu – rzekł Gellan – i przypominę sobie o ponad dziesięciu godzinach spędzonych na przebijaniu przejścia w skale do lochów, sam czuję się trochę znużony.

Karnak klepnął go w plecy.

– Twoi ludzie dobrze się spisali, Gellanie. Tylko bogowie wiedzą, co by się stało, gdybyśmy przybyli godzinę później. Mimo to dobrze wiedzieć, że jedziemy na szczęśliwym koniu, no nie?

– Szczęśliwym, generale? Przedarliśmy się do oblężonej fortecy, a ty rozwścieczyłeś najpotężniejszego wodza na kontynencie. Co to za szczęście?

Karnak zachichotał.

– Był najpotężniejszym wodzem na kontynencie, ale dziś ten wizerunek znacznie ucierpiał. Został upokorzony. To mu nie pomoże; oto pierwsze rozdarcie w jego płaszczu niepokonanego dowódcy.

Jonat szedł wzdłuż muru, pokrzykując na swych pięćdziesięciu podkomendnych. Tego ranka okryli się niesławą, uciekając w panice, gdy Vagryjczycy wdarli się na mur opodal wieży bramnej. Z dziesięcioma żołnierzami Jonat skoczył odeprzeć atak i jakimś cudem chudy, czarnobrody legionista wyszedł z tego bez szwanku, chociaż sześciu towarzyszy zginęło u jego boku. Karnak dostrzegł niebezpieczeństwo i z setką wojowników skoczył Jonatowi na pomoc, wywijając obosiecznym toporem. Bitwa przy wieży była krótka i krwawa, a pod jej koniec oddziałek Jonata wrócił do walki.

Teraz, gdy nadchodził zmierzch i niebo poczerwieniało od zachodzącego słońca, Jonat smagał ich ostrymi słowami. Mimo gniewu znał powód ich panicznej ucieczki, a nawet ich rozumiał. Jego oddziałek składał się w połowie z żołnierzy Legionu, a w połowie z farmerów

i kupców. Wojownicy nie wierzyli, że wieśniacy utrzymają mur, natomiast farmerzy gubili się, słysząc szczęk mieczy i wrzaski konających.

Co gorsza, to żołnierze pierwsi rzucili się do ucieczki.

– Spójrzcie wokół – krzyczał Jonat, świadomy, że inni żołnierze obserwują tę scenę. – Co widzicie? Kamienną fortecę? Nie – to zamek z piasku, a Vagryjczycy uderzają w nią jak gniewne morze. Będzie stał tak długo, jak długo ziarnka piasku trzymają się razem. Rozumiecie, tępaki? Dzisiaj uciekliście przerażeni i Vagryjczycy weszli na mur. Gdyby natychmiast ich nie odparto, wdarliby się na dziedziniec za bramą i forteca zmieniałaby się w gigantyczny grobowiec. Nie możecie wbić sobie do głów, że nie mamy dokąd uciec? Musimy walczyć lub umrzeć. Sześciu ludzi zginęło dziś przy mnie. Dobrych ludzi – lepszych niż wy. Pomyślcie o nich jutro, gdy zechcecie uciekać.

Jeden z jego podkomendnych, młody kupiec, skrzywił się i splunął.

– Nie prosiłem się tutaj – rzucił kwaśno.

– Mówiłeś coś, króliczku? – syknął Jonat.

– Słyszałeś.

– Tak, słyszałem. I widziałem cię dzisiaj, jak uciekałeś z muru, jakbyś miał ogień w spodniach.

– Próbowałem dogonić legionistów – warknął kupiec. – Uciekali pierwsi.

Gniewny pomruk zawtórował jego słowom, ale ucichł, gdy jakiś wysoki mężczyzna stanął obok Jonata. Położył mu rękę na ramieniu i uśmiechnął się przepraszająco.

– Mogę powiedzieć parę słów, Jonacie?

– Oczywiście.

Oficer usiadł między ludźmi i zdjął hełm. Oczy miał szaro-niebieskie i znużone po sześciu dniach i nocach nieustannych wysiłków. Przetarł je i spojrzał na młodego kupca.

– Jak się nazywasz, przyjacielu?

– Andric – podejrzliwie odparł zapytany.

– Ja jestem Gellan. To, co Jonat powiedział o zamku z piasku, to szczerą prawdą, którą należy zapamiętać. Każdy z was jest ważny. Panika to plaga, mogąca zmienić losy bitwy – tak samo jak odwaga. Kiedy Jonat poprowadził ten samobójczy kontratak z dziesięcioma ludźmi, wszyscy poszliście za jego przykładem. Wróciliście – i myślę, że teraz jesteście silniejsi. Za tymi murami stoi naprawdę groźny wróg, który przedarł się przez ziemie Drenajów, mordując starców,

kobiety i dzieci. Jest jak wściekły pies. Tu się zatrzymał, gdyż Dros Purdol jest jak smycz na szyi wściekłego psa, Egel zaś będzie laną, która go zabije. Jonat może zaświadczyć, że nie lubię wygłaszać przemówień, ale chciałbym, abyśmy wszyscy tu byli braćmi, ponieważ wszyscy jesteśmy Drenajami, a także ostatnią nadzieją drenajskiej rasy. Jeżeli nie wytrwamy razem na tych murach, to nie zasługujemy na przetrwanie. Teraz rozejrzyjcie się wokół i jeśli zobaczycie jakąś' nieznaną twarz, spytajcie tego człowieka, jak się zowie. Macie kilka godzin do następnego ataku. Wykorzystajcie je, aby poznać swych braci.

Gellan podniósł się z ziemi, włożył hełm i zniknął w zapadającym mroku, zabierając ze sobą Jonata.

– Oto mądre słowa – rzekł Vanek, opierając się o mur i rozluźniając pasek hełmu. Jako jeden z dziesięciu żołnierzy walczących z Jonatem, on też wyszedł z potyczki bez najmniejszego zadraśnięcia, chociaż jego hełm był wgięty w dwóch miejscach i przekrzywił mu się lekko na głowie. – Słuchajcie go – zapamiętajcie te słowa, jakby były wyryte na kamiennych tablicach. Do wiadomości tych, którzy mnie nie znają – nazywam się Vanek. Jestem szczęściarzem, więc każdy, kto chce zostać przy życiu, powinien trzymać się mnie. Każdy, kto czuje, że jutro może uciec, niech podejdzie do mnie, bo nie mam zamiaru powtarzać tej gadki.

– Myślisz, że utrzymamy twierdzę, Vanek? – spytał Andric, podchodząc i siadając przy nim.
– Przez cały dzień przyływały statki, przywożąc Vagryjczyków, a teraz budują wieżę oblężniczą.

– No to mają zajęcie – odparł Vanek. – A co do ludzi, to jak myślisz, skąd przybywają? Im więcej jest ich tutaj, tym mniej jest ich gdzie indziej. Krótko mówiąc, bracie Andricu, gromadzą się tutaj jak piana na wrzątku. Myślisz, że Karnak przybyłby tu, gdyby sądził, że możemy przegrać? Ten człowiek ma olbrzymie aspiracje. To polityczny sukinsyn. Purdol to jego kolejny szczebel do sławy.

– Jesteś niesprawiedliwy – rzekł słuchający ich żołnierz o wydatnej szczęce i głęboko osadzonych oczach.

– Możliwe, bracie Dagonie, ale mówię to, co myślę. Nie zrozum mnie źle – szanuję tego człowieka, a nawet głosowałem na niego. Bardzo różni się od nas; ma na sobie piętno wielkości i sam je sobie wypalił, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Nie rozumiem – odparł Dagon. – Wiem tylko, że jest wielkim wojownikiem i walczy za Drenajów tak samo jak ja.

– I na tym poprzestańmy – powiedział z uśmiechem Vanek. – Obaj zgadzamy się, że jest wielkim wojownikiem, a tacy bracia jak my nie powinni się spierać.

Nad nimi, w wieży bramnej, Karnak z Dundasem i Gellanem siedzieli w świetle gwiazd i słuchali tej rozmowy. Karnak z szerokim uśmiechem dał Gellanowi znak, żeby przeszedł z nim za blanki, gdzie nikt nie usłyszy ich rozmowy.

– Inteligentny człowiek ten Vanek – powiedział cicho Karnak, nie odrywając oczu od twarzy Gellana.

Gellan uśmiechnął się.

– Tak, niegłupi, generale. Jednakże traci głowę przy kobietach.

– Żaden mężczyzna nie ma pojęcia, jak sobie radzić z kobietami – odparł Karnak. – Wiem coś o tym – byłem trzykrotnie żonaty i niczego mnie to nie nauczyło.

– Czy niepokoi pana Vanek?

Karnak zmrużył oczy, lecz Gellan widział w nich wesołe błyski.

– A jeśli tak?

– Gdyby tak było, nie byłoby mnie tu z panem.

– Dobrze powiedziane. Lubię ludzi, którzy umieją obstawać przy swoim. Czy podzielasz jego zdanie?

– Oczywiście, tak samo jak pan. Tu nie ma bohaterów opiewanych w sagach. Każdy z nich ma własne – przeważnie samolubne – powody, by oddać życie: bronić żony, domu lub siebie. Twoje marzenia są po prostu większe, generale – nie ma w tym nic złego.

– Cieszę się, że tak myślisz – odparł Karnak z lekkim sarkazmem w głosie.

– Kiedy nie będziesz chciał słyszeć prawdy, generale, daj mi znać. Potrafię łąać równie zręcznie jak każdy.

– Prawda to niebezpieczny oręż, Gellanie. Dla jednych jak słodkie wino, dla innych jak trucizna – ale zawsze pozostaje taka sama. Idź się przespać; wyglądasz na wyczerpanego.

– O czym rozmawialiście? – spytał Dundas, gdy Gellan wszedł w krąg światła pochodni.

Karnak wzruszył ramionami i podszedł na skraj muru, spoglądając na ogniska vagryjskiej armii, obozującej w porcie. Dwa statki sunęły po atramentowym czarnym morzu do przystani, na ich pokładach roило się od zbrojnych.

– Niepokoi mnie Gellan – rzekł Karnak.

– Dlaczego? To dobry oficer – sam pan tak mówił.

– Jest zbyt zżyty ze swymi ludźmi. Uważa się za cynika, a w rzeczywistości jest romantykiem, szukającym bohaterów w świecie, który ich nie potrzebuje. Co go takim czyni?

– Większość ludzi uważa pana za bohatera, generale.

– Jednak Gellan nie potrzebuje papierowych bohaterów, Dundasie. Jak nazwał mnie Vanek? Politycznym sukinsynem? Czy to zbrodnia pragnąć silnego kraju, którego nie napadną obce wojska?

– Nie, generale, ale pan nie jest papierowym bohaterem. Jest pan bohaterem, który udaje, że nim nie jest.

Karnak już nie słyszał go. Spoglądał na port, ku któremu płynęły trzy kolejne statki.

Dardalion dotknął czoła rannego żołnierza, a ten zamknął oczy i bruzdy bólu zniknęły mu z twarzy. Był młody i jeszcze nie zaczął się golić. Jego prawa ręka trzymała się na cienkim pasemku mięśni, a szeroki skórzany pas przytrzymał rozcięty brzuch.

– Dla niego nie ma już nadziei – przekazał Astila.

– Wiem – odparł Dardalion. – Teraz zasną... snem wiecznym.

Prowizoryczny szpitalik był zastawiony łózkami, pryczami i noszami. Wśród rannych kręciło się kilka kobiet – zmieniały opatrunki, ocierały czoła, łagodnie i współczująco rozmawiały z pacjentami. Karnak poprosił kobiety o pomoc i ich obecność łagodziła cierpienia nawet umierających, gdyż żaden mężczyzna nie lubi okazywać słabości przed kobietami, tak więc ranni zaciskali zęby i bagatelizowali swoje obrażenia.

Główny lekarz – niepozorny chudy mężczyzna imieniem Ebris – podszedł do Dardaliona. Zadzierzgnęły się między nimi więzy przyjaźni, tym łatwiej że chirurg z ogromną ulgą przyjął pomoc kapłanów.

– Potrzeba nam więcej miejsca – rzekł Ebris, ocierając zakrwawioną szmatą spocone czoło.

– Tu jest za gorąco – mruknął Dardalion. – Czuję zarazę w powietrzu.

– Czujesz woń rozkładu z podziemi. Gan Degas nie ma gdzie grzebać poległych.

– A więc trzeba ich palić.

– Zgadzam się z tobą, ale pomyśl, jak wpłynęłoby to na morale. Widzieć, jak przyjaciel pada w walce, to jedno, ale oglądać, jak płonie na stosie, to zupełnie coś innego.

– Porozmawiam z Karnakiem.

– Czy spotkałeś ostatnio Gan Degasa? – spytał Evris.

– Nie. Nie widziałem go już od kilku dni.

– To dumny człowiek.

– Jak większość wojowników. Bez dumy nie byłoby wojen.

– Karnak powiedział mu wiele ostrych słów – nazwał tchórzem i defetystą. Nie miał racji.

Nigdy nie widziałem dzielniejszego, silniejszego człowieka. Chciał jak najlepiej dla swoich ludzi i gdyby wiedział, że Egel wciąż walczy, nigdy nie pomyślałby o kapitulacji.

– Czego ode mnie chcesz, Evrisie?

– Porozmawiaj z Karnakiem – namów go, żeby przeprosił Degasa, uszanował uczucia starego. Karnaka nic nie będzie to kosztowało, a Degasowi oszczędzi rozpaczy.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Evrisie, skoro myślisz o takich sprawach mimo zmęczenia po ciężkiej pracy z rannymi. Zrobię, jak mówisz.– A potem prześpij się. Wyglądasz dziesięć lat starszej niż sześć dni temu, kiedy przybyłeś.

– To dlatego, że w dzień pracujemy, a w nocy strzeżemy twierdzy. Znów masz rację. To arogancja z mojej strony przypuszczać, że mogę to robić w nieskończoność. Wkrótce odpocznę, obiecuję.

Dardalion opuścił salę, przeszedł do bocznego pokoiku i zdjął zakrwawiony fartuch. Szybko umył się, nalawszy do emaliowanej miednicy świeżą wodę z drewnianego wiadra; potem ubrał się. Zaczął zakładać napierśnik, lecz ugiął się pod jego ciężarem i zostawiwszy pancierz na wąskim łóżku, poszedł chłodnym korytarzem. Gdy dotarł do otwartych na dziedziniec drzwi, usłyszał odgłosy bitwy – szczęk oręża i dzikie okrzyki, wykrzykiwane rozkazy i przeraźliwe wrzaski konających.

Powoli wszedł po startych kamiennych stopniach do kasztelu, pozostawiając za plecami bitewny zgiełk. Kwatera Degasa znajdowała się na szczycie wieży; dotarłszy tam, Dardalion zapukał w drzwi i czekał, lecz nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Główna komnata była czysta i skromnie umeblowana – stał w niej rzeźbiony drewniany stół i kilka krzeseł. Przed wielkim kominkiem leżał dywan, a pod oknem stał sekretarzyk. Dardalion westchnął i podszedł do biurka. Zobaczył na nim medale z czterdziestoletniej służby oraz kilka pamiątek – rzeźbioną tarczę sprezentowaną Gan Degasowi za zuchwałą szarżę, szczerozłoty sztylet, długą srebrzystą szablę z wytrawionym na kłindze napisem DLA PIERWSZEGO.

Usiadł przy biurku i otworzył je. W dolnej szufladzie leżały dzienniki Degasa, po jednym na każdy rok jego służby. Dardalion otworzył kilka, na chybił trafił. Litery były idealnie równe, świadczące o zdyscyplinowaniu, a same zdania zdradzały wojskowy umysł piszącego.

Jeden z wpisów w dziesiątym tomie brzmiał następująco:

Jedenastego przedmieścia Skarty zaatakowała banda Sathuli. Wysłano dwie Pięćdziesiątki, żeby związać wroga walką i zniszczyć. Albar prowadził pierwszy oddział, ja drugi. Dopadłem ich na wzgórzach za Ekarlasem. Bezpośredni atak ryzykowny, ponieważ dobrze osłaniały ich głązy. Podzieliłem ludzi na trzy pododdziały i otoczyliśmy ich, nękając z góry strzałami. O zmroku próbowali się przebić, lecz do tego czasu zdążyłem ukryć w pobliskim parowie ludzi Albara i rabusie zostali wybici do nogi. Z żalem notuję, że straciłem dwóch ludzi, Esdrice i Garlana – dobrych jeźdźców. Zabito osiemnastu rabusiów.

Dardalion starannie odłożył dziennik na miejsce, szukając najnowszego. Pismo było trochę mniej wyraźne.

Rozpoczął się drugi miesiąc oblężenia i nie widzę nadziei na zwycięstwo. Nie mogę spać. Sny. Po całych nocach dręczą mnie złe sny.

A potem:

Setki zabitych. Zacząłem miewać przedziwne wizje. Mam wrażenie, że ulatuję w nocne niebo, a w dole widzę ziemię Drenajów. Same trupy. Niallad zabity. Egel nie żyje. Cały świat zginął i tylko my stawimy czoło armii duchów.

Dziesięć dni wcześniej Degas napisał:

Dziś zginął mój syn Elnar, broniąc wieży bramnej. Miał dwadzieścia sześć lat i niedźwiedzią siłę, ale trafiła go strzała i spadł z muru, na wrogów. Był dobrym człowiekiem i jego matka, pokój jej duszy, byłaby z niego dumna. Jestem już przekonany, że samotnie opieramy się całej Vagrii i nie zdołamy utrzymać się długo. Kaem groził, Że ukrzyżuje każdego mężczyznę, kobietę

i dziecko w Purdol, jeśli się nie poddamy. I znów dręczą mnie sny, demony szepczą mi do ucha. Trudno mi zebrać myśli.

Dardalion przerzucił kilka stron.

Karnak przybył dziś z tysiącem ludzi. Serce rosło we mnie, gdy mówił, że Egel wciąż walczy, lecz potem pojąłem, jak niewiele brakowało, abym zdradził wszystko, czemu poświęciłem całe życie. Kaem wymordowałby moich ludzi i Drenajowie byliby zgubieni. Od młodego Karnaka usłyszałem kilka ostrych słów, ale w pełni na nie zasłużyłem. Zawiodłem.

I ostatnia strona:

Sny skończyły się i odzyskałem spokój ducha. Teraz zdałem sobie sprawę z tego, że przez te wszystkie lata naszego małżeństwa nigdy nie mówiłem Ruli o miłości. Nigdy nie całowałem jej w rękę, jak to czynią dworzanie, ani nie przynosiłem kwiatów. To takie dziwne. Jednak wszyscy wiedzieli, że ją kochałem, bo wciąż się nią chwaliłem. Kiedyś zrobiłem dla niej krzesło rzeźbione w kwiaty. Zajęło mi to miesiąc. Rula bardzo je lubiła. Nadal je mam.

Dardalion zamknął książkę i usiadł prosto, spoglądając na starannie rzeźbione i polerowane krzesło. Dzieło zdradzało rękę prawdziwego artysty. Dardalion wstał i przeszedł do sypialni, gdzie Degas leżał ze sztyletem w ręku na zakrwawionym posłaniu. Oczy miał otwarte. Dardalion delikatnie zamknął mu powieki, zanim zakrył twarz starca prześcieradłem.

– Panie Wszechrzeczy – rzekł Dardalion – zaprowadź tego człowieka do domu.

Rozdział 15

Cadoras patrzył, jak Waylander odjeżdża od wozów, kierując się na północ, ku pasmu niskich wzgórz. Tropiciele leżały na brzuchu, z brodą opartą na dłoniach; za nim, spory kawałek w dół zbocza, czekał przywiązany koń. Cadoras wycofał się z wierzchołka, powoli podszedł do stalowoszarego rumaka, zdjął wypchane juki i otworzył je. Owinięta w płótno, spoczywała

w nich rozmaita broń – od składanej kuszy po zestaw noży do rzucania o kościanych rękojeściach. Cadoras złożył kuszę i wybrał dziesięć bełtów, znajdujących się w kołczanie z jeleniej skóry, który nosił u pasa. Potem starannie umieścił po dwa noże do rzucania za cholewami butów, a do pochew u pasa wsunął dwa pozostałe. Miecz miał uwiązany do siodła, tak samo jak węgryjski łuk; kołczan ze strzałami wisiał na łąku siodła. Zakończywszy przygotowania, Cadoras przymocował juki. Potem wyjął trochę suszonego mięsa, usiadł na trawie i patrzył w niebo, obserwując burzowe chmury nadciągające ze wschodu.

Nadchodził czas zabijania.

To polowanie nie sprawiało mu radości. Mógł już tuzin razy zabić Waylandera – lecz ta gra wymagała dwóch graczy, a Waylander nie chciał w niej uczestniczyć. Z początku irytowało to Cadorasa, który czuł się tak, jakby ofiara nim pogardzała. Jednak w miarę upływu czasu zrozumiał, że Waylander po prostu nie dba o to. Dlatego Cadoras jeszcze nie posłał śmiertelnej strzały.

Chciał wiedzieć dlaczego. Miał ochotę podjechać do wozów, usiąść naprzeciw Waylandera i go zapytać...

Cadoras już od ponad dziesięciu lat był płatnym zabójcą i znał swój fach lepiej niż ktokolwiek. Był mistrzem najniebezpieczniejszej z gier – rozumiejącym każdy aspekt, każdą żelazną zasadę: łowca tropił, ofiara uciekała, robiła uniki lub podejmowała walkę. Nigdy jednak nie ignorowała myśliwego.

Dlaczego więc?...

Spodziewał się, że Waylander będzie na niego polował, więc zastawiał wymyślne pułapki wokół obozu. Noc po nocy krył się z łukiem w ręku wśród drzew, podczas gdy koce przy ciepłym ognisku okrywały tylko kamienie i gałęzie.

Dzisiaj znajdzie odpowiedź na to dręczące go pytanie. Zabije Waylandera i ruszy do domu.

Domu?

Wysokie mury i puste komnaty oraz zimnoocy posłańcy proponujący złoto za czyjąś śmierć. Grobowiec z oknami.

– Bądź przeklęty, Waylanderze! Dlaczego tak ułatwiłeś mi zadanie?

– Tylko tak mogłem się bronić – odparł Waylander i Cadoras obrócił się na pięcie, gdy ostry miecz dotknął jego pleców. Zamarł, a potem rozluźnił mięśnie, cał po cału przesuwał dłoń ku ukrytym w bucie nożom. – Nie bądź głupcem – rzekł Waylander. – Mogę rozplatać ci gardło,

zanim zdążysz mrugnąć.

– I co teraz, Waylanderze?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

– Powiniennem być cię zabić.

– Tak, lecz życie jest pełne takich ”powiniennem”. Zdejmij buty... powoli.

Cadoras wykonał polecenie.

– A teraz pas i kubrak.

Waylander zabrał mu broń i rzucił ją w trawę.

– Zaplanowałeś to? – spytał Cadoras, siadając i opierając się na łokciach. Waylander skinął głową i wepchnął miecz do pochwy, po czym usiadł dziesięć stóp od zabójcy. – Chcesz suszonego mięsa?

Waylander potrząsnął głową, wyjął nóż i trzymał go w prawej ręce.

– Zanim mnie zabijesz, czy mogę zadać pytanie?

– Oczywiście.

– Skąd wiedziałeś, że będę tak długo czekać?

– Nie wiedziałem, miałem tylko nadzieję. Powinieneś wiedzieć lepiej od innych, że łowca ma przewagę nad ofiarą. Żaden człowiek nie może się czuć bezpiecznie, stojąc przed zabójcą – król czy wieśniak. Ty chciałeś czegoś dowieść, Cadorasie – a to uczyniło cię łatwą zdobyczą.

– Niczego nie chciałem dowieść.

– Naprawdę? Nawet samemu sobie?

– Na przykład czego?

– Że jesteś lepszym ode mnie, najlepszym z zabójców.

– Cadoras przeciągnął się i spojrzał w niebo.

– Duma – rzekł. – Próżność. Czynią głupców z nas wszystkich.

– I tak jesteśmy głupcami – inaczej bylibyśmy farmerami i patrzylibyśmy, jak rosą nasi synowie.

Cadoras podparł się łokciem i uśmiechnął się.

– Czy to dlatego postanowiłeś zostać bohaterem?

– Może – przyznał Waylander.

– Czy to popłaca?

– Nie wiem. Jestem nim od niedawna.

– Wiesz, że Bractwo znów spróbuje?

– Tak.

– Nie ujdiesz z życiem.

– O tym też wiem.

– Zatem dlaczego to robisz? Widziałem cię z tą kobietą – czemu nie zabierzesz jej do Gulgothiru i nie pojedziesz na wschód, do Ventrii?

– Sądzisz, że tam byłbym bezpieczny?

Cadoras potrząsnął głową.

– Masz rację. Ale miałbyś jakąś szansę – ta misja nie daje ci żadnej.

– Wzrusza mnie twoja troska.

– Możesz w to nie wierzyć, ale jest szczerą. Szanuję cię, Waylanderze, ale żał mi ciebie. Jesteś zgubiony... w dodatku na własne życzenie.

– Dlaczego?

– Ponieważ straciłeś to, co było twoją siłą. Nie wiem, co się z tobą stało, lecz nie jesteś już Waylanderem Zabójcą. Gdybyś był, już bym nie żył. Zabójca nie zajmowałby się rozmową.

– Nie mogę się z tym spierać, jednak dawny Cadoras też nie zwlekałby z wypuszczeniem strzały.

– Może zestarzeliliśmy się obaj.

– Pozbieraj swoją broń i jedź – rzekł Waylander, chowając nóż do pochwy i zwinnie podnosząc się z ziemi. – Niczego nie obiecuję – powiedział Cadoras. – Dlaczego to robisz?

– Po prostu jedź.

– Dlaczego nie dasz mi swego noża i nie nadstawisz gardła? – warknął Cadoras.

– Jesteś zły, ponieważ cię nie zabiłem?

– Pomyśl o tym, kim byłeś, Waylanderze, a będziesz wiedział, czemu jestem zły.

Cadoras zebrał swoją broń, potem włożył buty, podciągnął koniowi popręg i usiadł w siodle.

Waylander patrzył, jak zabójca odjeżdża na południe, a później poszedł za szczyt wzgórza, gdzie dosiadł swojego wierzchowca. Wozy zniknęły w rozedrganym z gorąca powietrzu na północy, lecz Waylander nie miał ochoty doganiać ich przed zmrokiem.

Przez cały dzień przemierzał porośnięte lasami wzgórza, a potem zrobił sobie dwugodzinny popas na drzemkę nad stawkiem w cieniu świerków. Wieczorem dojrzał słup dymu unoszący się w niebo na północy i lęk ścisnął mu serce. Szybko osiodłał rumaka i pomknął przez las,

poganiając konia do galopu. Jechał tak przez milę, zanim odzyskał rozsądek i zwolnił. Otepiały z rozpaczy, wiedział, co zobaczy, zanim jeszcze wjechał na ostatni pagórek. Dymu było zbyt wiele, jak na obozowe ognisko, a nawet na dziesięć ognisk. Siedząc na końskim grzbiecie, spojrzął ze szczytu wzgórza na spalone wozy. Stały półokręgiem, jakby woźnice w ostatniej chwili dostrzegli niebezpieczeństwo i usiłowali ustawić je w pierścień. Ziemia była zasłana trupami, nad którymi zbierały się stada wrzeszczących sępów.

Waylander powoli zjeżdżał po zboczu. Wielu z zabitych wzięto żywcem i rozsiekano na kawałki – a zatem nie brano jeńców. Jakieś dziecko przybito do drzewa, a kilka kobiet przywiązano do pali i spalono. Nieco dalej, na północy, leżeli pokotem ludzie Durmasta, a wokół nich wznosił się wał zabitych wojowników. Sępy już rozpoczęły ucztę i Waylander nie mógł zmusić się, by odszukać ciało Danyal. Skierował konia na zachód.

Nawet w nikłym świetle księżycy bez trudu znalazł trop i jadąc nim, przygotował kuszę do strzału.

W myślach widział obrazy z przeszłości, a wśród nich twarz Danyal...

Waylander zamrugał oczami, w których stanęły mu łzy. Stłumił rosnący w gardle szloch i coś w nim umarło. Wyprostował się, jakby zrzucił z ramion jakiś ciężar, i wspomnienia ostatnich dni przesunęły się przed nim jak na pół zapomniany sen. Zobaczył ocalenie kapłana, uratowanie Danyal i dzieci, bitwę o Masin oraz obietnicę daną Orienowi. Ze zdumieniem ujrzał, jak wypuszcza Cadorasa. Słyszając swoje słowa o bohaterach, cicho zachichotał. Pewnie tamten wziął go za głupca!

Hewla miała rację – miłość miała go zgubić. Teraz Nadirowie zabili Danyal i zapłacą za to. Nieważne, że są ich setki. Nieważne, że nie może wygrać.

Tylko prawda ma znaczenie.

Waylander Zabójca wrócił.

Danyal klęczała obok Durmasta na stoku wzgórza opodal wznoszącego się nad rzeką miasteczka drewnianych chat. Pagórek był porośnięty gęstym lasem, a ich konie ukryte w kotlinie sześćdziesiąt kroków na południe.

Była zmęczona. Poprzedniego dnia w ostatniej chwili uciekli przed jeźdźcami i na myśl o tym do tej pory skręcała się ze wstydu. Durmast pojechał na zwiady na zachód, a potem wrócił

galopem, z toporem w dłoni, ścigany przez chmarę jeźdźców. Strzały świszczwały mu nad głową, gdy zrównał rumaka z karawaną, podjechał do wozu piekarza i zawołał Danyal. Nie zastanawiając się, usiadła za Durmastem, który popędził konia na wzgórze. Skłamałaby, mówiąc, że nie wiedziała, iż uwozi ją w bezpieczne miejsce, podczas gdy pozostali są skazani na okrutną i straszną śmierć. I nienawidziła się za tę słabość.

Czterech jeźdźców pojechało za nimi na wzgórze. Wjechawszy w las, Durmast zrzucił ją z siodła i obróciwszy konia, ruszył im na spotkanie. Pierwszy wojownik zginął z żebrami strzaskanymi toporem Durmasta. Drugi dźgnął lancą, którą wielkolud odbił bez trudu, po czym ściał mu głowę z ramion. Później wszystko stało się tak szybko, że Danyal nie nadążała za przebiegiem potyczki. Durmast spadł na pozostałych jeźdźców i wszystkie trzy konie runęły, wierzgając i kwicząc. Olbrzym zerwał się pierwszy, stając jak bóg wojny z lśniącym toporem migoczącym w słońcu. Później przeszukał juki zabitych, zabierając żywność i wodę, i przyprowadził jej kuca. Pojechali na północ, w las.

Noc była zimna i spali pod jednym kocem. Durmast – nadal nie mówiąc słowa – rozebrał się i próbował ją objąć.

Obróciła się do niego ze słodkim uśmiechem, a on szeroko otworzył oczy, czując zimną stal przytkniętą do podbrzusza.

– Ten nóż jest bardzo ostry, Durmaście. Proponuję, żebyś uspokoił się i zasnął.

– Wystarczyłoby zwykłe ”nie”, kobieto – odparł, ciskając gniewne błyski niebieskimi oczami.

– A zatem mówię ”nie”. Czy dajesz słowo, że mnie nie tkniesz?

– Oczywiście.

– Ponieważ na twoim słowie można polegać jak na spróchniałym patyku, powiem ci coś. Jeżeli mnie zgwałcisz, zrobię, co w mojej mocy, żeby cię zabić.

– Nie jestem gwałcicielem, kobieto. I nigdy nie byłem.

– Mam na imię Danyal.

Zabrała nóż i odwróciła się do niego plecami. Usiadł i podrapał się po brodzie.

– Masz o mnie jak najgorsze zdanie, Danyal. Dlaczego?

– Śpij, Durmaście.

– Odpowiedz.

– Co za pytanie! Poprowadziłeś tych ludzi na rzeź i uciekłeś, nie oglądając się za siebie.

Jesteś zwierzakiem – twoi ludzie zostali i zginęli, a ty po prostu uciekłeś.– My uciekliśmy – przypomniał.

– Tak – i nie myśl, że nie gardzę sobą za to.

– A czego po mnie oczekiwałaś, Danyal? Gdybym został, zabiłbym może sześciu czy siedmiu Nadirów, a potem zginąłbym tak jak pozostali. Bez sensu.

– Zdradziłeś ich.

– Owszem, lecz sam też zostałem zdradzony – miałem umowę z ich wodzem, Butaso.

– Zdumiewasz mnie. Podróżni zapłacili ci i mieli prawo oczekiwać lojalności – a ty sprzedałeś ich Nadirom.

– Trzeba zapłacić fortunę, żeby bezpiecznie przejechać przez ziemie Nadirów.

– Powiedz to zabitym.

– Zabici nie słyszą.

Usiadła i odsunęła się od Durmasta, ściągając koc i zarzucając go sobie na ramiona.

– To cię nie wzrusza, prawda? Ich śmierć?

– A powinna? Nie straciłem przyjaciół. Wszystko umiera i na każdego przyjdzie czas.

– Byli ludźmi, mieli rodziny. Złożyli swój los w twoje ręce.

– Cóż to, jesteś moim sumieniem?

– A masz jakieś?

– Twój jęzor jest równie ostry jak twój sztylet. Zapłacili mi, żebym był ich przewodnikiem – czy odpowiadam za to, że jakiś zjadacz psów nie dotrzymał słowa?

– Dlaczego mnie ocaliłeś?

– Ponieważ chciałem się z tobą przespać. Czy to też zbrodnia?

– Nie, jedynie niezbyt pochlebny komplement.

– Bogowie, kobieto, dobraliście się z Waylanderem! Nic dziwnego, że się zmienił – jesteś jak kwas wylany na ranę. A teraz może dasz mi kawałek koca?

Następnego dnia jechali w milczeniu, aż dotarli do ostatniego pasma wzgórz dzielącego ich od rzeki. Wstrzymując konie, Durmast wskazał odległe sine góry na północnym zachodzie.

– Najwyższy szczyt to Raboas, Święty Olbrzym, a rzeka omija te góry i wpada do morza sto mil na północ od Purdol. Nazywają ją Rostarias, Rzeka Umarłych.

– Co zamierzasz?

– Tutaj jest miasto. Zapłacę za miejsca na statku i popłyniemy do Raboas.

– A co z Waylanderem?

– Jeśli żyje, spotkamy go tam.

– Dlaczego nie zaczekamy na niego w miasteczku?

– On tu nie przyjedzie – ruszy na północny zachód. My skręciliśmy na północny wschód, żeby umknąć pogoni. Butaso należy do Spearów, zachodniego plemienia; to jest ziemia Wolfsheadów.

– Myślałam, że jedziesz tylko do Gulgothiru.

– Zmieniłem zdanie.

– Dlaczego?

– Ponieważ jestem Drenajem. Czemu nie miałbym pomóc Waylanderowi odzyskać Zbroję z Brązu?

– Bo nic na tym nie skorzystasz.

– Jedźmy – warknął, popędzając konia w kierunku drzew.

Ukrywszy wierzchowce w kotlinie, Durmast wczołgał się na szczyt wzgórza nad miasteczkiem. Stało tam prawie dwadzieścia chat i siedem składów otoczonych grubym drewnianym częstokołem. Za magazynami wznosił się długi niski budynek z zadaszonym gankiem.

– To gospoda – rzekł Durmast – służąca także jako główny skład handlowy. Nie widzę ani śladu Nadirów.

– A ci ludzie nie są Nadirami? – zapytała Danyal, pokazując na grupkę mężczyzn siedzących pod palisadą.

– Nie. To Notasi – bezplemieńcy. Kiedyś byli wyrzutkami, teraz uprawiają ziemię, handlują na rzece, a Nadirowie przychodzą do nich po żelazne narzędzia, broń, koce i tym podobne rzeczy.

– Znają cię tu?

– Znają mnie prawie wszędzie, Danyal.

Razem wjechali do miasta, gdzie uwiązali konie do poręczy ganku. Gospoda była mroczna i cuchnęła potem, skwaśniałym piwskim oraz przypalonym tłuszczem. Danyal podeszła do stołu pod oknem; odsunęła rygiel okiennic i otworzyła je, uderzając w plecy stojącego na zewnątrz mężczyznę.

– Ty niezdarna krowo! – krzyknął.

Danyal odwróciła się i usiadła, lecz kiedy z wrzaskiem wpadł do karczmy, wstała i wyjęła szablę. Mężczyzna stanął jak wryty. Był krępy i odziany w futrzaną kurtkę przepasaną szerokim pasem, przy którym wisiały dwa długie noże.

– Odejdź albo zabiję – syknęła Danyal.

Durmast wyrósł za plecami mężczyzny, chwycił go za pas, uniósł na chwilę w górę i stanął obok Danyal.

– Słyszałeś, co pani mówiła – mruknął. – Odejdź!

Po chwili cisnął mężczyznę przez otwarte okno, z zadowoleniem patrząc, jak tamten rozciągnął się w pyłe kilka stóp od drewnianego ganku. Potem wielkolud z szerokim uśmiechem obrócił się do Danyal.

– Widzę, że jesteś słodka jak zawsze.

– Obyłabym się bez twojej pomocy.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Oddałem mu przysługę. Gdyby miał szczęście, dźgnęłabyś go, ale mogłabyś stracić panowanie nad sobą i użyć twego ostrego jężora, a wtedy byłby zgubiony.

– To nie jest śmieszne.

– Zależy od punktu widzenia. Wykupiłem dla nas miejsca na statku, który odpływa jutro rano. Ponadto opłaciłem kajutę... z dwoma łózkami – dodał znacząco.

Rozdział 16

Butaso siedział w namiocie, mierząc ponurym spojrzeniem przykucniętego naprzeciw szamana. Starzec rozłożył na ziemi wyprawioną kozłą skórę i niedbale rozrzucił na niej tuzin kości. Kostki miały kształt sześciątów i dziwne symbole na każdym boku. Szaman przez chwilę spoglądał na kości – a potem podniósł oczy, skrzęcając się ponurym humorem.

– Twoja zdrada zabiła cię, Butaso – rzekł.

– Mów jaśniej.

– Czy to niedostatecznie jasne? Jesteś zgubiony. Nawet teraz czarny cień unosi się nad twoją duszą.

– Jestem silny jak zawsze! – zawołał Butaso, zrywając się na równe nogi. – Niczego się nie boję!

– Dlaczego złamałeś słowo dane Lodowym Oczom?

– Miałem wizję. Miałem wiele wizji. Jest we mnie Duch Chaosu – on mnie wie. Jest we mnie Duch Chaosu – on mnie wie.

– W mowie Nadirów nazywamy go Duchem Złych Uczynków, Butaso. Dlaczego nie używasz tego imienia? To zły duch.

– Choć tak powiadasz, starcze, jednak przyniósł mi potęgę i bogactwa oraz wiele żon.

– Przyniósł ci śmierć. Czego od ciebie chciał?

– Abym zniszczył wozy Lodowych Oczu.

– Ale Lodowe Oczy żyje. Tak samo jak jego przyjaciel, Złodziej Dusz.

– I co mnie to obchodzi?

– Sądzisz, że ja nie mam żadnej władzy? Głupi śmiertelniku! Od kiedy Złodziej Dusz napelnił twoje serce strachem, tego dnia, gdy darował ci życie, płonęła w tobie żądza zemsty. Teraz zabiłeś jego przyjaciół, a on poluje na ciebie. Nie wiesz o tym?

– Wiem, że mam setkę ludzi, którzy szukają go na stepach. Przed świtem przyniosą mi jego głowę.

– Ten człowiek jest księciem zabójców. Wymknie się twoim tropicielom.

– To by się tobie podobało, prawda, Kesa Khanie? Zawsze mnie nienawidziłeś.

– Rozdyma cię pycha, Butaso. Nie nienawidzę cię, lecz gardzę tobą – ale to nie ma żadnego znaczenia. Tego człowieka trzeba powstrzymać.

– Pomożesz mi?

– On zagraża przyszłym pokoleniom Nadirów. Poszukuje Zbroi z Brązu – Zguby Nadirów; nie może wypełnić tej misji.

– A więc użyj Zmiennokształtnych – niech go wytropią.

– Użyję ich tylko w ostateczności – warknął Kęsa Khan, wstając z ziemi. – Muszę pomyśleć.

Schowawszy wróżebne kości do woreczka z kozłej skóry, wyszedł z namiotu i spojrzął na gwiazdy. Wokół panował spokój; poruszali się tylko wartownicy strzegący Butaso: ośmiu mężczyzn z mieczami w dłoniach stało wokół namiotu, milcząc i od czasu do czasu przytupując z zimna.

Kęsa Khan poszedł do swojego namiotu, gdzie niewolnica Voltis rozpałała węgle na palenisku, żeby ogrzać powietrze. Ponadto naląła mu czarkę Llyrdu i włożyła trzy gorące kamienie do łóżka. Uśmiechnął się do niej i jednym łykiem wypił Llyrd, czując, jak alkohol rozgrzewa jego ciało.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Voltis. Nie zasługuję na ciebie.
- Jesteś dobry, panie.
- Chciałabyś wrócić do domu?
- Nie, panie. Chcę służyć tobie.

Rozczulony tą odpowiedzią pochylił się i uniół jej głowę... po czym zamarł.

Ośmiu!

Namiotu Butaso zazwyczaj pilnowało siedmiu strażników!

Butaso odwrócił się do wchodzącego wartownika.

– Czego chcesz?

– Odebrać mój dar – odrzekł Waylander. Butaso błyskawicznie obrócił się, otwierając usta do krzyku – przeciętego sześcioma calami lśniącej stali, która przebiła mu kark. Usiłował chwycić palcami ostrze, wybałuszając oczy z przerażenia; potem osunął się na kolana, wpatrzony w stojącą przed nim spokojnie nieruchomą postać.

Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał, zanim zamknął oczy, był szczęk stali, gdy jego wartownicy wpadli do namiotu.

Waylander odparował pierwsze cięcie. Wygiął przegub i miecz wyfrunął z ręki przeciwnika. Ten wyrwał z pochwy nóż, ale zginął, gdy ostrze zabójcy wbiło mu się między żebra. Nadbiegli kolejni strażnicy, spychając Waylandera na środek namiotu.

– Odłóż miecz – syknął Kesa Khan od wejścia.

Waylander spojrzał beznamiętnie na otaczający go krąg stali.

– Chodź i weź go – powiedział.

Gdy Nadirowie runęli do ataku, ciął i kolejny wojownik padł z wrzaskiem. Potem Waylander otrzymał silny cios w głowę i ugięły się pod nim kolana. Usiłował wstać, lecz spadł nań grad ciosów i ogarnęło go morze ciemności...

Przebudził go ból – pulsujący, uporczywy. Palce miał spuchnięte, a słońce bezlitośnie paliło jego nagie ciało. Wisiał, powieszony za ręce na słupie pośrodku obozu; zdarli z niego odzienie zabitego Nadira i wystawili na słońce, które już spiekło jego niezwykle białą skórę. Opalonym na ciemny brąz rękom i twarzy nic nie groziło, lecz reszty ciała nigdy nie wystawiał na słońce, więc pierś i ramiona już paliły go jak ogniem. Usiłował otworzyć oczy, ale widział tylko na lewe;

prawe było zapuchnięte. Miał spierzchnięte wargi i suchy język.

Ręce bolały go i były niemal purpurowe. Staął na nogach i wyprostował się, aby ulżyć spuchniętym przegubom. Natychmiast ktoś uderzył go pięścią w brzuch i Waylander skrzywił się, przygryzając wargę tak, że pociekła z niej krew.

– Czekają cię piękne chwile, ty okrągłooki synu dziwki – powiedział ktoś.

Waylander przechylił głowę i ujrzał przed sobą niewysokiego młodzieńca z tłustymi włosami zawiązanymi w koński ogon i twarzą posypaną żałobnym popiołem. Kiedy odwrócił głowę, tamten uderzył go ponownie.

– Zostaw go! – rozkazał Kęsa Khan.

– Jest mój.

– Rób, co mówię, Gorkai – rzekł starzec.

– Musi umrzeć w męczarniach i służyć memu ojcu w Otchłani.

Młodzieniec odszedł, a Waylander spojrzał na starca.

– Dobrze zrobiłeś, Złodzieju Dusz, pozbawiając życia głupca, który ściągnałby na nas zgubę.

Waylander nie odpowiedział. W ustach miał pełno krwi, która zwilżyła mu wyschnięty język i gardło.

Kęsa Khan uśmiechnął się.

– Krew cię nie napoi. Dzisiaj zabierzemy cię na pustynię, gdzie będziemy patrzeć, jak płonące piaski zabierają twoją duszę.

Dzień mijał powoli i ból narastał. Waylander zamknął umysł przed cierpieniem i usiłował zachować spokój, oddychając głęboko i powoli, zachowując resztki sił na tę chwilę, kiedy Nadirowie go rozwiążą. Jeśli chcą go wywieźć na pustynię, będą musieli odwiązać go od pala – a wtedy zaatakują ich i zmusi, żeby go zabili.

Błądził myślami, wspominając minione lata. Znów ujrzał młodego, idealistycznego Dakeyrasa; chłopca, który został żołnierzem i służył w armii Oriena, Króla-Wojownika z Brązu. Wspominał ten dzień, gdy Orien poprowadził swoje zwycięskie wojska ulicami Drenanu, a tłumy wiwatowały i obrzucały go kwiatami. Król, w zbroi lśniącej w ostrym słońcu, wydawał się dziesięcioletniemu Dakeyrasowi olbrzymem. Orien trzymał przed sobą trzyletniego syna i chłopczyk, przestraszony zgiełkiem, zalał się łzami. Wtedy Król wziął go w ramiona i ucałował.

Dakeyras radował się tym przejawem ojcowskiej troski.

Jego umysł podsunął mu teraz inne wspomnienie: chwilę, gdy Król Niallad padł z beltem kuszy w plecach. Ten obraz przywołał go do rzeczywistości i znów poczuł ból. W jaki sposób szlachetny młodzieniec stał się bezlitosnym zabójcą? Bolały go przeguby i zdał sobie sprawę, że znów ugięły się pod nim nogi; z trudem wyprostował się i otworzył oko. Otaczała go gromadka ich dzieciaków i jeden z nich uderzył go kijem w nogę. Nadiryjski wojownik podszedł do nich i obalił chłopca celnym kopniakiem.

Waylander znów pogрузzył się w myślach. Serce ścisnęło mu się, gdy powrócił obraz chłopca trzymanego przez dumnego ojca. Pocałowany chłopczyk uspokoił się i uśmiechnął, naśladowując zachowanie Króla, machającego tłumom. Mały Niallad, nadzieja Drenajów. Pewnego dnia, myślał wtedy Dakeyras, będę mu służył tak, jak mój ojciec służy Orienowi.

– Waylanderze – usłyszał głos i ponownie otworzył oko. Nie zobaczył nikogo, lecz wciąż słyszał ten głos, głęboko w swoim umyśle. – Zamknij oczy i odpręż się.

Waylander usłuchał i ból ustał, gdy zabójca zapadł w sen. Zobaczył, że stoi na nagim wzgórzu pod obcymi gwiazdami, jasnymi, wielkimi i idealnie okrągłymi. Na niebie świeciły dwa księżycy – jeden srebrny, a drugi z błękitnymi i zielonymi żyłkami, jak marmur. Na stoku siedział Orien, młodszy i bardziej podobny do króla ze wspomnień Waylandera.

– Chodź tu i usiądź przy mnie.

– Czy umarłem?

– Jeszcze nie, lecz śmierć jest blisko.

– Zawiodłem cię.

– Próbowaleś – nie można żądać więcej.

– Zabili kobietę, którą kochałem.

– A ty zemściłeś się. Poczuleś ulgę?

– Nie. Nie czułem niczego.

– Tę prawdę powinieneś zrozumieć przed wieloma laty, kiedy tropiłeś ludzi, którzy wymordowali twoją rodzinę. Jesteś słabym człowiekiem, Waylanderze, pozwalając wypadkom tak manipulować sobą. Jednak nie jesteś zły.

– Zabiłem twego syna. Za pieniądze.

– Tak. Nie zapomniałem.

– Może to śmiesznie zabrzmie, jeśli powiem, że żałuję tego, ale tak jest.– To wcale nie jest

śmieszne. Zło nie jest jak skała, trwałe i nieruchome – jest jak toczący ciało rak. Nigdy nie zapomnisz pierwszego człowieka, którego zabiłeś, ale za całe złoto świata nie przypomnisz sobie dziesiątego.

– Pamiętam dziesiątego – rzekł Waylander. – Był rabusiem imieniem Kityan, półkrwi Nadirem. Dopadłem go w miasteczku na wschód od Skeln...

– I zabiłeś gołymi rękami, wylupiwszy mu najpierw oczy.

– Tak. Był jednym z tych, którzy zabili moją żonę i dzieci.

– Powiedz mi, dlaczego nie szukałeś Danyal wśród trupów?

Waylander odwrócił głowę i przełknął ślinę.

– Widziałem już jedną kochaną kobietę po tym, jak ją zamordowano. Nie chciałem oglądać tego po raz drugi.

– Gdybyś znalazł w sobie siłę do poszukiwań, nie byłbyś teraz przywiązany do tego pala. Ona żyje, bo uratował ją Durmast.

– Nie!

– Czy okłamałbym cię, Waylanderze?

– Możesz pomóc mi uciec?

– Nie.

– Zatem umrę.

– Tak – rzekł ze smutkiem Orien. – Umierasz, ale bezboleśnie.

Waylander kiwnął głową, lecz zaraz poderwał ją.

– Teraz?

– Oczywiście.

– Zwróć moją duszę, do diaska!

– Chcesz wrócić na męki i śmierć?

– To moje życie, Orienie. Moje! Zznałem bólu i potrafię go znieść, lecz nie poddam się – aż do śmierci. Ani tobie, ani Nadirom, ani nikomu. Zwróć moją duszę ciału!

– Zamknij oczy, Waylanderze, i przygotuj się na ból.

Waylander jęknął z głębi suchego, opuchniętego gardła. Usłyszał czyjś śmiech i otworzywszy oko, ujrzał zgromadzony wokół tłumek.

Młody wojownik, Gorkai, uśmiechał się z zadowoleniem.

– Mówiłem wam, że żyje. Doskonale! Dajcie mu pić – chcę, żeby czuł każde cięcie.

Przysadzisty wojownik odchylił Waylanderowi głowę i wlał mu do ust wodę z kamiennego dzbana. Zabójca z początku nie mógł łykać, więc pozwalał, by cienki strumyk ściekał mu do gardła.

– Wystarczy! – powiedział Gorkai. – Wiedz, zabójco, że ponacinamy twoje ciało i wysmarujemy je miodem. A potem zakopimy cię przy mrowisku. Rozumiesz?

Waylander nie odpowiedział. Miał usta pełne wody i co chwila przełykał odrobinę, zwilżając wyschnięte gardło.

Gorkai wyjął zakrzywiony nóż i zrobił krok naprzód, lecz przystanął i odwrócił się, słysząc tętent kopyt. Tłum rozstał się na boki, gdy jakiś jeździec wpadł galopem do obozu; Waylander spojrzał nań, lecz przybysz miał słońce za plecami.

Na widok jeźdźca Nadirowie rozpierzchnęli się, a Gorkai, osłaniając oczy dłonią, wrzasnął: – Zabić go!

Nadirowie skoczyli po broń; Gorkai ścisnął nóż i obrócił się do Waylandera. Błysnęło ostrze... Bełt kuszy świsnął w powietrzu, trafił go w skroń i Nadir runął na ziemię. Jeździec ściągnął wodze przy słupie i jednym ciosem miecza przeciął sznury kępujące przeguby Waylandera. Zabójca zatoczył się, odzyskał równowagę i ruszył do konia, gdy nadbiegli dwaj Nadirowie ze sztyletami w rękach. Wypuściwszy z ręki kuszę, jeździec pochwycił Waylandera i przerzucił go przez siodło; potem zamachnął się mieczem i obaj wojownicy odskoczyli. Strzały zaświstały w powietrzu, a przybysz spiął konia do galopu.

Łęk siodła wbijał się Waylanderowi w bok i zabójca o mało nie spadł z pędzącego ku wzgórzom rumaka. Namioty szybko zostawały w tyle, lecz dwukrotnie widział między nimi ich wojowników napinających łuki. Koń ciężko dyszał, gdy wjechali między drzewa. Z tyłu dobiegał tętent kopyt i przeraźliwe wrzaski pogoni. Jeździec zatrzymał rumaka w dolince i zrzucił Waylandera na ziemię. Zabójca runął jak wór mąki, lecz zaraz klęknął; ręce miał nadal związane. Podniósł je, a Cadoras zamachnął się mieczem; ostrze przecięło sznury. Waylander rozejrzał się, zobaczył swojego wierzchowca uwiązanego do krzaka, z ubraniem i bronią przy siodle. Pod drzewem leżał nagi trup wojownika, którego zabił minionej nocy. Pokuśtykał do konia, odwiązał go i z trudem dosiadł. Nie tracąc ani chwili, ruszyli, trzymając się wąskiego szlaku biegnącego między drzewami.

Nadirowie zbliżali się i strzały zaczęły przelatywać niebezpiecznie blisko uciekających. Po chwili obaj zbiegowie wyjechali spomiędzy drzew i znaleźli się na odsłoniętej przestrzeni.

– Mam nadzieję, że twój koń umie skakać – krzyknął Cadoras.

Waylander wyteżył wzrok i z dreszczem lęku zobaczył, że szlak kończy się nagle na krawędzi urwiska. Cadoras ubódl konia ostrogami. – Za mną! – zawołał.

Jego kary ogier przeleciał nad przepaścią, a Waylander uderzył obcasami boki konia i poszedł w ślady Cadorasa. Rozpadlina miała niecałe dziesięć stóp szerokości. Rumak Cadorasa wylądował po drugiej stronie, ślizgając się na piargu; wierzchowiec Waylandera o mało nie runął w przepaść, ale jeździec jakoś utrzymał się w siodle. Jego koń ledwie zdołał przeskoczyć szczelinę, przeniósł go jednak na drugą stronę i dalej, poza zasięg strzał.

Obaj jeźdźcy wjechali w skalny labirynt sterczących głazów i górskich strumieni. Waylander zachwiał się w siodle, a potem zdjął z lęku manierkę i napił się. Potem sięgnął po swój płaszcz i narzucił go na spieczone ramiona. Przed zmrokiem, gdy dotarli do kępy drzew, Cadoras nagle zsunął się z konia. Waylander zsiadł, uwiązał rumaka i klęknął przy leżącym. Dopiero wtedy zobaczył trzy strzały sterczące z pleców Cadorasa. Płaszcz zabójcy był mokry od krwi. Waylander delikatnie posadził rannego i oparł jego głowę na swoim ramieniu. Zerknąwszy w dół, ujrzał czwartą strzałę wbitą głęboko w lewy bok Cadorasa.

Ranny otworzył oczy.

– Niezłe miejsce na obóz – szepnął. – Dlaczego po mnie wróciłeś?

– Kto to wie? Daj mi pić.

Waylander delikatnie oparł umierającego o pień drzewa, a potem poszedł po manierkę. Cadoras pił chciwie.

– Śledziłem cię. Znalazłem Nadira, którego zabiłeś, i zobaczyłem, że wzięłeś jego ubranie. Wtedy domyśliłem się, że zamierzasz zrobić coś głupiego.

– Równie głupiego jak zaatakowanie w pojedynkę całego obozu Nadirów?

Cadoras zachichotał i skrzywił się.

– To było głupie, no nie? Jednak ja nigdy nie byłem bohaterem. Pomyślałem, że spróbuję choć raz – chyba już nigdy tego nie zrobię.

– Chcesz, żebym wyjął ci te strzały?

– Po co? Rozerwałbyś mnie na strzępy. Czy wiesz... przez te wszystkie lata tylko raz byłem ranny... powierzchowne cięcie, po którym została mi ta okropna szrama. Dziwne, prawda? Przez całe życie robiłem okropne rzeczy, a kiedy raz chciałem zrobić dobry uczynek, zostałem zabity. Nie ma sprawiedliwości!

– Dlaczego to zrobiłeś? Powiedz mi.

Cadoras odchylił głowę i zamknął oczy.

– Sam chciałbym wiedzieć. Myślisz, że istnieje niebo?

– Tak – skłamał Waylander.

– Czy sądzisz, że jeden czyn może zmasać całe niegodziwe życie?

– Nie wiem. Mam nadzieję.

– Pewnie nie. Wiesz, że nigdy nie byłem żonaty? Nigdy nie spotkałem nikogo, kto by mnie lubił. Nic dziwnego – sam też nie przepadam za sobą. Posłuchaj – nie ufaj Durmastowi, on cię sprzedał. Wziął pieniądze od Kaema za dostarczenie Zbroi.

– Wiem.

– Wiesz? I jedziesz z nim?

– Życie to zagadka – odparł Waylander. – Jak się czujesz?

– Zabawne pytanie. Nie czuję nóg, a plecy pieką mnie jak diabli. Czy miałeś kiedyś przyjaciół, Waylanderze? – Tak. Dawno temu.

– Czy to miłe uczucie?

– Tak.

– Wyobrażam sobie. Chyba powinieneś już iść. Nadirowie wkrótce tu będą.

– Zostanę tu jeszcze chwilę.

– Nie bądź taki szlachetny! – warknął Cadoras. – Jedź i znajdź tę Zbroję! Nie chciałbym umierać na darmo. I weź mojego konia – nie chcę, żeby jeździł na nim jakiś zjadacz psów. Tylko uważaj na niego, bo to złośliwa bestia; może odgryźć ci rękę.

– Będę uważał. – Waylander chwycił dłoń Cadoras, i uściśnął ją. – Dziękuję, przyjacielu.

– Jedź już. Chcę umrzeć w samotności.

Rozdział 17

Drenajski oficer, Sarvaj, spał głębokim snem. Skulił się w zagłębieniu murów, owinięty grubym kocem, oparłszy głowę na rozdartych jukach, które znalazł opodal stajni. Było mu zimno i czuł każde ogniwo kolczugi, nawet przez skórzany kaftan i wełnianą koszulę. Spanie w zbroi nigdy nie było wygodne, lecz na deszczu i wietrze stawało się nie do zniesienia. Sarvaj obrócił

się, zahaczając uchem o mosiężną sprzączkę; zaklął i usiadł, sięgając po nóż. Po kilku minutach przeciął mokry rzemień i cisnął zawadzającą klamrę za mur.

Po niebie leniwie przetoczył się grom i nowa fala deszczu smagnęła szare kamienne ściany. Sarvaj pożałował, że nie ma nieprzemakalnej brezentowej peleryny, choć i ta nie ochroniłaby go w takiej burzy. Obok spali Vanek i Jonat, szczęśliwie nieświadomi kiepskiej pogody. Prawdę mówiąc, powitali deszcz z zadowoleniem, ponieważ uniemożliwił nocne ataki nękające obrońców.

Błyskawica przecięła niebo, oświetlając kasztel, sterczący wśród szarych granitowych skał jak złamany ząb. Vagryjskie triremy kołysały się i szarpały na kotwicach we wzburzonych wodach zatoki. W porcie stało ponad czterdzieści statków i armia Kaema liczyła prawie sześćdziesiąt tysięcy wojowników – co świadczyło, zdaniem Karnaka, o rosnącej rozpaczycy Vagryjczyków.

Sarvaj nie był tego taki pewien. W ciągu ostatnich czternastu dni poległo prawie tysiąc żołnierzy, a drugie tyle nie nadawało się do walki w wyniku ciężkich ran. Kiedy wiatr zmieniał się, słychać było krzyki leżących w szpitalu.

Elbanowi, dobremu żołnierzowi, amputowano zgangrenowaną nogę, lecz i tak umarł w trakcie bolesnej operacji. Sidrikowi, znanemu żartownisiowi, strzała przeszła gardło. Pamięć podsuwała Sarvajowi kolejne nazwiska i strzępy wspomnień.

A Gellan był taki zmęczony. We włosach lśniły mu srebrne nitki, oczy miał wpadnięte i przekrwione. Tylko Karnak wcale się nie zmienił. Trochę schudł, ale wciąż był potężnej postury. Poprzedniego dnia, podczas krótkiej przerwy w walce, przyszedł na odcinek Sarvaja.

– Kolejny dzień przybliży nas do zwycięstwa – powiedział z szerokim uśmiechem nadającym mu chłopięcy wygląd.

– Mam nadzieję – rzekł Sarvaj, ocierając miecz z krwi i chowając go do pochwy. – Traci pan na wadze, generale.

– Zdradzę ci sekret: chudzielec nie wytrzymałby takiego tempa! Mój ojciec był dwa razy grubszy i dożył prawie setki.

– Byłoby miło – odparł z uśmiechem Sarvaj. – Ja chciałbym dożyć dwudziestych piątych urodzin.

– Nie pokonają nas; nie mają na to jaj!

Uprzejmość nakazywała przytaknąć i Karnak odszedł, szukając Gellana.

Teraz Sarvaj słuchał odgłosów burzy; wydawała się odchodzić na wschód. Przechodząc przez śpiących żołnierzy, dotarł do wschodniej wieży bramnej i wszedł po krętych schodach. Tutaj też spali ludzie, szukający suchego miejsca. Nadepnął komuś na nogę, lecz mężczyzna tylko mruknął coś i nie obudził się.

Wyszedłszy na basztę, Sarvaj zobaczył Gellana siedzącego na kamiennym stopniu i spoglądającego na zatokę. Ulewa przeszła w drobną mżawkę, jakby jakiś mroczny bóg zrozumiał, że do świtu pozostała ledwie godzina, a Vagryjczycy potrzebują dobrej pogody, żeby piąć się na mury.

– Nigdy nie śpisz? – spytał Sarvaj.

Gellan uśmiechnął się.

– Jakoś nie czuję potrzeby. Od czasu do czasu zdrzemnę się chwilę.

– Karnak mówi, że zwyciężamy.

– To dobrze. Zacznę się pakować.

Sarvaj opadł na stopień obok niego.

– Wydaje mi się, że jesteśmy tu od zawsze – jakby wszystko, co zaszło wcześniej, było tylko snem.

– Znam to uczucie.

– Wczoraj zaatakowali mnie dwaj wrogowie jednocześnie, a ja zabiłem ich obu, myśląc o zeszłorocznej zabawie tanecznej w Drenanie. To było niesamowite doświadczenie, jakby moje ciało działało samodzielnie, pozwalając błędzić myślom.

– Nie pozwól, aby odeszły za daleko, przyjacielu. Nikt z nas nie jest nietykalny.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu; Gellan położył głowę na kamieniach i przysnął. Potem Sarvaj odezwał się znowu:

– Czy nie byłoby miło zbudzić się w Drenanie?

– Żegnaj, zły śnie?

– Tak... Dzisiaj umarł Sidrik.

– Nie słyszałem.

– Strzała w gardle.

– Szybko?

– Tak, mam nadzieję, że umarł szybko.

– Jeśli mi umrzesz, wstrzymam ci żołądek – zagroził Gellan.

– Pamiętam to słowo. Czy to coś, co dostawaliśmy, zanim świat zwariował?

– Tylko pomyśl, jaki będziesz bogaty, kiedy to się skończy!

– Skończy?... – mruknął Sarvaj, gwałtownie tracąc poczucie humoru. – To się nigdy nie skończy. Nawet jeśli zwyciężymy, czy sądzisz, że zdołamy przebaczyć Vagryjczykom? Zmienimy ich ziemie w pogorzelnisko i zobaczymy, jak im się to spodoba.

– Właśnie tego chcesz?

– W tej chwili? Tak. Jutro... zapewne nie. Co by to dało? Zastanawiam się, jak idzie Egelowi?

– Dardalion mówi, że za miesiąc spróbują się przebić. A Lentryjczycy rozbili armię Vagryjczyków i wkroczyli na ziemię Drenajów. Pamiętasz starego Ironlatcha?

– Tego starca na bankiecie?

– Tak.

– Tego, który nie miał zębów i musiał jeść zupę i miękki chleb?

– Właśnie. On dowodzi lentryjską armią.

– Nie wierzę! Wszyscy śmialiśmy się z niego.

– Śmieszny czy nie, odparł ich.

– Na pewno nie mogą się z tym pogodzić. Nie przywykli do porażek.

– To ich słabość – rzekł Gellan. – Człowiek czy armia musi od czasu do czasu przegrać. Tak jak żelazo hartuje się w ogniu – jeśli nie pęknie, będzie mocniejsze.

– Karnak nigdy nie przegrał.

– Wiem.

– Czy twoja filozofia sprawdza się i w jego przypadku?

– Zawsze zadajesz trudne pytania. Tak, myślę, że tak. Kiedy Karnak mówi o rychłym zwycięstwie, szczerze w nie wierzy.

– A ty?

– Jesteś moim przyjacielem, Sarvaju, więc nie będę cię okłamywał. Mamy szansę – nic więcej.

– Nie mówisz mi niczego, o czym nie wiem. Natomiast chcę dowiedzieć się jednego: czy sądzisz, że możemy zwyciężyć?

– Dlaczego moje przewidywania miałyby być słuszniejsze niż Karnaka?

– Ponieważ ci ufam. – A ja cenię sobie to zaufanie, ale nie mogę ci odpowiedzieć.

– Myślę, że już to zrobiłeś.

Wysoko w kasztelu Karnak zaczął tracić cierpliwość do chirurga, Evrisa. Z trudem powstrzymując gniew, przeciął spór, waląc pięścią w stół.

– Nie pozwolę wprowadzić rannych do kasztelu! Rozumiesz? Jak mam ci to powiedzieć, Evrisie? Czy nie wyrażam się dostatecznie jasno?

– Och, najzupełniej, generale. Mówię ci, że ludzie niepotrzebnie umierają tuzinami – a ciebie to nie obchodzi.

– Nie obchodzi? Oczywiście, że mnie obchodzi! – ryknął Karnak. – Ty zuchwały pokurczu! Audiencja skończona. Wynoś się!

– Audiencja, generale? Myślałem, że udzielają ich królowie. Nie rzeźnicy!

Karnak dwoma krokami okrążył stół i złapał drobnego lekarza za zakrwawiony fartuch. Poderwany w powietrze Evris zawisł przed rozwścieczonym żołnierzem. Ten trzymał go tak przez kilka sekund, a potem rzucił nim o drzwi. Evris uderzył w nie i osunął się na podłogę.

– Wynoś się, zanim cię zabiję – syknął Karnak.

Dundas, który w milczeniu obserwował tę scenę, podniósł lekarza z podłogi i pomógł mu wyjść na korytarz.

– Posunąłeś się za daleko, lekarzu – powiedział cicho. – Jesteś ranny?

Evris wyrwał się z objęć Dundasa.

– Nie, nic mi się nie stało, Dundasie. Gangrena nie rozchodzi się po moich kończynach. Robaki nie roją się w moich ranach.

– Spróbuj spojrzeć na to z innego punktu widzenia – nalegał Dundas. – Mamy wielu wrogów, a jednym z najgroźniejszych jest widmo zarazy. Nie możemy wprowadzić rannych do kasztelu.

– Sądysz, że nie jestem w stanie pojąć strategii i dlatego chcesz karmić mnie takimi prymitywnymi przykładami jak twój wódz? Wiem, co myśli, lecz szanowałbym go znacznie bardziej, gdyby szczerze to wyznał. Nie zdołamy długo bronić murów. Żołnierze wycofają się do kasztelu. Karnak chce mieć w nim tylko zdolnych do walki wojowników – nie potrzeba mu tam tysiąca czy więcej rannych, których trzeba karmić... poić... myć i leczyć.

Dundas nic nie powiedział i Evris się uśmiechnął.

– Dziękuję, że się nie spierasz. Kiedy się wycofacie, Vagryjczycy zabiją wszystkich rannych – wymordują ich w łózkach.

– Karnak nie ma wyboru.

– Wiem o tym, niech cię szlag!

– Zatem dlaczego się z nim spierałeś?

– Ponieważ on tu dowodzi! On za to odpowiada; takie są konsekwencje władzy. A także dlatego, że nim gardzę.

– Jak możesz tak mówić o kimś, kto walczy w obronie wszystkiego, czym żyłeś?

– W obronie? Tego, czym żyłem, nie można obronić mieczem. Nie możesz tego pojąć, prawda, Dundasie? Nie ma żadnej różnicy między Karnakiem a Kaemem. Są jak bracia. Jednak nie mogę stać tu i bawić cię rozmową, kiedy umierają ludzie.

Pokuśtykał korytarzem, ale odwrócił się jeszcze przy schodach.

– Dziś rano znalazłem trzech martwych ludzi w piwnicy pod stajnią, gdzie musiałem ich położyć. Szczury pożarły ich żywcem.

Odszedł, a Dundas westchnął i wrócił do komnaty generała. Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi. Karnak siedział za stołem. Nadal był wściekły.

– Nędzny robak! – stwierdził, gdy Dundas wszedł do środka. – Jak śmiał tak do mnie mówić? Kiedy będzie po wszystkim, oddam go pod sąd.– Nie, generale – rzekł Dundas. – Nagrodzisz go medalem i przeprosisz.

– Nigdy. Oskarżył mnie, że zmusiłem Degasa do samobójstwa i nie dbam o moich ludzi.

– To doskonały lekarz i dobry człowiek. Ponadto wie, dlaczego nie pozwalasz umieścić rannych w kasztelu.

– Skąd? Skąd wie?

– Ponieważ on też jest żołnierzem.

– Jeśli wie, to dlaczego, do diabła, na mnie napada?

– Nie mam pojęcia, generale.

Karnak uśmiechnął się i gniew mu przeszedł.

– Jak na takiego mikrusa, dzielnie stawił mi czoło.

– Spisał się całkiem nieźle.

– Dam mu tylko mały medal – i żadnych przeprosin. A teraz powiedz, jak stoimy z wodą?

– Przenieśliśmy sześćset beczek do kasztelu. Tyle mamy.

- Na jak długo nam to wystarczy?
- To zależy, ilu zostanie nam ludzi.
- Powiedzmy, że wycofają się dwa tysiące?
- W przybliżeniu na sześć tygodni.
- To za mało, o wiele za mało. Dlaczego Egel się nie przebija?
- Jeszcze nie nadszedł czas; nie jest gotowy.
- Jest zbyt ostrożny.
- On wie, co robi, generale. To rozsądny człowiek.
- Brak mu polotu.
- Chce pan powiedzieć, że nie jest zuchwały?
- Nie mów mi, co myślę – warknął Karnak. – Odejdź i odpocznij trochę.

Dundas wrócił do swojej kwatery i położył się na wąskim łóżku. Nie było sensu zdejmować zbroi; do świtu pozostała niecała godzina.

Zapadając w sen, zobaczył w myślach Karnaka i Egela. Obaj byli potężnymi ludźmi. Karnak był jak burza, dramatyczny i inspirujący, podczas gdy Egel bardziej przypominał wzburzone morze – głębokie, ciemne i śmiertelnie groźne. Nigdy nie będą przyjaciółmi. Nigdy nie zostaliby przyjaciółmi.

Wizje rozwiały się, zastąpione przez tygrysa i niedźwiedzia otoczonego przez warczące wilki. Zaatakowane przez wspólnego wroga, te dwa zwierzęta walczyły razem.

Cóż się jednak stanie, gdy wilki uciekną?

Sarvaj zapiął pasek hełmu i naostrzył miecz na czarnej osetce. Obok niego Jonat w milczeniu patrzył na nieprzyjaciół nadbiegających z drabinami i zwojami lin. Na murach stało niewielu łuczników, ponieważ zapasy strzał mocno skurczyły się przez ostatnie trzy dni.

– Wiele bym dał, żeby siedzieć na koniu wśród pięciu tysięcy legionistów – mruknął Vanek, spoglądając na szeregi piechoty sunące ku twierdzy.

Sarvaj kiwnął głową. Szarża kawaleryjska przeszłaby przez oddziały nieprzyjaciela jak lanca przez poleć słońiny. Pierwsi Vagryjczycy dotarli do murów i obrońcy cofnęli się o kilka kroków, gdy ciężkie żelazne haki, zaczepiając się, przeleciały nad blankami.

– Zaczyna się kolejny dzień – rzekł Vanek. – Można by pomyśleć, że już powinni mieć dość.

Czekając na pojawienie się pierwszego żołnierza, Sarvaj błędził myślami. Dlaczego ktoś zawsze chce iść pierwszy? Pierwsi zawsze giną. Zastanawiał się, jakby się czuł jako napastnik, stojący u stóp muru. O czym myśleli, pnąc się po drabinach ku śmierci? Na murze pojawiła się dłoń, grube palce chwyciły kamień. Vanek ciął mieczem i odrębana dłoń upadła pod nogi Sarvaja, kurczowo zaciskając palce. Podniósł ją i rzucił za mur. Pojawili się kolejni wojownicy i Sarvaj pchnął, wbijając ostrze w usta napastnika, aż wyszło przez kark. Wyszarpnął miecz i szerokim cięciem rozplątał gardło następnego Vagryjczyka. Walka jeszcze się dobrze nie zaczęła, a już bolało go ramię.

Przez godzinę wróg nie zdołał zdobyć przyczółka na murach; potem olbrzymi wojownik wdarł się na mur na zachód od wieży bramnej, torując drogę innym. Następni Vagryjczycy weszli na mur i sformowali klin. Gellan dostrzegł niebezpieczeństwo i z pięcioma żołnierzami wypadł z wieży, przeprowadzając błyskawiczny kontratak z flanki. Potężny Vagryjczyk obrócił się i wymierzył straszliwy cios wysokiemu Drenajowi. Gellan uchylił się i ciął mieczem w bok przeciwnika. Ten jęknął, ale utrzymał się na nogach. Jego ostrze opadło ze świstem, lecz Gellan zablokował i natarł.

– Zabijecie! – wrzasnął Vagryjczyk.

Gellan nie odpowiedział. Napastnik rzucił się na niego, ale drenajski oficer wykonał zręczny unik i odpowiedział pchnięciem w gardło. Wojownik upadł, dławiąc się własną krwią, lecz zdołał jeszcze zadać ostatni cios, raniąc w nogę żołnierza walczącego obok Gellana. Klin Vagryjczyków rozsypał się i Gellan natarł nań, wyjmując sztylet. Pchnął pierwszego napastnika, który stanął mu na drodze, i wojownik runął z muru, by roztrzaskać się na skałach w dole. Gellan słyszał głos Sarvaja, zagrzewającego żołnierzy do ataku. Powoli wyparto Vagryjczyków i oczyszczono mur – tylko po to, by trzydzieści kroków dalej wróg zdobył nowy przyczółek.

Tym razem Karnak poprowadził kontratak, waląc obosiecznym toporem, którym przecinał zbroje, łamiąc zebra i kończyny przeciwników.

Sarvaj potknął się o czyjeś ciało i runął jak długi, uderzając głową o kamienne stopnie. Przetoczywszy się na plecy, ujrzał błysk opadającego ostrza.

Inne ostrze odbiło cios i miecz uderzył w kamień obok głowy Sarvaja. Ten zerwał się na równe nogi, gdy Vanek zabił napastnika, ale nie zdążył mu podziękować, gdyż obaj znów rzucili się w wir walki.

Miarowy łomot zagłuszył szcęk stali i Sarvaj zrozumiał, że wróg znów używa tarana,

którego mosiężna głowa wali o okute żelazem dębowe wrota. Słońce prażyło z bezchmurnego nieba i czuł słony pot zalewający mu oczy.

W południe odparli atak i Vagryjczycy wycofali się, zabierając ze sobą rannych, podczas gdy drenajscy noszowi znieśli ranionych na dziedziniec. W środku nie było już dla nich miejsca.

Inni żołnierze chodzili wzdłuż muru, niosąc wiadra wody, z których obrońcy napełniali manierki. Jeszcze inni zmywali krew z murów i posypywali je trocinami.

Sarvaj posłał trzech swoich ludzi po chleb i ser dla oddziału, a potem usiadł i zdjął hełm. Przypomniawszy sobie o Vaneku, który ocalił mu życie, i rozejrzawszy się, ujrzał go siedzącego pod murem obok bramy. Z trudem podniósł się z ziemi i podszedł do niego.

– Ciężki dzień – rzekł.

Vanek uśmiechnął się ze znużeniem.

– Będzie jeszcze cięższy.

– Dziękuję za uratowanie mi życia.

– Drobiazg. Szkoda, że nikt nie zrobił tego dla mnie.

Sarvaj zobaczył, że Vanek siedzi w kałuży krwi, przyciskając dłoń do boku, i twarz ma poszarzałą z bólu.

– Zawolałam noszowych – powiedział Sarvaj, podnosząc się.

– Nie... nie ma po co. A zresztą, nie chcę, by w nocy pożarły mnie szczury. Nie ma sensu – nie czuję bólu, a mówiono mi, że to zły znak.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie przejmuj się tym. Słyszałeś, że opuściłem moją żonę?

– Tak.

– Głupio zrobiłem. Za bardzo ją kochałem, żeby patrzeć, jak się starzeje. I wiesz co? Zadałem się z młodą kobietą. Z piękną dziewczyną. Zabierała mi każdy grosz, a na boku miała młodego kochanka. Dlaczego musimy się starzeć?

Sarvaj nie odpowiedział, tylko przysunął się bliżej, gdyż głos Vaneka opadł do szeptu.

– Rok temu uniknąłbym tego ciosu. Teraz jestem za powolny... ale zabiłem tego drania. Obróciłem się, przytrzymując ostrze, i rozplątałem mu jego przekłute gardło. Myślę, że zabił mnie ten unik. Wiesz co? Chciałbym, żeby była tu teraz moja żona! Czy to nie głupota? Chcieć, żeby widziała ten rozlew krwi i śmierć? Powiedz jej ode mnie, Sarvaju – powiedz, że myślałem o niej. Była kiedyś taka piękna. Ludzie są jak kwiaty... Bogowie! Spójrz na to!

Sarvaj odwrócił się, ale niczego nie dostrzegł.

– Co takiego?

Jednak Vanek już nie żył.

– Wracają! – krzyknął Jonat.

Rozdział 18

Waylander zaznał w życiu wiele bólu i zawsze uważał, że jest w stanie znieść każde cierpienie, jakie może przynieść mu los. Teraz zmienił zdanie. Miał wrażenie, że tysiąc pszczoł roi się po jego spieczonej skórze, gryząc i żądłąc, a głowa kiwała mu się w rytmie wstrząsających ciałem mdłości.

Z początku, gdy odjeżdżał z polanki, na której pozostawił Cadorasa, ból był jeszcze znośny, ale teraz, z nadejściem nocy, stał się nie do zniesienia. Nowa fala bólu sprawiła, że jęknął, przeklinając swoją słabość. Usiadł, drżąc, po czym przeszedł w głąb jaskini, gdzie trzęsącymi się rękami odłupał trochę kory z gałęzi i rozpalił ogień. Jego konie, uwiązane w głębi jaskini, zarżały i ten odgłos otrzeźwił go. Wstał, zachwiał się, lecz zaraz odzyskał równowagę. Podeszedł do wierzchowców i poklepał je po szyjach. Odwiązawszy zrolowany koc od siodła, okrył nim grzbiet rumaka i wrócił do ogniska.

Podrzucił trochę grubszych gałęzi, po chwili poczuł ożywcze ciepło rozchodzące się po ciele i powoli zdjął koszulę, krzywiąc się, gdy materiał podrażnił mu pęcherze na ramionach. Otworzył skórzany mieszek przy pasie i wyjął długie zielone liście, nazbierane przed zmrokiem. Lorassium było niebezpieczne w użyciu. W małych ilościach łagodziło ból i zsyłało kolorowe sny; w dużych zabijało. A Waylander nie miał pojęcia, ile liści powinien użyć – ani jak przygotować lek. Zgniół liść w dłoni i powąchał, a potem włożył go do ust. Poczul gorycz i zakrztusił się. Zakręciło mu się w głowie, ale żuł jeszcze energiczniej. Kiedy po dziesięciu minutach nie poczuł żadnej ulgi, zjadł drugi liść.

Płomyki zatańczyły nad ogniskiem, skręcając się w piruetach wysoko i wyciągając sypiące iskrami ramiona, ściany jaskini zatrzeszczały i rozstały się, a Waylander zachichotał, gdy jego koniom wyrosły rogi oraz skrzydła. Przestał się śmiać, widząc, że ręce ma pokryte łuskami i szponiaste. Z ognia wyłoniła się twarz, szeroka, piękna, okolona płomiennymi włosami.

– Czemuż mi się sprzeciwiasz, człowieku? – spytał ogień.

– Kim jesteś?

– Jestem Gwiazdą Poranną, Panem Ciemnego Światła.

Waylander odchylił się i rzucił patykiem w twarz. Z ust zjawy trysnął ogień i pochłonął gałązkę; Waylander zauważył rozdwojony płomienny język.

– Znam cię – rzekł zabójca.

– Powinieneś, dziecko, gdyż służyłeś ci przez wiele lat. Zasmuca mnie, że teraz chcesz mnie zdradzić.

– Nigdy ci nie służyłem. Zawsze byłem wolny.

– Tak sądzisz? A więc zostawmy ten temat.

– Nie – powiedz swoje.

– A o czym tu mówić, Waylanderze? Tropiłeś i zabijałeś przez wiele lat. Myślisz, że twoje czyny pomagały Źródłu? Służyły dziełu Chaosu. Mojej sprawie! Jesteś mój, Waylanderze – zawsze byłeś mój. A ja na swój sposób chroniłem cię, odbijałem ostrza wymierzone w mroku. Nawet teraz chronię cię przed wojownikami, którzy poprzysięgli pożreć twoje serce.

– Dlaczego miałbyś to robić?

– Jestem dobrym przyjacielem tych, którzy mi służą. Czy nie posłałem Cadorasa, żeby pomógł ci w potrzebie?

– Nie wiem. Wiem jednak, że jesteś Księciem Oszustów, więc wątpię w to.– Ostre słowa, śmiertelniku. Słowa śmierci, jeśli tak mi się spodoba.

– Czego ode mnie chcesz?

– Chcę, żebyś pozbył się tego brzemienia. Nie jesteś już tym, kim byłeś, od kiedy udzieliła ci się słabość Dardaliona. Mogę uwolnić cię od tego – prawie to zrobiłem, kiedy tropiłeś Butaso – lecz teraz widzę, że znów rośnie w twoim sercu, jak rak.

– A jak uwolniłbyś mnie od tego brzemienia?

– Wystarczy, że powiesz słowo, a już go nie będzie.

– Nie mam zamiaru.

– Myślisz, że przyjmie cię Źródło? Jesteś splamiony krwią niewinnych, którą przelałeś. Twoją duszę pochłonie Otchłań i zatrzyma na wieczność, lecz ja odnajdę ją i będę smagał ogniem. Czy pojmujesz, na co się narażasz?

– Twoje groźby łatwiej zaakceptować niż twoje obietnice. Bardziej pasują do twej reputacji.

Zostaw mnie w spokoju.

– Bardzo dobrze, ale wiedz jedno: nie mogłeś wybrać gorszego wroga, zabójco. Mam długie ręce i ostre szpony. Twoja śmierć jest pewna; została zapisana w Księdze Dusz i przeczytałem o niej z przyjemnością. Jednak powinieneś pomyśleć o Danyal. Ona podróżuje z jednym z tych, których dusze należą do mnie.

– Durmast jej nie skrzywdzi – rzekł Waylander, ale te słowa zabrzmiały słabo i bez przekonania.

– Zobaczymy.

– Zostaw mnie, demonie!

– Jeszcze tylko podaruję ci coś na pożegnanie. Patrz i ucz się!

Twarz zadrgała i zniknęła, płomienie buchnęły wysoko i Waylander zobaczył w nich Durmasta ścigającego Danyal przez ciemny las. Złapał ją nad brzegiem rzeki i przyciągnął. Chciała uderzyć go w twarz, ale zasłonił się przed ciosem. Potem on uderzył ją i dziewczyna upadła; rozerwał jej tunikę...

Waylander obserwował wszystko w milczeniu i krzyknął dopiero wtedy, gdy Durmast poderznął jej gardło. Wtedy stracił przytomność.

I ból ustał.

Dardalion i Trzydziestu kłęczeli na dziedzińcu obok stajni, połączywszy umysły. W skupieniu pomykali duchem przez sklepienia piwnic pod stajnią.

Pierwszy szczur spał, lecz w panice otworzył paciorkowate ślepia i czmychnął, czując obecność Człowieka. Poruszył nozdrzami, lecz w wilgotnym powietrzu nie wyczuł zapachu wroga. Odwrócił się, ogarnięty przeraźliwym strachem, pisnął i wybiegł na otwartą przestrzeń. Kolejni jego pobratymcy przyłączali się do tej panicznej ucieczki. Z piwnic, ścieków i zapomnianych kanałów szczury wybiegały na dziedziniec, otaczając kapłanów. Pierwszy legł u stóp Astili, wiedząc, że to jedyne bezpieczne miejsce. Tutaj, w księżycowym cieniu Człowieka, nic mu nie grozi. Inne poszły za jego przykładem, tworząc szeroki krąg wokół kapłanów.

Zafascynowany Karnak obserwował to z murów, a otaczający go oficerowie i żołnierze ukradkiem robili znak Ochronnych Rogów.

Setki szczurów kłębiły się wokół kapłanów, wspinając się po ich szatach, aż na ramiona.

Sarvaj przełknął ślinę i odwrócił wzrok. Gellan potrząsnął głową i podrapał się.

Dardalion powoli uniósł rękę i Gellan dostrzegł ten gest.

– Otwórzcie bramę. Powoli, nie więcej niż na stopę czy dwie! – rzekł Gellan i spojrzał na żołnierza nad bramą. – Co widzisz?

– Ani śladu nieprzyjaciela.

Najciszej jak zdołali, żołnierze zdjęli mosiężne sztaby wzmacniające bramę i uchylili ją.

Pierwszy szczur zamrugał ślepkami i zadrżał, pozbawiony miłego poczucia bezpieczeństwa. Podbiegł do bramy i cała horda poszła w jego ślady.

Noc była zimna i cicha, gdy czarne stado zbiegło ze wzgórza na wyludnione ulice Purdol, na place targowe i stożkowate namioty vagryjskiej armii. Szczury przeszły po brukowanych ulicach i rozbiegły się wśród namiotów.

Jakiś żołnierz obudził się, gdy szczur przebiegł mu po twarzy; Vagryjczyk zerwał się z wrzaskiem, wymachując rękami. Drugi szczur spadł mu z ramienia i wylądował na podołku, wbijając zęby w udo. W obozie rozległy się przeraźliwe krzyki. Miotający się ludzie wywracali słupki namiotów i grzęzli w fałdach brezentu; inni biegali ulicami lub skakali do morza. Potracony trójnog paleniska upadł, podpalając suchy brezent, a wschodni wiatr podsycił płomienie i przerzucał je z jednego namiotu na drugi.

Wysoko na murach Purdol śmiech Karnaka odbił się echem wśród gór, gdy z dołu nadleciały przeraźliwe wrzaski.

– Rzadko tak wiwatują na powitanie krewnych – rzekł Sarvaj. Jonat zachichotał.

– Bogowie, ale zamieszanie – powiedział Gellan. – Dardalionie! – zawołał. – Chodź tu i popatrz na swoje dzieło.

Kapłan w srebrzystej zbroi potrząsnął głową i poprowadził Trzydziestu z powrotem do szpitala, gdzie czekał Evris.

– Doskonale, młodzieńcze – rzekł, ściskając dłoń Dardaliona. – Naprawdę doskonale. A co możesz zrobić z karaluchami?

Dardalion uśmiechnął się.

– Chyba zostawimy to na inny dzień, Evrisie, jeśli pozwolisz...

Astila, czujny jak zawsze, pochwycił padającego Dardaliona.

– Wnieście go tutaj – rzekł Evris, otwierając na oścież drzwi do swojego pokoju. Astila położył Dardaliona na wąskim łóżku i zdjął mu srebrny pancerz, podczas gdy Evris trzymał rękę

nieprzytomnego. – Puls jest silny. Chyba jest po prostu wyczerpany. Od jak dawna nie spał?

Astila wzruszył ramionami.

– Nie wiem, lekarzu. Ja przespałem tylko trzy z ostatnich osiemdziesięciu godzin. Mamy tyle roboty – tylu rannych i konających. A w nocy...

– Wiem. Bractwo skrada się w mroku.

– Nie powstrzymamy ich długo. Wkrótce umrzemy.

– Ilu ich jest?

– Kto wie? – odparł ze znużeniem Astila. – Dostali posiłki. Zeszłej nocy o mało nie straciliśmy Baynha i Epwaya. Dziś?...

– Odpocznij trochę. Za dużo wzięłeś na siebie.

– Taka jest cena winy, Evrisie.

– Przecież nie powinieneś czuć się winny!

Astila położył dłonie na ramionach chirurga.

– Wszystko jest względne, przyjacielu. Uczono nas, że życie jest świętością. Wszelkie życie. Kiedyś wstałem z łóżka i rozdeptałem żuka – czułem się zhańbiony. Myślisz, że jak się czuję dzisiaj, kiedy na dole umierają tuziny ludzi? Jak czujemy się my wszyscy? Nie ma w tym dla nas radości, a brak radości to rozpacz.

Sześciu mężczyzn klęczało przed szamanem, sześciu wojowników o błyszczących oczach i ponurych twarzach: Bodai, który przed dwoma laty stracił rękę; Askadi z kręgosłupem przetrąconym po upadku z urwiska; Nenta, niegdyś świetny szermierz, dziś pokręcony przez artretyzm; ślepy Belikai; trędowaty Nontung ściągnięty z jaskiń Mithegi oraz opętany Lenali, który coraz częściej miewał ataki i podczas jednego z nich odgryzł sobie język.

Kęsa Khan, odziany teraz w szatę z ludzkich skalpów, dał każdemu z nich łyk Lyrrdu, doprawionego aromatycznymi górskimi ziołami. Patrzył im w oczy, gdy pili, obserwując rozszerzenie źrenic i postępujące oszołomienie.

– Moje dzieci – rzekł powoli – jesteście Wybrańcami. Wy, których życie pozbawiło sił, odzyskacie je. Będziecie szybcy i silni. Krew zacznie zwawo krążyć w waszych żyłach. A zakosztowawszy potęgi, umrzecie i wasze dusze popłyną w Otchłań na falach radości. Ponieważ służyliście krwi z waszej krwi i wypełniliście przeznaczenie Nadirów.

Siedzieli nieruchomo, wpatrując się w niego. Żaden nie poruszył się – nie mrugnął okiem, nawet nie odetchnął. Zadowolony Kęsa Khan lekko klasnął w dłonie i do jaskini weszło sześciu jego akolitów, prowadząc sześć szarych leśnych wilków, groźnie spoglądających ponad krępującymi pyski kagańcami.

Kęsa Khan kolejno podchodził do każdego wilka, zdejmując najpierw obrozę, a potem kaganiec. Kładł kościste palce na ich ślepiach, a zwierzęta posłusznie szły i siadały tam, gdzie je prowadził, aż wszystkie warowały przy nieprzytomnych wojownikach. Akolici odeszli.

Kęsa Khan zamknął oczy, pozwalając myślom błądzić po jaskini i w ciemności nadyryjskiej nocy, wyczuwając puls ziemi i dostrajając go do swego. Czuł, jak ogromna pierwotna siła gór wypełnia jego umysł, rośnie w nim, grożąc rozerwaniem cienkiej skorupki jego ziemskiej powłoki. Szaman otworzył oczy, wstrzymując rozpierającą go moc.

– W tej jaskini obozował zabójca. Na skałach jest jego zapach. Waszym ostatnim wspomnieniem będzie ten człowiek: wysoki, okrągłooki Drenaj, który usiłuje zagrozić przyszłości naszej rasy. Jego obraz wypali się w waszych umysłach, tak jak wilki mają w nozdrzach tę znienawidzoną woń Waylandera Zabójcy. Złodziej Dusz krąży w mroku. Jest silny – lecz nie tak silny jak wy. Jest szybki i śmiertelnie niebezpieczny – ale nie tak jak wy, moje dzieci. Jego ciało będzie słodkie, a krew jak wino z gór. Żadne inne mięso nie będzie wam smakować. Każdy inny pokarm będzie dla was trucizną. Tylko on jest waszym życiem.

Kęsa Khan odetchnął głęboko i wstał, a przechodząc między warującymi wilkami, lekko dotykał ręką szyi każdego z nich. Napinały mięśnie i warczały, wbijając ślepią w milczącego człowieka.

Nagle szaman wrzasnął i wilki skoczyły, chwytając kłami za gardła siedzących przed nimi ludzi. Ci nawet nie drgnęli, gdy wilcze szczęki rozerwały im ciało i kości.

Wilki zadygotały.

Zaczęły rosnać...

Podczas gdy ludzie zapadali się w siebie, w fałdach obwisłej skóry, wilki wyciągały się, prostowały obleczone futrem paluchy, zakończone czarnymi i długimi pazurami. Ich torsy pęczniały, obciążone nowymi mięśniami; stwory powoli stawały na tylnych łapach, upuszczając na ziemię kupki starych gnatów pozostałe z ich ofiar.

– Spójrzcie na mnie, moje dzieci – rzekł Kęsa Khan. Sześć bestii usłuchało go i poczuł na sobie ich krwawoczerwone ślepią, mierzące go gorejącym spojrzeniem.

– Ruszajcie i zabijcie – szepnął.

Sześć bestii zniknęło w mroku. Po chwili wrócili akolici.

– Usuńcie stąd ciała – polecił szaman.

– Czy to można nazwać ciałami? – spytał jeden z nich, młodzieniec o szarej jak popiół twarzy.

– Nazywaj je, jak chcesz, chłopcze, ale zabierzcie je stąd.

Kęsa Khan patrzył, jak odchodzili, a potem rozpałił ognisko i owinał się w szatę z koziej skóry. Rytuał wyczerpał go, czuł się bardzo stary i bardzo zmęczony. Niegdyś posyłano tylko najsilniejszych wojowników, lecz Kęsa Khan sprzeciwiał się temu. Tak było lepiej, ponieważ dawało to ostatnie chwile prawdziwego życia ludziom pokrzywdzonym przez los.

Odnajdą Waylandera i pożrą go. A potem umrą. Jeśli napiją się wody, udławią się. Jeżeli zjedzą mięso, otrują się. W ciągu miesiąca poumierają z głodu.

Wcześniej jednak zjedzą jeden porządny posiłek, gdy ich wielkie szczęki pochwyć Waylandera.

Kaem siedział w milczeniu, słuchając raportów: sześćdziesięciu ośmiu zabitych, czterdziestu siedmiu rannych. Czteryście namiotów uległo zniszczeniu, a dwa magazyny doszczętnie spłonęły – w obu było mięso i zboże. Jeden z zakotwiczonych statków stracił w płomieniach żagle, ale poza tym pozostał nietknięty. Szczury dostały się jednak do pozostałych składów żywności i grasowały w magazynach. Kaem odprawił oficerów i zwrócił się do czarno odzianej postaci siedzącej obok niego.

– Spraw, żebym odzyskał dobry humor, Nemodesie. Powiedz mi jeszcze raz, jak Bractwo widzi swoje rychłe zwycięstwo nad kapłanami.

Nemodes wzruszył ramionami, a jego osłonięte grubymi powiekami oczy unikały spojrzenia generała. Przywódca Bractwa był małym, chudym mężczyzną z grubym i wystającym nosem, który nie pasował do jego wąskiej twarzy. Usta miał niemal pozbawione warg, a zęby jak dłuta.

– Trzej z nich umarli zeszłej nocy. Koniec jest bliski – szepnął.

– Trzej? Ja straciłem sześćdziesięciu ośmiu.

– Ci trzej są więcej warci niż twoja hołota – warknął Nemodes. – Wkrótce zabraknie im sił, by nas powstrzymać, a wtedy zabierzemy się za Karnaka tak, jak przedtem za Degasa.

– Twoje obietnice są jak pierdnięcia świni – rzekł Kaem. – Głośne, ale nietrwałe. Czy wiesz, jak bardzo potrzebna mi ta twierdza? Ironlatch rozbił nasze wojska na południu i maszeruje na Drenan. Nie mogę wysłać ludzi, żeby go powstrzymali, ponieważ Egel wciąż trzyma się w Skultik, a Karnak broni fortecy. Nie mogę przegrać... ale nie mogę też zwyciężyć.

– Zabijemy tych kapłanów – zapewnił go Nemodes.

– Nie chcę, żeby poumierali ze starości, Nemodesie! Obiecałeś mi, że forteca padnie. Nie padła. Obiecałeś mi, że kapłani zginą. Nadal żyją. Obiecałeś mi Waylandera. Jakie złe wieści masz z tego frontu?

– Cadoras zdradził nas. Wydostał zabójcę z wioski Nadirów, gdzie czekała go pewna śmierć.

– Dlaczego? Czemu Cadoras miałby zrobić coś takiego?

Nemodes wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Przez całe życie Cadoras nigdy niczego nie zrobił bezinteresownie. Może dogadał się z Waylanderem. To nie ma znaczenia, bo Cadoras nie żyje. Za to dziewięciu moich braci zbliża się teraz do Raboas; to moi najlepsi wojownicy, a więc najlepsi na kontynencie. Poza tym zawsze mamy Durmasta.

– Nie ufam mu.

– Dlatego można mu ufać. Chciwość to silny bodziec, a on zawsze sprzeda się temu, kto najlepiej płaci.

– Przygnębiasz mnie, Nemodesie.

– Mam też naprawdę dobre wieści, generale.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Znaleźliśmy w górach wejście do twierdzy – drogę, którą wjechał tam Karnak.

Kaem odetchnął i uśmiechnął się.

– Chcę za godzinę mieć tysiąc ludzi gotowych do wymarszu.

– Dopilnuję tego – obiecał Nemodes.

Rozdział 19

Lasek nie był rozległy, lecz Waylander znalazł w nim dolinkę, w której mógł rozpalić ognisko. Przemarzył cały i chociaż szybko dochodził do siebie po torturach, nadal odczuwał skutki

gorączki wywołanej oparzeniem słonecznym. Przez trzy dni wypoczywał w jaskini; potem ruszył na północ i spotkał gromadkę Notasów, którzy sprzedali mu jakąś okropnie śmierdzącą maść do smarowania ramion i pleców. Kiedy był wśród nich, młoda kobieta opatrzyła mu ranę na skroni, a stary wódz Notasów nadał mu imię Muli Łbie. Waylander obejrzał ranę w mosiężnym lusterku. Była opuchnięta i purpurowa, z zygzakowatą szczeliną pękniętej skóry. Przypomnił sobie cios mieczem w głowę i pojął, że ostrze musiało obrócić się w dłoni napastnika i uderzyło na płask. Opuchlizna z oka prawie zeszła, ale wciąż z trudem widział na nie w ostrym słońcu, na którym mocno łzawiło.

Wódz Notasów – chudy, jowialny starzec – obejrzał mu głowę, obmacując ją i naciskając.

– Nie ma pęknięcia, Muli Łbie. Przeżyjesz.

– Jak daleko do Raboas?

– Pięć dni ostrej jazdy. Siedem, jeśli pojedziesz ostrożnie.

Podeszła dziewczyna z kamiennym dzbanem wypełnionym wodą i splukała nią głowę Waylandera. Była drobna i śliczna, miała delikatne ręce.

– Moja najmłodsza żona – rzekł stary. – Ładna, prawda?

– Ładna – przytaknął Waylander.

– Nosisz wiele broni, Muli Łbie. Prowadzisz wojnę?

Waylander skinął głową.

– Byłbym niezadowolony, gdybym odjeżdżając, miał jej mniej niż przedtem.

– Twój czarny koń jest niebezpieczny – odparował starzec. – Ugryzł mojego najstarszego syna w ramię.

– Jest płochliwy. Kiedy twoi ludzie odniosą mi moje rzeczy, sam zapakuję je do juków. Mnie koń nie ugryzie.

Stary zachichotał i odprowadził dziewczynę, lecz uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy tylko kłapa namiotu opadła i został sam na sam z przybyszem.

– Ścigają cię, Muli Łbie. Szuka cię wielu, wielu jeźdźców.

– Wiem o tym.

– Nadirowie. Południowcy.

– O tym też wiem.

– Południowcy mają czarne płaszcze i zimne oczy. Są jak chmura przesłaniająca słońce i nasze dzieci boją się ich – dzieci są takie wrażliwe.

– To źli ludzie – rzekł Waylander. – Ich obietnice to proch, za to ich groźby są pieczętowane krwią.

– Wiem – powiedział wódz Notasów. – Obiecali mi złoto a za wieści, a śmierć za milczenie.

– Kiedy powrócą, powiedz, że tu byłem.

– I tak bym to zrobił. Dlaczego cię szukają? Czyżbyś był królem na wygnaniu?– Nie.

– A więc kim?

Waylander rozłożył ręce.

– Człowiek ma wielu wrogów.

Starzec ponuro pokiwał głową, nie odrywając czarnych oczu od zabójcy.

– Wiesz, dlaczego żyłem tak długo? – spytał, pochylając się i podając gościowi puchar Lyrrdu.

Waylander wzruszył ramionami, przyjął puchar i wypił do dna.

– Ponieważ jestem błogosławiony. Widzę rzeczy we mgle umysłów. Kroczę drogami ducha i oglądam narodziny gór. Nic się przede mną nie ukryje. Ci Południowcy wielbią ciemność i żywią się sercami dzieci. Zażywają długie zielone liście i szybują z wiatrami nocy. Jednak ciebie nie mogą znaleźć. Ci ludzie, którzy mogą złowić maleńkiego nietoperza w mrokach jaskini, nie potrafią odnaleźć jeźdźca na nagiej równinie. Kiedy zamknę oczy, widzę rozmaite rzeczy – dzieci bawiące się za tym namiotem, twoje konie skubiące trawę, moją najmłodszą żonę mówiącą najstarszej, że obawia się moich dotknięć, ponieważ przypominają jej o śmierci. Ciebie jednak nie mogę dojrzeć, Muli Łbie. Dlaczego?

– Nie wiem.

– Mówisz prawdę. Ale ja wiem. Masz gdzieś przyjaciela – bardzo potężnego przyjaciela, który rzucił czar na twojego ducha. Można cię ujrzeć tylko na jawie.

– Mam takiego przyjaciela.

– Czy on znajduje się w oblężonej twierdzy?

– Możliwe. Nie wiem.

– Jest w wielkim niebezpieczeństwie.

– Nie mogę mu pomóc.

– Jednak ty jesteś kluczem do tej sytuacji.

– Zobaczymy. Jak dawno temu byli tu ci jeźdźcy?

– Przed dwoma dniami.

– Czy mówili, że wrócą?

– Nie... ale ja wiem. Przyjadą tu o zachodzie słońca.

– Skąd?

– Ze wschodu. Jadąc na północ, unikniesz ich – lecz tylko na jakiś czas. Wasze drogi skrzyżują się i nic tego nie zmieni. Potrzebujesz przyjaciół, Muli Łbie – inaczej będziesz zgubiony.

Stary Notas zamknął oczy i zadrżał. Kiedy gwałtowny zimny podmuch wtargnął do namiotu, gasząc świece, stary otrząsnął się i szeroko otworzył oczy.

– Musisz stąd odejść, a ja muszę przenieść mój obóz – rzekł, a w jego skośnych oczach zapalił się strach.

– Co widzisz?

– Twoi wrogowie są naprawdę potężni. Otwarli dziewiąte wrota Piekieł i spuścili Zmiennokształtnych. Musisz odjechać szybko i daleko, Muli Łbie.

– Kim są ci Zmiennokształtni?

– Nie mogę powiedzieć ci nic więcej. Czas mija i każde uderzenie serca przybliży nas do zguby. Zapamiętaj sobie jedno: nie próbuj z nimi walczyć! Uciekaj! Są potężni i niosą śmierć. Uciekaj!

Stary zerwał się z ziemi i wybiegł z namiotu. Waylander usłyszał, jak w panice wykrzykiwał rozkazy. Stwierdziwszy, że jego dobytek starannie ułożono opodal wierzchowca, szybko spakował się i odjechał z obozu, zostawiając konia Cadorasa jako zapłatę za okazaną pomoc.

Teraz, rozbiwszy obóz osiem mil dalej, zastanawiał się nad słowami starca: "Nie walcz. Uciekaj".

Kim byli ci Zmiennokształtni? Dlaczego nie może ich zabić? Czyżby nie były w nich serca? Jakie stworzenie może przeżyć potyczkę z Waylanderem Zabójcą?

Starzec nie był tchórzem. Wyczuwał zło jeźdźców Bractwa, ale nie uląkł się ich. Tymczasem to nowe zagrożenie po prostu przeraziło go. Dlaczego przeniósł obóz? Waylander podrzucił kilka patyków do ognia i ogrzał sobie ręce. Nocny wietrzyk poruszał gałęziami drzew, a w oddali zawył wilk.

Zabójca przejrzał swoją broń i naostrzył noże do rzucania. Potem sprawdził kuszę, piękną broń zaprojektowaną według jego wskazówek i sporządzoną przez ventryjskiego zbrojmistrza. Kolbę zrobiono z hebanu, a oba spusty z matowego brązu. Kusza była niezwykle starannie

wykonana i Waylander zapłacił za nią fortunę w opalach. Fakt, że były kradzione, w niczym nie umniejszała wartości daru i zbrojmistrz zamrugał oczami ze zdumienia, gdy Waylander wsypał mu je w złożone dłonie.

– Jesteś artystą, Arlesie, a ta kusza to arcydzieło.

Nagle koń Waylandera kwiknął przeraźliwie i zabójca skoczył na równe nogi, błyskawicznie napinając kuszę i wkładając dwa bełty w prowadnice. Zwierzę szarpało wodze, usiłując zerwać się z nisko zwieszanej gałęzi, do której było przywiązane. Uszy położyło po sobie, a ślepia miało szeroko otwarte z przerażenia.

Nie walcz. Uciekaj!, przypomniał sobie Waylander słowa starca.

Chwyciwszy koc, Waylander zrolował go i pobiegł do konia. W kilka sekund dociągnął popręg i przytroczył koc, a potem rozwiązał wodze i wskoczył w siodło. O mało nie spadł, gdy koń pomknął galopem, wypadając z lasu i pędząc na północ.

Waylander obrócił się w siodle – z tyłu dojrzał kilka ciemnych postaci wyłaniających się z lasu. Zamrugał oczami, ale chmura zasłoniła księżyc, skrywając postacie w cieniu. Z trudem odzyskał panowanie nad wierzchowcem, ściągając wodze. Galopowanie po ciemku przez step graniczyło z szaleństwem. Jakakolwiek dziura, królicza nora czy kamień i koń mógł złamać nogę.

Przebiegłszy około mili, koń zaczął zdradzać objawy zmęczenia i Waylander zatrzymał go, a potem wolniutko ruszył naprzód. Wierzchowiec miał pianę na bokach i ciężko dyszał. Waylander pogładził go po szyi, szepcząc uspokajająco. Obejrzał się, ale nic nie dostrzegł. Widział prześladowców tylko przez moment, lecz w pamięci pozostał mu obraz olbrzymów w wilczych skórach, nisko przygiętych do ziemi. Potrząsnął głową – chyba wzrok go zmylił, bo biegli zadziwiająco szybko. Teraz, jadąc nieco wolniej, zdjął bełty z kuszy i zwolnił cięciwy.

Kimkolwiek byli ci ludzie, nie mieli koni, więc nie dogonią go tej nocy. Zsiadł z rumaka i poprowadził go na północ, przystając tylko po to, żeby otrzeć go z piany.

– Chyba uratowałeś mi życie – szepnął, gładząc aksamitny kark.

Chmury rozeszły się i księżyc lśnił srebrzyście nad odległymi górami, gdy Waylander jeszcze przez milę prowadził konia, zanim znów go dosiadł.

Przetarł oczy i ziewnął, mocno owijając się płaszczem. Potrzeba snu rosła w nim, spowijając umysł jak ciepłym kocem.

Sowa śmignęła mu nad głową i runęła jak kamień, z wyciągniętymi szponami... schwytany,

mały gryzoń pisnął przeraźliwie.

Jakiś cień poruszył się na prawo od Waylandera, który obrócił się w siodle, lecz nie dostrzegł niczego prócz gąszczu niskich zarośli. Czujnie zerknął w lewo i zobaczył dwa ciemne kształty, ze straszliwą szybkością wyłaniające się z traw. Koń stanął dęba i pomknął galopem, gdy Waylander mocno uderzył go obcasami w boki. Z pochylonym nad szyją jeźdźcem gnał jak błyskawica.

Przed nimi wyrosła jakaś postać i koń skręcił w bok. Napastnik skoczył, a Waylanderowi krew zastygła w żyłach na widok demonicznych rysów i wyszczerzonych kłów napastnika. Pięścią rąbnął atakującego w łeb, a koń uderzył barkiem potwora, odrzucając go w powietrze. Tym razem Waylander nie usiłował powstrzymać gnającego na oślep zwierzęcia. Sam był okropnie przerażony, a w oczach wciąż miał widok tych czerwonych ślepi i ociekających kłów. Serce jak młotem waliło mu w piersi. Nic dziwnego, że starzec chciał jak najszybciej przenieść obóz – zabrać go z miejsca, gdzie Waylander pozostawił swój ślad.

Trzy mile dalej Waylander odzyskał panowanie nad sobą. Koń był okropnie zmęczony i ledwie truchtał. Zabójca wstrzymał go i zerknął za siebie.

Niczego nie dostrzegł, ale wiedział, że tam są; gnając jego tropem, czując jego strach. Poszukał na horyzoncie jakiegoś schronienia, lecz nie znalazł. Ruszył dalej, wiedząc, że bestie w końcu go dogonią, gdyż jego rumak był znużony i choć szybszy na krótkie dystanse, nie zdoła wytrzymać długotrwałej pogoni.

Ile było tych bestii? Widział co najmniej trzy. Trzy to nie tak dużo – czy poradzi sobie z trzema? Wątpił w to.

Poczuł gniew. Dardalion powiedział, że służy Źródłu, lecz jaki to bóg pozostawia człowieka w takiej sytuacji? Dlaczego tylko wróg ma siłę?

– Czego ode mnie chcesz? – krzyknął, spoglądając w niebo.

Przed nim ciągnęło się pasmo niskich wzgórz; bez drzew i jakichkolwiek kryjówek. Koń powoli wjechał po stoku, na szczycie Waylander ściągnął wodze i obejrzał się. Z początku nie widział nic, lecz potem w oddali dostrzegł je – sześć ciemnych kształtów biegnących razem jego tropem. Były zaledwie kilka minut za nim.

Waylander napiął kuszę i położył belty na prowadnice. Dwie bestie powinien położyć, a trzecią może usiecze mieczem. Zerknął na drugą stronę pagórka i w dole zobaczył rzekę, wijącą się jak srebrna wstęga wśród gór. U stóp pagórka stała chatka, a obok niej był przycumowany

mały prom. W przyływie nadziei Waylander popędził konia w dół. W połowie drogi zaczął nawoływać przewoźnika.

W oknie chaty zabłysła latarnia i na progu stanął wysoki mężczyzna.

– Przewieź mnie przez rzekę – poprosił zabójca.

– Zrobię to rano – odparł mężczyzna. – Możesz przespać się w domu.

– Rano obaj będziemy martwi. Goni mnie sześć bestii z piekła rodem. Jeśli masz w chacie rodzinę, zabierz ją na prom.

Mężczyzna podniósł latarnię. Był wysoki, barczysty i czarnobrody; jego oczy, choć skośne, zdradzały mieszaną krew. – Może mi wyjaśnisz...

– Wierz mi, nie ma na to czasu. Dam ci dwadzieścia sztuk srebra za przewiezienie, ale jeśli zaraz nie ruszysz, spróbuję przepłynąć rzekę.

– Nie zdołasz – prąd jest zbyt silny. Zaczekaj.

Mężczyzna wrócił do chaty i Waylander zaklął, widząc, że tamten się nie spieszy. Po kilku minutach wrócił, prowadząc troje dzieci; jedno tuliło do piersi lalkę. Zaprowadził ich na prom i podniósł barierkę, pozwalając rumakowi Waylandera wgramolić się na pokład. Zabójca zsiadł z konia i umieścił barierkę na miejscu, a potem odwiązał cumy, gdy przewoźnik przeszedł na przód promu, chwycił linę i zaczął ciągnąć. Prom powoli ruszył naprzód i mężczyzna pociągnął silniej; Waylander stał na rufie i spoglądał na zbocze wzgórza.

Bestie pojawiły się na szczycie i ruszyły pędem.

Prom był dopiero kilka jardów od przystani.

– Na wszystkich bogów, co to takiego? – krzyknął przewoźnik, wypuszczając linę.

– Ciągnij, jeśli chcesz żyć! – wrzasnął Waylander i mężczyzna chwycił linę, szarpiąc ją ze wszystkich sił. Stwory zbiegły po stoku i na przystań, prowadzone przez olbrzymią bestię o gorejących ślepiach. Waylander nacisnął spust kuszy i bełt wpadł w rozdziawiony pysk bestii, przebijając kości i mózg. Stwór runął na barierkę, przełamując ją na pół. Koń Waylandera zarżał i stanął dęba, gdy skoczył drugi stwór. Drugi bełt odbił się od czaszki potwora, który wskoczył na prom i zachwiał się. Waylander podbiegł i obunóż kopnął go w pierś z taką siłą, że bestia zleciała z promu i wpadła w spienioną rzeczną kipieli.

Pozostałe bestie ryknęły z wściekłości, gdy Waylander podniósł się i nałożył kolejne dwa bełty. Wypuścił jeden przez dwudziestostopową przestrzeń, patrząc, jak wbija się w pokrytą futrem pierś. Stwór zawył wściekle, a potem wyrwał pocisk i cisnął go do rzeki.

Szponiasta łapa chwyciła Waylandera za nogę. Upuściwszy kuszę, wyrwał miecz z pochwy i ciął z całej siły. Ostrze wbiło się głęboko w ramię stwora, ale nie przecięło kości. Waylander musiał uderzyć jeszcze trzy razy, zanim szponiasta łapa rozwarła się, uwalniając tym samym nogę zabójcy.

Bestia przetoczyła się na plecy, z bełtem sterczącym z pyska i krwią tryskającą z odrąbanej kończyny. Leżała na skraju promu, więc Waylander doskoczył i kopniakiem strącił ją do wody – poszła na dno jak kamień.

– Gdzie jeszcze mogą się przeprowić? – spytał przewoźnika.

– Ponad dwadzieścia mil w górę lub piętnaście w dół rzeki. Co to było?

– Nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

Dzieci skuliły się w najdalszym kącie promu, zbyt przestraszone, aby płakać.

– Lepiej zajmij się nimi – poradził Waylander. – Ja przez chwilę pociągnę.

Mężczyzna puścił linę i ukląkł przy dzieciach, mówiąc coś do nich cicho i obejmując je. Otworzywszy skrzynię na dziobie promu, wyjął koce i dzieciaki położyły się na pokładzie, przytulając się do siebie.

Minęła godzina, zanim przeprowili się przez rzekę, i Waylander dziękował losowi, że nie musiał przez nią przepływać. Na środku rzeki nurt był o wiele za silny dla każdego pływaka.

Gdy zamajaczyła przed nimi przystań, przewoźnik przeszedł na dziób, szykując cumę. Za przystanią była następna chata i Waylander przeniósł do niej śpiące dzieci, kładąc je na dwóch łózkach stojących pod ścianą. Mężczyzna rozpałił ogień i obaj usiedli przy nim, patrząc na rosnące płomyki.

– Dość miałem kłopotów z plemieńcami – rzekł nagle przewoźnik – ale teraz chyba wyniosę się stąd.

– Te bestie polują na mnie. Nie sądzę, żeby wróciły, by cię niepokoić.

– Mimo wszystko muszę myśleć o dzieciach – to nie jest odpowiednie dla nich miejsce.

– Jak długo tu mieszkacie?

– Trzy lata. Od śmierci mojej żony. Miałem farmę koło Purdol, ale rabusie ograbili mnie – zabrali ziarno na siew i zapasy na zimę. Osiadłem tutaj, pomagałem staremu Notasowi. Umarł w zeszłym roku – wypadł za burzę.

– Plemieńcy nie atakują cię?

– Nie, dopóki obsługuję prom. Ale nie lubią mnie. Jestem mieszańcem!

– Jesteś wyższy od przeciętnego Nadira – zauważył Waylander.

– Moja matka była Vagryjką. Ojciec był Notasem, tak więc przynajmniej z nikim nie jestem zwaśniony. Słyszę, że na południu toczy się wojna.

– Tak.

– A ty jesteś Waylanderem.

– Widzę, że byli tu jeźdźcy. To Nadirowie czy Vagryjczycy?

– I jedni, i drudzy – odparł mężczyzna. – Jednak nie zdradzę cię; ja i moje dzieci zawdzięczamy ci życie.

– Niczego mi nie zawdzięczacie – wprost przeciwnie, to ja sprowadziłem wam ich na kark. Kiedy jeźdźcy wrócą, opowiedz im, co się stało. Powiedz im, że pojechałem na północ.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze to prawda, a po drugie i tak wiedzą, dokąd jadę.

Mężczyzna skinął głową i przeganiał żar, zanim dorzucił dREW do ognia.

– Jeśli wiedzą, to dlaczego tędy jedziesz? Będą na ciebie czekali.

– Ponieważ nie mam innego wyjścia.

– To nonsens. Życie to nieustanny wybór. Możesz stąd odjechać w dowolnym kierunku.

– Dałem słowo.

Przewoźnik uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Z tym nie mogę się spierać. Nawet nie będę próbował. Jestem jednak ciekawy – dlaczego człowiek obiecuje coś takiego?

– Nie można wykluczyć głupoty.

– Przecież ty nie jesteś głupi.

– Wszyscy ludzie są głupi. Układamy plany, jakbyśmy mieli żyć wiecznie. Sądzymy, iż nasze wysiłki poruszają góry. Jednak oszukujemy się – one nie mają żadnego znaczenia, a świat nigdy się nie zmienia.

– Wyczuwam w tym gorycz, Waylanderze. Twoje czyny nie pasują do słów. Cokolwiek zamierzasz, na pewno jest to coś ważnego. Inaczej dlaczego ryzykowałbyś życie?

– Czy mi się powiedzie czy nie, za sto lat – może mniej – nikt nie będzie o tym pamiętać. Nikogo nie będzie to obchodzić. Może sprawię, że przez godzinę słońce będzie świeciło na zbocze góry; jeśli nie, przez godzinę będzie lał deszcz. Czy to ma jakieś znaczenie dla góry?

– Dla góry może nie – odparł przewoźnik – ale ma dla ciebie. A to wystarczy. Na świecie jest

za mało troski – za dużo chciwości i przemocy. Lubię patrzeć, jak coś rośnie. Lubię słyszeć śmiech.

– Jesteś romantykiem, przewoźniku.

– Nazywam się Gurion – powiedział mężczyzna, wyciągając rękę.

Waylander uściskał ją i uśmiechnął się.

– A mnie kiedyś nazywano Dakeyrasem.

– Ty także jesteś romantykiem, Dakeyrasie, ponieważ tylko romantycy dotrzymują słowa na przekór wszystkiemu. To powinno uczynić nas silniejszymi, ale tak nie jest. Honor to potężny łańcuch, który krępuje ruchy.

– Filozof i romantyk? Powinieneś być nauczycielem, Gurionie, a nie przewoźnikiem.

– Jakie jest twoje zadanie, Dakeyrasie?

– Szukam Zbroi z Brązu.

– W jakim celu?

– Mam ją dostarczyć pewnemu drenajskiemu generałowi imieniem Egel. Ona pomoże mu wygrać wojnę.

– Widziałem ją.

– Byłeś na Raboasie?– Kiedyś, przed wieloma laty. Zbroja spoczywa w jednej z głębokich jaskiń. Jest jednak dobrze strzeżona.

– Przez Nadirów?

– Nie, przez daleko groźniejsze stworzenia – wilkołaki żyjące w ciemnościach w głębi góry.

– A więc jak mogłeś ją widzieć?

– Byłem tam z plemieniem mojej żony – z Wolfsheadami; było nas pięćdziesięcioro. To była ceremonia zaślubin najmłodszego syna Khana. Chciał zobaczyć legendarną Zbroję.

– Dziwię się, że Nadirowie nie zabrali jej stamtąd.

– Nie mogli – odparł Gurion. – Nie wiedziałeś? Ona nie istnieje.

– Mów jaśniej, człowieku.

– Zbroja to tylko obraz; możesz przesunąć przezeń rękę. Powiadają, że prawdziwa Zbroja jest ukryta gdzieś w głębi góry, ale nikt nie wie gdzie. Widać tylko jej upiorny, zwiewny obraz i dlatego oddają jej cześć.

Waylander nic nie powiedział. Spoglądał w ogień, zatopiony w myślach.

– Myślałem, że wiesz, gdzie ukryta jest prawdziwa Zbroja – rzekł Gurion.

Waylander zachichotał i potrząsnął głową, a potem wybuchnął śmiechem. Gurion odwrócił głowę, głęboko zasmucony.

– Przekłęci niech będą romantycy – powiedział Waylander, skończywszy się śmiać. – Niechaj zgniją w piekle!

– Nie mówisz poważnie.

Waylander przeganiał palcami włosy i wstał.

– Nie potrafię ci powiedzieć, jaki jestem znużony. Czuję, że tonę w morzu ruchomych piasków, a przyjaciele pomagają mi, przywiązując kamienie do nóg. Rozumiesz? Jestem zabójcą, który zabija za pieniądze. Czy to brzmi romantycznie? Poluję na ludzi. Tymczasem teraz na mnie polują... ludzie i bestie, a także upiory ciemności. Według mego przyjaciela Dardaliona, moja misja służy Źródłu. Słyszałeś o Źródle?

Gurion skinął głową.– No cóż, przyjacielu, powiem ci, że służba dla Źródła nie jest łatwa. Nie możesz go zobaczyć ani usłyszeć, a ponadto ono w niczym ci nie pomoże.

– Doprowadziło cię do mojego promu – przypomniał Gurion.

Waylander zachichotał.

– Moi wrogowie szybują po niebie jak niewidoczne demony, przywołują wilkostwory z piekieł i czytają w myślach. Po naszej stronie jest bóg, który potrafi doprowadzić człowieka do promu!

– Jednak wciąż żyjesz.

•Na razie, Gurionie. Jutro to inny dzień.

Rozdział 20

Dardalion odwrócił się plecami do Astili i oparł się na szerokim parapecie okna. Tak jak wszystkie okna kasztelu, szerokie na początku, stopniowo zwężało się do niewielkiej szczeliny. Zbudowane były w celach obronnych, a nie ze względu na widok czy światło. Zapewniały szerokie pole ostrzału łucznikom, którzy mogli wypuścić strzały na prawo lub lewo, podczas gdy oblegający nie mogli wdrzeć się przez nie do środka i jedynie przypadkiem trafić w wąski otwór. Dardalion podparł się łokciami i spojrzął na szańce w dole.

Po murach znowu kroczyła śmierć, ale obrońcy trzymali się. Pod ścianą leżały zwęglone resztki dwóch vagryjskich wież oblężniczych, z rozrzuconymi wokół nich, poczerniałymi ciałami. Trzecią wieżę powoli podtaczano do murów, a obrońcy czekali z wrzącym olejem i łuczycami. Dalej stała vagryjska armia, oczekując na rozkaz do ataku. Dardalion zamrugał i przeniósł wzrok na szary kamień okna.

– Dlaczego mnie nie słuchasz, Dardalionie? – zapytał Astila.

Dardalion odwrócił się.

– Słyszę cię, bracie, ale nie mogę ci pomóc.

– Potrzebujemy cię tutaj. Umieramy. Już siedmiu z nas poszło do Źródła, i potrzebujemy twojej siły.

– Waylander też mnie potrzebuje. Nie mogę go opuścić.

– Tracimy ducha, Dardalionie.

Astila opadł na wąskie łóżko i usiadł z głową w dłoniach. Po raz pierwszy Dardalion ujrzał zmęczenie na jego twarzy; zgarbione ramiona, ciemne smugi wokół niegdyś bystrych oczu. Odszedł od okna i usiadł obok Astila.

– Nie mogę być wszędzie, a jest tyle do zrobienia. Szczerze wierzę, iż misją Waylandera jest wybawienie Drenajów. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego. Mimo moich modłów Zbroja śni mi się co noc i wciąż widzę ją świecącą w tej mrocznej jaskini. A choć jest tak dla nas ważna, szuka jej tylko jeden człowiek. Jeden człowiek, Astilo! I ma przeciw sobie Bractwo, Nadirów, a teraz jeszcze demony... Beze mnie nie ma żadnych szans. Spróbuj to zrozumieć. Proszę!

Astila przez moment nic nie mówił, a potem podniósł oczy i napotkał spojrzenie kapłana. Jego jasnoniebieskie oczy były przekrwione i podkrążone.

– Ty jesteś naszym przywódcą i pójdziemy za tobą wszędzie. Jednak nasz koniec jest bliski. Nie chwaląc się, jestem najsilniejszy z braci, a już prawie nie mam sił. Jeśli wyruszę tej nocy, już nie wrócę. Jeśli taka jest twoja wola, niechaj tak będzie. Jednak uwierz mi, Dardalionie, albo obronisz Trzydziestu, albo Waylandera. Zdaję się na twój osąd.

Dardalion położył dłoń na ramieniu Astili.

– Ja także jestem u kresu sił. Wiele mnie kosztuje utrzymanie ochronnej tarczy nad Waylanderem. I nie mogę jej zabrać, nawet dla ciebie.

– Rozumiem – odparł beznamyślnie Astila. – Pójdę przygotować się do nocnej warty.

– Nie. Musimy pogodzić się z tym, że przegraliśmy tę bitwę – będziemy osłaniać tylko Karnaka i niektórych jego oficerów.

– Bractwo zaatakuję twierdzę.

– Niech tak będzie. To silni ludzie, Astilo. Dobrzy ludzie. Wytrwają, nawet gdy ogarnie ich rozpacz.

– Wierzysz w to? Naprawdę?

– A cóż innego mi pozostaje? Jedni załamają się, niektórzy zginą. Inni będą walczyć. Nie mogę uwierzyć, że zło zatriumfuje. Nie mogę!

– Zatriumfowało wszędzie i cały nasz kraj leży w zgliszczach.

– Nie triumfuje tutaj, Astilo.

– Wojna jeszcze się nie skończyła, Dardalionie.

Jonata męczyły złe sny i obudził się z jękiem. Widział martwego ojca, gdy odcinali go ze stryczka, z posiniąłą twarzą i opuchniętym językiem. Mimo to tańczył, gdy szlachta śmiała się i rzucała miedziaki – szlachta, zjadająca się słowiczymi językami, podczas gdy jego ojciec zebrał o kromkę chleba; płacąca więcej pieniędzy za puchar wina niż jego rodzina miała na cały miesiąc.

Usiadł, drżąc jak liść. Wysoko na murach Karnak przechadzał się z Gellanem i Dundasem. Jonat splunął.

Gdyby tylko słuchali go rok temu, Vagryjczycy nigdy nie najechaliby ich ziemi. Ale szlachta uważała inaczej. Zredukowali Legion. Pozwalniali porządnych żołnierzy. Niech głodują, bo farmy nie zdołały wyżywić wszystkich. A kogo obchodzi los zwykłego żołnierza? Nikogo. Na

pewno nie szlachciców w jedwabiach i z wysadzanymi klejnotami mieczami. Co zrobiliby, gdyby zwykli żołnierze poszli do domów? Zarówno Vagryjczycy, jak i Drenajowie? Czy szlachta walczyłaby sama? Nie. Byłby to koniec zabawy.

Nadejście Gellana wyrwało go z zadumy. Oficer usiadł obok niego.

– Widzę, że nie śpisz. Mogę się dosiąść?

– Czemu nie?

– Jak się czujesz?

– Nieźle.

– Chciałbym tak powiedzieć. Nie sądzę, żebym wytrzymał wiele takich dni jak ten. Czuleś się tak kiedyś?

– Czasami. To minie – kiedy jutro przypuszczą pierwszy atak.

– Mam nadzieję. Dobrze się dziś spisałeś, Jonacie; utrzymałeś pozycję, kiedy wszystko wydawało się stracone. To prawdziwy dar i od początku dostrzegłem go w tobie. Jestem z ciebie dumny – naprawdę. Dlatego cię awansowałem.

– Nie dlatego, że byłem hulaką? – warknął Jonat.

– Nie. Byłeś nim, ponieważ zależało ci na Legionie, prawdziwym Legionie – na ludziach. Ponadto masz niespożyte siły i szacunek żołnierzy. Oficer potrzebuje szacunku. Tytuł jest niczym, jeśli nie nosi go odpowiedni człowiek. Ty byłeś odpowiedni. Jesteś odpowiedni.

– Lecz nie z racji urodzenia.

– Nie znam twojego pochodzenia i nie dbam o nie, ale jeśli ma to dla ciebie takie znaczenie, to powiem ci, że mój ojciec był handlarzem ryb. Tylko handlarzem. I jestem z niego dumny, ponieważ harował jak wół, żeby dać mi wykształcenie.

– Mój ojciec był pijakiem – powieszono go za kradzież konia szlachcicowi.

– Ty nie jesteś taki jak twój ojciec.

– To racja! I powiem ci jedno: nigdy nie będę służył następnemu królowi.

– Ani ja. Jednak tę bitwę stoczmy kiedy indziej. Teraz idę się przespać.

Gdy Gellan wstał, Jonat uśmiechnął się.

– Czy twój ojciec naprawdę był handlarzem ryb?

– Nie, był earlem. Powiedziałem to, żeby cię rozzłościć.

– W to prędzej bym uwierzył.

– Ja także. Dobranoc, Jonacie.

– Dobranoc, dowódcu.– Przy okazji, Dardalion mówi, że kapłani nie mogą dłużej powstrzymywać Bractwa. Kazał zważać na oznaki rozpaczony wśród żołnierzy – wróg będzie atakował najsłabszych. Dlatego miej oko na wszystko.

– Zrobię to.

– Wiem. Nie martwię się o twój oddział.

Gellan zniknął w mroku i zachichotał. Jego ojciec posiadał flotyllę statków rybackich i Gellan zastanawiał się, jakby earlowi podobało się, że nazwał go handlarzem ryb.

Waylander spał przez godzinę, a potem wsiadł na koń i pożegnał przewoźnika. Noc była jasna i odległe góry wznosiły się jak mur na krańcu świata.

– Uważaj na siebie – rzekł Gurion, wyciągając rękę.

– Ty też, przyjacielu. Na twoim miejscu przepłynąłbym z powrotem rzekę. Te bestie ścigają mnie – nie wrócą, żeby ciebie niepokoić.

Przez trzy dni jechał czujnie, najlepiej jak mógł zacierając ślady, brnąc korytami strumieni i po skalistych zboczach, maskując swój trop i zapach. Jednak wątpił, by te wysiłki przyniosły coś więcej niż spowolnienie pościgu. Oprócz demonicznych prześladowców, musiał strzec się także innych wrogów.

Dwukrotnie zatrzymywał się w obozach Notasów, a raz spożył posiłek z grupką, myśliwych. Czterej mężczyźni przyjęli go chłodno i zastanawiali się, czy go nie obrabować. Jednak coś w zachowaniu wysokiego południowca powstrzymało ich – nie jego kusza, noże czy miecz, ale zimne spojrzenie jego oczu i zwinne ruchy. Nakarmili go i z wyraźną ulgą patrzyli, jak odjeżdża.

O zmroku pojmał ich spory oddział Nadirów; myśliwi zostali przesłuchani i zamęczeni na śmierć. Ich ciała następnego dnia znalazło dziewięciu wojowników Bractwa, przybycie których spłoszyło sępy. Jeźdźcy nie zabawili tam długo.

Przed zmrokiem na polanie pojawili się Zmiennokształtni, zwabieni zapachem krwi. Ich pyski ociekały śliną, a ślepia jarzyły się jak węgle. Sępy czmychnęły na ich widok, tłukąc wielkimi skrzydłami, z trudem unosząc się z ziemi. Obsiadły gałęzie pobliskich drzew, skąd gniewnymi spojrzeniami obrzucały intruzów.

Wilkostwory wyłoniły się z chaszczki i podeszły do szczątków. Jeden trącił pyskiem okrwawione ciało i – wygłodniały – chwycił w paszczę kawał mięsa i kości. Potem zacharczał

i wypluł kęs. Zawył przeciągle.

Cztery bestie pomknęły na północ.

Czterdzieści mil dalej Waylander dojeżdżał do południowego skraju górskiego pasma. Tutaj step przecinały liczne głębokie wąwozy, jakby stworzone cięciami gigantycznego noża. W ich głębi spotykało się drzewa i strumienie, opuszczone szopy i chaty. Na stokach pasły się dzikie owce i kozy, a na północnym wschodzie Waylander dostrzegł stado dzikich koni pasące się przy wodospadzie.

Popędziwszy wierzchowca, zjechał po stoku w las.

Ziemia była tu dobra, żyzniejsza niż na stepach – czarna i tłusta jak na sentrańskiej równinie. Jednak nie dostrzegł żadnych farm. Nie widział pól uprawnych, sadów ani poletek kukurydzy.

Nadirowie byli nomadami: myśliwymi, wojownikami i rabusiami, którzy niczego nie budowali, nie troszcząc się o niepewną przyszłość. ”Podbijaj lub giń” – tak brzmiało życiowe motto większości plemion. Chociaż właściwie, pomyślał Waylander, powinno ono brzmieć ”podbijaj i giń”.

Jaka przyszłość czekała naród bez żadnych podstaw i dorobku?

Gdzie ich książki, poematy, architektura, filozofia? Gdzie całe ogromne dziedzictwo cywilizacji?

Nadirowie byli zgubieni – przyszły pył historii, miotany wichrem waśni i wojen po powierzchni planety.

Jaki był sens ich istnienia? Rozproszone szczepy pełne nienawiści, nieustannie walczące ze sobą, nigdy nie zjednoczą się w naród.

Przynajmniej to było pocieszające, gdyż oznaczało, że plemieńcy nigdy nie zagrożą mieszkańcom południa. Ci jednak mieli dość własnych problemów.

Waylander zatrzymał się na krótki popas w jaskini na końcu kanionu. Wyjąwszy z juków szczotkę, wygładził nią sierść na grzbiecie konia i zaprowadził go do wodopoju. Rozpalił małe ognisko i ugotował zupę z suszonego mięsa, a potem zdrzemnął się dwie godziny. Kiedy znalazł się w siodle, znów rozpoczął długą wspinaczkę po stoku. Często oglądał się za siebie, aż wreszcie, po raz pierwszy od zejścia z promu, ponownie dostrzegł prześladowców. Gdy wjeżdżał na północną grań, oni wjeżdżali do wąwozu od południa.

Naliczył dwudziestu jeźdźców.

Pojechał dalej. Miał nad nimi cztery godziny przewagi, ale w nocy jeszcze ją powiększy. Nie

obawiał się pogoni, przed nim wznosił się Raboas, Święty Olbrzym – cel podróży, przy którym spotkają się wszyscy.

Wrócił myślami do Cadorasa. Dlaczego zabójca oddał życie, ratując prawie nieznanego człowieka, którego obiecał zabić? Co skłoniło zimnokrwistego mordercę do takiego czynu? Waylander zachichotał.

A co skłoniło jego, żeby ocalić Dardaliona? Dlaczego tak zawzięcie walczył o życie Danyal i dzieci? Czemu teraz jechał na spotkanie pewnej śmierci, podjąwszy się tak zuchwałej i niewykonalnej misji?

Przed oczami stanęła mu twarz Danyal, natychmiast zastąpiona przez brodatą, ponurą twarz Durmasta. Jeszcze raz przypomniał sobie obrazy widziane w ogniu, ale nie mógł w nie uwierzyć. Czyż jednak Durmast nie zabijał kobiet? I dzieci?

Koń truchtał dalej i słońce skryło się za horyzontem. Nocne powietrze było chłodne, więc Waylander odwiązał przytroczone do siodła płaszcz i narzucił go sobie na ramiona. Z nadejściem nocy coraz bardziej obawiał się wilkostworów. Gdzie były teraz?

Rozglądał się na prawo i lewo, często obracając się w siodle, by w szybko zapadającym zmroku spojrzeć na szlak. Chwycił kuszę i oparł się chęci załadowania jej. Długotrwałe napięcie osłabiłoby metal, a na te bestie potrzebował w pełni sprawnej broni.

Księżyc oblał ziemię bladym światłem, gdy rozeszły się chmury, ukazując porośnięte gęstym lasem zbocze. Waylander nie miał ochoty wjeżdżać po zmroku między drzewa, ale las ciągnął się daleko na zachód i wschód. Zakławszy pod nosem, popędził konia.

Kiedy znalazł się w lesie, serce uderzyło mu mocniej, a oddech przyspieszył – Waylander z trudem opanował narastający lęk. W górze świecił miesiąc, przesywając srebrnymi włócznieci promieni otwory między gałęziami. Końskie kopyta głucho stukały o miękką murawę, a po prawej wypadł z krzaków i przebiegł mu drogę borsuk z futrem wysrebrzonym księżycem w lśniącej zbroję. Waylander zaklął i tym razem nie powstrzymał chęci naładowania kuszy.

Nagle ciszę nocy rozdarło wilcze wycie. Waylander drgnął i jeden z bełtów ze świstem przeszył gałęzie drzew.

– Ty durniu! – powiedział do siebie Waylander. – Weź się w garść, człowieku!

Włożywszy drugi bełt, ponownie napiął kuszę. Wycie nadleciało ze wschodu, a sądząc po dźwięku, wilcze stado osaczyło ofiarę – zapewne rogasza – który staczał ostatnią walkę. Wilki

ścigały go przez wiele mil, męcząc i pozbawiając sił potężne zwierzę. Teraz dopadły jelenia.

Waylander pojechał dalej, ale wilki zamilkły i zabójca domyślił się, że ofiara umknęła im jeszcze raz. Ściągnął wodze, nie chcąc przecinać jej drogi ucieczki. Koń zarżał i usiłował zawrócić, lecz Waylander osadził go w miejscu.

Trzydzieści kroków dalej jakaś postać wybiegła spomiędzy drzew. Mężczyzna był ranny i powłóczył lewą nogą; w rękach trzymał ogromną drewnianą maczugę. Pierwszy wilk wypadł z chaszczy i skoczył. Człowiek odwrócił się, pałka śmignęła w powietrzu i z chrzęstem uderzyła w bok zwierzęcia, łamiąc żebra. Wilk z łoskotem runął na ziemię dziesięć stóp dalej.

Mężczyzna był wielki, największy, jakiego Waylander widział w swoim życiu; jego twarz zakrywała okropna maska z białą kulą na środku czoła. Dolna część maski miała bezwargie usta, pełne długich kłów. Waylander nie widział go wyraźnie, ale nieznajomy nie wyglądał na Nadira.

Nadbiegły kolejne wilki; olbrzym ryknął gniewnie, doczłapał do najbliższego drzewa i oparł się o nie plecami. Stado rozstawiło się w półkole i powoli ruszyło na ofiarę. Nagle wilk z prawej skoczył na mężczyznę, który obrócił się do napastnika. Natychmiast ruszyła do ataku bestia z lewej. Zaatakowany cofnął się i wilcze szczęki kłapnęły tuż przed jego gardłem. Zamachnął się maczugą, lecz w tym momencie skoczył na niego trzeci wilk.

Bełt przeszył kark zwierzęcia, które runęło na ziemię.

Waylander wydał donośny okrzyk i puścił konia galopem. Wilki rozbiegły się, ale dopiero wtedy, gdy drugie zwierzę padło z bełtem w czaszce.

Mężczyzna pod drzewem zachwiał się i runął na twarz. Waylander zeskoczył z siodła i przywiązał wodze do mocnego krzaka. Ponownie załadował kuszę i rozejrzał się wokół. Wilki uciekły... na razie.

Podszedł do człowieka, który teraz klęczał, ściskając dłonią paskudnie broczącą ranę na ramieniu.

– Miałeś szczęście, przyjacielu – rzekł Waylander.

Tamten spojrzał na niego... i Waylander zbladł.

Mężczyzna nie nosił maski. Miał tylko jedno oko na środku czoła, składające się z dwóch źrenic otoczonych złotą tęczówką. Nie miał nosa, tylko dwie pokryte błoną szczeliny. A najokropniejsze były jego usta.

Otwór w kształcie odwróconej litery "V" ukazywał rzędy ostrych jak groty strzał kłów. Waylander widział kiedyś ogromną białą rybę z takim pyskiem i nigdy jej nie zapomniał. Najadł

się wtedy strachu i poprzysiągł nigdy więcej nie wypływać w morze..

Ale to?

W ręce trzymał kuszę i zastanawiał się, czy nie powinien cofnąć się i wypuścić oba belty, zanim ten stwór zdąży go zaatakować. Jednak stworzenie zamknęło wielkie okrągłe oko i osunęło się na ziemię.

Okazja była aż nazbyt dobra, żeby z niej nie skorzystać, więc Waylander cofnął się do swego wierzchowca, zamierzając odjechać. Nie mógł jednak. Coś kazało mu pozostać i podejść do rannego stworzenia.

Tak jak kiedyś Dardalionowi, Waylander zaszył rany na ramieniu i nodze stworzenia, po czym obandażował je, najlepiej jak umiał. Stwór miał na sobie tylko przepaskę z wyjedzonego przez mole futra, więc zabójca okrył go kocem i rozpałił ognisko.

Po godzinie stworzenie otworzyło oko i usiadło. Waylander podsunął mu kawałek suszonego mięsa; wziął je bez słowa. Kłapnął szczękami i mięso zniknęło.

– Umiesz mówić? – zapytał Waylander.

Wielkie oko tylko spojrzało na niego. Waylander wrzucił ramionami i podał mu następny pasek wołowiny, który błyskawicznie zniknął w przepastnej paszczy.

– Rozumiesz mnie?

Stwór kiwnął głową.

– Nie mogę tu zostać i ci pomóc. Ściągają mnie. Ludzie i bestie. Rozumiesz?

Tamten podniósł rękę i wskazał nią na południe.

– Zgadza się, nadjeżdżają z południa. Muszę jechać, ale zostawię ci jedzenie.

Waylander podszedł do swego konia, zastanawiał się chwilę, a potem rozwinął koc i wyjął dwa długie, ostre jak brzytwa noże myśliwskie z kościanymi rękojeściami. Zaniósł je do ogniska.

– Masz. Mogą ci się przydać.

Stwór wyciągnął rękę. Palce miał niewiarygodnie długie, z paznokciami zakrzywionymi jak szpony; chwycił za kościane rękojeści i wziął noże. Zamrugnął oczami i odwrócił wzrok, widząc swoje odbicie w ostrzach; potem kiwnął głową i podniósł się z ziemi, stając przed Waylanderem.

Zabójca przełknął ślinę. Z twarzy stwora nie mógł niczego wyczytać, ale miał nieprzyjemną świadomość tego, jak ostre są noże, które mu dał.

– Żegnaj, przyjacielu – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

Wrócił do konia i wsiadł nań, odwiązawszy wodze od krzaka. Stwór zrobił krok naprzód,

poruszył szczękami i wydał głuchy pomruk, na dźwięk którego wierzchowiec Waylandera cofnął się. Stworzenie przechyliło głowę.

– Egaj szczel – powiedziało. Nie zrozumiawszy, Waylander skinął głową i ruszył.

– Zegaj pszczelu.

W końcu zrozumiawszy, Waylander obrócił się w siodle i pomachał mu ręką.

– Żegnaj, przyjacielu – zawołał i odjechał w mrok.

Rozdział 21

W górskiej przełęczy na wschód od Purdol, dwaj młodzi ludzie jedli śniadanie złożone z chleba i sera, snując soczyste opowieści o legendarnych portowych dziwkach. Słońce świeciło jasno i wyższy z tych dwóch – Tarvic, służący od pięciu lat w wojsku – wstał i podszedł na skraj urwiska, spoglądając na pustynię na północy. Był zadowolony z przydzielonego mu zadania; obserwowanie górskiej ścieżki było o wiele mniej niebezpieczne niż obrona murów twierdzy.

Wciąż uśmiechał się, gdy strzała przeszła mu gardło, przebijając podniebienie i mózg.

Drugi żołnierz spojrzał na zataczającego się, trzepoczącego jękami towarzysza.

– Co się stało, Tarvic? – zawołał Milis. Gdy Tarvic upadł, uderzając głową o poszarpany biały głaz, Milis zobaczył strzałę i rozdziawił usta. Przestraszony, rzucił się do ucieczki. Strzała odbiła się od skały na prawo od niego i przeleciała mu nad uchem. Biegając ile sił w nogach, Milis kierował się do jaskini. Coś mocno uderzyło go w plecy, ale nie powstrzymało.

Wylot jaskini był niedaleko i jeszcze dwukrotnie trafiono go w plecy, lecz nie czuł bólu i zdołał schronić się w tunelu. W końcu bezpieczny, zwolnił kroku.

Uderzył twarzą o skaliste dno jaskini, które nagle przed nim wyrosło. Usiłował wstać, ale nie miał siły. Zaczął pełznąć, lecz ręce odmówiły mu posłuszeństwa.

– Nadchodzą Vagryjczycy – szepnął.

– Wiem – powiedział vagryjski żołnierz i poderżnął mu gardło.

Był sam – tak jak zawsze. Siedział nad ciemną tonią porośniętego liliami stawku i patrzył na swoje odbicie w srebrzystym ostrzu myśliwskiego noża. Wiedział, że jest potworem; obrzucano go tym słowem od początku – tak samo jak kamieniami i włóczniami. Polowali na niego jeźdźcy z lancami, wilki o ostrych kłach i lśniących ślepiach, długozębne śnieżne tygrysy schodzące z gór razem z zimowym śniegiem. Nigdy jednak go nie schwytano. Jego szybkość była legendarna, a siła przerażająca.

Oparł szerokie plecy o pień wierzby i uniósłszy wielką głowę, spojrzał na dwa bliźniacze księżycy wysoko nad drzewami. Wiedział, że jest tylko jeden księżyc, lecz źrenice jego olbrzymiego oka nie ogniskowały się tak jak normalne oczy. Nauczył się z tym żyć, tak jak

z innymi zdolnościami, jakimi obdarowała go Natura.

Z jakiegoś powodu miał niezwykle dobrą pamięć, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy. Doskonale pamiętał moment swych narodzin i twarz starej kobiety, która sprowadziła go na świat z czarno-czerwonego tunelu Otchłani. Wrzasnęła, upuściła go i upadł, wykręcając sobie rękę i uderzając o krawędź drewnianego łóżka. Wtedy wszedł jakiś człowiek i podniósł go z podłogi. Wyjął nóż, lecz powstrzymał go krzyk innej kobiety.

Pamiętał, że przez jakiś czas karmiła go piersią ciemnowłosa, smutnooka dziewczyna. Wkrótce wyrosły mu zęby, ostre jak igły – krew mieszała się z mlekiem i dziewczyna płakała przy karmieniu.

Potem zaniecono go gdzieś i zostawiono pod rozgwieżdżonym niebem, słuchającego cichnącego w oddali stukotu kopyt. Cichnącego, zamierającego...

Jeszcze teraz czuł smutek, słysząc stukanie kopyt o suchą ziemię.

Nie miał imienia ani przeszłości.

Coś nadeszło z gór i zabrało go w ciemność...

Było ich wielu, skrzeczących i piszczących, dotykających go i potracających, a on rósł wśród nich przez lata Mroku, rzadko widując blask słońca.

A potem, pewnego letniego ranka, usłyszał przeciągły okrzyk z Zewnątrz, odbijający się w skalnych korytarzach, aż do samego serca góry. Zwabiony nim, wyszedł na światło dnia. Wysoko w górze kołowały i nurkowały białe ptaki, a ich głosy zdawały się zawierać całe jego życie. Od tej pory myślał o sobie jako o Kaju i codziennie przez wiele godzin leżał na skałach, obserwując białe ptaki, czekając, aż zawołają jego imię.

Tak zaczęły się długie lata, w ciągu których nabierał sił. Nadirowie rozbijali obozowiska u stóp gór, a potem odjeżdżali ku zieleńszym łąkom i głębszym strumieniom. On obserwował plemieńców, widział, jak bawią się ich dzieci, a kobiety przechadzają się i śmieją.

Czasem podchodził zbyt blisko i śmiech zmieniał się w przeraźliwe wrzaski, po których pojawiali się myśliwi. Kai uciekał albo odwracał się, szarpał i gryzł, dopóki znów nie był wolny.

Ile lat żył w ten sposób?

Las, w którym teraz siedział, był niegdyś niewysokim zagajnikiem. Czy to długi czas? Nie potrafił ocenić. Któreś plemię koczowało tu dłużej niż inne, a on patrzył, jak jedna dziewczynka staje się kobietą, jak siwieją jej włosy i przyginają się plecy. Ci Nadirowie żyli tak krótko.

Kai spojrział na swoje ręce. Wiedział, że ma niezwykle dłonie. Powoli odwinął bandaż na

ramieniu i wyjął szwy założone przez Waylandera. Krew pojawiła się w ranie i pociekła strumieniem. Kai nakrył ranę dłonią i skoncentrował się. Poczuł, jak powietrze wokół niego rozgrzewa się, kłując go tysiącami igiełek. Po kilku minutach podniósł dłoń. Rozcięcie zniknęło, na skórze nie pozostał nawet ślad blizny czy szramy. Zdjąwszy bandaż z nogi, powtórzył ten zabieg.

Po odzyskaniu sił podniósł się z ziemi i odetchnął. Pozabijałby te wilki, ale ten człowiek pomógł mu i dał mu noże.

Kai nie potrzebował noży. Potrafił dogonić antylopę, zabić ją gołymi rękami, a kłami rozszarpać jej ciepłe ciało. Po co mu ten lśniący metal?

Jednak te noże to prezent, pierwszy, jaki kiedykolwiek otrzymał, a ich trzonki były gładkie i pięknie rzeźbione. Kiedyś miał już nóż, lecz ten szybko zrobił się czerwono-brązowy, łamliwy i bezużyteczny.

Pomyślał o ofiarodawcy – niskim, małym człowieku na koniu. Dlaczego nie wrzasnął i nie zaatakował Kaja? Dlaczego zabił wilki? Czemu zabandażował mu rany? Dlaczego dał mu noże?

Same zagadki.

Żegnaj, przyjacielu. Co to znaczyło?

Przez te wszystkie lata Kai nauczył się mowy ludzi, składając oderwane dźwięki w sensowne zdania. Nie umiał mówić, bo nie miał do kogo, ale rozumiał. Tamten człowiek powiedział, że jest ścigany. To Kai zrozumiał.

Przez bestie i ludzi? Kai zastanawiał się, na czym polega różnica.

Wzruszył ramionami i westchnął. Dziwne, lecz dziś czuł się bardziej samotny niż wczoraj.

Tęsknił za tym małym człowiekiem.

Karnak spał na podłodze wielkiej sali, nakrywszy potężne ciało jednym kocem. Ogień na ogromnym kominku przygasał, a drenajski generał leżał na koźlej skórze, śniąc o czasach dzieciństwa i swoich ambicjach.

Chociaż bogata, rodzina Karnaka hołdowała surowym obyczajom i dzieci wczesnie uczono samodzielności. Mały Karnak pomagał owczarzowi na północnym skraju rodzinnych włości i pewnej nocy, kiedy obozowali w wysokich górach, wielki szary wilk zaatakował stado. Siedmioletni Karnak wziął solidną pałkę i ruszył na drapieżnika. Ten przez długą chwilę nie

ruszał się z miejsca, spoglądając żółtymi ślepiami na nadchodzące dziecko, a potem zawrócił i zniknął w ciemności.

Kiedy Karnak wrócił do domu, z dumą opowiedział o tym ojcu.

– Wiem o tym – odparł zimno ojciec. – Jednak pomniejszyłeś swój czyn, chełpiąc się nim.

Z jakiegoś powodu nigdy nie zapomniał tej reprimendy i ta scena raz po raz powracała w jego snach. Czasami śnił, że walczył z tuzinem tygrysów i czołgał się do stóp ojca, umierając z upływu krwi. A starzec zawsze przyjmował to obojętnie.

– Dlaczego nie przebrałeś się do obiadu? – pytał zakrwawionego chłopca.

– Poraniły mnie tygrysy, ojcze.

– Wciąż się przechwalasz, Karnaku? Śpiący generał jęknął i otworzył oczy. W sali było cicho, lecz jakiś dźwięk wyrwał go ze snu, a teraz usłyszał jakby odległe dudnienie. Karnak wyciągnął się i przyłożył ucho do kozłej skóry. Potem odsunął ją i przytknął ucho do posadzki.

Na dole byli ludzie... wielu ludzi.

Karnak zaklął i wybiegł z sali, chwytając po drodze swój obosieczny topór. Na korytarzu kilku żołnierzy grało w kości. Zawołał ich i pobiegł w kierunku zejścia do lochów. Młody wojownik z obandażowanym ramieniem właśnie wchodził po schodach i Karnak zatrzymał go.

– Znajdź Gellana i każ mu natychmiast przysłać do lochów setkę ludzi. Rozumiesz? Natychmiast!

Z tymi słowami generał odepchnął żołnierza i zaczął zbiegać po schodach. Dwukrotnie o mało nie poślizgnął się na zabłoconych stopniach, lecz w końcu znalazł się w wąskim korytarzyku lochu. Ostatnie drzwi prowadziły do szerszej komnaty, a na jej końcu Karnak dostrzegł wykuty w skale otwór podziemnego tunelu. Otarłszy spocone palce o zieloną tunikę, Karnak uniósł topór, przebiegł przez oświetloną komnatę i wpadł do tunelu. Było tu zimno, a na nierównych, czarnych ścianach błyszczały krople wody. Tunel był wąski; tylko trzech mężczyzn mogło w nim stanąć obok siebie. Karnak przystanął, nasłuchując, a wtedy za jego plecami wyrósł jakiś żołnierz i zaklął.

– Cicho! – syknął generał.

Z oddali dolatywał szmer skradających się kroków. W miejscu, gdzie tunel skręcał w lewo, na ścianie tańczyły cienie rzucane przez światło pochodni.

Karnak podniósł topór i powoli, z nabożeństwem, ucałował oba ostrza.

Vagryjczycy minęli załom tunelu i powitał ich donośny krzyk oraz migoczące stalowe ostrze,

które rozplatało pierwszego wojownika. Upuszczając pochodnie, sięgali po miecze i kolejne wrzaski przeszły powietrze, gdy topór siekł i powalał kłębiących się żołnierzy. Obute stopy zdeptały pochodnie i w tunelu zaległa ciemność, wzmagając panikę. Karnak znalazł się w dogodnej sytuacji – był sam wśród wrogów i każdy jego cios trafiał przeciwnika. Natomiast Vagryjczycy w ciemnościach rąbali się wzajemnie albo siekli mieczami po kamiennych ścianach. Zamieszanie rychło zmieniło się w chaos i napastnicy rzucili się do ucieczki.

Nagle krótkie ostrze wbiło się w twarz Karnaka, ześlizgując się po lewej kości policzkowej i wybijając oko. Karnak zachwiał się. Ciśnięty nóż upadł na kamienie, a generał przycisnął dłoń do twarzy, z której tryskała krew. Zaklął i pobiegł za Vagryjczykami, wrzeszcząc jak opętany, a echo niesło ten ryk jak głos rozwścieczonego olbrzyma.

Wybite oko bolało go nieznośnie, w tunelu było niemal zupełnie ciemno, lecz Karnak gnał przed siebie, z uniesionym toporem. Tunel powoli stawał się szerszy, a mrok coraz bardziej przersedzał.

Trzej Vagryjczycy, pozostawieni jako tylna straż, skoczyli na Karnaka. Pierwszy padł z rozłupaną czaszką, a drugi w chwilę później, gdy ostrze topora zatoczyło łuk i przecięło mu żebra. Trzeci rzucił się szczupakiem na generała, który odskoczył i rąbnął go kolaniem w twarz; nieprzytomny Vagryjczyk runął na ziemię, a Karnak zarąbał leżącego.

Pobiegł dalej, szukając wśród skał lin i modląc się, żeby nie odkryli ich Vagryjczycy. Zobaczył je w najszerszym miejscu tunelu, zwinięte i częściowo ukryte za występem czarnej skały. Dосkoczył do nich, podniósł sznury i włożył ramię w pętlę. Zaczął cofać się tunelem, napinając linę, ale Vagryjczycy w końcu zauważyli, że mają przed sobą tylko jednego człowieka, i ruszyli do ataku.

Karnak zrozumiał, że już po nim, i wpadł w szal. Upuściwszy topór, chwycił oburącz linę i pociągnął ze wszystkich sił. Skrzywienie drewnianej konstrukcji świadczyło o tym, że dźwignie i bloki przenoszą ten ruch.

Vagryjczycy byli już o dwadzieścia kroków od generała, wrzeszcząc ogłuszająco w ciasnym tunelu. Karnak zaparł się prawą nogą o ścianę i szarpnął. Pod sklepieniem rozległ się przeciągły trzask i ogromny głaz spadł na biegnących żołnierzy. Potem na granitowej ścianie pojawiło się zygzakowate pęknięcie i wielki kawał sufitu runął z łoskotem. Karnak ujrzał, jak Vagryjczycy giną, pogrzebani pod tonami ziemi i skał. Odwrócił się i zaczął uciekać.

Wokół padały kamienie i głazy, ale wciąż gnał w ciemność, aż potknął się i upadł. Coś

uderzyło go w żebra. Potoczył się po ziemi i zakaszał, dusząc się w kłębach kurzu. Taki bieg w ciemnościach i gradzie kamieni wydawał się zupełnie bezsensowny, ale Karnak mimo to pobiegł dalej. Kolejny głaz rozsypał się nad jego głową, zwalając go z nóg i częściowo grzebiąc pod lawiną kamieni. Podniósłszy się, chwiejnie brnął naprzód, aż ziemia umknęła mu spod stóp i runął na twarz.

-Gellanie! – krzyknął, gdy ściany zamknęły się, więżąc go. Kamień uderzył go w głowę... następne przysypały mu nogi do pasa. Osłonił rękami twarz i usiłował wstać. Wtedy coś uderzyło go w czoło i znieruchomiał.

Ludzie Gellana przez cały dzień i noc pracowali w tunelu, oczyszczając go cal po calu, podczas gdy na murach szalała bitwa. Wielu oficerów poległo, więc Gellan awansował Sarvaja i Jonata, którzy teraz dowodzili pięćsetosobowymi oddziałami. Liczba rannych ogromnie wzrosła i teraz mniej niż dwa tysiące ludzi broniło twierdzy przed vagryjską nawałą.

Jednak sam Gellan pozostał w zdrażliwym tunelu, z gniewem odpierając protesty innych oficerów.

– On nie żyje, więc po co to? – mówił jeden.

– Potrzebujemy go – odparł Gellan.

– Sklepienie runęło, człowieku! Każda stopa, o jaką posuwamy się do przodu, zwiększa ryzyko następnej lawiny. To szaleństwo!

On jednak ignorował ich, nie dopuszczając żadnych argumentów do siebie, ponieważ wiedział, że musiałby zaakceptować ich logikę. Wiedział, że to czyste szaleństwo. Jednak nie zamierzał rezygnować. Tak samo jego ludzie. Pracowali niestrudzenie, wciskając swe kruche ciała w ciemność, między tony groźących zawaleniem skał wokół nich i nad nimi.

– Jak do licha chcesz go znaleźć? Ci, którzy z nim byli, mówią, że pobiegł naprzód. Przebicie się na drugą stronę zajmie nam lata – a liny były sto kroków za pierwszym zakrętem.

– Idźcie i zostawcie nas w spokoju.

– Oszalałeś, Gellanie.

– Odejdź albo cię zabiję.

Drugiego dnia nawet najwytrwalsi stracili nadzieję, ale pracowali dalej.

– Potrzebujemy cię na murach, Gellanie. Ludzi ogarnia rozpacz.

Tym razem słowa spełniły swój cel, trafiając w czułe miejsce.

– Jeszcze godzinę – rzekł, tracąc wszelką nadzieję. – Za godzinę dołączę do was.

Ból wybitego oka ocucił Karnaka, który spróbował się ruszyć, i z przerażeniem pojął, że jest uwięziony... pogrzebany żywcem. Bliski szaleństwa, zaczął szamotać się jak szalony i przestał dopiero wtedy, gdy poczuł, że skały wokół niego zaczynają się chwiać.

– Dlaczego nie przebrałeś się do obiadu, Karnaku?

– Przygniotła mnie góra, ojcze.

Głupkowaty śmiech wzbierał mu w gardle, ale opanował go i zaczął szlochać.

Przestań! Jesteś Karnakiem, powiedziała mu silna wola.

Jestem kawałkiem ciała uwięzionym w skalnym grobowcu, krzyczała słabość.

Oto koniec wszystkich moich planów. Może tak będzie lepiej, pomyślał. W swej pysze uważał, że zdoła pokonać Vagryjczyków i wyprzeć ich z ziemi Drenajów. Nowo zyskany status bohatera zapewniłby mu przywódczą rolę. Egel nigdy nie zdołałby mu zagrozić. Nie potrafił radzić sobie z tłumem – nie miał charyzmy. A politycznych przeciwników można usunąć z drogi.

Waylandera i jemu podobnych łatwo znaleźć.

Tymczasem teraz skończyły się jego plany. Nie będzie szkarłatnych szat. Ani powszechnego aplauzu.

Dlaczego, zastanawiał się, w pojedynkę ruszyłem na wroga?

Ponieważ nie zastanowił się. Dundas przejrzał go: był bohaterem udającym, że nim nie jest.

Nie jest to taki rodzaj śmierci, o jakim marzyłeś, Karnaku, podpowiadała silna wola. Gdzie tu dramatyzm? Gdzie zachwycone tłumy?

Jeśli drzewo runie w lesie i nikt tego nie słyszy, czy pada z łoskotem?

Jeżeli człowiek umiera bez świadków, jak opiszą jego śmierć?

– Niech cię lichy, ojcze – szepnął Karnak. – Niech cię lichy!

Zatrząś się ze śmiechu. Potem zapłakał.

– Niech cię lichy! – wrzasnął.

Skała obok niego poruszyła się i Karnak zamarł, czekając na nieuniknioną śmierć. Nagle promień światła padł na jego twarz i z wielu gardeł wyrwał się donośny krzyk radości. Karnak zmrużył oczy i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Nie spieszyłeś się, Gellanie – szepnął. – Już myślałem, że będę musiał odkopać się sam!

Rozdział 22

Danyal leżała na rufowym pokładzie barki, nasłuchując łagodnego plusku fal o kadłub. Kilka kroków na lewo Durmast opierał się o reling, spoglądając na wschodni brzeg.

Obserwowała go od pewnego czasu, zamykając oczy za każdym razem, gdy kudłata głowa obracała się w jej kierunku. Przez ostatnie trzy dni był milczący lub ponury, a ilekroć spojrzała na niego, napotykała jego pałające pożądaniem spojrzenie. Z początku irytowało ją to, lecz niebawem zaczęła się bać, gdyż Durmast nie był przeciętnym mężczyzną. Emanowała z niego zwierzęca siła. Tylko cieniutkie nitki rozsądku i logiki utrzymywały na wodzy jego naturę dzikusa. Danyal wiedziała, że przez całe życie zdobywał wszystko, co chciał, siłą, sprytem lub wyrachowanym okrucieństwem.

A teraz pragnął jej.

Danyal wiedziała o tym – czytała to w jego oczach, ruchach, milczeniu.

Niewiele mogła zrobić, żeby stać się mniej atrakcyjną. Miała tylko jedną tunikę, która nie maskowała jej kształtów.

Odwrócił się od relingu i podszedł do niej, krocząc jak olbrzym w zapadającym mroku.

– Czego chcesz? – zapytała, siadając.

Przysiadł obok niej.

– Wiedziałem, że nie śpisz.

– Chcesz porozmawiać?

– Nie... tak.

– To mów. Nigdzie się nie wybieram.

– Co to ma znaczyć?

– To, że muszę cię słuchać.

– Nie jesteś więźniem. Możesz zostać albo odejść, jeśli chcesz.

Usiadł i podrapał się po brodzie.

– Dlaczego przez cały czas chcesz się ze mną kłócić?

– Pewnie dlatego, że budzisz we mnie wszystko, co najgorsze, Durmaście. Kiedy wysiadamy?

– Jutro. Kupimy konie i przed zmrokiem rozbijemy obóz na Raboas.

– A potem?

– Zaczekamy na Waylandera – jeśli jeszcze go tam nie będzie.

– Chciałabym ci wierzyć – powiedziała złośliwie.

– Dlaczego nie miałabyś?

Roześmiała się, a on błyskawicznie chwycił ją za ramię, przyciągając do siebie.

– Ty suko! – syknął, a w jego oczach ujrzała szaleństwo, furię berserka.

– Zabierz ręce – powiedziała, z trudem zachowując spokój.

– Dlaczego? Lubię zapach twojego strachu.

Przygarnął ją do siebie, przyciskając ręce do boków. Otarł się twarzą o jej twarz i poczuła na policzku jego ciepły oddech.

– Chyba mówiłeś, że nie jesteś gwałcicielem – szepnęła.

Jęknął i puścił ją, odpychając od siebie.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa, kobieto. Każdy twój ruch, każde spojrzenie zachęca mnie, żebym cię wziął – bo chcesz mnie, wiem, że chcesz...

– Mylisz się, Durmaście. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– Nie gadaj bzdur! Takie kobiety jak ty nie pozostają długo bez mężczyzny. Wiem, czego ci potrzeba.

– Nic nie wiesz; jesteś zwierzakiem.

– Myślisz, że Waylander jest inny? On i ja to dwie strony tej samej monety. Jesteśmy zabójcami. Dlaczego miałabyś pożądać jednego, a drugiego nie?

– Pożądać? – prychnęła. – Właśnie tego nigdy nie zrozumiesz. Pożądanie niewiele ma z tym wspólnego. Kocham go i chcę być z nim. Chcę rozmawiać z nim, dotykać go.

– A mnie nie?

– A któżby mógł cię pokochać? – warknęła. – Masz obsesję na swoim punkcie. Myślisz, że zwiodłeś mnie gadaniem o tym, że pomożesz Waylanderowi? Ty chcesz mieć tę Zbroję i sprzedać ją temu, kto najwięcej zapłaci.

– Jesteś tego taka pewna?

– Oczywiście, że jestem, bo znam cię bardzo dobrze; fizycznie jesteś siłaczem, ale masz moralność szczura.

Ruszył ku niej i zamarła, zdając sobie sprawę z tego, że posunęła się za daleko i powiedziała za dużo. Jednak nie dotknął jej. Uśmiechnął się i w jego oczach pojawiły się isierki humoru,

zastępując gniewne błyski.

– Bardzo dobrze, Danyal, przyznaję, że zamierzam sprzedać Zbroję temu, kto da najwięcej. Czyli Kaemowi i Vagryjczykom. A także zamierzam zabić Waylandera i zgarnąć nagrodę. I co teraz zrobisz?

Jej dłoń śmignęła ku jego twarzy, mierząc w gardło stalowym sztyletem, lecz błyskawicznym ruchem wykręcił jej nadgarstek. Nóż wypadł jej z palców.

– Nie zdołasz mnie zabić, Danyal – szepnęła. – Nawet Waylanderowi nie poszłoby łatwo, a ty jesteś tylko jego zdolną uczennicą. Musisz znaleźć inny sposób.

– Jaki? – zapytała, rozcierając zdrętwiały przegub.

– Przebić ofertę Kaema.

Słowa te otrzeźwiły ją jak cios.

– Ty nędzna świni! Ty nędzniku!

Kiwnął głową.

– Co ty na to?

– Aż tak mnie pragniesz?

– Tak, chcę cię, kobieto. Zawsze chciałem, od kiedy zobaczyłem, jak kochaliście się z Waylanderem na wzgórzach Delnoch.

– A co ty mi dasz, Durmaście?

– Pozwolę Waylanderowi zatrzymać Zbroję. I nie będę próbował go zabić.

– Zgoda – powiedziała cicho.

– Tak myślałem – odparł, wyciągając rękę.

– Czeka! – powiedziała i tym razem usłuchał, widząc w jej oczach błysk triumfu. – Zgadzam się na twoje warunki i spełnię je, gdy Waylander odjedzie ze Zbroją. Ty i ja zostaniemy na Raboas.

– Żądasz ode mnie wiele zaufania, Danyal.

– Cóż, w przeciwieństwie do ciebie, można mi ufać.

Skinął głową.

– Sądzę, że można – przyznał i odszedł w ciemność.

Dopiero gdy nareszcie została sama, w pełni pojęła, jak okropną złożyła mu obietnicę.

Dundas, Gellan i Dardalion czekali w przedpokoju, gdy Evris opatrywał nieprzytomnego Karnaka.

Gellan, jeszcze brudny po pracy w tunelu i wyglądający dziwnie krucho bez zbroi, opadł na szeroki skórzany fotel. Dundas krążył od okna do drzwi sypialni, od czasu do czasu przystając i nasłuchując, jakby chciał usłyszeć pracującego chirurga. Dardalion siedział w milczeniu, walcząc z sennością; wyczuł napięcie obu towarzyszy i uwolnił swój umysł, by uspokoić ich myśli.

Połączył je z Gellanem i wyczuł jego wewnętrzną siłę – bliską wyczerpania i osłabianą wątpliwościami. Dardalion przekonał się, że to dobry człowiek, bardzo wrażliwy na cierpienia innych ludzi. Gellan myślał o Karnaku, obawiając się, że jakieś wewnętrzne obrażenia mogą pozbawić Drenajów ostatniej nadziei. Rozmyślał także o murach i straszliwym żniwie, jakie codziennie zbierała śmierć.

Dardalion opuścił Gellana i wniknął w myśli wysokiego, jasnowłosego Dundasa. Ten również modlił się za Karnaka, ale nie tylko z przyjaźni. Ciężar odpowiedzialności przygniatał Dundasa jak góra. Gdyby Karnak umarł, nie tylko straciłby najlepszego przyjaciela, ale też na niego spadłaby cała odpowiedzialność za obronę twierdzy. Znalazłby się w sytuacji bez wyjścia. Muru nie da się dłużej utrzymać, a odwrót oznaczałby śmierć tysiąca rannych. Dundas już widział tę scenę: obrońcy bezsilnie patrzący z bezpiecznego schronienia w kasztelu, jak Vagryjczycy wywlekają rannych i mordują ich na oczach towarzyszy. Dundas był żołnierzem, i to dobrym, podziwianym przez żołnierzy za wrodzoną uprzejmość i wyrozumiałość. U człowieka te cechy były godne podziwu. U wojownika były słabymi punktami, które mógł wykorzystać wróg.

Dardalion pogрузzył się w rozmyślaniach. Nie był wojskowym ani strategiem. Co zrobiłby, gdyby to on musiał decydować?

Cofnąć się?

Trzymać?

Potrząsnął głową, jakby odpychał od siebie te myśli. Był zmęczony, a wysiłek związany z utrzymywaniem tarczy nad Waylanderem z każdą godziną pozbawiał go sił. Zamknął oczy i wysłał myśli, wyczuwając rozpacz panującą w fortecy. Bractwo było wszędzie; do tej pory już czterech żołnierzy popełniło samobójstwo, a dwóch innych pochwycono, gdy usiłowali otworzyć zatarasowaną boczną furtę w północnym murze.

Drzwi sypialni otworzyły się i wyszedł z nich Evris, wycierając dłonie w lniany ręcznik. Gellan zerwał się na nogi, lecz chirurg uniósł ręce i rzekł spokojnie:

– Wszystko w porządku. Odpoczywa.

– Jakież odniósł obrażenia? – spytał Gellan.

– Stracił jedynie lewe oko. Nic więcej. Jest mocno potłuczony, może ma złamane żebro lub dwa. Nie stracił wiele krwi. Uratowała go masywna budowa ciała.

Evris opuścił pomieszczenie, by zająć się innymi rannymi, a Dundas usiadł na krześle przy owalnym stoliczku.

– Jeden promyk nadziei – rzekł. – Teraz, gdyby jutro przybył Egel z pięćdziesięcioma tysiącami ludzi, uwierzyłbym w cuda.

– Jeden cud mi wystarczy – rzekł Gellan. – Musimy teraz podjąć jakąś decyzję – nie utrzymamy muru.

– Sądzisz, że powinniśmy się wycofać? – spytał Dundas.

– Myślę, że musimy.

– A ranni...

– Pamiętam o nich.

Dundas zaklął wściekle, a potem ponuro zachichotał.

– Zawsze chciałem być generałem – Pierwszym Ganem – i dowodzić pułkiem kawalerii. A wiesz dlaczego? Abym mógł mieć białego konia i płaszcz z czerwonego aksamitu. Bogowie, chyba już wiem, jak czuł się biedny Degas!

Gellan odchylił głowę w tył i zamknął oczy. Dardalion obserwował ich przez chwilę.

– Zaczekajcie na Karnaka. Niech on podejmie decyzję – poradził cicho.

Gellan natychmiast otworzył oczy.

– Czy to nie nazbyt proste? Zrzucać trudne decyzje na cudze barki. Kończą nam się strzały – jeśli już się nie skończyły. Nie ma mięsa, w chlebie są robaki, a ser jest zielony od pleśni. Ludzie są wykończeni, a niektórzy walczą jak w transie.

– Vagryjczykom jest równie ciężko, Gellanie – powiedział Dardalion. – Może mają przewagę liczebną, lecz kończą im się zapasy żywności, a w ich obozie szerzą się choroby. Może powstrzymali Ironlatcha na południu, ale za ogromną cenę. Ich siły są na wyczerpaniu, a do zimy pozostały tylko dwa miesiące.

– Nie mamy dwóch miesięcy – rzekł Dundas. – Kiedy zdobędą Purdol, ruszą na góry

Delnoch i Skoda, żeby okrążyć Ironlatcha. Zima im w tym nie przeszkodzi.

– Chodziłem po murach – rzekł Dardalion – lecz nie w taki sposób jak wy. Wy widzicie walczących ludzi. Ja krążyłem po murach duchem i czułem ich moc. Nie bądźcie zbyt pewni porażki.

– Jak sam powiedziałeś, Dardalionie – warknął Gellan – nie chodziłeś po murach tak jak my.

– Wybacz mi, Gellanie. Nie chciałem być zarozumiały.

Gellan potrząsnął głową.

– Nie o to chodzi, kapłanie. Znam moich ludzi. Są silniejsi, niż sądzą, i już dokonali cudów. Nikt nie oczekiwał, że wytrwają tak długo. Zastanawiam się tylko, ile jeszcze wytrzymają.

– Zgadzam się z Gellaniem – powiedział Dundas. – Tej decyzji może będziemy żałować do końca życia, ale musimy ją podjąć. Musimy się wycofać.

– Wy tu jesteście żołnierzami – przyznał Dardalion – i nie chcę wam niczego narzucać. Jednak ludzie walczą jak szaleni i nie zamierzają ustąpić. Mówiono mi, że dziś rano pewien człowiek z odrąbanym ramieniem zabił trzech Vagryjczyków, zanim spadł z muru. A spadając, pociągnął ze sobą jeszcze jednego wroga. To nie świadczy o poczuciu klęski.

– Widziałem to z wieży – rzekł Dundas. – Ten człowiek był farmerem i kiedyś rozmawiałem z nim – najemnicy wymordowali mu całą rodzinę.

– Jeden człowiek nie zmienia sytuacji – stwierdził Gellan. – Wymagamy od nich nadludzkiego wysiłku i prędzej czy później załamią się.

Drzwi sypialni otwały się na oścież i obejrawszy się, ujrzeli stojącego w nich Karnaka, opartego ogromną dłonią o drewnianą futrynę.

– Nie załamią się, Gellanie – powiedział. Krew przesączała się przez bandaż na lewym oku i twarz miał szarą jak popiół, lecz emanował siłą.

– Powinieneś odpoczywać, generale – rzekł Dardalion.

– Odpocząłem sobie w tunelu. Nie masz pojęcia, co to był za odpoczynek! Najważniejsze, że wróciłem. Słucham was od pewnego czasu i dochodzę do wniosku, że każdy z was ma trochę racji. Jednak moja decyzja jest ostateczna i brzmi następująco: utrzymamy mur. Nie wycofamy się do kasztelu. Nasi ludzie są wspaniali – i nadal będą. Jeśli jednak wycofamy ich, by patrzyli, jak mordują ich towarzyszy, stracą ducha. A wtedy kasztel padnie w ciągu kilku dni.

Przeszedł parę kroków i opadł na fotel.

– Dundasie, przynieś mi jakieś ubranie – eleganckie ubranie. I znajdź mi skórzaną opaskę na

ten bandaż. Ponadto przynieś mi drugi topór. Idę na mury.

– To szaleństwo, generale – stwierdził Gellan. – Nie jesteś w stanie walczyć.

– Walczyć? Nie zamierzam walczyć, Gellanie. Chcę być widziany. Oto Karnak, powiedzą.

Przywalila go góra, ale wrócił! A teraz przynieście mi ubranie!

Obrócił się do Dardaliona.

– Jeden z twoich kapłanów mówił mi kilka dni temu, że zmniejszyliście wasze siły, którymi odpieracie Bractwo, aby osłonić magiczną tarczą Waylandera. Czy to prawda?

– Tak, generale.

– Gdzie jest teraz Waylander?

– Tuż przy górze.

– Zatem zdejmijcie tę tarczę.

– Nie mogę.

– Słuchaj mnie, Dardalionie, ty wierzysz w moc Źródła przeciwstawiającą się siłom Chaosu i walczyłeś dzielnie, zgodnie z tym przekonaniem. Jednak teraz chyba grzeszysz arogancją. Nie mówię tego lekceważąco, ani nawet krytycznie. Ja sam jestem arogancki. Uznałeś, że Waylander jest ważniejszy dla Drenajów niż Purdol. Może masz rację. Teraz on znalazł się w pobliżu Zbroi i ty go tam doprowadziłeś. Pozwól Źródłu sprowadzić go z powrotem.

Dardalion podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Karnaka.

– Musisz zrozumieć, generale, że Waylander stawia czoło nie tylko ludziom. Tropią go Nadirowie i Bractwo, oczywiście, ale i inni – bestie z piekła rodem. Jeśli zabiorę tarczę, on zostanie sam.

– Zrozum jedno: jeśli zostanie sam, to będzie oznaczało, że nie ma Źródła. Nadażasz za tokiem mojego rozumowania?

– Tak sądzę, chociaż obawiam się, że jesteś w błędzie.

– Oto przejaw twojej arogancji. Źródło istniało, zanim się narodziłeś, i będzie istnieć po twojej śmierci. Nie jesteś jego jedyną bronią.

– A jeśli się mylisz?

– Wtedy on zginie, Dardalionie. Drzewa będą rosły, strumienie płynęły do mórz, a słońce będzie świecić. Podnieś tę przeklętą tarczę!

Kapłan dźwignął się z krzesła i ruszył do drzwi.

– Zrobisz to? – spytał Karnak.

- Już to zrobiłem.
- Dobrze! A teraz wypędźcie Bractwo z Purdol!

Dochodziła północ i ostatni Vagryjczycy pokuśtykali do swych ognisk. Jonat wskoczył na mur i zawołał za nimi:

- Wracajcie, dranie, jeszcze z wami nie skończyliśmy.

Noszowi znosili rannych, a zabitych zrzucano z muru. Jonat posłał tuzin ludzi po żywność i wodę, a potem ruszył na obchód, oceniając straty. Już od wielu dni czuł na swych barkach ciężar odpowiedzialności, a tkwiące w nim rozgoryczenie sprawiało, że był bliski rozpacz. Świadomość, że to dzieło Bractwa, niewiele mu pomagała, ale tego wieczoru poczuł się wolny. Gwiazdy lśniły, wietrzyk znad morza był świeży i ożywczy, a wrogowie czmychnęli do namiotów jak wybatożone psy. Jonat czuł się silniejszy niż kiedykolwiek w życiu, uśmiechał się szeroko i żartował z mijanymi żołnierzami. Nawet pomachał Sarvajowi przy wieży bramnej, w przyływie dobrego humoru zapominając o głębokiej niechęci, jaką do niego żywił.

Nagle usłyszał głośnie wiwaty i odwróciwszy się, ujrzał wchodzącego po schodach Karnaka. Za nim szło czterech żołnierzy, niosąc flaszki z winem.

– Widzę cię, Jonacie, ty łobuzie – ryknął Karnak. Jonat zachichotał i chwycił butelkę rzuconą mu przez Karnaka. – Napijesz się ze mną?

- Czemu nie, generale?

Karnak usiadł i przywołał do siebie żołnierzy.

– Pewnie słyszeliście, że o mało nie zginąłem w tunelu – rzekł z uśmiechem. – To oznacza, że można stąd wyjść tylko przez główną bramę. Jak wam się to podoba?

- Tylko powiedz nam, kiedy chcesz wyjść, generale! – zawołał ktoś z tylnych szeregów.

– No, powiedziałbym, że zaraz, ale wrogowie i tak dziś zdrowo oberwali – rzekł Karnak. – Przecież nie chcemy, żeby wpadli w przygnębienie.

- Czy to prawda, że zwałeś górę? – zapytał ktoś inny.

– Obawiam się, że tak. Moi inżynierowie rozmieścili w tunelu dźwignie i bloki, łącząc je przemyślnie z jednym z głównych filarów. Nie zostawia się otwartych tylnych drzwi do twierdzy.

- Słyszeliśmy, że zginąłeś – powiedział Jonat.

- Bogowie, czyżbyście myśleli, że jakaś góra może mnie zabić? Widzę, że nie wierzycie we

mnie! A jak wam się tu powodziło?

Karnak siedział i gawędził z nimi przez kilka minut, a potem poszedł dalej. Dwie godziny później wrócił do swojego pokoju; oko bolało go okropnie i całkiem opadł z sił. Osunął się na łóżko, wyciągnął na wznak i jęknął.

W sali poniżej Dardalion otworzył oczy i rozejrzał się wokół. Ośmiu kapłanów napotkało jego spojrzenie, dziewięciu innych poruszało się, lecz sześciu leżało bez życia wokół stołu.

– Bractwo przestało być zagrożeniem – rzekł Astila – ale cena zwycięstwa jest wysoka.

– Zawsze jest wysoka – rzekł Dardalion. – Pomódlmy się.

– O co powinniśmy się modlić, Dardalionie? – spytał młody kapłan imieniem Baynha. – Byśmy zabili więcej wrogów? Dziś w nocy zginęło sześćdziesięciu członków Bractwa. Nie mogę znieść już zabijania.

– Myślisz, że się mylimy, Baynho? – spytał łagodnie Dardalion.

– Rzecz raczej w tym, że nie wiemy, czy mamy rację.

– Czy mogę coś powiedzieć, Dardalionie? – spytał Astila, a kiedy kapłan skinął głową, zaczął: – Nie jestem obdarzony takim intelektem jak niektórzy nasi bracia, wybaczone mi to. Pamiętam słowa wypowiedziane przez opata, kiedy odbywałem nowicjat. Mówił: ”Głupiec świadom swej głupoty, przestaje być głupcem; a człowiek świadom swej mądrości, staje się głupcem”. Długo zastanawiałem się nad tym zdaniem, ponieważ wydawało mi się zwykłą grą słów. Jednak po latach doszedłem do wniosku, że tylko w pewności tkwi moralne niebezpieczeństwo. Wątpliwości są darem, który winniśmy pielęgnować, gdyż zmuszają nas do nieustannego sprawdzania naszych motywów. Wiodą nas do prawdy. Nie wiem, czy dobrze wybraliśmy drogę, po której kroczymy. Nie wiem, czy postępujemy słusznie. Jednak podążamy nią w dobrej wierze. Gardzę zabijaniem, lecz nadal będę zwalczał Bractwo ze wszystkich sił, jakimi obdarzy mnie Źródło. Jeśli ty, Baynho, uważasz, że to źle, nie powinieneś już walczyć.

Baynha skinął głową i uśmiechnął się.

– Nie jestem mądry, Astilo. Czy świadomość tego czyni mnie mądrym?

– Czyni cię ludzkim, bracie – i jestem z tego rad. Najbardziej obawiałem się tego, że polubimy walkę.

– Będę walczył dalej – rzekł Baynha – i zgodnie z twoją radą będę podsycił moje wątpliwości. Zastanawiam się jednak, jaka czeka nas przyszłość. Co się stanie, jeśli zwyciężymy? Czy założymy zakon kapłanów-wojowników? Czy wrócimy do dawnego życia?

Stworzyliśmy coś, czego nie znał świat. Jakie jest nasze przeznaczenie?

Dardalion podniósł rękę i wszyscy spojrzeli na niego.

– Moi przyjaciele, to ważne pytania. Ale nie powinniśmy teraz szukać na nie odpowiedzi. O naszej przyszłości zdecydują ci, którzy przeżyją. Mimo to muszę wam rzec, iż w ostatnich dniach miałem wiele snów, nocnych koszmarów. Każdy kończył się tak samo. Widzę pustynię zagubionych dusz i straszliwych bestii. Pośrodku niej jest oaza – a w niej drzewo. Pod jego gałęziami ludzie znajdują cień, odpoczynek i spokój. Żadna z bestii nie może zbliżyć się do drzewa, żadne zło nie może doń podejść.

– I jak myślisz, co oznacza ten sen? – spytał Astila.

– To drzewo ma trzydzieści gałęzi – odparł Dardalion.

Rozdział 23

Waylander spał i we śnie znów znalazł się na nagim zboczu pagórka ze ślepym Królem Oriem. Otworzył oczy i spojrzał na niebo oraz obce gwiazdy.

– Witaj! – rzekł Orien.

Waylander usiadł, a starzec ujął go za rękę i poklepał po niej ojcowskim gestem.

– Uradowałeś mnie, Waylanderze. Wskrzесиłeś moją wiarę. Twoja odwaga jest wielka i okazałeś się człowiekiem honoru.

– Nie nawykłem do komplementów – rzekł Waylander, odwracając się i uwalniając rękę.

Orien pokiwał głową.

– Pytaj zatem o to, czego się lękasz.

– Gdzie jest Zbroja?

– Odnajdziesz ją. Jutro, jeśli pobłogosławi ci Źródło, wjedziesz na stoki Raboas. Tam znajdziesz wąską ścieżkę prowadzącą do jaskini. Jej wylot zobaczysz na skalnej półce; tam będzie druga ścieżynka. Te dwie ścieżyny to jedyna droga do serca góry. Wejdiesz do jaskini i zobaczysz trzy tunele. Wybierzesz ten z prawej i pójdziesz nim, aż dotrzesz do rozległej, wysokiej sali. Tam ujrzysz Zbroję.

– To wizja, której nie można dotknąć.

– Nie, to prawdziwa Zbroja, lecz może ją podnieść tylko Wybrany.

– I ja jestem tym Wybranym?

– O tym przekonasz się jutro.

– Czy Danyal jest bezpieczna?

– Nie mogę powiedzieć, ponieważ nie wiem. Nie jestem Bogiem, Waylanderze.

– A więc kim?

– Niczym innym jak wizją w twoich snach.

– Musisz być czymś więcej.

– Zatem myśl o mnie jako o duchu Oriana, ostatnim wspomnieniu dawnego Króla. Kiedy zdobędziesz Zbroję, ja zniknę i nigdy nie wrócę.

– Dokąd pójdziesz? Czy jest jakiś raj? Czy istnieje Źródło?

– Nie mogę odpowiedzieć na te pytania. Tylko ty możesz o tym zdecydować. Teraz musisz

już iść, jesteś bowiem w wielkim niebezpieczeństwie. Dardalion nie może cię już osłaniać przed Bractwem. Idź!

Waylander znów otworzył oczy i podniósł się. Siedział na posłaniu u podnóża Raboas.

A jego koń zniknął.

Zerwał się z ziemi i zobaczył, że krzak, do którego przywiązał wierzchowca, jest wyrwany. Zwierzę musiało przestraszyć się czegoś. Tylko czego?

Waylander napiął kuszę i popatrzył na chaszczę. Niczego nie dostrzegł, ale zamknął oczy i nasłuchiwał. Z prawej usłyszał cichy szmer.

Błyskawicznie obrócił się i wypuścił oba bełty w szarżującego wilkołaka. Strzały trafiły w cel, lecz utkwily w twardych mięśniach szerokiej klatki piersiowej stwora, nie sięgając serca i płuc.

Waylander odskoczył w prawo, gdy przed nim wyrósł drugi przeciwnik. Zabójca wykonał szybki przewrót w przód i wyskoczył w powietrze, a jego miecz błysnął i spadł na łeb potwora.

Cofał się przed czterema nadchodzącymi bestiami, które szczyrzyły kły, wywiesiły jęzory i mierzyły go palającymi nienawiścią ślepiami. Chwyciwszy oburącz miecz, podniósł go nad prawe ramię, gotowy zabrać ze sobą przynajmniej jedną z nich.

Nagle jakiś ogromny cień wyrósł za nadchodzącymi potworami i Waylander zamrugał oczami, gdy ogromna dłoń chwyciła włochaty kark i ścisnęła. Przerażliwe wycie urwało się gwałtownie, wilkołak został bowiem uniesiony wysoko w powietrze. Długie ostrze przeszło mu pierś, a jego ciało przeleciało dziesięć stóp i upadło w krzaki. Pozostałe bestie odwróciły się do atakującego, lecz on wskoczył między nie jednym susem i potężnym zamachem drugiego noża rozpruł brzuch drugiej z nich, będącej opętanym Lenlajem. Trzeci potwór skoczył na Kaja i złapał go i zębami za ramię, lecz olbrzym oderwał bestię, chwycił za szyję i przytrzymał w wyprostowanych rękach. Waylander skrzywił się, słysząc ohydny trzask łamanych kości, a Kai niedbale cisnął ścierwo na bok.

Czwarty wilkołak uciekł.

Waylander wepchnął miecz do pochwy i z ponurym zaciekawieniem patrzył, jak stwór zacisnął dłonią rozszarpane ramię. Po kilku minutach, kiedy ją odjął, po ranie nie było śladu. Kai podszedł do trupów i wyrwał z nich noże. Nie czując nóg, Waylander usiadł, opierając się plecami o drzewo. Kai wrócił do niego i przykucnął, podając mu noże. Waylander wziął je bez komentarza.

Kai patrzył na niego przez kilka sekund, a potem podniósł dłoń i klepnął się w szeroką pierś.

– Pszczel – powiedział.

– Przyjaciel – przytaknął Waylander.

Po chwili podszedł do posłania, wyjął z juków trochę wędzonego mięsa i suszone owoce. Jedzenie zniknęło w mgnieniu oka, a potem Kai beknął i znów klepnął się w pierś.

– Kai – rzekł, przekrzywiając głowę z wysiłku.

– Waylander.

Kai skinął głową, następnie wyciągnął się, oparł głowę na ramieniu i zamknął jedyne oko.

Jakiś odgłos w pobliskich zaroślach zaalarmował zabójcę, który zaczął podnosić się z ziemi.

– On – rzekł Kai, nie ruszając się.

Na polankę wyszedł koń Waylandera. Właściciel poklepał go po karku i nakarmił resztą owsa, a potem uwiązał do grubej gałęzi. Wziął koc, położył się koło człekostwora i spał do świtu. Kiedy zbudził się, był sam. Ciała wilkołaków zniknęły, tak samo jak Kai.

Waylander zjadł resztki zapasów i osiodłał konia. Opuszczając polankę, spojrzał na masyw Raboas.

Święty Olbrzym.

Niezwykły, głęboki spokój ogarnął Waylandera, gdy skierował rumaka na zbocza Raboas. Słońce przeświecało przez zasłonę chmur nadających wspaniałą głębię pięknemu niebu, na którym mewy kołowały i nurkowały, jak kłaczki żywych obłoków. Waylander ściągnął wodze i obejrzał się za siebie. Jeszcze nigdy nie oglądał takiego wspaniałego widoku; dzikiego pierwotnego piękna świadczącego o arogancji wieczności.

Na prawo strumyk szemrał wśród białych głazów, tryskając ze szczeliny w skale. Waylander zsiadł z konia i zdjął ubranie; potem umył się, ogolił i uczesał, zawiązując włosy w kitkę z tyłu głowy. Woda chłodziła mu skórę, gdy szybko ubierał się, otrzepawszy szaty z kurzu. Z juków wyjął szal z czarnego jedwabiu, który zarzucił sobie na głowę i ramiona, jak burnus Sathuli. Potem ponownie włożył kolczugę. Na rękach zapiął sobie szerokie srebrne naramienniki, a na biodrach pas z sześcioma nożami do rzucania. Naostrzył noże i miecz, po czym wstał, spoglądając na górę.

Dzisiaj umrze.

Dziś odnajdzie spokój.

W oddali ujrzał chmurę kurzu, zbliżającą się do Raboas. Wielu jeźdźców galopowało

w kierunku góry, ale Waylander nie dbał o to.

Dziś jest jego dzień. Nadeszła jego godzina.

Dosiadł konia, odnalazł wąską ścieżkę między głazami, po czym ruszył. Wiedział, że przez całe życie szukał tej ścieżki. Każde życiowe doświadczenie przybliżało go do tego miejsca.

Od chwili gdy zabił Niallada, czuł się tak, jakby wszedł na szczyt, z którego nie ma powrotu. Wszystkie ścieżki były przed nim zamknięte, mógł jedynie rzucić się z wierzchołka i lecieć.

Nagle przestało mieć dla niego znaczenie, czy odnajdzie Zbroję, czy Drenajowie zwyciężą lub zginą.

Nadeszła godzina Waylandera.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat zdołał spokojnie popatrzeć na ukochaną Tanyę stojącą w drzwiach domku i machającą mu ręką. Zobaczył synka i dwie córeczki wesoło bawiące się wśród kwiatów. Tak bardzo je kochał.

Dla bandytów były tylko przedmiotami. Jego żonę zgwałcili i zamordowali; dzieci zabili bez wahania czy żalu. Zaspokoili żądzę, zdobyli kilka worków ziarna i garść srebrnych monet.

Ich karą była śmierć, powolna i straszna – żaden z nich nie umierał krócej niż godzinę. Dakeyras farmer umarł bowiem ze swoją rodziną. Bandyci stworzyli Waylandera Zabójcę.

Jednak teraz nie czuł nienawiści... zniknęła jak dym na wietrze. Waylander uśmiechnął się, wspominając swoją pierwszą rozmowę z Dardalionem.

– Kiedyś byłem owieczką, bawiącą się na zielonej łące. Potem przyszły wilki. Teraz jestem orłem i latam w innym wszechświecie.

– I zabijasz owieczki – oskarżył go Dardalion.

– Nie, kapłanie. Za owieczki nikt nie płaci.

Ścieżka wiała się coraz wyżej, nad poszarpane skały, między ogromnymi głazami. Orien mówił, że Zbroi strzegą wilkołaki, ale Waylanderowi było wszystko jedno. Zsiądzie z konia, wejdzie do jaskini, weźmie Zbroję i zaczeka na wroga, którego nie zdoła zabić.

Jego koń ciężko dyszał, gdy dotarli na skalną półkę. Dalej ujrzał szeroki wylot jaskini, a przed nim ognisko, przy którym siedział Durmast i Danyal.

– Nie spieszyłeś się – rzekł olbrzym z uśmiechem.

Waylander zsiadł z konia, a Danyal podbiegła do niego i objęła go ramionami; ucałował jej włosy, zaciskając powieki, by powstrzymać łzy. Durmast odwrócił głowę.

– Kocham cię – powiedział cicho Waylander, dotykając palcami jej twarzy. W tych słowach

było tyle żalu, że Danyal odsunęła się i spojrzała na niego.

– Co się stało?

Potrząsnął głową.

– Nic. Dobrze się czujesz?

– Tak. A ty?

– Nigdy nie czułem się lepiej.

Wziął ją za rękę i podszedł do Durmasta. Olbrzym podniósł się z ziemi, obrzucając ich czujnym spojrzeniem.

– Miło cię widzieć – rzekł Waylander. – Wiedziałem, że zdołasz tu dotrzeć.

– Ja też na ciebie liczyłem. Czy z tobą wszystko w porządku?

– Oczywiście.

– Jesteś jakiś dziwny.

– To była długa podróż i jestem zmęczony. Widziałeś chmurę kurzu?

– Tak. Mamy niecałą godzinę.

Waylander skinął głową.

Spętawszy konie, we trójkę przygotowali pochodnie i weszli do jaskini. Była mroczna, cuchnąca i – jak zapowiedział Orien – rozgałęziała się na trzy korytarze. Waylander poprowadził ich i weszli w gęsty mrok.

Cienie tańczyły i rosły na granitowych ścianach, a Danyal, z mieczem w dłoni, trzymała się blisko towarzyszy. W pewnej chwili dotarli do rozległej sali, w której blask pochodni nie docierał do ścian. Danyal pociągnęła za płaszcz Waylandera i zabójca odwrócił się. – Co jest?

Za kręgiem światła błyszczały tuziny złowrogo błyszczących oczu.

– Nie zwracajcie na nie uwagi – rzekł Waylander.

Durmast przełknął ślinę i wyjął topór z futerału przy pasie. Poszli dalej, a spojrzenia towarzyszyły im. Wreszcie doszli do komory opisanej przez Oriena. Wzdłuż jej ścian umieszczono nasączone żywicą łuczywa. Waylander kolejno pozapalał wszystkie, aż ich blask rozjaśnił komnatę.

Na jej przeciwległym końcu, na drewnianej ramie, wisiała Zbroja z Brązu: skrzydlaty hełm, wspaniale rzeźbiony napierśnik z wizerunkiem orła z rozłożonymi skrzydłami, brązowe rękawice i dwa przepiękne miecze.

Troje wędrowców stanęło w milczeniu przed Zbroją.

- Człowiek zaczyna wierzyć w czary – szepnął Durmast.
- Nie może przegrać ten, kto ją nosi – powiedziała Danyal.

Waylander podszedł do Zbroi i wyciągnął ręce.

Przeszły przez nią na wylot.

- No dalej, weź ją! – popędzał Durmast.
- Nie mogę. Nie jestem Wybranym.
- Co? – syknął Durmast. – O czym ty mówisz?

Waylander zachichotał, a potem usiadł obok Zbroi.

– Rzucono na nią czar, Durmaście. Stary Król Orien mówił mi o tym. Tylko Wybrany może zabrać Zbroję. Pewnie zabezpieczyli ją w ten sposób Drenajowie – jest dla nich zbyt ważna, aby ryzykowali, że zdobędzie ją nieprzyjaciel. Jednak to bez znaczenia.

– Bez znaczenia? – wybuchnął Durmast. – Ryzykowaliśmy nasze życie, żeby zdobyć ten przeklęty blaszany strój! W tej chwili Nadirowie szykują się na nas – i nie wiem, co zamierzają te oczy w jaskini. Jak możesz mówić, że to nie ma znaczenia.

– Ważne jest tylko to, że próbowaliśmy.

Odpowiedź Durmasta była krótka, wulgarna i gwałtowna.

– Końskie gówno! Świat jest pełen nieszczęśników, którzy próbowali, a ja nie zamierzam być jednym z nich. I co teraz zrobimy? Zaczekamy na jakiegoś złotowłosego, uśmiechniętego drenajskiego bohatera, którego pobłogosławiło święte źródło?

Danyal podeszła do Zbroi i próbowała ją wziąć, lecz ta pozostała złudzeniem.

- Co ty wyprawiasz? – warknął Durmast.
- Ty spróbuj – powiedziała.
- Po co? Czy ja wyglądam na drenajskiego bohatera?
- Wiem, kim jesteś, Durmaście. Jednak spróbuj. Co możesz stracić?

Olbrzym podniósł się z podłogi i podszedł do Zbroi. Wyglądała tak solidnie. Wzruszył ramionami, sięgnął ręką...

I natrafił na metal!

Danyal rozdziawiła usta.

– Bogowie! To on!

Durmast stanął jak wryty, a potem przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz. Tym razem zdjął hełm i z szacunkiem położył go przed Waylanderem. Potem spojrzął na swoje dłonie. Zabójca

zobaczył, że drżały mu jak w febrze. Sztuka po sztuce, Durmast zdjął Zbroję z wieszaka. Potem usiadł obok Waylandera, milcząc.

Pochodnie dogasały i Danyal klepnęła Waylandera w ramię.

– Musimy iść.

Waylander i Durmast pozbiali Zbroję i poszli za Danyal do wyjścia. Na zewnątrz spojrzano na nich morze oczu. Danyal zamarła, a potem wysoko uniosła pochodnię i oczy cofnęły się w cień.

– To będzie długi spacer – mruknął Durmast.

Wysunął się naprzód i blask łuczywa padł na Zbroję z Brązu. Wokół nich rozległ się złowrogi pomruk, lecz niebawem ucichł. Oczy cofnęły się i Danyal powiodła ich z powrotem.

Wyszedszy na otwartą przestrzeń, Durmast i Waylander przywiązali Zbroję do grzbietu jucznego konia Durmasta i nakryli błyszczący metal szarym kocem.

Słyszając stukot kopyt na kamieniach, Durmast zaklął, chwycił łuk i pobiegł w kierunku ścieżki. Waylander dołączył do niego, z kuszą w dłoni.

Dwaj Nadirowie wypadli na półkę, unosząc lance do ciosu. Obaj wylecieli z siodeł, jeden z bełtem w oku, drugi z długą strzałą między żebrami.

– To tylko przednia straż; chyba mamy kłopoty – rzekł Durmast, wyjmując drugą strzałę z kołczana. – Niestety, jesteśmy w pułapce.

– Druga ścieżka może być nie pilnowana – powiedział Waylander. – Zabierz Danyal i uciekajcie. Ja zatrzymam ich tutaj i dołączę do was później.

– To ty weź ją i uciekaj – mruknął Durmast. – Ja już mam dosyć jej towarzystwa.

– Słuchaj mnie, przyjacielu. Bractwo szuka mnie na wszystkie sposoby. Dokądkolwiek ucieknę, znajdą mnie. Jeśli zostanę tutaj, przyciągnę ich jak miód pszczoły, co da wam szansę dotrzeć ze Zbroją do Egela. Teraz idź – zanim będzie za późno.

Durmast zaklął, a potem wrócił do Danyal.

– Osiodłaj konia – powiedział. – Jedziemy.

– Nie.

– To jego pomysł – i cholernie dobry. Idź się pożegnać; sam osiodłam twojego przeklętego konia.

Danyal pobiegła do Waylandera.

– Czy to prawda? – spytała ze łzami w oczach.

– Tak, musisz jechać. Przykro mi, Danyal. Żałuję, że nie mieliśmy szansy na wspólne życie. Jednak od kiedy ciebie poznałem, stałem się lepszym człowiekiem. Obojętnie, czy ucieknę, czy zostanę, jestem zgubiony... więc zostanę tu. Ale będzie mi lżej, ponieważ wiem, że pomogę wam wykonać zadanie.

– Durmast zdradzi cię.

– Jeśli tak, niech tak będzie. Zrobiłem swoje i nie mogę zrobić nic więcej. Proszę, jedź.

Wyciągnęła ręce, lecz w tym momencie na półkę wypadł jeździec. Waylander odepchnął ją i wypuścił belt, który trafił wojownika w ramię; trafiony spadł z konia i na czworakach umknął pod osłonę skał.

– Kocham cię, Dakeyrasie – szepnęła Danyal.

– Wiem. Idź już.

Waylander słyszał, jak odjeżdżali, lecz nie odwrócił się, by na nich popatrzeć, i nie widział, jak Danyal obrzuca go pożegnalnym spojrzeniem.

Nadirowie zaatakowali i dwaj pierwsi natychmiast runęli z koni. Dwaj następni zginęli od strzału, gdy Waylander pochwycił łuk Durmasta. Potem znaleźli się przy nim, a on z przeraźliwym okrzykiem skoczył im na spotkanie, wywijając mieczem. Ścieżka była wąska i nie mogli go otoczyć. Ściął dwóch następnych i wycofali się przed jego wściekłym atakiem.

Zabił sześciu.

Chwiejnie podszedł do swej kuszy i naładował ją. Krew ciekła mu ciurkiem z rany w nodze. Otarł pot z czoła i słuchał.

Usłyszał szelest odzienia ocierającego o skałę i zerknął w górę w chwili, gdy wojownik z nożem w ręce skoczył na niego z pobliskiego głazu. Waylander odskoczył, odruchowo naciskając języki spustowe kuszy. Oba belty przeszły wojownika, lecz spadając, wbił jeszcze nóż w ramię zabójcy. Waylander zepchnął ciało na bok i dźwignął się z ziemi. Nóż Nadira sterczał mu z rany, ale nie wrywał go – gdyby to zrobił, wykrwawiłby się na śmierć. Z trudem napiął kuszę.

Słońce opadało coraz bardziej i cienie wydłużały się.

Nadirowie zaczekają na nadejście nocy...

A on nie zdoła ich powstrzymać.

Zdrętwiały mu palce lewej dłoni i zacisnął je w pięść. Wbity w ramię nóż powodował silny ból i Waylander zaklął. Najlepiej jak mógł, owiązał ranę w udzie, lecz nadal sączyła się z niej

krew.

Było mu zimno i zaczął się trząść. Kiedy podniósł rękę, by otrzeć pot z czoła, zza skał wyskoczył łucznik i wypuścił strzałę. Waylander rzucił się w bok i posłał mu bełt. Strzelec zniknął. Waylander usiadł, opierając się plecami o skałę, a gdy spojrział w dół, zobaczył, że strzała o czarnej brzechwie trafiła go nad lewym biodrem, przebijając ciało. Ostrożnie sięgnął ręką. Grot strzały przeszedł na wylot, więc Waylander z jękiem odłamał go.

Nadirowie zaatakowali.

Dwa kolejne bełty trafiły w cel i wróg zniknął za skałami.

Teraz byli już bliżej i wiedzieli, że jest ciężko ranny. Spróbował naciągnąć kuszę, ale palce miał śliskie od krwi i każdy ruch powodował przeszywający ból w zranionym boku.

Ilu ich tam było?

Nie pamięta, ilu zabił.

Oblizawszy wargi wyschniętym językiem, ponownie oparł się o skałę. Mniej więcej dwanaście kroków dalej leżał okrągły głaz i Waylander wiedział, że za nim czai się wojownik. Z pobliskiej skały sterczał ostry występ. Waylander wycelował i posłał weń bełt, który odbił się od występu i poleciał w prawo. Przeróżliwy wrzask rozdarł powietrze i zza głazu wytoczył się Nadir, krwawiąc z rany w skroni. Drugi bełt trafił go między łopatki i wojownik runął na ziemię.

Zabójca jeszcze raz naciągnął kuszę. Zupełnie nie czuł lewej ręki. Okropny krzyk zmroził mu krew w żyłach. Zaryzykował i wyrzawszy zza głazu, zobaczył ostatniego wilkołaka otoczonego przez Nadirów. Rąbali i siekli bestię, lecz ta szarpała ich pazurami i rozdzierała kłami gardła.

Sześciu padło, przy czym co najmniej trzech zginęło od razu – i tylko dwaj wojownicy pozostali na nogach, by stawić czoło bestii. Skoczyła na pierwszego, który dzielnie usiłował wbić jej miecz w brzuch; ostrze przeszło pokryte sierścią ciało w tej samej chwili, gdy potwór zacisnął szczęki na głowie wojownika, miażdżąc ją w fontannie krwi. Ostatni Nadir uciekł po zboczu.

A wilkołak ruszył na Waylandera.

Zabójca wstał, zachwiał się i odzyskał równowagę.

Bestia szła powoli, z trudem, brocząc krwią z niezliczonych ran. Była żałośnie chuda, a język miała czarny i opuchnięty. Miecz Nadira sterczał z jej brzucha.

Waylander wycelował kuszę i czekał.

Bestia była tuż, tuż, wbijając w niego pałające wściekłością ślepie.

Waylander nacisnął spusty i dwa czarne bełty trafiły w pysk potwora, przebijając mózg. Wilkołak upadł i potoczył się po ziemi, a Waylander osunął się na kolana.

Bestia podniosła się, unosząc szponiastą dłoń ku niebu.

Potem zaszklily się jej ślepie i runęła w przepaść.

– A teraz ty zgnijesz w Piekło – usłyszał czyjś głos.

Waylander odwrócił się.

U wylotu drugiej ścieżki stało dziewięciu wojowników Bractwa z czarnymi mieczami w dłoniach, a ich czarne zbroje jarzyły się w gasnącym świetle, gdy ruszyli naprzód. Waylander usiłował wstać, ale upadł na zimną skałę i jęknął, kiedy strzała wbiła mu się przy tym głębiej. Wojownicy Bractwa nadchodzili, z twarzami zasłoniętymi czarnymi hełmami, w czarnych płaszczach powiewających na wietrze. Waylander wyjął zza pasa nóż i rzucił nim, lecz dłoń w czarnej rękawicy wzgardliwie odbiła ostrze.

Ogarnął go lęk, który przytłumił ból.

Nie chciał umierać. Odczuwany wcześniej spokój duszy prysnął, zostawiając go wystraszonego i bezradnego jak dziecko w ciemności.

Pomodlił się o siłę. O wybawienie. O piorun z jasnego nieba.

A czarni wojownicy śmiali się. Obuta stopa kopnęła go w twarz i upadł na ziemię.

– Nędzny robaku, dosyć sprawiłeś nam kłopotów.

Jeden z wojowników klęknął przy nim, chwycił strzałę sterczącą z boku Waylandera i zakreślił nią. Wbrew sobie zabójca krzyknął. Nabijana mosiądzem rękawica uderzyła go w twarz i usłyszał chrzęst łamanego nosa. Do oczu nabiegły mu łzy. Poczuł, jak sadzają go na ziemi. Kiedy rozjaśniło mu się w oczach, ujrzał przed sobą ciemne oczy szaleńca, spoglądające na niego przez szczeliny czarnego hełmu.

– Byłeś szalony – rzekł wojownik – wierząc, że zdołasz oprzeć się mocy Ducha. Zapłacisz za to, Waylanderze. Własnym życiem. Durmast ma Zbroję – i twoją kobietę. I wykorzysta obie. Zniszczy je.

Wojownik chwycił rękojeść noża sterczącego z ramienia Waylandera.

– Lubisz ból, zabójco? – Waylander jęknął, gdy tamten powoli obrócił ostrze w ranie. – Ja lubię.

Stracił przytomność, zapadając w ciemne morze niepamięci. Jednak znaleźli go nawet tam i jego dusza pomknęła po niebie, ścigana przez ziejące ogniem bestie. Ocucił go ich śmiech

i zobaczył, że księżyc stoi wysoko na Raboas.

– Teraz już wiesz, czym jest ból – rzekł przywódca czarnych wojowników. – Będziesz cierpiał za życia i cierpiał po śmierci. Co mi dasz, żebym uwolnił cię od bólu?

Waylander nie odpowiedział.

– Teraz zastanawiasz się, czy znajdziesz dość siły, aby wyrwać nóż i zabić mnie. Spróbuj, Waylanderze! Proszę, spróbuj! Masz, pomogę ci.

Wyjął nóż zza pasa zabójcy i wcisnął mu go w rękę.

– Spróbuj mnie zabić.

Waylander nie mógł poruszyć ręką, chociaż napinał mięśnie, aż krew popłynęła mu z rany. Z twarzą szarą jak popiół opadł na ziemię.

– Najgorsze dopiero nastąpi, Waylanderze – obiecał mu przywódca. – Teraz pchnij się w nogę.

Waylander zobaczył, jak jego własne ramię unosi się i opada... krzyknął, gdy ostrze wbiło się w udo.

– Jesteś mój, zabójco. Ciałem i duszą.

Inny wojownik klęknął obok przywódcy i przemówił:

– Czy pojedziemy za Durmastem i dziewczyną?

– Nie, Durmast jest nasz. On zawiezie Zbroję Kaemowi.

– Zatem jeśli pozwolisz, chciałbym porozmawiać sobie z tym zabójcą.

– Oczywiście, Ensonie. Jakie to samolubne z mojej strony. Kontynuuj.

Wojownik pochylił się nad Waylanderem.

– Wyciągnij nóż z rany – rozkazał. Waylander był bliski błagania o łaskę, ale zacisnął zęby. Jego ręka opadła i mocno szarpnęła za rękę, ale ostrze nie wyszło.

– Uspokój się, Ensonie – rzekł przywódca. – Podniecenie osłabia twoją moc.

– Wybacz mi, Tchardzie. Mogę spróbować jeszcze raz?

– Oczywiście.

Dłoń Waylandera ponownie chwyciła nóż i tym razem wyrwała go z rany.

– Bardzo dobrze – rzekł Tcharde. – Teraz spróbuj czegoś delikatniejszego. Niech powoli wyłupi sobie jedno oko.

– Bogowie, nie! – szepnął Waylander. Jednak nóż uniósł się powoli, a jego zakrwawione ostrze nieubłaganie zbliżało się ku twarzy zabójcy.

– Śmierdzące sukinsyny! – ryknął Durmast, a Tchar d obrócił się i ujrzał stojącego na ścieżce, brodatego olbrzyma z obosiecznym toporem w dłoniach. Enson też się odwrócił i Waylander poczuł, jak znika pętający go czar. Spojrzał na ostrze oddalone zaledwie o kilka cali od oczu i ogarnął go gniew, tłumiący ból.

– Ensonie! – powiedział cicho. Gdy czarny wojownik obrócił się ku niemu, Waylander wbił nóż aż po rękojeść w szczelinę jego hełmu.

Tchard uderzył pięścią w głowę Waylandera, który osunął się na ziemię obok martwego Ensona. Potem przywódca Bractwa wstał i spojrzał na Durmasta.

– Po co tu przyszedłeś?

– Przyszedłem po niego.

– Nie ma potrzeby – mamy go. Jeśli jednak niepokoisz się o swoją nagrodę, postaramy się, żebyś ją dostał.

– Nie chcę nagrody. Chcę jego... żywego.

– Co się z tobą dzieje, Durmaście? To zupełnie nie leży w twoim charakterze.

– Nie mów mi o moim charakterze, ty kupo kurzego łajna! Zostawcie go w spokoju.

– Albo?... – warknął Tchard.

– Albo zginiecie.

– Chcesz zabić ośmiu członków Bractwa? Chyba pomieszało ci się w głowie.

– Sprawdź sam – zachęcał Durmast, podchodząc z uniesionym toporem.

Tchard ruszył mu na spotkanie, a pozostali wojownicy rozstawili się za nim półkolem. Nagle Tchard wskazał palcem na Durmasta.

– Nie możesz się ruszyć! – wrzasnął, a olbrzym zachwiał się i stanął jak wryty. Tchard zaśmiał się ponuro, powoli wyjął miecz i ruszył ku niemu.

– Ty głupcze! Ze wszystkich ludzi nie nadających się na bohaterów, akurat tobie się tego zachciało. Jesteś jak wielkie dziecko wobec starszych i lepszych od siebie – i jak każde niesforne dziecko, zostaniesz ukarany. Będę słuchał twojej pieśni bólu przez wiele, wiele godzin.

– Co ty powiesz – mruknął Durmast i jego topór przeciął obojczyk Tchar da, odwalając mu ramię aż do biodra. – Jeszcze ktoś chce coś powiedzieć? Nie? No to zacznijmy się zabijać!

Z donośnym okrzykiem runął na wojowników, zataczając mordercze kręgi migoczącym ostrzem. Odskoczyli, przy czym jeden potknął się i upadł, a inny padł z czaszką rozciętą toporem. Waylander usiłował wstać, ale nie zdołał. Wyjął nóż do rzucania i czekał, modląc się o siły, żeby

pomóc olbrzymowi.

Pchnięty w szyję Durmast okręcił się, wrywając broń z dłoni przeciwnika i ciosem na odlew rozplątał mu gardło. Inny miecz przeszył mu pierś, lecz jego posiadacz zginął w tej samej chwili, gdy Durmast rąbnął go pięścią w krtań. Pozostali skoczyli na olbrzyma, siekąc i kłując. Ostrze topora nadal zataczało śmiertcionośne kręgi. Po chwili tylko dwaj członkowie Bractwa pozostali na nogach, a i ci odsunęli się od rannego Durmasta.

Waylander czekał, gdy cofali się plecami do niego. Otarłszy o kubrak spocone i zakrwawione palce, chwycił nóż i rzucił nim z całej siły. Ostrze wbiło się pod okapem hełmu wojownika po lewej, przecinając tętnicę. Krew trysnęła z rany i trafiony zachwiał się, chwytając ręką za gardło i daremnie usiłując zatamować krwotok.

Durmast runął na ostatniego wojownika, który uchylił się przed opadającym ostrzem i wbił mu miecz w brzuch. Olbrzym wypuścił topór i chwycił przeciwnika za szyję, po czym jednym energicznym ruchem skręcił mu kark. Potem opadł na kolana.

Waylander z trudem doczołgał się do umierającego Durmasta, który klęczał, zaciskając ogromne dłonie na rękojeści miecza sterczącego z brzucha.

– Durmaście!

Olbrzym osunął się na ziemię obok Waylandera. Uśmiechnął się zakrwawionymi wargami.

– Dlaczego? – szepnął.

– Co, przyjacielu?

– Dlaczego to ja zostałem wybrany?

Waylander potrząsnął głową. Wyciągnął rękę i ujął dłoń Durmasta, by mocno ją uścisnąć. Olbrzym broczył krwią z tuzina ran. Zaklął pod nosem, a potem powiedział:

– Jaka piękna noc.

– Tak.

– Założę się, że ten drań był zaskoczony, kiedy przeciąłem go na pół.

– Jak zdołałeś to zrobić?

– Niech mnie licho, jeśli wiem! – Durmast skrzywił się i głowa opadła mu w tył.

– Durmaście?

– Jestem tu... na razie. Bogowie, co za ból! Myślisz, że jego moc nie działała na mnie, ponieważ jestem Wybrany?

– Nie wiem. Prawdopodobnie.

– To miło.

– Dlaczego wróciłeś?

Durmast zachichotał, ale zaraz zakaszał i krew popłynęła mu z ust. Chrząknął i splunął.

– Przyszedłem zabić cię dla nagrody – rzekł w końcu.

– Nie wierzę ci.

– Czasem sam sobie nie wierzę!

Przez chwilę leżeli w milczeniu.

– Myślisz, że można to uznać za dobry uczynek? – spytał Durmast głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

– Tak sądzę – odparł z uśmiechem Waylander.

– Nikomu nie mów – powiedział Durmast. Głowa opadła mu na bok i wydał ostatnie tchnienie.

Waylander obrócił się, słysząc jakiś cichy chrobot.

Z jaskini wyłonił się tuzin bestii, pokręconych i zdeformowanych. Podbiegły do trupów, chichocząc z radości. Waylander patrzył, jak wloką ciała w ciemny otwór jaskini.

– Nikomu nie powiem – szepnął martwemu Durmastowi.

Stwory pochyliły się nad nim.

Rozdział 24

Gellan i Jonat czekali z setką wojowników pod murem, nasłuchując odgłosów bitwy na górze. Wszyscy mieli na sobie czarne zbroje Vagryjskich Ogarów, niebieskie płaszcze na pozłacanych napierśnikach. Tylko Gellan nosił oficcerski hełm ozdobiony pióropuszem z końskiego włosia.

Dochodziła północ i Vagryjczycy znów atakowali. Gellan przełknął ślinę i zacisnął pasek hełmu.

– Nadal twierdzę, że to szaleństwo – szepnął Jonat.

– Wiem. W tym momencie jestem skłonny przyznać ci rację.

– I tak pójdziemy – mruknął Jonat. – Pewnego dnia ktoś usłucha mojej rady, a wtedy pewnie umrę ze zdziwienia!

Drenajski żołnierz zbiegł po schodach, trzymając w ręku okrwawiony miecz.

– Odchodzą – powiedział. – Przygotujcie się!

Skulił się na schodach, obserwując blanki.

– Teraz! – krzyknął. Gellan machnął ręką i setka żołnierzy poszła za nim po schodach i na mur. Drabiny i sznury pozostały na miejscu; Gellan ujął drewniany szczebel i zerknął w dół. Trzej Vagryjczycy jeszcze nie zeszli po drabinie do podnóża muru. Przerzuciwszy nogę za mur, zaczął schodzić. Za nim żołnierze wywijali mieczami, udając walkę, aby zmylić ewentualnych obserwatorów przeciwnika; Gellan uznał, że robią to niezbyt przekonująco. Szybko zszedł na dół i czekał, aż dołączą do niego. Potem ruszył w kierunku obozu przeciwnika.

Przyłączyło się do nich kilku żołnierzy wroga, ale nie było rozmów. Ludzie byli śmiertelnie strudzeni i zdemoralizowani po kolejnym kiepskim, bezowocnym dniu.

Gellan zerknął na Jonata. Ten był spięty, jednak twarz miał spokojną i – jak zawsze – zapomniał o swoich urazach, gotowy jak najlepiej wykonać swoje zadanie.

Wszędzie wokół żołnierze siedzieli przy ogniskach, a na prawo kucharze przygotowywali gorący posiłek w trzech wielkich kotłach.

Zapach podrażnił nozdrza Gellana i jego wyschnięte usta nagle wypełniły się śliną. Obrońcy Purdol już od trzech dni nie jedli.

Autorem śmiałego planu był Karnak. Przebrani za vagryjskich żołnierzy, wojownicy

Drenajów mieli uderzyć na magazyny i zdobyć żywność dla głodujących obrońców. Pomysł wydawał się niezły, kiedy omawiano go przy wielkim stole w biesiadnej sali Purdol. Jednak teraz, kiedy szli przez nieprzyjacielski obóz, wydawał się samobójczy.

Jakiś oficer wyszedł z ciemności.

– Dokąd idziecie? – spytał Gellana.

– Nie twój cholerny interes – odparł Drenaj, rozpoznawszy rangę pytającego po mosiężnych paskach na epoletach.

– Chwileczkę – rzekł oficer nieco łagodniejszym tonem. – Kazano mi nikogo nie wpuszczać do wschodnich kwater.

– No cóż, skoro mamy pilnować doków, to chętnie usłyszę, jak mamy tam dotrzeć, nie przechodząc tędy.

– Doków pilnuje trzeci szwadron – powiedział Vagryjczyk. – Mam to zapisane.

– Świetnie – mruknął Gellan. – W takim razie zignoruję rozkazy generała i każę moim ludziom odpoczywać. A gdyby pytał mnie, dlaczego tak zrobiłem, to... jak się nazywasz?

– Antasy, szósty szwadron – odparł oficer, stając na baczność. – Jestem pewien, że wymienianie mojego imienia nie będzie konieczne. Najwidoczniej zaszła jakaś pomyłka.

– Najwidoczniej – przytaknął Gellan, odwracając się do niego plecami. – Naprzód!

Gdy żołnierze powlekli się krętymi uliczkami portu, Jonat zrównał się z Gellanem.

– Teraz będzie najtrudniejsza część zadania – powiedział cicho.

– Istotnie.

Przed nimi sześciuosobowy oddziałek żołnierzy stał na warcie przed drewnianym magazynem. Dwaj siedzieli na pustych skrzyniach, a czterej pozostali grali w kości.

– Wstać! – ryknął Gellan. – Kto tu dowodzi?

Czerwony na twarzy żołnierz wystąpił naprzód, chowając kości do mieszka przy pasie.

– Ja.

– Co to ma znaczyć?

– Proszę o wybaczenie. My... no cóż, nudziliśmy się.

– Nie będziesz się nudził, jak dostaniesz sto batów, chłopcze!

– Nie.

– Nie jesteś z mojego szwadronu, a ja nie zamierzam bawić się w biurokratyczną pisaninę. Dlatego zapomnę o waszym niedbalstwie. Powiedz mi, czy wasi koledzy na tyłach także grają

w kości?

– Nie wiem.

– Ilu ich tam jest?

– Dziesięciu.

– Kiedy zmiana warty?

Żołnierz zerknął na zegarek.

– Za dwie godziny.

– Bardzo dobrze. Otwieraj magazyn.

– Słucham?

– Czyżbyś był nie tylko niedbały, ale i głuchy?

– Nie, panie. Po prostu nie mam klucza.

– Chcesz powiedzieć, że nie przysłano tu klucza?

– Nie rozumiem.

– Generał – powiedział powoli i cierpliwie Gellan – kazał nam przenieść część zapasów z tego magazynu do jego kwatery. Wasz drugi oficer... jak on się nazywa?

– Erthold, panie.

– Właśnie, Erthold – miał spotkać się z nami tutaj albo zostawić klucz. Gdzie on jest?

– No...

– No co?

– On śpi, panie.– Śpi – powtórzył Gellan. – Dlaczego nie przyszło mi to do głowy? Oddział wypoczywa sobie na służbie. Grając w kości, ni mniej, ni więcej, tak że setka ludzi może przejść tędy niepostrzeżenie. Co innego mógłby robić oficer? Jonacie!

– Tak, dowódco.

– Bądź tak dobry i wyważ te drzwi.

– Tak jest – odparł uradowany Jonat i z dwoma żołnierzami podbiegł do magazynu. W kilka sekund wyłamali boczne drzwi, weszli do budynku, odsunęli sztabę ryglującą wrota i otworzyli je na oścież.

Gellan machnięciem ręki skierował swój oddział do środka i żołnierze wpadli do magazynu.

– Erthold będzie wściekły, panie – powiedział żołnierz. – Czy mam posłać kogoś, żeby go obudził?

– Jak chcesz – odrzekł Gellan z uśmiechem. – Jednak może cię wtedy zapytać, kto pozwolił

ci zejść z posterunku. Chciałbyś tego?

– Myślisz panie, że lepiej mu nie przeszkadzać?

– Sam zdecyduj.

– Pewnie tak byłoby najlepiej – rzekł żołnierz, czekając na aprobatę. Gellan ruszył naprzód, ale odwrócił się, słysząc tupot nóg. Zza węgła wypadło dziesięciu żołnierzy z mieczami w dłoniach.

Zobaczyli Gellana i stanęli. Trzej pierwsi zasalutowali nerwowo, a pozostali poszli za ich przykładem.

– Wracajcie na posterunki – rozkazał Gellan.

Tamci zerknęli na swego dowódcę, który wzruszył ramionami i odprowadził ich machnięciem ręki.

– Przepraszam za to, panie – rzekł – ale jestem ci wdzięczny, że nie oddałeś nas pod sąd za grę w kości.

– Od czasu do czasu sam grywam – powiedział Gellan.

Drenajowie, obładowani żywnością, zaczęli wychodzić z magazynu. Jonat dopilnował aprowizacji, starając się wybierać tylko najlepsze towary: mąkę, suszone owoce, wędzone mięso, płatki zbożowe i sól.

Na zapleczu znalazł też mały magazyn medyczny i spakował trzy worki ziół, które na pewno przydadzą się Evrisowi.

Zamknawszy wrota i założywszy sztabę, wyszedł z magazynu ostatni. Jego żołnierze stali szeregiem, trzymając na ramionach ciężkie paki.

Jonat podszedł do dowódcy straży.

– Niech nikt nie wchodzi do magazynu, mimo wyłamanych drzwi. Jeśli wypijecie choć kroplę trunku, będziecie mieli kłopoty! – Znacząco mrugnął okiem.

Vagryjczyk zasalutował i Gellan poprowadził swój oddział z powrotem w kierunku obozu.

Kolumna szła pustymi uliczkami, minęła namioty i straże, aż doszła na przedpole fortecy. Zerknąwszy w prawo, Gellan ujrzał widok, który zmroził mu krew w żyłach.

Za rzędem domów, ukryte przed oczami obrońców twierdzy, budowano trzy wielkie maszyny. Będąc przejazdem w Vagrii, widział, jak działają. Balisty – wielkie katapulty służące do miotania głazów w mury warowni. Kiedy zostaną ukończone, śmierć zbierze obfite żniwo wśród obrońców. Zapewne przysłano je drogą morską z Vagrii, wokół lentryjskiego przylądka,

i składano tu z części. Klepnął Jonata w ramię i wskazał na robotników krzątających się przy świetle latarni.

Jonat zaklął, a potem spojrzął na Gellana.

– Chyba nie zamierzasz?...

– Prowadź ludzi z powrotem do Purdol, Jonacie. Zobaczymy się później.

– Nie możesz...

– Bez gadania. Ruszaj!

Dardalion wrócił do fortecy i swego śpiącego ciała. Otworzył oczy i spuścił nogi z łóżka. Poczuł głęboki smutek, schował twarz w dłoniach i zapłakał.

Patrzył, jak umierającego Waylandera zaniecono do jaskini i czuł głód jej mieszkańców.

Astila w milczeniu wszedł do komnaty i usiadł przy płaczącym kapłanie.

– Waylander nie żyje – powiedział mu Dardalion.

– Był twoim przyjacielem – rzekł Astila. – Tak mi przykro.

– Nie wiem, czy w tych okolicznościach można mówić o przyjaźni. Chyba byliśmy towarzyszami. Dał mi nowe życie, nowy cel. Z daru jego krwi powstało Trzydziestu.

– A zatem nie wykonał zadania?

– Jeszcze nie. Na razie Zbroja jest bezpieczna, lecz samotna kobieta wiezie ją przez ziemie Nadirów. Muszę do niej dotrzeć.

– To niemożliwe, Dardalionie.

Kapłan-wojownik uśmiechnął się.

– Wszystko, czego dotychczas dokonaliśmy, z początku wydawało się niemożliwe.

Astila zamknął oczy.

– Nasi wracają z żywnością – rzekł. – Baynha raportuje, że nie ponieśli żadnych strat, tylko ich oficer jeszcze nie wrócił.

– Dobrze. Co z Bractwem?

– Dzisiaj nie atakowali.

– Zbierają siły czy też pobiliśmy ich?

– Nie sądzę, aby byli pokonani.

– Nie – przyznał ze smutkiem Dardalion. – To byłoby zbyt piękne.

Wyczuwając, że kapłan chce zostać sam, Astila opuścił komnatę i Dardalion podszedł do wysokiego okna, żeby spojrzeć na odległe gwiazdy. Spoglądając w ich wieczność odnalazł spokój i oczami duszy ujrzał twarz Durmasta. Potrząsnął głową, wspominając, jak poszybował duchem do Raboas, aby ujrzeć Waylandera. Przybył tam w samą porę, by zobaczyć, jak członkowie Bractwa torturują Waylandera, a olbrzymi Durmast stawia im czoło. Dardalion zebrał wszystkie siły i osłonił Durmasta tarczą, niweczając czar rzucony przez Tchara. Nie zdołał jednak zapobiec temu, by ostre miecze przeszły ciało olbrzyma. Słyszał rozmowę Waylandera z Durmastem i serce ścisnęło mu się z żalu na słowa wielkoluda.

– Myślisz, że jego moc nie działała na mnie, ponieważ jestem Wybrany?

Dardalion z całej duszy pragnął, aby to było prawdą, a nie zwykłym zbiegiem okoliczności: jeden człowiek, jeden duch we właściwym miejscu i czasie.

Nie wiedzieć czemu, ale czuł, że Durmast zasługiwał na coś więcej.

Zaczął zastanawiać się, czy Źródło przyjmie Durmasta. Czy całe życie drobnych występków znaczy więcej niż jeden moment heroizmu? Właściwie tak, ale...

Kapłan zamknął oczy i pomodlił się za dusze obu tych mężczyzn. Potem uśmiechnął się. A po cóż takim jak oni spokojny raj obiecany przez starożytność? Modlić się i śpiewać przez wieczność! Czy nie woleliby raczej, aby ich dusze też umarły?

Jedna z dawnych religii obiecywała bohaterom ogromną salę, w której powitają ich wojowniczkę, śpiewające o ich czynach i odwadze.

Durmast zapewne wolałby coś takiego.

Dardalion spojrział na księżyc... i zadrżał.

Nagle zadał sobie jedno proste pytanie.

Czym jest cud?

Wyłaniająca się z głębi jego umysłu odpowiedź na to nie wypowiedziane pytanie oszołomiła go.

Cud to coś, co zachodzi nieoczekiwanie w odpowiedniej chwili. Nic więcej. I nic mniej.

To, że uratował Durmasta, było cudem, gdyż Durmast nigdy nie oczekiwał takiej pomocy. A dlaczego Dardalion znalazł się tam we właściwej chwili?

Ponieważ chciałem odszukać Waylandera, powiedział sobie.

A dlaczego?

Nagle kapłan zrozumiał wszystko, odszedł od okna i usiadł na łóżku.

Durmast został wybrany wiele lat temu, jeszcze przed narodzeniem. Jednak bez Waylandera pozostałby zabójcą i złodziejem. A bez Dardaliona Waylander byłby jedynie ściganym zabójcą.

Wszystko to tworzyło wzór spleciony z serii pozornie przypadkowych wydarzeń.

Dardalion opadł na kolana, czując ogromny wstyd.

Gellan siedział za kręgiem światła i obserwował inżynierów budujących balisty. Uwijało się przy nich około dwustu robotników, mocując ogromne ramiona katapult i wbijając drewniane kołki w ramę. Na końcu każdego ramienia był przytwierdzony brezentowy kosz, w którym można było umieścić gazy ważące prawie ćwierć tony. Gellan nie wiedział, jaki zasięg mają te maszyny, lecz w Ventrii widział kamienie miotane na setki stóp.

Balisty umieszczono na drewnianych stelażach zaopatrzonych w drewniane koła. Podtoczą je pod mury, zapewne naprzeciw wieży bramnej.

Nabijane mosiężnymi ćwiekami dębowe wrota dotychczas wytrzymały wszystkie ataki. Czy oprą się tym niszczycielskim maszynom?

Gellan zerknął na fortecę, srebrzyście białą w blasku księżyca. Ostatni żołnierze weszli na mur; do tej pory żywność umieszczono w magazynie, a nad ogniskami zawisły mosiężne kotły z bulgoczącą polewką.

Gellan pożałował, że nie pożegnał się z Jonatem. Miał wrażenie, że postąpił grubiańsko, odsyłając go bez słowa.

Podniósłszy się z ziemi, śmiało podszedł do maszyn i przystanął, podziwiając je – zdumiewały go solidne spojenia i ich ogrom. Szedł dalej, nie budząc niczyjzego zainteresowania, aż dotarł do baraku z materiałami. Wszedłszy tam, znalazł beczki z oliwą do lamp i kilka wiader.

Zdjął hełm i napierśnik, napełnił wiadra oliwą i wyniósł je na zewnątrz, stawiając przed chatą. Kiedy napełnił sześć wiader, znalazł pusty dzban, do którego również nalał oliwy. Wziąwszy latarnię wiszącą na pobliskim słupie, podszedł do najdalej stojącej maszyny i spokojnie polał oliwą szeroką belkę łączącą długie ramię z ramą.

Potem podszedł do drugiej maszyny i spokojnie opróżnił drugi dzban. Zdjąwszy szkło z latarni, Gellan przyłożył płomień do nasączonego drewna. Rama stanęła w płomieniach.

– Co robisz? – wrzasnął jakiś inżynier. Gellan zignorował go i podszedł do pierwszej balisty, po czym podpalił i ją.

Mężczyzna chwycił go za ramię i obrócił do siebie, a Gellan wbił mu sztylet między żebra. Ludzie nadbiegali ze wszystkich stron.

– Szybko! – krzyknął Gellan. – Przynieście wody. Tam jest!

Kilku mężczyzn usłuchało go, chwytając wiadra, które Gellan pozostawił przed barakiem.

Z polanego oliwą drewna trysnął w niebo ogromny słup płomieni. Drugi, chociaż nie tak widowiskowy, stanął nad drugą machiną.

Nie mając czasu, by zniszczyć trzecią balistę, Gellan odszedł od szalejących płomieni, nie wierząc w swoje szczęście.

To było takie proste, pewnie dlatego, że poruszał się bez pośpiechu i w ten sposób nie zwrócił na siebie uwagi. Teraz wróci do fortecy na porządny posiłek.

Odwrócił się, żeby uciec – i stanął przed tuzinem zbrojnych, dowodzonych przez ciemnowłosego oficera ze srebrzystą szablą.

Oficer wystąpił naprzód, uniesioną ręką powstrzymując żołnierzy.

– Gellan, prawda? – spytał.

Gellan powoli wyjął swój miecz.

– Zgadza się.

– Spotkaliśmy się dwa lata temu, kiedy byłem honorowym gościem na turnieju Srebrnych Mieczów w Drenanie. O ile wiem, wygrałeś go.

Gellan rozpoznał w nim Dalnora, vagryjskiego szermierza i adiutanta generała Kaema.

– Miło znów cię spotkać – powiedział.

– Rozumiem, że nie zamierzasz się poddać?

– Taka myśl nie przyszła mi do głowy. A ty chcesz się poddać?

Dalnor uśmiechnął się.

– Widziałem, jak walczysz, Gellanie. Byłeś bardzo dobry – chociaż nazbyt podejrzliwy. Dostrzegłem pewne luki w twojej obronie. Mogę ci zademonstrować?

– Bardzo proszę.

Dalnor wystąpił naprzód i sprezentował broń. Gellan skrzyżował ostrze z jego szablą, po czym odskoczyli i zaczęli krążyć wokół siebie. Wąska szabla Dalnora śmignęła naprzód i natychmiast napotkała opór przeciwnika, który natychmiast skontrował i cofnął się.

Za nimi płonęły balisty i pojedynki toczyły się w blasku płomieni. Raz po raz szczękały i zgrzytały ostrza, lecz żaden z walczących nie został jeszcze ranny. W końcu Dalnor

zamarkował fintę w lewo i szybkim ruchem nadgarstka skierował ostrze w prawo. Gellan zablokował je i odpowiedział mocnym pchnięciem w brzuch. Dalnor uskoczył, odbijając miecz, i ciosem na odlew uderzył w głowę Gellana. Drenajski oficer przykucnął.

Klingi skrzyżowały się ponownie i tym razem Dalnor markując cios w pierś, przeszył bok Gellana nad prawym biodrem. Szabla przecięła ciało, cofając się w mgnieniu oka.

– Widzisz, Gellanie? – rzekł Dalnor. – To luka w dolnej zasłonie – jesteś zbyt wysoki.

– Dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę. Popracuję nad tym.

Dalnor zachichotał.

– Podobasz mi się, Gellanie. Szkoda, że nie jesteś Vagryjczykiem.

Gellan był zmęczony i głód pozbawił go sił. Nie odpowiedział, lecz ponownie sprezentował broń i Dalnor uniósł brwi.

– Jeszcze jedna lekcja?

Ruszył naprzód i ostrza zetknęły się. Przez kilka sekund żaden z walczących nie uzyskał przewagi, a potem Gellan osłonił się niedbale i ostrze Dalnora natychmiast wbiło mu się między żebra. Gellan natychmiast zacisnął je w dłoni, blokując ostrze w ranie, po czym szybkim pchnięciem przeciął tętnicę szyjną Dalnora.

Vagryjczyk runął na wznak, ściskając dłonią gardło.

Gellan upadł na twarz, wypuszczając broń.

– Dziękuję za radę, Vagryjczyku – powiedział.

Jakiś żołnierz doskoczył do niego i wbił mu miecz w kark. Dalnor uniósł rękę, jakby chciał go powstrzymać, ale spieniony strumień krwi trysnął mu z szyi i Vagryjczyk znieruchomiał obok zabitego Drenaja.

Dalej płonęły balisty, a słup czarnego dymu unosił się nad szarą fortecą i zawisł jak pięść nad jej obrońcami.

O świcie Kaem obejrzał pogorzelisko. Dwie maszyny zostały zniszczone.

Jednak trzecia pozostała nietknięta.

Kaem uznał, że to wystarczy.

Rozdział 25

Karnak patrzył na unoszące się wysoko nad domami płomienie i wypatrywał na przedpolu Gellana. Nie spodziewał się go ujrzeć, ale nie tracił nadziei.

Z uwagi na przyszłość – jeśli miał przed sobą jakąś przyszłość – może nawet dobrze się stało, że Gellan zginął. Nigdy nie byłby dobrym poplecznikiem; był zbyt niezależny, by można liczyć na jego ślepą lojalność. Ale Karnak wiedział, że będzie mu go brakowało; tak jak kolca róży, przypominającego o słabości ciała.

– To wygląda na dwa ogniska – rzekł Dundas, idący obok generała.

– Tylko dwa. Jonat mówi, że były trzy balisty.

– Mimo to całkiem niezły wynik jak na jednego człowieka.

– Człowiek może zrobić wszystko, jeśli wkłada w to serce.

– Straciliśmy dziś trzystu ludzi, generale.

Karnak skinął głową.

– Egel wkrótce tu będzie.

– Chyba pan w to nie wierzy.

– Wytrzymamy, dopóki nie nadejdzie, Dundasie. Nie mamy wyboru. Powiedz Jonatowi, że musi zająć miejsce Gellana.

– Sarvaj jest starszy.

– Wiem, kto jest starszy. Niech Jonat obejmie dowództwo.

– Tak jest.

Dundas chciał odejść, ale Karnak zatrzymał go.

– W czasie pokoju nie zrobiłbym Jonata nadzorcą chłopców stajennych. Jednak teraz toczy się śmiertelna gra.

– Tak jest, generale.

Karnak powiódł spojrzeniem od bramy ku blankom, patrząc na ludzi na murach. Jedni siedzieli i jedli, inni leżeli pogrążeni we śnie; jeszcze inni ostrzyli miecze stępione w bezustannych potyczkach.

Za mało, pomyślał. Zerknął na kasztel.

Wkrótce będzie musiał podjąć trudną decyzję.

Niżej, na murze, Jonat siedział obok Sarvaja. Przez jakiś czas obaj wypatrywali Gellana; teraz wiedzieli już, że został schwytany lub zabity.

– Był dobrym człowiekiem – rzekł w końcu Sarvaj.

– Był głupcem – syknął Jonat. – Nie musiał dać się zabić.

– Nie – przyznał Sarvaj. – Będzie mi go brakować.

– Mnie nie! Nie obchodzi mnie, ilu jeszcze oficerów zginie. Zastanawiam się tylko, dlaczego zostałem w tej przeklętej fortecy. Miałem kiedyś marzenie albo – jeśli wolisz – ambicje... Byłeś kiedyś w górach Skoda?

– Nie.

– Są tam szczyty, na których nigdy nie stanęła ludzka stopa; przez dziewięć miesięcy w roku spowijają je gęste mgły. Chciałem wybudować dom u podnóża jednego z tych szczytów – w ukrytym wąwozie, gdzie można hodować konie. Znam się na koniach. Lubię je.

– Miło mi słyszeć, że jest coś, co lubisz.

– Lubię wiele rzeczy, Sarvaju. Choć niewielu ludzi.

– Gellan cię lubił.

– Przestań! Nie chcę już słyszeć o Gellanie. Rozumiesz?

– Nie sędzę.

– Ponieważ to dla mnie ważne. Czy to cię zadowala? To chciałeś usłyszeć? Przykro mi, że zginął. Właśnie tak! I... nie chcę o tym mówić.

Sarvaj zdjął hełm i wyciągnął się na zimnym kamieniu.

– Ja też miałem kiedyś marzenie. W Drenanie była pewna dziewczyna – mądra, utalentowana i wolna. Jej ojciec posiadał flotę kupiecką, żeglującą od Mashrapuru po wschodnie porty. Miałem poślubić ją i zostać kupcem.

– Co się stało?

– Wyszła za innego.

– Nie kochała cię?

– Mówiła, że kocha.

– No to lepiej, że tak się stało.

Sarvaj zachichotał.

– Uważasz, że teraz mi lepiej?

– Przynajmniej jesteś wśród przyjaciół – rzekł Jonat, wyciągając rękę. Sarvaj uścisnął ją.

- Zawsze chciałem umrzeć wśród przyjaciół.
- No, to marzenie na pewno się spełni.

Danyal od czterech dni jechała przez surową, dziką równinę. Przez ten czas nie napotkała nikogo, ale teraz, jadąc przez gęsty las, czuła, że nie jest sama. W gąszczu po prawej przemykał jakiś cień, kryjąc się w zaroślach i za grubymi pniami.

Popędziła konia, ciągnąc za sobą jucznego kuca.

Cień nadal jej towarzyszył. Rzadko widziała go dłużej niż przez moment, ale poruszał się bardzo szybko i bezszelestnie.

Nadchodził zmierzch i obawy Danyal rosły. Zaszło jej w ustach, a dłonie miała śliskie od potu. Pożałowała, że nie ma przy niej Waylandera – albo przynajmniej Durmasta.

Na chwilę zapomniała o lęku, przypominając sobie ostatnią rozmowę z Durmastem.

Kiedy ujechali może z pięć mil, napotkali grupkę wojowników w czarnych płaszczach. Durmast zaklął i sięgnął po topór, lecz tamci przejechali obok, ledwie zaszczyciwszy ich spojrzeniem.

Durmast po prostu wpadł w furję.

– Zignorowali mnie – warknął.

– Cieszę się z tego – powiedziała mu Danyal. – Chciałeś z nimi walczyć?

– To wojownicy Bractwa, szukający Zbroi. Umieją czytać w myślach, zatem wiedzieli, że ją mamy.

– Dlaczego więc nam jej nie zabrali?

Zeskoczył z konia i podszedł po pobliskiego głazu, na którym usiadł i spojrzał na odległy Raboas. Danyal dołączyła do Durmasta.

– Nie możemy tu zostać. Waylander ryzykuje życie, żeby dać nam czas na ucieczkę.

– Oni wiedzieli – rzekł Durmast.

– Co wiedzieli?

– Znali moje myśli.

– Nie rozumiem.

– Wiesz, kim jestem, Danyal... albo kim byłem. Nie ma we mnie prawdziwej siły prócz tej, która tkwi w mięśniach tego przerośniętego cielska. Jestem nędznikiem i zawsze nim byłem. Weź

Zbroję i jedź.

– A co ty zrobisz?

– Pojadę na wschód – może do Ventrii. Powiadają, iż widok Gór Opałowych zimą to coś wspaniałego.– Nie poradzę sobie sama.

– Nic nie rozumiesz, prawda? Zdradziłbym cię, Danyal, i ukradłbym Zbroję. Jest warta fortunę.

– Daleś słowo.

– Moje słowo to świńskie łajno.

– Wracasz, żeby pomóc Waylanderowi.

Durmast zaśmiał się.

– Czy wyglądam na durnia? To byłby czyn szaleńca. No już. Jedź! Ruszaj, zanim zmienię zdanie.

Mijały dni, a Danyal wciąż miała nadzieję, że ujrzy doganiającego ją Waylandera. Nie mogła pojąć, że mógł zginąć – nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Był silny. Niezwyciężony. Nikt nie zdoła go pokonać. Wspominała ten dzień w lesie, kiedy stawiał czoło wojownikom Bractwa. Stał samotnie w zachodzącym słońcu, oblany czerwoną poświatą. I zwyciężył. Zawsze zwyciężał – nie mógł zginąć.

Gwałtownie wróciła do rzeczywistości, gdy łyzy stanęły jej w oczach – szybko wzięła się w garść. Szlak był wąski i zapadał zmrok; nie miała ochoty stawać tu na nocleg, ale konie były strudzone. Zerknęła w prawo, zaglądając w gąszcz, ale nie dostrzegła ani śladu nieuchwytnego prześladowcy. Może to był niedźwiedź, albo po prostu wytwór jej wyobraźni.

Jechała, aż usłyszała szum płynącej wody, a wtedy rozbiła obóz nad płytkim strumieniem, postanawiając czuwać z mieczem w dłoni przez całą noc.

Obudziła się o świcie i przeciągnęła się. Szybko wykapała się w lodowatym strumieniu, zimna woda odgoniła resztki snu. Potem zacisnęła popręg i wsiadła na klacz. Durmast radził, by kierowała się na południowy wschód, aż dotrze do rzeki. Tam znajdzie prom, a przebywszy bród, powinna pojechać na południe, do przełęczy Delnoch.

Las był cichy, a dzień ciepły i pogodny.

W polu widzenia pojawili się czterej nadyryjscy jeźdźcy i Danyal z mocno bijącym sercem ściągnęła wodze, gdy podjechali bliżej. Jeden z nich miał przywiązaną do siodła antylopę, a inni trzymali w rękach łuki. Pierwszy jeździec zatrzymał się przed nią.

– Tarasujesz szlak – powiedział.

Danyal zjechała na bok, a Nadirowie pojechali dalej.

Tej nocy rozpała niewielkie ognisko i w ciągu kilku sekund zasnęła.

Obudziła się tuż po północy i ujrzała ogromną postać siedzącą przy ognisku, dokładającą gałęzie do ognia. Najciszej jak umiała, wyjęła sztylet i odchyliła koc. Siedział tyłem do niej, jego naga skóra lśniła w świetle księżyca – był tak wielki, że nawet Durmast byłby przy nim karłem. Podniosła się z posłania. Odwrócił się...

I zobaczyła wpatrzone w nią jedno okropne oko nad szczelinami nosa i otworem pełnym ostrych kłów.

– Pszczel – mruknął Kai, klepiąc się w pierś. – Pszczel.

Pod Danyal ugięły się kolana, ale odetchnęła głęboko i podeszła z wyciągniętym nożem.

– Odejdź – powiedziała.

Kai wystawił szponiasty paluch i zaczął kreślić nim po ziemi. Nie patrzył na nią. Szykując się do skoku i błyskawicznego pchnięcia sztyletem, nagle zobaczyła, co robił: w twardej glinie nakreślił prymitywny rysunek człowieka z małą kuszą.

– Waylander – powiedziała Danyal. – Ty znasz Waylandera?

– Pszczel – odparł Kai, kiwając głową. Wskazał na nią. – Anyal.

– Danyal. Tak, tak. Jestem Danyal. Czy Waylander żyje?

– Pszczel.

Kai zacisnął dłoń w pięść, jakby trzymał w niej sztylet. Potem uderzył nią w ramię i biodro.

– Jest ciężko ranny? To chcesz mi powiedzieć?

Stwór tylko na nią spojrzał.

– A wojownicy Bractwa. Czy znaleźli go? Wysocy mężczyźni w czarnych zbrojach.

– Martwi – rzekł Kai, pokazując ciosy miecza lub topora. Danyal schowała sztylet i usiadła obok Kaja, po czym wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Posłuchaj. A ten człowiek, który ich zabił... czy on żyje?

– Martwy – rzekł Kai.

Danyal zgarbiła się i zamknęła oczy.

Kilka miesięcy temu występowała przed Królem. Parę tygodni później zakochała się w jego zabójcy. Teraz siedziała sama w lesie, z potworem, który nie umie mówić. Zaczęła śmiać się z całej tej sytuacji.

Kai słuchał jej śmiechu, słyszał, jak zmienia się w płacz, i widział, jak łzy płyną po jej gładkich policzkach. Taka śliczna, pomyślał. Tak jak ta dziewczyna Nadirów, którą obserwował. Taka mała, krucha, o ptasich kosteczkach.

Dawno temu Kai chciał zaprzyjaźnić się z taką istotą. Złapał dziewczynę, która prała szaty w strumieniu, i zaniósł ją w góry, gdzie zgromadził owoce i piękne kamyki. Jednak kiedy tam dotarł, była nieruchoma i martwa, z żebrami połamanymi od jego uścisku. Nawet jego kojące ręce nie zdołały przywrócić jej życia.

Nigdy więcej tego nie próbował...

Sześciuset ludzi ustawiło balistę pięćdziesiąt kroków od bramy. Potem pojawiło się sześć wozów ciągniętych przez muły i Drenajowie patrzyli, jak wrogowie uwijają się, wyprzęgając zwierzęta. Potem za balistą zamontowano kołowrót.

Karnak zawołał do siebie Dundasa, Jonata i kilku innych oficerów.

– Wycofajcie większość ludzi do kasztelu. Zostawcie na murach tylko strażę.

W ciągu kilku minut żołnierze znaleźli się w kasztelu i zajęli stanowiska na blankach.

Karnak otworzył skórzany worek u pasa i wyjął placek z płatków i cukru. Odgryzł kawałek i żuł go w zadumie, patrząc na nieprzyjaciół.

Kilku żołnierzy przesunęło potężny głaz na tył wozu i owiązało go linami. Na dany sygnał czterej żołnierze zakręcili kołowrotem, umieszczając pocisk w koszu balisty. Oficer machnął ręką, pociągnięto za dźwignię i ramię balisty zatoczyło łuk.

Karnak patrzył, jak kamień szybuje w powietrzu, zdając się rosnąć w oczach. Z ogłuszającym hukiem głaz uderzył w mur obok wieży bramnej. Trysnęły kamienie i cały fragment muru ukruszył się i runął.

Karnak dokończył placek, podszedł na krawędź muru i wszedł na blanki.

– Tu jestem, sukinsyny! – ryknął. Potem zeskoczył z powrotem i zszedł schodami na główny bastion.

– Zejść z muru! – krzyknął. – Wycofać się do kasztelu!

Drugi fragment muru runął jakieś trzydzieści stóp od generała, a kamienie i spore głazy ze świstem przeleciały mu nad głową. Dwaj żołnierze spadli z muru i roztrzaskali się na brukowanym dziedzińcu.

Karnak zaklął i podbiegł do nich. Obaj nie żyli.

Głaz rąbnął w wieżę bramną, odbił się i upadł na dach szpitala. Belki zatrzeszczały, ale nie załamały się. Wieża zniosła jeszcze dwa takie uderzenia, ale przy czwartym zatrzęsła się i osiadła. Z przeciągłym zgrzytem kamienne bloki pękły i wieża przechyliła się w prawo, po czym runęła na dziedziniec za bramą.

W szpitalu Evris kończył zszywać brzuch młodemu żołnierzowi. Chłopak miał szczęście; pchnięcie miecza nie uszkodziło żadnych ważnych narządów i teraz musiał obawiać się tylko gangreny.

Ściana zwała się i ostatnią rzeczą, jaką ujrzał Evris, była gęsta czarna chmura spowijająca komnatę. Malutki chirurg zginął przygnieciony do przeciwległej ściany, obok ciała swego pacjenta. Jeszcze cztery głazy uderzyły w szpital i przewrócona latarnia podpałała koszyk z lnianymi bandażami. Płomienie przeskoczyły na drewniane drzwi, a potem na dalsze pomieszczenia. Pożar rozszerzał się błyskawicznie. W wielu salach nie było okien i setki rannych dusiły się w dymie. Sanitariusze najpierw próbowali ugasić pożar, a potem wynieść rannych; w końcu zostali odcięci przez płomienie.

Dębowa brama pękła, trafiona kamieniem z balisty. Drugi pocisk dokończył dzieła i masywne zawiasy puściły; lewa część wrót obwisła i upadła.

Karnak splunął i głośno zaklął. Potem poszedł do bramy kasztelu.

– To już koniec, generale – rzekł stojący tam żołnierz na widok dowódcy.

– Nie wygląda to najlepiej – zgodził się Karnak. – Zamknij bramę.

– Może ktoś jeszcze wyjdzie ze szpitala – protestował tamten.

– Nikt nie wydobędzie się z takiego piekła. Zamknąć bramę.

Karnak poszedł do wielkiej sali, gdzie Dardalion z dwunastoma pozostałymi przy życiu kapłanami Trzydziestu siedzieli zatopieni w modlitwie.

– Dardalionie!

Kapłan otworzył oczy.

– Tak, generale?

– Powiedz mi, że Egel już nadciąga.

– Nie mogę. Bractwo jest wszędzie i nie możemy się przebić.

– Bez Egela będziemy zgubieni. Skończeni. Wszystko będzie na darmo.

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Nikt nie może żądać od nas więcej.

– Ja mogę. Próbują tylko przegrani – liczy się tylko zwycięstwo.

– Waylander nie żyje – rzekł nagle Dardalion – ale Zbroja jest wieszona do Egela.

– Zbroja dotrze do niego za późno, żeby mogła nam pomóc. Jeśli Egel jeszcze nie zebrał armii, nie będzie miała żadnego znaczenia.

– Dla nas nie, generale. Ale Egel może połączyć się z Ironlatchem.

Karnak nie odpowiedział. Uderzyła go nieodparta logika takiego posunięcia i zaczął podejrzewać, że być może Egel od początku je zaplanował. Zapewne zrozumiał, że na dłuższą metę Karnak jest dla niego niebezpieczny i pozwolił, by Vagryjczycy rozwiązali za niego ten problem. Ponadto połączywszy się z Ironlatchem, mógłby wbić klin we flankę vagryjskich sił, uwalniając stolicę kraju.

Purdol mogła zaczekać.

Egel będzie miał wszystko: Zbroję, armię i cały kraj.

– Przybędzie, jeśli zdoła – rzekł Dardalion.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Egel jest człowiekiem honoru.

– Co to oznacza? – warknął Karnak.

– Mam nadzieję, że dokładnie to samo, co ty zrobiłbyś na jego miejscu.

Karnak roześmiał się, odzyskując dobry humor.

– Mam nadzieję, że nie, Dardalionie. Liczę, że jednak zjawi się tutaj!

We śnie Danyal usłyszała czyjś głos, mieszający się z sennymi myślami. Powoli oprzytomniała i poznała Dardalionia; był szczuplejszy i starszy, przygnieciony ciężarem odpowiedzialności.

– Danyal, słyszysz mnie?

– Tak – odparła i uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Dobrze się czujesz?

– Nie jestem ranna; tylko tyle mogę powiedzieć.

– Czy nadal masz Zbroję?

– Tak.

– Gdzie jesteś?– Niecały dzień drogi od rzeki i przeprawy. Jest ze mną ktoś – pewien

okropny stwór. Widział śmierć Waylandera.

– Otwórz oczy i pokaż mi go – polecił kapłan i Danyal zrobiła to. Kai siedział przy ogniu, wielkie oko miał zamknięte, a straszne usta rozdziawione.

– Nie ma w nim zła – orzekł Dardalion. – Teraz słuchaj mnie, Danyal. Spróbuję dotrzeć do Egela i sprawić, by przysłał ci eskortę. Zaczekaj przy przeprawie na wiadomość ode mnie.

– Gdzie jesteś?

– W Dros Purdol, lecz sytuacja tutaj jest rozpaczliwa i tylko dni dzielą nas od klęski. Mniej niż sześciuset ludzi broni fortecy i jesteśmy zabarykadowani w kasztelu. Kończy nam się żywność i brakuje świeżej wody.

– Co mogę zrobić?

Czekaj przy przeprawie. Niechaj cię błogosławi Źródło, Danyal.

– I ciebie, kapłanie.

– Już nie kapłanie. Wojna ogarnęła mnie i zabijałem.

– Wszyscy jesteśmy zbrukani, Dardalionie.

– Tak. Jednak koniec jest bliski, a wtedy się dowiem.

– Czego się dowiesz?

– Czy miałem rację. Teraz muszę iść. Czekaj przy przeprawie!

Danyal i Kai dotarli do niej o zmierzchu następnego dnia. Nie dostrzegli żadnego śladu życia, a prom stał opuszczony na drugim brzegu rzeki. Danyal rozsiadła konia, a Kai przeniósł ciężki toból ze Zbroją do chatki. Dziewczyna rozpałała ogień i ugotowała posiłek, odwracając oczy na widok Kaja, który jadł z miski palcami.

Spała na wąskim łóżku, podczas gdy stwór siedział ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku.

Tuż po świcie zbudziła się i zobaczyła, że jest sama. Po śniadaniu złożonym z suszonych owoców poszła nad rzekę i wykąpała się, brodząc nago w sięgającej do pasa wodzie przy brzegu. Nurt był wartki i z trudem utrzymywała się na nogach. Po kilku minutach wyszła na brzeg i najlepiej jak mogła, uprała tunikę, uderzając nią o kamień, żeby usunąć brud.

Z krzaków po lewej wyłonili się dwaj mężczyźni. Przetoczyła się w prawo, chwyciła szablę i wyrwała ją z pochwy.

– Niezła – orzekł pierwszy mężczyzna, krępy wojownik w brązowej skórzanej kurtce, z wygiętym sztyletem za pasem. Gdy uśmiechnął się do niej, zobaczyła, że brak mu dwóch przednich zębów; był nie ogolony i brudny, tak jak jego kompan – grubas z opadającymi wąsami.

- Spójrz na nią! – powiedział pierwszy. – Ma ciało jak anioł.
- Patrzę – odparł z uśmiechem drugi.
- Nigdy nie widzieliście kobiety, wałachy? – zapytała Danyal.
- Wałachy? Zaraz zobaczysz, czy nam czegoś brakuje – warknął szczerbaty wojownik.
- Tchórzliwy gównojadzie! Nie zobaczę niczego prócz twoich flaków.

Uniosła szablę i obaj cofnęli się.

- Bierz ją, Caelu! – rozkazał Szczerbaty. – Odbierz jej broń.
- Sam to zrób.
- Boisz się?
- Nie bardziej niż ty.

Gdy tak się spierali, Kai wyrósł za ich plecami i rozłożył ramiona. Głowy mężczyzn zderzyły się z ohydny trzaskiem i obaj osunęli się na ziemię. Kai pochylił się, chwycił Szczerbatego za pas i niedbałym ruchem cisnął nieprzytomnego do rzeki. Kompan w mgnieniu oka też w niej wylądował i fale pochłonęły obu.

Kai obrócił się do Danyal.

- Żli – powiedział, potrząsając głową.
- Teraz już nie – odparła Danyal – ale poradziłabym sobie sama.

Wieczorem, gdy Danyal zносиła drewno do chatki, spróchniała podłoga pękła jej pod nogami i dziewczyna głęboko skaleczyła się w łydkę. Pokuśtykała do ognia i zaczęła, przemywać ranę, ale Kai klęknął przy niej i nakrył ranę dłonią. Danyal poczuła przeszywający ból i usiłowała wyrwać się, lecz ból zaraz zelżał, a kiedy Kai zabrał rękę, rana zniknęła.

- Nie ma! – rzekł, przechylając głowę na bok. Ostrożnie dotknęła nogę; skóra była cała.
- Jak to zrobiłeś?

Podniósł rękę i wskazał na dłoń.

- Pszczel – powiedział. Potem poklepał się po ramieniu i biodrze. – Aynander.

Jednak nie zrozumiała go.

W południe następnego dnia na drugim brzegu pojawił się oddział legionistów i Danyal patrzyła, jak przeciągają prom na jej stronę. Zwróciła się do Kaja.

- Musisz iść – powiedziała. – Nie zrozumieliby cię.

Wyciągnął rękę i lekko dotknął jej ramienia.

- Egnaj, Anyal.

– Żegnaj, Kaju. Dziękuję.

Poszedł na skraj lasu i gdy prom dobijał do brzegu, obejrzał się jeszcze, wskazując na północ.

– Aynander! – zawołał, a ona pomachała mu i obróciła się do nadchodzącego oficera.

– Ty jesteś Danyal? – zapytał.

– Tak. Zbroja jest w chacie.

– Kim był ten wielkolud w masce?

– To przyjaciel, dobry przyjaciel.

– Nie chciałbym mieć wroga w kimś takiego wzrostu.

Oficer był przystojnym młodzieńcem o ujmującym uśmiechu i Danyal weszła za nim na prom. Gdy Zbroja znalazła się na pokładzie, Danyal usiadła i po raz pierwszy od wielu dni opuściło ją napięcie. Nagle coś przyszło jej do głowy i pobiegła na rufę promu.

– Kaju! – zawołała. – Kaju!

Jednak las milczał, a olbrzym zniknął.– Aynander! Waylander.

Wielkolud uleczył go. Właśnie o tym usiłował jej powiedzieć. Waylander żyje!

Kasztel trzymał się pięć dni, zanim mosiężny łeb tarana w końcu rozbił belki wrót. Vagryjczycy runęli naprzód z toporami i hakami, wybijając przejście do kasztelu.

Za bramą, w łukowatym portyku, Sarvaj czekał z pięćdziesięcioma żołnierzami i tuzinem łuczników. Ci nałożyli na cięgiwy ostatnie strzały i wypuścili je, gdy brama runęła i Vagryjczycy wypełnili przejście. Pierwszy szereg nieprzyjaciół runął pod gradem strzał, lecz zaraz nadeszli kolejni wojownicy, kryjąc się pod osłoną tarcz. Łucznicy wycofali się, a Sarvaj poprowadził swoich ludzi do gwałtownego kontrataku. W świetle sączącym się przez rozbitą bramę zamigotały ostrza.

Oba oddziały wpadły na siebie i na chwilę Vagryjczyków zepchnięto w tył. Potem dała o sobie znać ich liczebność; zaczęli spychać Drenajów po zakrwawionym bruku przejścia.

Sarvaj siekł i kłuł mieczem napierające nań ciała, ogłuszony przez wrzaski i wojenne okrzyki wtórujące szczękowi mieczów i tarcz. Sztylet zranił go w udo, a on ciął mieczem w kark napastnika, który runął pod obute nogi kamratów. Sarvaj z tuzinem ludzi wyrąbali sobie drogę i usiłowali zamknąć drzwi do wielkiej sali. Inni wojownicy drenajscy zbiegali z murów, spiesząc

im na pomoc, lecz Vagryjczyków było zbyt wielu i zepchnęli ich do środka. Tam wrogowie otoczyli obrońców, drwiąc z nich i szydząc. Drenajowie sformowali obronny krąg i czekali w posępnym milczeniu.

Jakiś vagryjski oficer wszedł do sali i wskazał na Sarvaja.

– Poddajcie się – powiedział. – To już koniec.

Sarvaj popatrzył na swoich ludzi. Zostało ich mniej niż dwudziestu.

– Czy ktoś chce się poddać? – zapytał. – Tym śmieciom? – odparł jeden z jego żołnierzy.

Vagryjczyk dał sygnał do ataku.

Sarvaj cofnął się o krok przed szarżującym napastnikiem, zanurkował pod opadające ostrze i wbił mu miecz w krocze, wyszarpując je, zanim wpadł na niego następny wojownik. Odbił wściekle cięcie i zachwiał się, gdy lanca uderzyła go w napierśnik. Oberwał mieczem w twarz, upadł i potoczył się po ziemi. Jednak zdążył jeszcze pchnąć mieczem i usłyszał wrzask agonii. Kilku wojowników rzuciło się na niego, rąbiąc i kłując.

Nie czuję bólu, pomyślał, zanim zadusił się własną krwią.

W górze, na blankach, Jonat – bez helmu, ze stępionym mieczem – patrzył bezsilnie na nadbiegających Vagryjczyków. Jakiś wojownik rzucił się na niego; Jonat odparował cios i błyskawiczną ripostą przeszył mu gardło. Wypuściwszy miecz, porwał szablę zabitego i kciukiem sprawdził ostrze. Było wciąż ostre i Jonat uśmiechnął się z zadowoleniem.

Drenajowie powoli cofali się przed nacierającym wrogiem, wycofując się po krętych schodach na piętro. Jonat słyszał odgłosy walki i wiedział, że to koniec. Ogarnął go gniew i gorycz nagromadzona w ciągu dwudziestu siedmiu lat życia. Nikt go nigdy nie słuchał. Od czasu, gdy – jako dziecko – błagał darowanie życia ojcu, nikt go nigdy nie słuchał. Teraz nadeszło najgorsze – miał zginąć na wojnie, zaledwie kilka dni po zaszczytnym awansie. Gdyby zwyciężyli, Jonat byłby bohaterem najmłodszym z Pierwszych Dunów Legionu. W ciągu dziesięciu lat zostałby generałem.

Teraz nie będzie niczym... nawet przypisem w historii.

Dros Purdol, powiedzą – czy to tam kiedyś toczyła się jakaś bitwa?

Wyparci ze schodów Drenajowie sformowali bojowy klin na korytarzu, lecz Vagryjczycy nadciągali teraz z dołu i z góry. Z lewej nadbiegł Karnak z Dundasem oraz tuzinem wojowników, dołączając do oddziału Jonata.

– Przykro mi, stary – rzekł Karnak. Jonat nie odpowiedział, gdy wróg zaatakował z lewej

i Karnak rzucił się do szaleńczego kontrataku, wyrąbując sobie drogę toporem. Dundas – jak zawsze u jego boku – padł z włócznią w sercu, ale wściekle rąbiący Karnak wyszedł z utarczki bez szwanku. Jonat ciął i dźgał napierających wojowników, rycząc z wściekłości i rozpacz. Topór uderzył go w pierś, odbił się od napierśnika i trafił bokiem w głowę. Jonat padł, brocząc krwią z płytkiej rany na skroni; usiłował wstać, lecz przygniótł go jakiś zabity drenajski żołnierz. Odgłosy bitwy ścisły i Jonat zapadł w ciemność.

Drenajowie ginęli jeden po drugim, aż pozostał tylko Karnak. Z wysoko uniesionym toporem cofał się przed napierającymi, skrytymi za tarczami Vagryjczykami. Ciężko dyszał i krew płynęła mu z ran na rękach i nogach.

– Brać go żywcem! – zawołał oficer. – Generał chce go żywego!

Vagryjczycy ruszyli naprzód i topór opadł ze świstem. Grad ciosów spadł na drenajskiego generała, który poślizgnął się na zalanej krwią posadzce. Obuta stopa kopnęła go w twarz i uderzył głową o mur. Jeszcze zamachnął się pięścią i znieruchomiał.

Na drugim piętrze pozostali przy życiu kapłani Trzydziestu zabarykadowali się w bibliotece. Dardalion przez chwilę słuchał łomotania do drzwi, a potem zawołał swoich braci. Oprócz niego żaden nie miał broni.

– To już koniec, moi bracia – rzekł.

Astila wystąpił naprzód.

– Nie będę z nimi walczył. Chcę jednak, abys wiedział, Dardalionie, że nie żałuję niczego, co uczyniłem.

– Dziękuję, przyjacielu.

Młody Baynha podszedł i uścisnął mu dłoń.

– Żałuję, że wysłaliśmy szczury przeciw zwykłym żołnierzom, ale nie wstydzę się naszych bitew z Bractwem.

– Sądzę, że powinniśmy się pomodlić, bracia, ponieważ mamy mało czasu.

Uklękli razem na środku biblioteki, a ich myśli połączyły się. Nie słyszeli trzasku wyważanych drzwi ani łoskotu padającej barykady, ale wszyscy poczuli, jak ostrza przeszyły serce Astili, ścięły głowę Baynhy, zagłębiły się w nie stawiające oporu ciała. Dardalion został pchnięty w plecy i poczuł przeszywający ból... Za murami fortecy Kaem stał na balkonie swej kwatery, z ledwie skrywaną uciechą obserwując, jak bitwa wchodzi w ostatnią fazę.

Łysy vagryjski generał już planował następne posunięcie kampanii. Zostawi w Purdol silny

oddział i ruszy z resztą armii do Skultik, żeby pobić Egela, a potem uderzy na południe i zniszczy Ironlatcha oraz Lentryjczyków.

Nagle dostrzegł jakiś oślepiający błysk i spojrzał w lewo, gdzie pasmo niskich, porośniętych lasem wzgórz ciągnęło się aż do Skultik. Tam, na wspaniałym rumaku, siedział wojownik w zbroi lśniącej w jasnym słońcu.

Zbroja z Brązu! Kaem zmrużył oczy przed oślepiającym blaskiem i poczuł, że zaschło mu w ustach. Wojownik uniósł rękę i nagle wzgórze poruszyły się, gdy tysiące jeźdźców runęły w kierunku fortecy. Nie było czasu, by zorganizować obronę – Kaem patrzył z przerażeniem, jak niezliczone szeregi wojowników pędzą po zboczach pagórków.

Pięć tysięcy? Dziesięć? Dwadzieścia?

Nadjeżdżali. Pierwsi Vagryjczycy dostrzegli ich i chwycili za broń, tylko po to, by paść jak łan pod nadciągającą falą.

Kaem zrozumiał, że wszystko przepadło. Liczebność jego armii nie miała teraz żadnego znaczenia. Nieprzyjaciel rozbije sztyk uderzeniem z flanki, rozpraszając ją w proch i pył.

Wojownik z Brązu stał na szczycie wzgórza, spoglądając na fortecę. Kaem widział, że zwrócił głowę w kierunku portu, i z dreszczem strachu pojął, że wojownik szuka właśnie jego.

Cofnął się od okna, gorączkowo zbierając myśli. Vagryjskie statki wciąż stały w pobliżu – mógł uciec z Purdol i dotrzeć do swych sił na południu. Tam mógłby utrzymać się do zimy, a na wiosnę rozpocząć nową ofensywę. Odwrócił się i...

W progu stała jakaś zakapturzona postać, wysoka i szczupła, w czarnym płaszczu na ramionach, z małą kuszą w ręku.

Kaem nie widział ocienionej kapturą twarzy, ale wiedział. Wiedział.

– Nie zabijaj mnie! – błagał. – Nie!

Cofnął się aż na balkon, wychodząc na jasne słońce.

Milcząca postać szła za nim, krok za krokiem.

Kaem odwrócił się i wspinał na balustradę balkonu, po czym skoczył na czekający trzydzieści stóp niżej bruk. Wylądował na stopach, łamiąc obie nogi, a kość lewego uda przebiła mu biodro i żołądek. Upadł na plecy i ujrzał nad sobą pusty balkon. Poczuł potworny ból i umarł, wyjąc w męczarniach.

Zakapturzona postać poszła do portu i zeszła po sznurowej drabince na pokład małej żaglówki. Zerwał się wiatr i stateczek szybko ślizgał się po falach. Wkrótce wypłynął z portu.

W kasztelu Vagryjczycy wlekli Karnaka zalanym krwią korytarzem. Jedyne oko miał podbite, a wargi rozcięte i zakrwawione. Sprowadzili go po schodach, do zasłanej trupami wielkiej sali. Karnak usiłował iść, lecz zwichnięta w kostce lewa noga nie mogła utrzymać ciężaru jego ciała.

Vagryjczycy wyszli na słońce i zamrugali oczami ze zdziwienia.

Cały dziedziniec był zapchany drenajskimi żołnierzami, a wśród nich stał człowiek w lśniącej Zbroi z Brązu, z dwoma mieczami w rękach.

– Puśćcie go – rozkazał głosem głuchym i dźwięcznym jak metal.

Vagryjczycy cofnęli się.

Karnak zachwiał się i prawie upadł, lecz wojownik w Zbroi z Brązu doskoczył i podtrzymał go.

– Vagryjczycy zostali pokonani – rzekł Egel. – Zmieniliśmy koleje wojny.

– Dokonaliśmy tego? – wyszeptał Karnak.

– Przysięgam na wszystkich bogów.

– Kaem?

– Zabił się.

Karnak usiłował otworzyć oko, ale stanęły w nim łzy.

– Zabierzcie mnie stąd – powiedział. – Niech nikt na mnie nie patrzy.

Epilog

Po śmierci Kaema i rozsypaniu głównych sił węgryjskich wojna skończyła się przed końcem jesieni, kiedy Egel i Karnak poprowadzili drenajską armię na przedmieścia Drenanu, na spotkanie z siłami Lentryczyków dowodzonymi przez Ironlatcha.

Rok później Karnak najechał Wagrię i stracił z tronu cesarza.

Arystokracja Drenajów nie chciała słyszeć o wskrzeszeniu monarchii, więc ustanowiono republikę, a na czele jej rządu miał stanąć Egel. Generał odmówił, ale przyjął tytuł Księcia z Brązu i wrócił do Delnoch, gdzie kierował wznoszeniem potężnej, otoczonej sześcioma murami fortecy na przełęczy.

Jego doradcą był kapłan imieniem Dardalion, którego znaleziono – ciężko rannego – w bibliotece Purdol. Egela bardzo krytykowano za koszty budowy Dros Delnoch, lecz nic nie zdołało osłabić jego wiary w mądrość Dardaliona.

Pięć lat po zwycięstwie pod Purdol Egel został zamordowany w swoich pokojach w fortecy. Wybuchła wojna domowa, w wyniku której władcą Drenajów został Karnak.

Jonat przeżył oblężenie Purdol i awansował do stopnia generała. Zginął sześć lat po bitwie, dowodząc podczas wojny domowej oddziałami zbuntowanymi przeciw Karnakowi.

Danyal, za złoto otrzymane od Egela w nagrodę za dostarczenie Zbroi, kupiła dom w Skarcic, gdzie zamieszkała razem z Kryllą i Miriel. Często jednak widywano ją na przełęczy Delnoch, z której wypatrywała czegoś na północy.

Sześć miesięcy po klęsce Węgryczyków ona i dziewczynki opuściły miasto.

Dwie sąsiadki rozmawiały o ich zniknięciu z wartownikiem przy południowej bramie.

– Widziałem, jak odjeżdżała – powiedział. – Miała towarzystwo. Jechał z nią jakiś mężczyzna.

– Rozpoznałeś go?

– Nie, to był ktoś obcy. Waylander.